Uparci kochankowie
AWANTURNICZY KWARTET
STEPHANIE
LAURENS

Stephanie Laurens

Uparci kochankowie

Tłumaczenie:
Agnieszka Walulik

Prolog

Aberdeen
9 sierpnia 1824

Stojąc w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na port Aberdeen, Royd Frobisher jeszcze raz przeczytał wiadomość, którą właśnie mu doręczono.

Czy tylko mu się wydawało, czy też Wolverstone naprawdę się czymś martwił?

W latach, gdy Wolverstone zajmował stanowisko kierownika wywiadu, Royd często otrzymywał podobne wezwania, ale dobór słów w tym liście zdradzał pewien niepokój ze strony zazwyczaj niewzruszonego księcia.

Niepokój lub zniecierpliwienie, choć to ostatnie nie należało do przywar byłego szefa służb wywiadowczych.

Mimo iż dzieliła ich różnica dziesięciu lat, Royd i Wolverstone, zwany dawniej Dalzielem, od pierwszego spotkania doskonale się rozumieli, a kiedy Dalziel zrezygnował ze stanowiska, odziedziczywszy tytuł książęcy, stale się kontaktowali. Royd podejrzewał, że ich korespondencja to dla księcia jedno z głównych źródeł informacji o rozmaitych intrygach.

Zwięzłe pismo zawierało prośbę, aby przeprowadził swój statek, kołyszący się w tej chwili na wodach widocznych z okna gabinetu, do Southampton, gdzie miał się zaopatrzyć

i czekać w gotowości do rejsu, gdy tylko nadejdą wieści z Freetown.

Wniosek był oczywisty. Wolverstone spodziewał się, że oczekiwane wiadomości – które miał dostarczyć najmłodszy brat Royda, Caleb – będą wymagać natychmiastowej reakcji, czyli wyprawy do Afryki Zachodniej.

I Royd, i Wolverstone umieli celnie ocenić sytuację. Jeśli więc książę się niepokoił...

– Muszę się z nim zobaczyć.

Royd podniósł głowę bardziej na dźwięk głosu niż wypowiadane słowa.

– Zapytam...

– Niezwłocznie. Proszę się odsunąć, panno Featherstone.

– Ale...

– Żadnych ale. Przepraszam bardzo.

Royd usłyszał mocny i szybki stukot obcasów po drewnianej podłodze.

Gladys Featherstone, jego niemłoda już sekretarka, na pewno załamywała teraz ręce, ale w końcu mieszkała w okolicy od urodzenia i powinna była wiedzieć, że kiedy Isobel Carmichael ma do załatwienia coś ważnego, zmienia się w żywioł, który niewielu byłoby w stanie powstrzymać.

Włączając w to Royda.

Ściana oddzielająca jego prywatny gabinet od pozostałej części biura była przeszklona, ale dopiero od wysokości sześciu stóp – kiedy pracował przy biurku, wolał pozostawać niewidoczny na wypadek, gdyby jacyś

przypadkowi goście chcieli marnować jego czas. Musieli wtedy prosić Gladys, aby sprawdziła, czy Royd jest u siebie.

Teraz jednak stał, a Isobel była tylko o kilka cali niższa od niego, i tak jak on widział przez szklany segment pawie piórko u jej kapelusza, podskakujące w rytm energicznych kroków, tak ona na pewno widziała czubek jego głowy.

Zastanowił się przelotnie, co też mogło ją tak wzburzyć. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że zaraz się tego dowie.

W typowy dla siebie sposób panna Carmichael otworzyła gwałtownie drzwi i przystanęła w dramatycznej pozie na progu, przyszpilając Royda ciemnym spojrzeniem.

Jedno intensywne spotkanie ich oczu wystarczyło, żeby Royd poczuł ucisk w dołku i poruszenie w spodniach.

Może nie było to zaskakujące, biorąc pod uwagę łączącą ich przeszłość, ale teraz...

Isobel miała sześć stóp wzrostu, szczupłą i zwinną figurę oraz gęste granatowoczarne loki. Rozpuszczone spadały na jej plecy niesforną masą luźnych jedwabistych pukli, dziś jednak były ciasno ściągnięte w kok na czubku głowy. Isobel patrzyła na Royda oczami barwy czekolady, osadzonymi pod pięknymi łukami czarnych brwi. Twarz miała owalną, a cerę bladą i nieskazitelną. Jej usta były różowe, jędrne i pełne, ale w tej chwili zaciśnięte w wąską linię. W przeciwieństwie do większości dobrze wychowanych dam Isobel nie miała w zwyczaju sunąć płynnym krokiem. Jej ruchy cechowały stanowczość i siła, a dumna postawa przywodziła na myśl królową Amazonek.

Royd skinął lekko głową.

– Isobel – powiedział. Gdy nadal patrzyła na niego bez słowa, uniósł brew. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Isobel wpatrywała się w niego uparcie. Sądziła, że potrafi sobie z nim poradzić, że jest w stanie znieść jego towarzystwo nawet poza okolicznościami zawodowymi – że jej misja jest ważniejsza od popędów.

Mimo to już sam widok Royda obudził w niej zmysły. Wystarczył dźwięk jego niskiego głosu, żeby straciła rezon.

A to delikatne uniesienie brwi i intensywne spojrzenie, które w nią wbijał... Powinna była zabrać ze sobą wachlarz.

Mimo to zacisnęła zęby, nie godząc się na porażkę. Nie mogła teraz zrezygnować, nieważne, jak bardzo ją onieśmielał.

Jego twarz okalały nieposłuszne pukle, niemal tak czarne jak jej własne. Nawet sam diabeł uległby urokowi jego rysów: szerokie czoło, proste czarne brwi, rzeźbione kości policzkowe, mocna kwadratowa szczęka. Efekt podkreślała schludnie przycięta broda, którą Royd ostatnio zapuścił. Nawet kiedy stał nieruchomo, jego rosła postać emanowała męską siłą. Miał szerokie ramiona i długie, silne nogi oraz sylwetkę pełną wrodzonej elegancji, widocznej w swobodzie, z jaką się nosił. Patrzył na Isobel głęboko osadzonymi i aż nazbyt przenikliwymi oczami, wyginając w grymasie kształtne usta.

Isobel zapanowała nad budzącymi się zmysłami, odetchnęła głęboko i oświadczyła zwięźle:

– Musisz mnie zabrać do Freetown.

Royd zamrugał ze zdziwieniem.

– Freetown?

– Właśnie tak – potwierdziła, dziwiąc się jego reakcji. Zazwyczaj nie okazywał zaskoczenia. – To stolica Afryki Zachodniej.

Była przekonana, że znał to miejsce; chyba nawet był tam kilkakrotnie.

Zamknęła drzwi gabinetu, po czym podeszła bliżej.

Royd odłożył trzymany w ręce list.

– Dlaczego właśnie tam? – spytał.

Isobel spojrzała na niego zza bezpiecznej bariery w postaci biurka. Mogła zająć jedno z krzeseł, ale wolała stać na wypadek, gdyby musiała unieść się gniewem. Awantury lepiej jej wychodziły na stojąco.

Oczywiście skoro ona nie chciała usiąść, Royd także tego nie zrobił.

Isobel odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy – te przenikliwe oczy koloru wzburzonego morza i nieba nad Aberdeen.

Zaschło jej w ustach. Na szczęście przygotowała sobie przemowę.

– Wczoraj dotarły do nas wieści, że moja kuzynka w drugiej linii, Katherine Fortescue, zaginęła we Freetown. Pracowała tam jako guwernantka u pewnej angielskiej rodziny, państwa Sherbrooków. Wygląda na to, że zniknęła kilka miesięcy temu w drodze na pocztę i pani Sherbrook dopiero teraz zdecydowała się poinformować o tym jej krewnych. Jak możesz sobie wyobrazić, Iona jest wielce

poruszona. – Iona Carmody była babką Isobel po kądzieli, niekwestionowaną przywódczynią klanu Carmodych. – Kiedy Katherine straciła matkę, Iona chciała zaprosić ją do nas, ale ona uparła się, że sama będzie się utrzymywać, i zatrudniła się jako guwernantka. Wyjechała, zanim zdążyłam dojechać do jej domu i się z nią zobaczyć. Więc teraz oczywiście muszę popłynąć do Freetown, odnaleźć ją i sprowadzić z powrotem.

Royd nie odrywał spojrzenia od ciemnych oczu Isobel. Dla niego wcale nie było to oczywiste, lecz wiedział dostatecznie dużo na temat matriarchalnego klanu Carmodych, żeby zrozumieć niedopowiedzianą prawdę. Isobel postrzegała to wszystko w kategoriach własnej porażki. Przecież to ona nie zdążyła powstrzymać kuzynki przed wyjazdem i otoczyć jej opieką klanu. Teraz więc czuła się w obowiązku naprawić sytuację, zwłaszcza że Iona była „wielce poruszona”. Isobel była bardzo przywiązana do babki, którą zresztą niezwykle przypominała.

Royd rozumiał jej tok myślenia. Lecz nie oznaczało to, że Isobel musi osobiście udać się do Freetown.

Zwłaszcza gdy istniało ogromne prawdopodobieństwo, że Katherine Fortescue należy do uprowadzonych z kolonii ofiar, którym Royd miał niedługo ruszyć na ratunek.

– Tak się składa, że wkrótce wybieram się do Freetown – rzekł, pilnując się, aby nie spojrzeć na list Wolverstone’a; Isobel mogłaby porwać wiadomość ze stołu i sama ją przeczytać. – Obiecuję, że znajdę twoją Katherine i sprowadzę ją bezpiecznie do domu.

Isobel zamyśliła się nad jego propozycją, po czym zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie. Sama muszę tam popłynąć. – Zawahała się i przyznała niechętnie: – Iona tego chce.

Minęło osiem lat, od kiedy rozmawiali na tematy niezwiązane z interesami. Po zerwaniu zaręczyn Isobel unikała Royda jak ognia, dopóki konieczność nawiązania współpracy nie zmusiła ich do ponownego spotkania twarzą w twarz. On chciał sprzymierzyć się ze stocznią Carmichaelów, żeby móc pracować nad udoskonaleniem rodzinnej floty, ona zaś i jej ojciec musieli polegać na Kompanii Frobisherów, aby utrzymać stocznię podczas zapaści ekonomicznej, jaka nastąpiła po zakończeniu wojen.

Spotykali się więc nad biurkiem zawalonym inżynierskimi planami oraz rysunkami projektów i, jak nietrudno przewidzieć, ich współpraca na tym polu układała się wyjątkowo pomyślnie.

Royd był wynalazcą – podczas częstych wypraw w różnych kierunkach nieustannie wpadał na nowe pomysły udoskonalania rodzinnych jednostek zarówno pod względem bezpieczeństwa, jak i szybkości.

Isobel z kolei była wspaniałą projektantką. Potrafiła zrozumieć wstępne koncepcje Royda i nadać im konkretny kształt.

On był doświadczonym inżynierem i umiał przerobić jej projekty na fizyczne konstrukcje.

Ona zaś prowadziła stocznię, której pracownicy niemal ją czcili. Całe dzieciństwo biegała po porcie i dokach, rosła na

oczach robotników i uważali ją za jedną z nich. Sukces Isobel był ich sukcesem i pracowali dla niej tak, jak nie pracowaliby dla nikogo innego.

Isobel brała inżynierskie projekty Royda, ustalała system pracy i dostarczała komponentów, podczas gdy on sprowadzał jednostkę, którą chciał zmodyfikować – i razem dokonywali prawdziwych cudów.

Dzięki tej współpracy flota Frobisherów osiągała coraz lepsze wyniki, co na dłuższą metę oznaczało przetrwanie ich kompanii transportowej. Stocznia Carmichaelów z kolei szybko zdobywała reputację niezrównanego prekursora szkutnictwa.

Pod względem zawodowym stanowili więc niezwykle zgrany zespół odnoszący wielkie sukcesy.

Mimo to przez ostatnie lata podczas wszystkich spotkań Isobel trzymała Royda na dystans. Nigdy nie pozwoliła mu poruszyć kwestii tego, co właściwie się wydarzyło przed ośmiu laty, kiedy wrócił z rejsu, żeby usłyszeć od niej – swojej narzeczonej, o której poślubieniu marzył od miesięcy – że nie chce go więcej widzieć.

Od tamtej pory Isobel nie dała mu ani jednej sposobności do osobistej rozmowy, chociaż niegdyś byli sobie tak bliscy.

Royd zastanawiał się, czy Isobel tęskni za nim tak samo, jak on tęsknił za nią. W końcu żadne z nich nie wstąpiło w związek małżeński. Plotka głosiła, że Isobel z miejsca odrzucała kolejnych zalotników ustawiających się w kolejce do ręki kobiety, która pewnego dnia miała przejąć stocznię Carmichaelów.

A teraz ta kobieta stała w jego gabinecie, gotowa walczyć o prawo do spędzenia całych tygodni na pokładzie „Korsarza”. Całych tygodni na pokładzie jego statku, gdzie nie byłaby w stanie go unikać. Całych tygodni, podczas których mógłby starać się skłonić ją do szczerej rozmowy, tak aby wreszcie rozwiązali dawne problemy i zostawili przeszłość za sobą.

Albo naprawić to, co się kiedyś popsuło, i zacząć wszystko od nowa.

Isobel nadal czekała na odpowiedź i jej oczy pociemniały. Royd wciąż dość dobrze potrafił odczytywać, co się dzieje w jej głowie. Ze wszystkich znanych mu kobiet ona jedna mogłaby choćby rozważać urządzenie mu awantury. Właściwie w pewnym sensie nawet na to liczył...

Isobel zmrużyła oczy, jakby czytając w jego myślach. Zacisnęła usta, po czym stwierdziła cicho:

– Royd, jesteś mi to winien.

Po raz pierwszy od ośmiu lat wymówiła jego imię tonem, który wciąż przeszywał go na wskroś. Więcej – było to pierwsze odniesienie do ich przeszłości od czasu, gdy Isobel zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Tylko że Royd nadal nie był pewien, co miała na myśli. Dlaczego właściwie jest jej to winien? Przychodziło mu do głowy kilka odpowiedzi, ale żadna nie była satysfakcjonująca.

Royd nie był do końca przekonany, czy podejmuje dobrą decyzję, lecz nie potrafił się oprzeć, żeby wykorzystać taką okazję.

– „Korsarz” wypływa w środę z poranną falą. Bądź na nabrzeżu przed świtem.

Isobel popatrzyła mu w oczy i skinęła energicznie głową.

– Dziękuję – powiedziała. – Będę tam.

Z tymi słowami obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

Royd patrzył za nią, ciesząc się, że nie zamknęła drzwi, dzięki czemu mógł rozkoszować się widokiem jej kołyszących się bioder.

Bioder, których kiedyś mógł dotykać i przyciągać je do siebie...

Zdając sobie sprawę, że przez te zdradliwie wyraziste wspomnienia zaczął odczuwać pewien dyskomfort, mruknął pod nosem i ukradkiem poprawił spodnie. Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Gladys Featherstone spojrzała na niego jakby w oczekiwaniu reprymendy.

– Trzeba rozesłać dyspozycje – rzekł, wzywając ją do siebie.

Cofnął się do biurka i opadł na fotel. Kiedy Gladys usiadła przed nim z notatnikiem na kolanie, wziął się w garść i zaczął dyktować pierwsze z wielu poleceń, jakie musiały zostać wykonane, zanim będzie mógł opuścić Aberdeen i popłynąć do Freetown, aby wypełnić misję, którą za pośrednictwem Wolverstone’a zlecał mu hrabia Melville, Pierwszy Lord Admiralicji.

I aby odkryć, czy istnieje jeszcze jakaś nadzieja dla niego i Isobel Carmichael.

***

Słońce nawet nie wstało nad horyzontem, kiedy Isobel weszła na deski głównej kei portu w Aberdeen. Ubrana była w podróżną batystową suknię barwy kości słoniowej z dopasowanym stanem, długimi rękawami zapinanymi na guziczki i sutą spódnicą oraz w sięgającą pasa pelerynkę obrębioną futrem. Stroju dopełniały kapelusz z szerokimi fioletowymi wstążkami zawiązanymi ciasno pod brodą, miękkie rękawiczki z koźlęcej skóry oraz pasujące półbuty.

Isobel przystanęła i odwróciła się, aby się upewnić, że pięciu służących dźwigających jej trzy kufry nadal za nią podąża.

Pochodnie płonęły na kei w regularnych odstępach, rzucając rozmigotane światło na całą scenę. Odór smoły i dymu ustępował tu zapachowi morza – mieszaninie słonej wody, ryb, wilgotnych kamieni, mokrego drewna i lin napęczniałych od wody.

Na stanowiskach Frobisherów trwała już krzątanina jak w ulu. Tragarze gramolili się z beczkami i belami materiałów, a po trapach biegali marynarze z linami, takielunkiem i ciężkimi zwojami żaglowego płótna. Przyzwyczajona do tych odgłosów – i ciągłych przekleństw – Isobel zignorowała sprośne uwagi i śmiało ruszyła w stronę zgrabnego statku górującego nad pozostałymi jednostkami. Doskonale go znała. Dostrzegła ciemną głowę Royda, wystającą ponad nadburcie. Przystanęła i przez chwilę mu się przyjrzała, po czym odwróciła się do swoich ludzi i poleciła im przekazać kufry marynarzom czekającym przy trapie.

Nie zdziwiła się, gdy załoga na jej widok rzuciła się do pomocy. Każdy robotnik portowy i marynarz pływający na miejscowych jednostkach znał ją z widzenia, podobnie jak Royda. W dzieciństwie oboje spędzili w tych dokach i pobliskich stoczniach niezliczone godziny. Z początku, nie znając się jeszcze, badali okolicę niezależnie od siebie, choć Roydowi często towarzyszyli bracia. Isobel jako jedyne dziecko wielkiego przemysłowca zawsze była sama. W tamtych dawno minionych dniach port stanowił niepodzielne królestwo Royda, podczas gdy stocznie należały do niej.

W tej kwestii niewiele się do tej pory zmieniło.

Kiedy jednak Royd osiągnął wiek jedenastu lat i zaczął się interesować szkutnictwem, zakradł się kiedyś do stoczni, gdzie wpadł na Isobel.

Młoda Carmichaelówna była chłopczycą i o wiele bardziej interesowały ją kwestie budowy statków niż lekcje szycia. Z początku patrzyła na pojawienie się Royda w swoim królestwie z podejrzliwością i nawet pogardą – szybko bowiem odkryła, że wiedział o wiele mniej od niej. On jednak równie szybko zdał sobie sprawę, że jako jedyna dziedziczka Jamesa Carmichaela miała dostęp do wszystkiego, co działo się w stoczni, i że żaden robotnik nie odważyłby się zbyć jej pytań milczeniem. Od tego momentu, pomimo dzielącej ich różnicy pięciu lat, która w normalnych okolicznościach przeszkadzałaby w zawarciu bliskiej znajomości, Royd uparcie chodził za Isobel. Ona zaś, zorientowawszy się, że jako najstarszy z braci Frobisherów

miał dostęp do całej rodzinnej floty, równie nieustępliwie chodziła za nim.

Ich relacja od początku oparta była na obopólnej korzyści – cenili nawzajem swoją wiedzę i dostęp do różnych miejsc. Już wtedy dobrze się uzupełniali: stanowili zespół, a wzajemne towarzystwo wspomagało ich rozwój intelektualny i motywowało do nauki.

To się nie zmieniło.

Isobel patrzyła, jak marynarze wnoszą jej kufry na pokład. Pomyślała, że powinna ruszyć za nimi. Sama przecież tego chciała – musiała popłynąć z Roydem do Freetown, żeby sprowadzić Katherine do domu. Tylko to się liczyło i to było jej priorytetem. Co do innych spraw...

Kiedy poinformowała Ionę o swoim zamiarze, babka popatrzyła na nią tak, że Isobel poczuła się nieswojo, i wreszcie powiedziała:

– Skoro już się zgodził, to sugerowałabym, żebyście wykorzystali tę podróż, aby załatwić sprawy między wami.

Isobel otworzyła usta, by odpowiedzieć, że nie ma co załatwiać, lecz Iona uciszyła ją, unosząc dłoń.

– Wiesz, że nigdy go nie aprobowałam. Nad nim nie da się zapanować. Sam dla siebie stanowi prawo i zawsze tak było. – Staruszka skrzywiła się i zacisnęła sękate dłonie na główce laski. – Ale nie możecie dłużej żyć w tym permanentnym stanie zawieszenia. Żadne z was nie wyraziło najmniejszej chęci, żeby poślubić kogoś innego. Przez wzgląd na was oboje musicie to załatwić, zanim będzie za późno, by cokolwiek zmienić. Nie życzyłabym

tego ani tobie, ani Frobisherom. Samotne życie to nie jest coś, do czego człowiek powinien aspirować. Musicie rozwiązać tę sytuację, pogodzić się z nią i żyć dalej.

Isobel nie była w stanie się spierać. Nawet jeśli załatwienie problemów między nią a Roydem nie było prostą kwestią, musiała przyznać, że staruszka ma rację – obecna sytuacja nie mogła nadal trwać. Z różnych powodów.

Lecz opinia Iony sprowokowała pytanie, dlaczego właściwie Royd zgodził się, żeby Isobel z nim popłynęła, bo przecież wcale nie protestował. Czy miał w tym jakiś ukryty motyw?

Dziewczyna podniosła spojrzenie na statek i ruchem głowy odesłała czekających służących. Odetchnęła głęboko, jakby przywdziewając niewidzialny puklerz, uniosła spódnicę i ruszyła po trapie. Nie rozumiała, dlaczego Royd nie ożenił się z kimś innym; gdyby to zrobił, jej sytuacja byłaby jasna. Lecz tak się nie stało, więc teraz Isobel znalazła się w obliczu konieczności rozliczenia się z przeszłością.

To właśnie był drugi cel tej wyprawy – musiała zabić w sobie marzenia, które nawiedzały ją w snach, i udowodnić swojej wciąż tęskniącej duszy, że nie ma żadnej nadziei na pojednanie.

Royd zaręczył się z nią, przez trzy miesiące był w jej sercu i łożu, po czym zniknął na ponad rok i mimo początkowych zapewnień, że rejs potrwa najwyżej kilka miesięcy, ani razu się z nią nie skontaktował.

A potem wrócił tak samo nagle, jak wyjechał.

I spodziewał się, że Isobel powita go z otwartymi ramionami.

Naturalnie stało się inaczej – Isobel zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, mówiąc prosto w urodziwą twarz, że nie chce go więcej widzieć.

„Piękny ten, kto pięknie czyni”, brzmiała jedna z maksym Iony. Isobel przekonała się o prawdziwości tego powiedzenia na własnej skórze, lecz z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie potrafiła się wyzbyć fascynacji Roydem. Musiała wykorzystać tę podróż, aby przekonać swoje naiwne, tęskniące serce, które niegdyś kochało go ze wszystkich sił, że Royd Frobisher nie jest już mężczyzną jej snów.

Szła ze wzrokiem utkwionym w drewnianym trapie. Dotarła do burty, uniosła głowę – i ujrzała przed sobą Royda. Ileż by dała, żeby jego twarz straciła swoją moc panowania nad jej zmysłami!

Na to się jednak nie zapowiadało. Jej serce biło jak szalone, a nerwy napięły się jak struny pod wpływem samej jego bliskości.

Royd wyciągnął do niej rękę.

Była przekonana, że zrobił to celowo, by ją sprawdzić. Chciał się przekonać, czy Isobel z uporem będzie zachowywać dystans, jak to czyniła podczas rejsów, kiedy testowali najnowsze udoskonalenia, czy też przyzna, że ta podróż jest inna. Że chodzi o sprawy prywatne, a nie zawodowe.

Powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Opanowując nerwy, Isobel podała Frobisherowi dłoń w rękawiczce.

– Witaj na pokładzie, Isobel – odezwał się Royd, skłaniając głowę i pomagając jej zejść z trapu.

Puścił jej rękę i znowu mogła odetchnąć. Skinęła sztywno głową.

– Jeszcze raz dziękuję, że zgodziłeś się mnie zabrać – rzekła. – Wiem, że nie musiałeś.

Lekkie uniesienie jego czarnych brwi stanowiło wymowną odpowiedź.

– Kapitanie... – Sternik Royda, który cofał się w ich stronę, przekazując rozkazy dotyczące ożaglowania, odwrócił się nagle i na widok Isobel uśmiechnął się szeroko, po czym skinął głową. – Panno Carmichael. Zawsze miło powitać panią na pokładzie.

– Dziękuję, Williams. – Isobel znała całą załogę, wszak pływała z nią od lat. Rzuciła spojrzenie w stronę Royda. – Zejdę wam z drogi.

– Jeśli chciałabyś pozostać na pokładzie, dopóki nie znajdziemy się na morzu, tam będziesz najmniej przeszkadzać – powiedział Royd, wskazując rufę.

Isobel przytaknęła i podeszła do drabinki. Czuła na plecach jego wzrok. Kiedy dotarła na wyższy pokład i obejrzała się za siebie, Royd rozmawiał już z Williamsem o żaglach. Na otwartym morzu zamierzał wciągnąć ich jak najwięcej, lecz wyjście z basenu portowego i ujścia rzeki Dee wymagało precyzji i znacznie mniejszej mocy. Dzięki różnym ulepszeniom „Korsarz” stał się najszybszym

statkiem w swojej klasie – był to zresztą kolejny powód, dla którego Isobel chciała popłynąć do Freetown. Bardzo pragnęła zobaczyć, jak poprawki, które testowała dotąd tylko podczas krótkich rejsów po Morzu Północnym, sprawdzały się w dłuższej podróży.

Odrywając spojrzenie od ciemnowłosej głowy Royda, rozejrzała się po głównym pokładzie. Z tego, co widziała, byli niemal gotowi, aby rzucić cumy.

Uśmiechnęła do Liama Stewarta, pierwszego oficera, który stał za sterem.

– Dzień dobry, panie Stewart.

– Witamy na pokładzie, panno Carmichael. Podobno płynie pani z nami aż do Afryki.

– Zgadza się. Mam pewne sprawy we Freetown. – Nagle uzmysłowiła sobie, że skoro Royd już tam bywał, to Stewart także. – Rozumiem, że odwiedzał pan już tę kolonię.

Pierwszy oficer przytaknął.

– Zawijaliśmy kilka razy do tamtejszego portu, ale ostatnio było to... jakieś cztery lata temu. To względnie nowa kolonia, więc na pewno dużo się tam w tym czasie zmieniło – powiedział, po czym dodał: – Muszę sprawdzić ster. Zazwyczaj robimy to razem z Roydem, ale jest zajęty przy olinowaniu. Może chciałaby pani go zastąpić?

– Z największą przyjemnością. – Isobel podeszła do niego energicznie. Patrząc mu w oczy, uśmiechnęła się słodko i sięgnęła po koło. – Ale jeśli myśli pan, że to ja będę wisieć wychylona przez rufę, to bardzo się pan myli.

Stewart uśmiechnął się niepewnie i oddał ster. Isobel kręciła kołem, zatrzymując je w odpowiednich pozycjach, podczas gdy on patrzył, czy płetwa sterowa reaguje gładko i ustawia się pod właściwym kątem.

Zanim skończyli, Royd kazał już rzucić cumy. Przemierzył pospiesznie pokład i wszedł po drabince.

Isobel z przyjemnością dostrzegła w jego oczach błysk zaskoczenia, kiedy zobaczył ją za kołem. Odsunęła się i wskazała dłonią opuszczone stanowisko.

– Ster należy do pana, kapitanie.

Royd podszedł do koła z wypolerowanego dębowego drewna i popatrzył na Stewarta, który stał po drugiej stronie przy relingu.

– Wszystko gotowe, panie Stewart. Ruszajmy.

Pierwszy uśmiechnął się szeroko.

– Tak jest, kapitanie.

Isobel uchwyciła się relingu i patrzyła, jak Royd przy pomocy Liama jako nawigatora wyprowadza statek, operując samym tylko kliwrem.

Przemykając obok jednostek stojących na kotwicy w basenie portowym, kazał wciągać kolejne żagle, lecz ustawiał je tak, by nie zwiększać zanadto prędkości. Wreszcie wydostali się z przewężenia i skręcili, a przed nimi ukazało się nieprzesłonięte innymi statkami ujście Dee. Royd kazał wciągnąć grota. Po nim szybko przyszła pora na marsle i bramsle, na koniec bombramsle...

Wiatr pochwycił rozwijające się żagle i pchnął statek do przodu.

Uderzające w kapelusz podmuchy sprawiły, że Isobel zsunęła go na kark, żeby nacieszyć się przenikającym ją dreszczem emocji.

Rozwinięto trumsle i przyspieszyli jeszcze bardziej.

Żagle to napinano, to luzowano, i statek, teraz już daleko od brzegu, ruszył w przechyle na południe.

Isobel mimowolnie uśmiechnęła się szeroko.

Royd co jakiś czas spoglądał na nią, podziwiając radość malującą się nieskrępowanie na jej twarzy. Miał wrażenie, jakby patrzył w lustro – ta jedna rzecz zawsze ich łączyła i nic się w tej kwestii nie zmieniło: miłość do morza, do pędu nad falami, kiełznania wiatru i oddawania się jego mocy.

Była to kolejna nitka sieci, która wciąż splatała ich ze sobą.

Zazwyczaj po wyprowadzeniu statku z ujścia rzeki i upewnieniu się, że kadłub gładko tnie wodę, a żagle są ustawione jak trzeba, Royd oddawał ster w ręce Liama, który obejmował pierwszą wachtę po wyjściu z portu. Tym razem jednak, kiedy pierwszy oficer posłał mu pytające spojrzenie, Royd pokręcił głową i pozostał na miejscu, z rękami na kole i z Isobel u swego boku.

Kiedy wypływali razem, żeby przetestować ulepszenia, rzadko stawała tak blisko niego. Jeśli w ogóle wchodziła na rufę, wolała trzymać się w kącie z tyłu, gdzie nie było jej widać od strony steru. Royd pragnął więc przedłużyć tę chwilę, nacieszyć się więzią i pasją, która nadal ich łączyła.

Chciał jeszcze raz dzielić z kimś rozkosz wiatru we włosach i kołysania się pokładu pod stopami.

Isobel nie patrzyła na niego, więc sam często na nią spoglądał. Od lat nie czuł się jej tak bliski.

A jeśli ten aspekt ich dawnej więzi przetrwał te wszystkie lata... to co jeszcze z wielu wspólnych potrzeb i pragnień, które doprowadziły do zaręczyn i miały ich postawić przed ołtarzem, zdołało się uchować?

Royd nie mógł się nad tym nie zastanawiać.

Dlaczego Isobel się od niego odwróciła?

I dlaczego on na to pozwolił?

Do tej pory nie rozmyślał zbytnio nad tą ostatnią kwestią, ale stojąc znowu u jej boku, świadomy wszystkich swoich uczuć, stwierdził, że to zasadne pytanie.

Wreszcie zahalsowali, odbijając dalej od lądu, i Royd niechętnie przerwał magiczną chwilę. Oddał ster Liamowi, zamieniając z nim kilka słów, po czym ruszył w kierunku Isobel.

Odwróciła twarz ku niemu. Jej zmysły zadrżały i zdała sobie sprawę, że pozostanie tak blisko Royda było dużym błędem... Ale czyż nie pragnęła zgłębić tego, co między nimi pozostało, i przy odrobinie szczęścia stępić w sobie tę absurdalną wrażliwość na jego bliskość? A przecież nie zdoła oswoić się z jego obecnością, jeśli nie pozwoli sobie przebywać w jego towarzystwie.

Mimo to... odsunęła się od relingu.

– Może ktoś mógłby mi wskazać drogę do mojej kajuty?

Z długiego doświadczenia wiedziała, że jedyny sposób radzenia sobie z Roydem to samej przejąć ster.

– Oczywiście – rzekł Royd i skierował ją w stronę drabinki.

Isobel odwróciła się i szybko zeszła na dół.

Royd podążył za nią, zeskakując lekko z drabinki na pokład.

Isobel sądziła, że jako kapitan wezwie któregoś ze swoich ludzi, choćby ochmistrza Bellamy'ego. Zamiast tego sam podszedł do włazu zejściówki, otworzył go i przepuścił ją przodem.

– Przeniosłem swoje rzeczy z kabiny na rufie. Na czas tego rejsu należy do ciebie.

– Dziękuję. – Isobel zeszła po schodkach i ruszyła korytarzem. – A ty w której kabinie będziesz mieszkał?

Przez ostatnich kilka lat często pracowała przy „Korsarzu", dlatego znała rozkład pomieszczeń. W przeciwieństwie do innych jednostek tej klasy na statku Royda znajdowało się mniej kajut, za to były większe niż zwykle. Jego kapitańska kabina zajmowała całą szerokość rufy i była niespotykanie przestronna.

– Wziąłem tę po prawej.

Kajuta kapitańska była połączona z kabinami po obu stronach, co łącznie tworzyło wielopokojowy apartament. Isobel już wiedziała, że ta okazałość i luksusowe wyposażenie wynikały z pozycji pasażerów, których Royd musiał od czasu do czasu przewozić.

Szła niespiesznie korytarzem, udając, iż nie zauważa, że Royd depcze jej po piętach, choć kosztowało ją to wiele nerwów.

Wyraźnie czekała ją długa droga, jeśli chciała się uniewrażliwić na jego obecność.

Zbliżając się do kabiny rufowej, zwolniła. Zesztywniała, gdy Royd sięgnął przez nią do klamki i szeroko otworzył drzwi.

Ignorując dreszcz, który ją przeszedł, podziękowała mu ruchem głowy i wsunęła się do środka.

Jej wzrok spoczął na postaci klęczącej na siedzeniu pod oknem.

Isobel zastygła.

Chłopiec patrzył na oddalający się brzeg, lecz teraz odwrócił głowę i spojrzał wprost na nią.

Wpadła w panikę.

Odwróciła się na pięcie i uderzyła Royda w pierś, jakby próbując go odepchnąć, żeby nie zobaczył...

Za późno.

Royd stał już w progu. Nie poruszył się, nawet nie drgnął. On również nie był w stanie oderwać spojrzenia od tego, co widział po drugiej stronie kajuty.

Serce Isobel waliło jak młotem. Nie potrafiła – nie odważyła się – odwrócić wzroku od twarzy Royda. Patrzyła, jak pojawia się na niej zrozumienie. Royd poznał wreszcie tajemnicę, którą ukrywała przed nim od ośmiu lat... i był wstrząśnięty.

Spojrzał na nią. W jego oczach płonęła furia – prawdziwa furia. Pomieszana z niedowierzaniem.

Isobel nie była w stanie oddychać.

Mimo szumu w uszach usłyszała, jak stopy Duncana uderzyły o podłogę.

– Mamo?

Isobel spojrzała Roydowi w oczy i dostrzegła w nich wściekłość, oskarżenie i urazę. Zapewne kryło się w nich jeszcze wiele innych emocji, których nie potrafiła odczytać.

Zadrżała i pociemniało jej w oczach...

Royd odwracał się, żeby wyjść, kiedy nagle głowa Isobel odchyliła się do tyłu i kobieta zaczęła się osuwać...

Złapał ją, mrucząc pod nosem przekleństwo. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby kiedykolwiek straciła przytomność – do emocji, które się w nim kłębiły, doszła nagle panika.

Potrząsnął Isobel, po czym podźwignął ją i się wyprostował.

Usłyszał tupot zbliżających się pospiesznie kroków.

– Coś pan jej zrobił?

Chłopiec zatrzymał się na odległość ramienia. Podniósł na Royda oczy, które miotały błyskawice, wypisz wymaluj jak oczy Isobel. Jego dziecinna twarzyczka była blada – również jak u matki – ale kwadratowa szczęka była Roydowi doskonale znana z własnego odbicia.

Malec zacisnął pięści i zgromił go wzrokiem.

– Niech pan ją puści!

Rozkazujący ton też brzmiał znajomo.

Royd z trudem odetchnął. Widok tej buzi, tak podobnej do jego twarzy, jeszcze bardziej go dezorientował.

– Ona zemdlała – powiedział. W tej chwili to była najważniejsza sprawa. Złapał Isobel mocniej i przyciągnął do piersi. – Powinniśmy ją położyć.

Spojrzenie chłopca złagodniało, ale tylko trochę.

– Aha. – Rozejrzał się. – Ale gdzie?

– Na łóżku. – Royd kiwnął głową w stronę łoża ukrytego za draperiami. – Odsuń kotary.

Chłopiec pospieszył, żeby wykonać polecenie. Chwycił fałdy ciężkiej gobelinowej tkaniny i rozsunął je, odsłaniając luksusowy miękki materac i wielkie poduchy.

Royd przyklęknął przy łożu i położył na nim Isobel, układając jej głowę na poduszkach. Nigdy jeszcze nie musiał się zajmować omdlałą kobietą, a fakt, że chodziło właśnie o Isobel, zwiększał tylko jego panikę. Rozwiązał wstążki zgniecionego teraz kapelusza i wyciągnął go spod jej głowy, po czym odrzucił na bok. Poluzował tasiemki peleryny i odgarnął włosy z twarzy.

Isobel się nie ocknęła.

Chłopiec wdrapał się na łóżko.

– Mamusiu? – zapytał, patrząc na jej twarz.

Royd usiadł obok. Ujął dłoń Isobel, zdjął z niej rękawiczkę i zaczął rozcierać; widział kiedyś, jak ktoś tak robił.

Chłopiec wziął drugą rękę matki i też ściągnął z niej rękawiczkę, a potem zaczął niezgrabnie masować. Nie odrywał wzroku od Isobel, jakby chciał siłą woli sprawić, żeby się przebudziła.

Royd przyłapał się na tym, że spojrzenie ucieka mu w stronę twarzy chłopca, ale zbyt go to krępowało. Zmusił się więc, by popatrzeć na Isobel. Zmarszczył brwi.

– Czy ona często mdleje?

Chłopiec zacisnął usta i pokręcił głową.

– Nigdy dotąd nie widziałem, żeby przytrafiło jej się coś takiego. Babcia też nigdy o tym nie wspominała, a ciągle przecież opowiada o takich rzeczach. Czy nic jej nie będzie? – W pytaniu chłopca brzmiał głęboki niepokój.

Royd pragnął go uspokoić, ale nie był pewien, co należy powiedzieć. Ani zrobić. Sięgnął po nadgarstek Isobel. Z ulgą stwierdził, że puls jest silny i rytmiczny.

– Serce bije normalnie. Raczej nic jej nie będzie.

Chłopiec przyglądał się jego działaniom, nic nie rozumiejąc.

– Chodź. Pokażę ci. – Royd wyjął rękę Isobel z jego dłoni i wskazał chłopcu żyłę widoczną pod delikatną skórą.

– Przyłóż tu czubki palców. Przyciśnij delikatnie, a poczujesz bicie serca.

Chłopiec spróbował i jego twarz rozjaśniła się, gdy wyczuł puls matki.

– Jak masz na imię? – spytał Royd.

Malec spojrzał przelotnie w jego stronę.

– Duncan.

Royd kiwnął głową, jakby właśnie tego się spodziewał. Pierworodni Frobisherów zawsze nosili jedno z trzech imion: Fergus, Murgatroyd lub Duncan.

Obrzucił spojrzeniem chłopaczka, jego długie cherlawe kończyny i wystające kolana. Dzieciak był chudy jak źrebak. Royd wyglądał w jego wieku dokładnie tak samo. Isobel również.

– Ile masz lat?

– W październiku skończę osiem.

Tego również mógł się domyślić.

Popatrzył na wciąż nieprzytomną Isobel. Miał do niej tyle pytań, że sam nie wiedział, od czego zacząć. Ale przede wszystkim... co się robi, żeby ocucić omdlałą kobietę?

– Nie mam soli trzeźwiących. – Bellamy mógł mieć coś w tym rodzaju, lecz Isobel na pewno nie chciałaby, aby załoga dowiedziała się o tym nietypowym przejawie jej słabości. – Może zimny okład na czoło...

Royd wstał, podszedł do umywalki i zamoczył ręczniczek w dzbanie z wodą. Wyżął go i wrócił do łóżka. Duncan pomógł mu ułożyć kompres na czole matki.

Obaj popatrzyli na nią z oczekiwaniem.

Isobel nadal się nie poruszyła.

– Może unieśmy jej stopy. – Royd chwycił dwie dodatkowe poduszki i podał je Duncanowi. – Ja podniosę nogi, a ty wsuń to pod spód.

To uczyniwszy, odczekali kolejną chwilę, lecz Isobel nadal leżała nieprzytomna.

Royd zmarszczył brwi.

– Jestem przekonany, że to tylko omdlenie – rzekł. Obecność Duncana na statku musiała być dla niej wstrząsem, prawdziwym szokiem. Popatrzył na chłopca. –

Nic jej tu nie grozi. Najlepiej zostawmy ją w spokoju, żeby doszła do siebie. A my tymczasem chodźmy na powietrze.

Musiał odetchnąć. I to porządnie.

Musiał zmierzyć się z rzeczywistością w postaci syna, o którego istnieniu dotąd nie wiedział.

Na samą wzmiankę o świeżym powietrzu Duncan natychmiast przeniósł uwagę na Royda.

– Czyli że mamy wyjść na pokład?

Royd popatrzył mu w oczy, tak podobne do oczu Isobel.

– Jesteś jeszcze za mały, żeby łazić po rejach, więc owszem, mam na myśli pokład.

Duncan wahał się przez chwilę. Znowu spojrzał na matkę, po czym zeskoczył z łóżka, wyprostował się i obciągnął krótką kurteczkę.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Isobel, Royd ruszył do drzwi.

Duncan podążył za nim.

– Ale nic jej nie będzie, prawda? – spytał, oglądając się na matkę.

– A często zapada na zdrowiu? – Royd mógłby iść o zakład, że odpowiedź brzmi „nie”.

– Prawie nigdy.

– No cóż. – Royd otworzył drzwi i wyszedł z kajuty. – W takim razie dajmy jej odpocząć. – I dodał pod nosem: – Może tego właśnie jej potrzeba.

Bo kiedy następnym razem przyłapie ją sam na sam, Isobel na pewno będzie musiała mieć dużo siły.

***

Nie minął kwadrans, a wśród wielu zdumiewających odkryć Royd dokonał i takiego, że jest to dopiero pierwszy rejs Duncana. Nic dziwnego, że chłopiec był tak ciekawy wszystkiego. Royd zabrał go na pokład rufowy i ku zachwytowi chłopca znowu przejął ster. Przywarł do przedniego relingu, skąd wyglądał na pokład główny, i zasypywał ojca pytaniami.

Po jakimś czasie otworzył się właz zejściówki i pojawiła się Isobel.

Choć może „wypadła” to byłoby odpowiedniejsze słowo.

Popatrzyła na nich z twarzą dziwnie pozbawioną emocji, po czym podeszła do drabinki. Pomimo utrudniających jej to spódnic w mgnieniu oka wspięła się na górę.

Royd zacisnął zęby. Sądząc po paplaninie chłopca, której słuchał przez ostatnie kilka minut, małego trzymano z dala od wszystkiego, co wiązało się z żeglugą, jednak zamiłowanie do morza i żagli miał we krwi. Co Isobel sobie myślała? Dlaczego nigdy nie zabrała go na żaden statek?

Te pytania mogły jednak poczekać. Najpierw Royd musiał zobaczyć i posłuchać, jak Isobel radzi sobie z ich synem. Jej uwaga skupiona była na chłopcu do tego stopnia, że wszystko inne poszło w niepamięć. Nawet Royd. To była kolejna nowość, do której musiał przywyknąć.

Duncan puścił reling i odwrócił się twarzą do matki; nie zwiesił jednak głowy. Jeśli już, to zadarł ją lekko ruchem, który Royd dobrze znał.

Wyglądało to niczym starcie morza z granitową skałą.

– Co ty tu robisz? – spytała Isobel cicho, opierając ręce na biodrach. W jej głosie słychać było nadchodzący wybuch.

Chłopiec, patrząc na nią nieustraszenie, odparł spokojnie:

– Mówiłaś, że wyruszasz w podróż... i że to zwykły rejs, więc nic ci nie będzie grozić. – Rzucił spojrzenie w stronę Royda, jakby chciał się upewnić, czy to nie było kłamstwo. Potem przeniósł wzrok z powrotem na matkę i jego rysy stwardniały. – Mam przecież wakacje, a wiesz, że zawsze chciałem wypłynąć na morze. Jeśli nie ma żadnego niebezpieczeństwa, nie ma też żadnego powodu, abym nie mógł popłynąć z tobą.

Royd pilnował się, żeby nie okazywać zainteresowania rozmową, lecz w głębi duszy pomyślał, że Isobel dała się wymanewrować.

Ona zaś skrzyżowała ramiona na piersi i świdrowała chłopca wzrokiem.

– Więc zakradłeś się na statek jako pasażer na gapę. Ale jak?

– W twoim kufrze... tym brązowym.

Royd kątem oka zobaczył, że Isobel zesztywniała.

– A co się stało z ubraniami i butami, które do niego spakowałam? – Jej zazwyczaj niski głos podniósł się nagle o oktawę. – Boże drogi... coś ty z nimi zrobił?

– Przełożyłem do pozostałych kufrów. Wszystko się zmieściło, musiałem tylko trochę upchnąć ubrania.

Isobel gromiła wzrokiem swojego niepokornego potomka, lecz nie wiedziała, co na to wszystko powiedzieć. Przynajmniej Duncan miał na tyle rozsądku, żeby nie

wyrzucić jej sukien. Na szczęście zgniecenia można było rozprasować, bo przy jej wzroście zakup nowej garderoby byłby o wiele trudniejszy.

– A co z ubraniami dla ciebie? – spytała.

– Zabrałem w tornistrze dwa komplety na zmianę... i jeszcze grzebień.

Nagle Isobel przyszła do głowy myśl najstraszniejsza ze wszystkich.

– Wielkie nieba! A co będzie w domu? Nie przyszło ci do głowy...

– Zostawiłem liścik, który mają dostarczyć prababci. – Duncan udzielił tej informacji tonem, któremu zazwyczaj towarzyszyło zniecierpliwione przewracanie oczami, choć teraz wyjątkowo się przed tym powstrzymał. – Na pewno do tej pory już go dostała.

Isobel nadal nie mogła dojść do siebie. Oddech wciąż miała przyspieszony i wszelkie nieoczekiwane wiadomości ciągle mogły ją wyprowadzić z równowagi. Odetchnęła głęboko, wypuściła powietrze i jeszcze raz je wciągnęła. Nie pozwoli sobie na ponowne omdlenie.

Powracając do rzeczywistości, stwierdziła, że przyglądają jej się uważnie dwie pary oczu o niemal identycznym wyrazie. Zacisnęła usta i rzuciła Duncanowi rozkazujące spojrzenie.

– Idź na dół i poczekaj na mnie w kajucie. – Widząc na buzi chłopca zacięty upór, ustąpiła, kiwając ręką w stronę głównego pokładu. – Albo tam na dole, jeśli wolisz. Muszę porozmawiać z kapitanem Frobisherem.

– Powiedz mu.

Na głos Royda Isobel mimowolnie się poderwała. Zwróciła wzrok ku jego szarym oczom i napotkała jego twarde spojrzenie.

Zanim zdołała się choćby zastanowić, Royd powtórzył:

– Powiedz mu w tej chwili.

Patrzył na nią nieustępliwie. Isobel czuła jego żelazną wolę... Mogłaby mu się oprzeć, ale za jaką cenę? Ile kosztowałoby to ich oboje, a także Duncana?

A biorąc pod uwagę, że chłopiec niemal na pewno wszystkiego się domyślił... po co to odkładać?

Ze względu na czas urodzin Duncana nikt nigdy nie wątpił w to, kto jest jego ojcem, lecz Isobel uparcie odmawiała rozmowy na ten temat, niczego nie potwierdzając ani nie zaprzeczając. Wszyscy zaniechali więc tej kwestii i traktowali chłopca, jakby był wyłącznie jej synem. Isobel nigdy jednak nie okłamała Duncana – i nie mogła też okłamać Royda.

Odetchnęła powoli i głęboko. Z mocno bijącym sercem spuściła wzrok na buzię chłopca, na której malowała się teraz ciekawość. Popatrzyła mu w oczy – tak bardzo przypominające oczy Royda.

– Zawsze mówiłam, że któregoś dnia wyjawię ci, kim jest twój ojciec. Wygląda na to, że dziś właśnie nadszedł ten dzień. – Głos niemal jej się załamał; tak wiele rzeczy ulegnie zmianie, gdy wypowie te słowa! Isobel dzielnie jednak wysunęła podbródek i sztucznie spokojnym tonem dokończyła: – Twoim ojcem jest kapitan Royd Frobisher.

Duncan nawet nie zamrugał. Przeniósł spojrzenie na twarz Royda, jakby chciał potwierdzić ich podobieństwo.

– Naprawdę? – Pytanie, w którym pobrzmiewały zainteresowanie i nuta nadziei, nie było skierowane do matki.

– Owszem – odpowiedział Royd. – Ja również o tym nie wiedziałem.

Obaj popatrzyli na Isobel, a w ich spojrzeniach kryło się niewypowiedziane oskarżenie.

Nie miała pojęcia, jak je odeprzeć, jak zareagować. Czuła się tak, jakby kołysanie pokładu wynosiło ją zupełnie poza czas. Znowu trudno jej było oddychać. Odchrząknęła.

– Zostawię was, żebyście mogli się zapoznać. Chyba muszę się jeszcze położyć.

Z tymi słowami tchórzliwie się wycofała: podeszła sztywno do drabinki i schroniła się pod pokładem.

Royd patrzył za nią z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie widział, żeby Isobel uciekała, a już na pewno nie przed konfrontacją. Wyzwania były jej żywiołem – a co mogłoby stanowić większe i bardziej dramatyczne wyzwanie niż obecna sytuacja?

Rzucił okiem na Duncana – swojego syna – i zobaczył niepokój na jego ekspresywnej twarzy. Zapewne chłopiec dobrze znał charakter matki i również uznał ten odwrót za nieco dziwny.

Royd rozejrzał się po pokładzie. Tu i tam zauważył kilku członków załogi. Żaden nie był na tyle blisko, żeby usłyszeć ich rozmowę. Chyba jednak lepiej byłoby omówić tę

sytuację z Isobel z dala nie tylko od obcych uszu, ale i oczu. I nie wtedy, gdy przedmiot rozmowy stoi między nimi. Może więc ten odwrót był z jej strony dobrą decyzją.

Duncan pozostał przy nim, opierając się lekko o barierkę i patrząc przed siebie.

Royd czekał, spodziewając się, że teraz, kiedy ich relacja została potwierdzona, chłopiec będzie miał do niego jakieś pytania.

Kiedy jednak cisza zaczęła się przedłużać, popatrzył na syna z lekkim zdziwieniem.

Dokładnie w tym samym momencie Duncan odwrócił się, żeby spojrzeć na niego.

Najwyraźniej próbował się na coś zdecydować. Royd uniósł brew, jakby chciał go zachęcić.

Wreszcie chłopiec wyprostował się, odchylił ramiona, po czym odetchnął głęboko i zapytał:

– To pewnie masz jakąś żonę, prawda?

Royd zamrugał.

– Że co? – Przez sekundę nie rozumiał, co mogło skłonić Duncana do zadania takiego pytania. – Dobry Boże, ależ skąd! – Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że te słowa są szczere.

I nagle, dokładnie w momencie, gdy to powiedział, coś do niego dotarło. Ujrzał sytuację w zupełnie nowym świetle.

– Właściwie – poprawił się – jak się dobrze zastanowić, to chyba jestem żonaty z twoją matką.

Bo w praktyce tak właśnie było, prawda?

I pewnie właśnie dlatego Isobel nigdy nie powiedziała mu o Duncanie.

***

Resztę dnia Royd spędził na odpowiadaniu na liczne pytania syna. Większość miała związek ze statkami i z żeglugą, ale tu i tam zakradło się też pytanie o rodzinę Frobisherów. Natomiast Royd zdołał się dowiedzieć (kiedy już udało mu się samemu o coś zapytać), że Duncan mieszka w Carmody Place, gdzie razem z pozostałymi dziećmi wychowującymi się w tym wielkim dworze uczy się pod kierunkiem guwernantki i prywatnego nauczyciela. Rodzina toczyła jednak dyskusje na temat posłania go w przyszłym roku do szkoły.

Royd i jego bracia uczęszczali do szkoły w Aberdeen. Zapisał sobie w pamięci, żeby poinformować Isobel, że i Duncan tam pójdzie. Nie ma potrzeby posyłać go gdzieś dalej – tym bardziej że sam chłopiec gorąco popierał tę decyzję. Uzyskawszy od Royda obietnicę, że wolno mu będzie kręcić się po stojących w porcie statkach Frobisherów, nie miał zamiaru godzić się chętnie na cokolwiek, co uniemożliwiłoby mu skorzystanie z tego zaproszenia.

Aż do zapadnięcia zmroku Royd nie miał okazji rozmówić się z Isobel. Kiedy się ściemniło, usiedli wraz z synem do kolacji podanej w głównej kajucie. Zupełnie jak zwyczajna rodzina. Posiłek przebiegł bez żadnych niezręcznych momentów. Była to zasługa Duncana, który nie pozostawił

rodzicom innego wyboru, jak tylko podążyć w jego ślady i zachowywać się normalnie. Potem Isobel położyła go spać w kabinie na lewo od kajuty kapitańskiej. Royd przyglądał się temu od progu, zauważając wszystkie oznaki więzi łączącej matkę z synem. Kiedy Isobel odwróciła się, żeby przykręcić knot lampy, skinął głową w kierunku zejściówki.

– Poczekam na ciebie na pokładzie – rzucił.

Isobel popatrzyła mu w oczy i kiwnęła głową.

Royd udał się na rufę, żeby zajrzeć do nawigatora, Williama Kelly'ego, który pełnił właśnie wachtę za sterem. Wymienili kilka uwag na temat południowego kursu, po czym zapadło między nimi swobodne milczenie.

Royd oparł się o reling, uniósł wzrok na nocne niebo i czekał. Z upływem godzin, kiedy nowa rzeczywistość krzepła w nim i nabierała kształtu, jego wściekłość zaczęła ustępować miejsca palącej potrzebie poznania, zgłębienia, a w końcu zmiany i odbudowy ich relacji – jeśli tylko zdoła.

Jeśli ona zechce.

Po kilku minutach Isobel wyłoniła się z włazu zejściówki. Na ramionach miała szal. Przewiązując go przez wzgląd na bryzę, zobaczyła, jak Royd kieruje się w stronę zejścia na główny pokład. Otuliła się mocniej i ruszyła na dziób.

Kiedy Royd do niej dołączył, wychylała się przez sterburtę, patrząc w mrok.

Statek mknął szybko, pchany mocnym wiatrem. Royd i jego ludzie znali te szlaki jak własną kieszeń, a trzeba było jak najszybciej dotrzeć do Londynu. Choć księżyc zasnuły chmury, nadal widać było dość gwiazd, by pióropusze fal

rozbłyskiwały od czasu do czasu lśniącą bielą na rozkołysanym nocnym morzu.

Royd przystanął za Isobel i chwycił się gładkiego relingu, żeby zachować równowagę, kiedy dziób statku podskakiwał nieregularnie do góry. Byli na tyle daleko, że nikt z pełniących wachtę marynarzy nie mógł ich usłyszeć, zresztą wiatr i tak unosiłby wszystkie słowa. Isobel z rozmysłem stanęła tak, by Royd nie widział jej twarzy, lecz w tej chwili chyba nawet ułatwiało im to rozmowę.

Milczała.

– Dlaczego? – spytał wreszcie Royd.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał jej westchnienie, lecz głos, który do niego dotarł, był silny.

– Nie było cię. Odszedłeś i nie wracałeś.

– Przecież w końcu wróciłem. Dlaczego mi wtedy nie powiedziałaś, że mam syna?

– Bo gdybym to zrobiła, odebrałbyś mi go. Jako ojciec miałbyś do niego wszelkie prawa. Nie miałabym nic do powiedzenia w kwestii jego wychowania, jego życia... Nie miałabym prawa zatrzymać go przy sobie.

Royd zmarszczył brwi. Niby czemu miałby odbierać...? Nagle zaczął rozumieć.

Ukrywanie istnienia Duncana miało sens tylko wtedy, gdy Isobel z góry podjęła decyzję, że nie chce wyjść za mąż za Royda.

A jednak coś nadal się nie zgadzało, fragmenty wciąż nie pasowały do siebie. Przez te wszystkie lata Isobel nigdy nawet nie zachęcała żadnego innego zalotnika.

– Isobel...

– Odebrałbyś mi go.

Z jej słów biła taka pewność, że Royd musiał przyznać: gdyby chciała wyjść za kogoś innego, a on wiedziałby o Duncanie...

W przypływie emocji przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy kazała mu odejść i zatrzasnęła przed nim drzwi Carmody Place. Była porywcza, ale, prawdę rzekłszy, sam niewiele jej ustępował pod względem temperamentu, choć on płonął zimnym ogniem, ona zaś gorącym. Czuł wtedy lodowatą wściekłość i urazę – a to niebezpieczna kombinacja. Isobel była jedną z niewielu osób, które potrafiły naprawdę go zranić – w końcu ofiarował jej całego siebie – i uczyniła to. Złamała jego serce i cisnęła mu je w twarz.

Ale miała rację. Nieważne, jakie były wtedy jej zamiary, gdyby Royd dowiedział się o Duncanie... Sam nie potrafił powiedzieć, co mógłby lub czego nie mógłby uczynić.

Isobel poruszyła się i mocniej otuliła szalem.

– Wiedz jedno: nigdy nie pozwolę ci go odebrać. Zapamiętaj to sobie.

Co do tego Royd nie miał wątpliwości. Znał jej naturę oraz pasję i oddanie, z jakimi angażowała się w różne sprawy. Sercem i duszą poświęcała się opiece nad tymi, których kochała – jak Duncan. Jak Iona. Jak Katherine Fortescue.

Dawno temu także Royd stanowił przedmiot tej pasji i oddania.

Tego również mu brakowało. Tęsknił za tym, od kiedy zatrzasnęła przed nim drzwi.

Z perspektywy czasu... nie potrafił wyjaśnić, nawet sobie samemu, dlaczego się nie wysilił. Zaraz po zerwaniu usiłował z nią porozmawiać, lecz natknąwszy się dwa razy na blokadę – fakt, że to jej rodzina nie dopuściła, aby Royd pomówił z Isobel twarzą w twarz, lecz zakładał, że krewni działali z jej błogosławieństwem – wpadł w jeszcze większą wściekłość, odszedł i nigdy nie wrócił.

Zrezygnował z niej, z ich związku i ze wszystkich obietnic, które – jak uprzednio sądził – niosła ich wspólna przyszłość.

W dodatku czuł się całkowicie usprawiedliwiony, bo racja była po jego stronie. W końcu to Isobel go odrzuciła.

Rozbudzona duma głęboko zatopiła w nim pazury.

W swoich oczach powracał do domu jako zwycięski bohater, choć może nieznany publicznie; jego misja od początku do końca okryta była tajemnicą. Płynął do domu niesiony falą zadowolenia, z przekonaniem, że spisał się lepiej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Był to cichy triumf. Isobel nie znała szczegółów, ale spodziewał się, że powita go – swojego przyszłego oblubieńca – z promiennym uśmiechem i otwartymi ramionami. A zamiast tego... Rzeczywistość okazała się tak inna od jego oczekiwań, że Royd potrafił tylko odwrócić się i odejść.

Isobel nie sprostała jego marzeniom – marzeniom, które utrzymywały go przy życiu, które pozwoliły mu zachować siłę przez te wszystkie straszliwe miesiące przed powrotem.

Chciał ją zranić tak mocno, jak ona zraniła jego – więc odszedł i ją zostawił.

Nie zdawał sobie wtedy sprawy, z czego tak naprawdę rezygnuje – nie tylko z syna, ale też z jedynej kobiety, z którą kiedykolwiek mógłby dzielić życie. Swojej bratniej duszy. Był wtedy młodszy i nie rozumiał, jak wielkie ma to znaczenie, lecz mimo to już wtedy wiedział, że Isobel należy do niego: była jego drugą połową, jego kotwicą wśród sztormów życia.

Od kiedy odwrócił się do niej plecami, dryfował tylko bezwolnie.

Po latach wreszcie był w stanie przyznać, że choć ona nie zachowała się zgodnie z jego oczekiwaniami, on tak samo nie sprostał jej wyobrażeniom o przyszłym życiowym partnerze – wyobrażeniom, które większość ludzi uznałaby za całkowicie uzasadnione. Spodziewał się jednak, że Isobel daruje mu niedociągnięcia i wszystko będzie między nimi dokładnie tak, jak było, kiedy wypływał na morze.

Nie wiedział o Duncanie – nie wiedział, że Isobel urodziła w samotności jego dziecko. Owszem, na pewno otaczała ją rodzina, ale przecież nie było przy niej ukochanego.

Royd znał Isobel na tyle dobrze, by pojąć, że właśnie ta nieobecność stanowiła w dużej mierze powód, dla którego się od siebie odsunęli.

Pragnął odzyskać serce Isobel – tę decyzję podjął już wcześniej. Poznanie prawdy o Duncanie wzmocniło tylko jego postanowienie. Duncan należał do niego. Royd pragnął otwarcie uznać syna i uprawomocnić tę decyzję.

Musiał z powrotem zdobyć Isobel, aby zrealizować przyszłość, jakiej – nie miał teraz wątpliwości – pragnął i potrzebował.

Zmarnował już osiem lat i nie zamierzał tracić więcej czasu.

Widział jedynie profil Isobel. Popatrzywszy na nią przez chwilę, odezwał się:

– Opowiedz mi, co z twojego punktu widzenia wydarzyło się osiem lat temu. Co się stało po moim wyjeździe?

Isobel rzuciła mu przez ramię nieufne spojrzenie, lecz Royd najwyraźniej pytał w dobrej wierze. Gotowa była do starcia i obrony przed jego atakiem... Ale to?

Porzuciła już myśl o tym, że zdoła utrzymać go na dystans. Teraz, kiedy pojawił się Duncan, nie mogła wymigiwać się od szczerej rozmowy. Nie mogła z czystym sumieniem odmówić Roydowi odpowiedzi – wiedziała, że miał do nich prawo.

Mimo to nie spodziewała się zadanego w ten sposób pytania. Miała wrażenie, że było ono efektem głębokiego namysłu, że Royd nie zadał go pod wpływem impulsu. Na pewno dążył więc do jakiegoś celu.

I był zbyt przebiegły, aby pozwolić jej wykręcić się od rozmowy dzięki dramatycznej scenie, jaką Isobel mogłaby urządzić niemal każdej innej osobie.

Ale nie jemu i nie Ionie. Potrafiła poradzić sobie z każdym, tylko nie z nimi.

– No dobrze. – Jeśli chciał obrać taką drogę, Isobel podąży nią i zobaczy, dokąd to prowadzi. – Wypłynąłeś trzy

tygodnie po zaręczynach. Powiedziałeś, że spodziewasz się, iż podróż zajmie ci miesiąc, najwyżej dwa. Na ten czas przeniosłam się do Iony, do Carmody Place. Ona potrzebowała towarzystwa, a skoro byłam po zaręczynach, nie miałam już obowiązku mieszkać z rodzicami i chadzać na bale oraz proszone kolacje. Bardzo mi to odpowiadało. Sam wiesz, że nigdy nie lubiłam życia towarzyskiego... Zamieszkałam z Ioną, a potem okazało się, że jestem w ciąży. Byłam szczęśliwa i pełna nadziei. Nikomu o tym nie powiedziałam. Chciałam poczekać na twój powrót, abyś dowiedział się jako pierwszy. – Isobel nie potrafiła zapanować nad chłodnym tonem. – Ale ty nie wróciłeś. Z początku czekałam cierpliwie, lecz kiedy minęły trzy miesiące i wciąż nie miałam od ciebie żadnych wieści, poszłam do biura waszej spółki i zapytałam, kiedy spodziewają się twojego powrotu. Powiedziano mi, że nie wiadomo. Wszyscy uśmiechali się tylko i zapewniali, że wrócisz najszybciej, jak będziesz mógł. Odeszłam, ale tydzień później poszłam tam znowu i spytałam, czy można w jakiś sposób się z tobą skontaktować. Chciałam ci przesłać wiadomość, ale powiedziano mi, że w tym momencie nie ma możliwości przekazania ci żadnych listów. I że nikt inny także nie miał od ciebie żadnych wieści.

Isobel przerwała, czując, jak wspomnienia porywają ją z powrotem w otchłań skłębionych uczuć, jakie odczuwała w tamtym czasie.

– Po kolejnym tygodniu poszłam tam jeszcze raz i spytałam, skąd w ogóle wiedzą, że nadal żyjesz, skoro nie

mieli żadnych wieści od ciebie ani twojej załogi. Zaczęli się tylko plątać i kręcić, aż w końcu przyznali, że właściwie nie mogą mieć takiej pewności, ale nie słyszeli nic o tym, żebyś zginął... Mówili tylko, że z pewnością w końcu wrócisz. Nie muszę chyba wspominać, że nie bardzo mnie to uspokoiło.

– Nie rozmawiałaś z moim ojcem ani braćmi?

– Twojego ojca nie było wtedy w mieście, a Robert, Declan i Caleb przebywali chyba na morzu. – Isobel zawahała się i spytała: – Czy gdybym zwróciła się do nich z pytaniem, gdzie jesteś, usłyszałabym inną odpowiedź?

Kątem oka zobaczyła grymas na twarzy Royda.

– Od braci zapewne nie – oznajmił po chwili – ale mój ojciec mógł... wiedzieć dość, by cię uspokoić.

– Hm. No cóż, w każdym razie go nie było. – Isobel znowu spojrzała przed siebie. – Chciałam co prawda porozmawiać z twoją matką, ale ona wyjechała razem z nim. Potem zaś... Zanim twoi rodzice wrócili do Aberdeen, zdążyłam wszystko przemyśleć.

– Wszystko, czyli co?

Gdyby w tym pytaniu brzmiała pretensja, Isobel trudno byłoby kontynuować. Ale Royd nadal był jedynym człowiekiem na całym świecie, z którym bez oporów dzieliła się myślami, pragnieniami i marzeniami. Ta więź nie została zerwana i Isobel wciąż mogła mu wszystko powiedzieć. Nawet coś takiego.

– Choćby to, dlaczego chciałeś się ze mną ożenić. Zdałam sobie sprawę, że byłam naiwna, sądząc, iż kierowały tobą te same pobudki co mną.

Choć patrzyła na tamten okres z perspektywy ośmiu lat i mocno wierzyła, że pogodziła się wreszcie z rzeczywistością, nadal pamiętała rozpacz, jaką wtedy czuła. Dobrze przynajmniej, że nie musiała patrzeć Roydowi w oczy. Odetchnęła i kontynuowała ze względnym spokojem:

– Zawsze wiedziałam, że nie pasuję na księżniczkę dla takiego księcia jak ty. Byłam za wysoka i pod wieloma względami zbyt... niekobieca. Chociażby w swojej niechęci do typowych kobiecych zajęć. No i ten mój upór, żeby pozwolono mi pracować przy statkach. Jak wiesz, od wczesnych lat zarówno ci, którzy mnie wspierali, jak i ci, którzy starali się mnie zniechęcić, mówili, że jedynym powodem, dla którego jakikolwiek mężczyzna chciałby mnie poślubić, byłoby przejęcie stoczni. – Wzruszyła lekko ramionami. – Myślałam, że ty jesteś inny, ale kiedy nie wracałeś i nawet nie napisałeś, zdałam sobie sprawę, że nie zrozumiałam sytuacji. Na pewno przypominasz sobie, że to Iona nalegała na zaręczyny, zanim sformalizujemy małżeństwo. Widziała prawdę, na którą ja byłam ślepa. No i oczywiście ty, jako przyszła głowa Kompanii Transportowej Frobisher i Synowie, miałeś najlepszy powód, żeby przejąć stocznię. – Pomimo wysiłków jej głos zadrżał, lecz Isobel brnęła dalej: – A ponieważ ja oczekiwałam od małżeństwa więcej, niż byłeś w stanie mi dać, zdałam sobie sprawę, że nie mogę za ciebie wyjść. Kiedy doszłam do tego wniosku, musiałam tylko czekać, żeby cię o tym zawiadomić, o ile w ogóle wrócisz.

Royd stał jak skamieniały. Owszem, Isobel zawsze święcie wierzyła, że nie jest atrakcyjna i jej temperament czyni z niej nieodpowiedni materiał na żonę dżentelmena – a w konsekwencji, że żaden dżentelmen nie poprosi o jej rękę, chyba że chodziłoby mu o stocznię. Wiedział o tym i doskonale pamiętał dzień, kiedy poszedł zobaczyć się z nią w dokach, lecz nie mógł jej znaleźć. Szukał wszędzie, aż wreszcie dostrzegł ją na żerdzi ponad żebrami budowanego właśnie kadłuba. Siedziała skulona i wyraźnie przygnębiona. Royd z trudem zdołał wydobyć z niej powód tego nietypowego nastroju: była to ta sama prawda, którą usłyszał w tej chwili... Ale wtedy Isobel miała dopiero czternaście lat.

Pomimo różnicy wieku dorównywała mu już wzrostem, miała takie same długie, chude nogi i ręce oraz kościste łokcie i kolana. Royd całkiem dobrze pamiętał tamtą dziewczynę.

Jakoś zdołał ją wtedy uspokoić. Był przekonany, że Isobel nie musi się obawiać o to, czy ktoś się z nią ożeni – że do czasu, gdy będzie gotowa wstąpić na ślubny kobierzec, wszystko ulegnie zmianie.

Zresztą już wtedy sam zamierzał być mężczyzną, który będzie czekał na nią przy ołtarzu.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że tamta delikatna, wrażliwa dziewczyna sprzed wielu lat nadal kryła się w pewnej siebie i żywiołowej dwudziestojednoletniej młodej damie, z którą się zaręczył, a tym bardziej w kobiecie, którą się teraz stała.

Ale jednocześnie Royd doskonale wiedział, że kiedy ktoś jest o czymś głęboko przekonany, może nie widzieć rzeczywistości. Wiele razy wykorzystywał tę ludzką słabość z korzyścią dla siebie.

Nie miał jednak pojęcia, jak otworzyć Isobel oczy, zwłaszcza że Iona na pewno przedstawiała jego zachowanie przez ostatnie lata jako potwierdzenie, że motywem jego dążenia do małżeństwa jest interesowność. Zawsze nieufnie traktowała i jego samego, i jego związek ze swoją wnuczką. No i Royd nie mógł zaprzeczyć, że faktycznie mógłby mieć interes w przejęciu stoczni.

Jednak ta myśl nigdy nawet nie przyszła mu do głowy, kiedy postanowił ożenić się z Isobel. Pragnąłby jej nawet, gdyby nie miała nic wspólnego ze stoczniami.

W wieku dwudziestu lat Isobel od dawna przestała już być brzydkim kaczątkiem i przemieniła się w łabędzia. Jeśli chodzi o jej mało kobiece zachowanie, jej pasje i pragnienie aktywnego udziału w procesie szkutniczym, z wiekiem wszystkie te cechy przybrały na sile, jeszcze wyraźniej stały się częścią jej osobowości.

Royd nigdy jednak nie zamierzał jej zmieniać. Mówiąc wprost, ona i jej talenty miały zbyt duże znaczenie dla przyszłości jego i całej spółki Frobisherów. Pragnął więc Isobel dokładnie taką, jaką była – pod każdym względem.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę. Jednak Royd wiedział, że nie może sobie teraz pozwolić na uleganie odruchom.

Ponowne zdobycie serca Isobel to rozgrywka, do której musi podejść z należytą rozwagą.

Popatrzył na jej twarz widoczną w świetle statkowych lamp. Czy Isobel uwierzy mu, jeśli zwyczajnie powie jej prawdę, swoją wersję prawdy, najprawdziwszej prawdy? Wątpił w to. Gdyby był na jej miejscu i wiedział tylko tyle, ile ona wiedziała, sam by sobie nie uwierzył.

Kiedy zdecydowanie go odrzuciła i odmówiła ponownego spotkania, odszedł i starał się pokazać, że zupełnie się tym nie przejął. Pragnął, żeby wieści o tym dotarły do Isobel. Udawanie, że zerwanie zaręczyn zupełnie go nie zmartwiło, było jego zemstą, i Royd miał przygnębiające wrażenie, że odniósł w tym względzie aż nadspodziewany sukces. Jak zwykle.

A teraz próba przekonania Isobel, że wszystko to były tylko pozory, stanowiła o wiele trudniejsze zadanie.

Jedna rzecz stała się jednak jasna jak słońce. To, że Isobel ukrywała przed nim Duncana, było bezpośrednią konsekwencją faktu, że Royd z rozmysłem zataił przed nią ważną część własnego życia.

Te osiem lat, które spędzili osobno, niecałe osiem lat życia Duncana, które przegapił, były ceną, jaką Royd zapłacił, aby jego tajna misja nadal pozostała tajemnicą.

Mógł przeklinać i burzyć się przeciwko losowi, który tak okrutnie z niego zakpił, lecz co by to dało.

Przeszłość to przeszłość. Musieli zostawić ją za sobą i pójść wreszcie do przodu.

Isobel nie przeszkadzało jego milczenie. Czekała cierpliwie. Znała go lepiej niż ktokolwiek na świecie.

Royd miał właściwie pewność, że Isobel nadal coś do niego czuje, lecz nie do końca wiedział, co takiego. Jeszcze nie. Ale przecież była namiętną kobietą, a jednak podczas tych ośmiu lat nie starała się zachęcać żadnego innego mężczyzny. Z tego, co słyszał – a kiedy chodziło o nią, pilnie nadstawiał ucha – nigdy nie wzięła sobie innego kochanka. Czemu, jeśli nie dlatego, że...?

W kolejnej sekundzie przyszła mu do głowy inna możliwa odpowiedź. Isobel nie zbliżyła się do żadnego innego mężczyzny z powodu Duncana. Bo zgodnie z prawidłami szkockich zaręczyn wciąż była związana z Roydem, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy.

Popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

– Czekałaś, aż się ożenię.

– Jak widać.

Udało mu się nie parsknąć śmiechem. Na to mogła sobie czekać w nieskończoność. Royd już dawno pogodził się z faktem, że nie ożeni się z nikim poza nią: nigdy nie istniał dla niego nikt inny.

A skoro tak się sprawy miały, oznaczało to, że ona również nie mogła wyjść za nikogo innego, przynajmniej dopóki Royd nie zwolni jej z zobowiązania.

On zaś nie wyobrażał sobie, że mógłby to zrobić, w każdym razie jeszcze nie teraz, dopóki istniał choćby cień nadziei na to, że zdoła znowu ją zdobyć.

Czy naprawdę wierzyła, że...?

Jakby czytając mu w myślach, Isobel dodała:

– W razie gdybyś się ożenił, zamierzałam udać się do ciebie lub twojej żony i poprosić o formalne przekazanie Duncana pod moją opiekę.

Royd musiał ugryźć się w język, żeby nie odpowiedzieć, że bez względu na okoliczności, gdyby dowiedział się o Duncanie, nigdy by go nie oddał. Znał syna zaledwie od kilku godzin, lecz już wiedział, że stanie do walki z każdym, kto spróbuje ich znowu rozdzielić. Ta nowa, niespodziewanie wrażliwa Isobel wymagała jednak ostrożniejszego podejścia.

Myśli Royda wróciły nagle do jej wcześniejszych słów: „Byłam naiwna, sądząc, iż kierowały tobą te same pobudki co mną”.

Jakie więc były jej motywy, kiedy godziła się na zaręczyny?

Czy takie, jakie zawsze jej przypisywał?

I czy to znaczyło, że nadal go kocha?

Nawet jeśli odpowiedź brzmiała nie, może Isobel mogłaby znowu pokochać go tak jak dawniej, z tą samą dziką, szczerą pasją?

Pragnął tego rozpaczliwie, z całego serca. I musiał wierzyć, że to możliwe. Musiał wierzyć, że Isobel nie przestała go kochać, a tylko straciła do niego zaufanie i z tego powodu się odsunęła. Jego ówczesne postępowanie, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, rozbudziło w niej dawne kompleksy, więc wycofała się i wzniosła mur, żeby się przed nim ukryć.

Przede wszystkim Royd musiał więc jej wyjaśnić, co naprawdę się wtedy wydarzyło.

Isobel od najwcześniejszych lat ufała mu całym sercem i zachował się nierozważnie, uznając, że zawsze tak będzie; nie wziął pod uwagę, że na zaufanie trzeba zasłużyć. Sam wszystko popsuł, nie mówiąc jej, dokąd się udaje i po co, i nie tłumacząc przyczyn przedłużającej się nieobecności.

Zanim więc zacznie choćby myśleć o odzyskaniu miłości Isobel, ponownie musi zdobyć jej zaufanie.

A jednocześnie przekonać ją, że nigdy, przenigdy nie będzie domagać się swoich praw i zmuszać jej do małżeństwa, wykorzystując władzę, jaką dawał mu nad nią Duncan. Każdy krok w tym kierunku wzbudziłby jej natychmiastowy opór.

Royd odepchnął się od burty, chwycił Isobel za rękę i zmusił, żeby stanęła przodem do niego.

– Chodź pod pokład. Chcę ci coś pokazać. Musisz to przeczytać.

Zmarszczyła brwi, lecz pomimo zaskoczenia nie odsunęła się i pozwoliła, aby poprowadził ją do włazu. Royd przepuścił ją i zszedł za nią po schodkach.

– W głównej kajucie – powiedział.

Isobel ruszyła przodem na rufę. Dotarłszy na miejsce, zajrzała najpierw do lewej kabiny. Widząc, że Duncan śpi z lekko zaróżowioną twarzyczką, cicho zamknęła drzwi.

– Nie obudzą go nasze głosy? – spytał Royd, stając przy biurku.

Isobel pokręciła głową.

– Ma mocny sen.

Royd podszedł do dużego przeszklonego regału wbudowanego w ścianę na prawo od biurka. Otworzył drzwiczki i sięgnął na drugą półkę od góry. Przesunął szczupłymi palcami po wypełniających ją tomikach, aż wreszcie jego dłoń zatrzymała się i wyciągnął jeden z nich.

Podał książkę Isobel.

– Sądzę, że to może cię zainteresować.

Isobel poczuła dreszcz przebiegający po plecach. Tomik wyglądał jak dziennik.

– Co to takiego?

Obróciła go w dłoniach i otworzyła.

Jej oczom ukazała się data wypisana mocnym, wyraźnie męskim charakterem pisma. 24 lutego 1816. Dzień po tym, jak Royd wypłynął w ten fatalny rejs. Isobel znieruchomiała. Czuła – wiedziała – że w jej rękach znalazła się właśnie odpowiedź na najważniejsze pytanie.

– To relacja z misji, z którą się wtedy udałem, tej samej, przez którą mój powrót niespodziewanie przeciągnął się aż do następnego roku. Wszystko tu opisałem. Co prawda tylko w zarysie, ale jeśli będziesz chciała dowiedzieć się jakichkolwiek szczegółów, pytaj, a ja odpowiem.

Kiedy na niego spojrzała, mając wrażenie, że kołysanie podłogi pod jej stopami nie ma żadnego związku z ruchem fal, nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

Royd kiwnął głową w stronę biurka.

– Siadaj. Czytaj. Jeśli potem będziesz miała ochotę przejrzeć coś jeszcze – dodał, wskazując regał – nie krępuj

się.

Podszedł do drzwi, lecz przystanął jeszcze z ręką na zasuwce.

– Właśnie przyszło mi do głowy, że... ta misja, która nas rozdzieliła, pod wieloma względami przypomina tę, którą mam do spełnienia teraz. – Zanim Isobel zdążyła spytać, co ma na myśli, kiwnął głową w kierunku dziennika w jej dłoniach. – Najpierw to przeczytaj. Później powiem ci resztę.

Z tymi słowami wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Isobel patrzyła za nim przez kilka sekund, po czym usiadła i zaczęła czytać pierwszą stronę.

Royd tymczasem poszedł do kajuty, którą tymczasowo zajął. Zdjął z siebie frak i odwiesił go, po czym zaczął rozwiązywać krawatkę.

Isobel jeszcze nie wiedziała, że mają zatrzymać się w Londynie na kilka dni – może nawet na cały tydzień. Potem czekała ich podróż do Freetown, rozwiązanie tamtejszej sytuacji, a dalej powrotny rejs do Londynu i wreszcie do Aberdeen. Royd miał więc całe tygodnie, pięć albo i sześć, na przeprowadzenie swojej kampanii.

Kampanii, której celem było ponowne zdobycie Isobel Carmody Carmichael.

***

Isobel czytała do późnej nocy. Dziennik Royda zawierał nie tylko opis wydarzeń podczas dawnej misji, ale też drobne informacje o jego życiu prywatnym. Dowiedziała się

wreszcie, co sprawiło, że przez trzynaście miesięcy nie mógł do niej wrócić, i że przez cały ten czas szczerze pragnął przesłać jej jakąś wiadomość – choć za każdym razem postanawiał tego nie robić.

Wreszcie dotarła do końca i odłożyła zapiski. Jej świat po raz drugi w jednym dniu stanął na głowie. Była wyczerpana. Zapadła w głęboki sen.

Następnego dnia pokazała się na pokładzie dopiero późnym rankiem. Obudziwszy się, bez zdziwienia stwierdziła, że w rufowych kajutach nie ma nikogo poza nią; w samotności zjadła śniadanie, przeglądając kilka innych tomów z regału, niektóre z wcześniejszych, niektóre z późniejszych lat.

Większość wypraw Royda trwała krótko, miesiąc lub dwa. Kilka zajęło prawie rok. Na niektóre wyruszył jeszcze w trakcie wojny z Francją, inne były bliższe w czasie, odbyły się już po zerwaniu zaręczyn.

Relacje z tych ostatnich zawierały czasem opisy przedsięwzięć, które budziłyby w Isobel przerażenie, gdyby nie wiedziała, że Royd wyszedł z nich cało i zdrowo. Zawsze miał w sobie pewną skłonność do lekceważenia niebezpieczeństwa – ona zresztą również – jednak niektóre z jego działań podczas tych ostatnich misji sprawiały wrażenie absurdalnego wręcz ryzykanctwa.

Dzięki dziennikom pokładowym wypełniającym trzecią półkę regału Isobel dowiedziała się, że pomiędzy tajnymi rządowymi zleceniami Royd pływał też w interesach związanych ściśle z działalnością spółki Frobisherów, czyli

woził po różnych akwenach zamożne i wpływowe osobistości, nierzadko członków rodziny królewskiej. To właśnie z tymi wyprawami ona i pozostali mieszkańcy Aberdeen, a zapewne też inni, utożsamiali jego działalność.

Lecz tamte misje stanowiły zgoła osobną sprawę.

Życie Isobel płynęło we względnym spokoju, bez większych wstrząsów, lecz nawet mimo ograniczonego doświadczenia potrafiła sobie wyobrazić, jak niebezpieczne musiały być niektóre z przedsięwzięć, w jakie angażował się Royd.

A poprzedniego wieczoru powiedział, że obecna wyprawa jest podobna w charakterze do misji, przez którą się rozstali.

Isobel wyszła na pokład, wiedziona właściwie bardziej ciekawością niż potrzebą zaczerpnięcia powietrza. Zabrała ze sobą kilka notesów i dzienników pokładowych z kajuty. Royd stał za sterem, a u jego boku był Duncan. Wiatr targał czuprynę chłopca, spod której wyzierała zaciekawiona buzia. Isobel odmachała synowi i odpowiedziała na bystre spojrzenie Royda dość obojętnym skinieniem głowy, po czym udała się na dziób.

Znajdowała się tam trójkątna ławeczka, pod którą trzymano zapasową kotwicę. Isobel usiadła na niej, umoszczona między burtami, po czym zaczęła czytać. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, którego – jak się okazało – wcale tak dobrze nie znała.

Wreszcie podszedł do niej Bellamy.

– Jeśli jest panienka gotowa na obiad, to dam znać kapitanowi i młodemu paniczowi – powiedział.

– Dziękuję.

Wstała z ławeczki, po czym pozbierała wszystkie notesy i dzienniki.

– Zaraz zejdę na dół – dodała.

„Młody panicz”. Zastanawiała się, czy Royd wyjaśnił coś na temat chłopca. Choć pewnie nie musiał nic mówić, bo załoga na pewno się domyśliła, czyim synem jest Duncan. Widok ich razem starczał za wszelkie deklaracje.

Bellamy odprowadził ją do włazu rufowego i udał się na górny pokład, podczas gdy ona zeszła po schodach i wróciła do kajuty. Włożyła książki z powrotem do regału. Zamykała właśnie drzwiczki, kiedy usłyszała tupot stóp Duncana w korytarzu.

Odwróciła się akurat, żeby złapać chłopca, kiedy się na nią rzucił.

– Mamusiu! – Objął ją w pasie, odchylił głowę i popatrzył na Isobel z uśmiechem zachwytu. – Widzieliśmy foki! Ale były wielkie! I mnóstwo mew!

Isobel nie potrafiła się oprzeć temu uśmiechowi. Zmierzwiła synowi włosy.

– I na pewno cały czas o wszystko wypytywałeś? – odparła.

Dobrze go znała.

– Nieustannie – rzekł Royd, wchodząc za Duncanem; w jego głosie słychać było zmęczenie, ale twarz miał rozjaśnioną.

Za stół służyło im duże biurko. Declan usiadł naprzeciwko Royda, który zajął swój zwyczajny fotel, a Isobel usadowiła się z boku. Uśmiechała się do Bellamy'ego i komplementowała go za wspaniale pokrojoną peklowaną wołowinę, zastanawiając się jednocześnie, co też Royd zamierza w stosunku do Duncana. I do niej samej. Wiedziała, że w momencie, gdy jego oczy spoczęły na chłopcu, życie ich trojga uległo nieodwracalnej zmianie.

Jednak nie wiedziała, na czym ta zmiana będzie polegać – choć nie miała złudzeń, że Royd znudzi się rodzicielskimi obowiązkami i straci zainteresowanie synem.

Duncan siedział cicho, chwilowo zajęty zaspokajaniem głodu. Royd przyglądał mu się uważnie. Isobel patrzyła na nich obu, ciekawa, jak się dogadują i jak Royd sobie z nim radzi. Rzuciła go na głęboką wodę.

Ale przecież Royd był doskonałym pływakiem – w każdym możliwym sensie tego słowa.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, Duncan zaczął wypytywać ojca o liny i węzły.

Royd chętnie odpowiadał.

W końcu wzrok chłopca spoczął na matce. Ten jeden raz nie potrafiła odczytać wyrazu jego ciemnobrązowych oczu. Potem Duncan przeniósł spojrzenie na Royda.

– Mówiłeś, że jesteś żonaty z mamą. Więc jak ja się nazywam? Ale tak naprawdę?

– A jak się dotąd przedstawiałeś?

– Duncan Carmody.

Royd pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Więc twoje pełne imię i nazwisko brzmi Duncan Carmody Carmichael Frobisher. – Popatrzył na Isobel, szukając u niej potwierdzenia.

Zmusiła się do kiwnięcia głową.

– Owszem. Zgadza się – powiedziała. – Tak brzmi twoje pełne nazwisko.

Duncan powtórzył w myślach te cztery słowa, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Świetnie! – stwierdził.

Skończył już posiłek i sięgnął po jabłko, które zostawił dla niego Bellamy. Wgryzł się w nie i zaczął przeżuwać, po czym spytał:

– Czy mogę wrócić na pokład?

Isobel zjadła już dość. Royd też opróżnił swój talerz i rozpierał się teraz w fotelu. Lekko zirytowana tymi pozorami rodzinnej atmosfery Isobel pokazała szklankę stojącą przed Duncanem.

– Najpierw dopij mleko.

Duncan chwycił szklankę, opróżnił ją, po czym wytarł serwetką białe wąsy z górnej wargi.

– Już – powiedział.

Isobel wstała, Royd także. Wyszli z kabiny za chłopcem.

Isobel ponownie udała się na ławeczkę na dziobie, gdzie przyglądając się im obu, znowu zaczęła rozmyślać nad pytaniami, na które musiała zdobyć odpowiedzi.

Royd pozostawił ster w rękach Liama Stewarta i kolejne pół godziny spędził na uczeniu Duncana podstawowych węzłów marynarskich. Wreszcie oddał chłopca pod opiekę

bosmana Jolleya, żeby powiedział mu więcej o tym, gdzie i w jakich sytuacjach stosuje się poszczególne węzły, a sam skierował się na dziób.

Usiadł u stóp Isobel, opierając przedramiona na udach.

– No więc?

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie chciała zadać mu kilka pytań.

– Ta misja, z którą cię wysłano po naszych zaręczynach... – odezwała się. – Spodziewałeś się, że potrwa tylko miesiąc lub coś koło tego. Dlaczego tak się przeciągnęła?

– Pierwotnie polegała na infiltracji dworu deja Algieru i potwierdzeniu, że porywa on i sprzedaje Europejczyków jako niewolników. W tym celu musiałem podać się za pół-Francuza, wysłannika arabskiego handlarza niewolników. Udało mi się zdobyć dostęp do niewolniczych kwater... w których odkryłem ponad trzy tysiące pojmanych. Była to liczba o wiele większa, niż ktokolwiek się spodziewał. Początkowo miałem po prostu dowiedzieć się, ilu ich jest, po czym wyjechać i złożyć raport admirałowi Exmouthowi, który miał czekać w Gibraltarze. Lecz Exmouth wyrwał się przed szereg i stanął za algierskim portem, chcąc zastraszyć deja i zmusić go, by wydał porwanych.

– A dej stanął okoniem.

Royd pokiwał głową i mówił dalej:

– Zamiast osobiście złożyć raport, posłałem Liama Stewarta. Nie mogłem ryzykować, że ktoś mnie zobaczy i rozpozna na pokładzie statku Exmoutha. Skoro zaś Exmouth w swoim wojowniczym nastroju wciągnął

wszystkie bandery, nie mogłem ryzykować i wyprowadzić „Korsarza” z portu, bo maskowaliśmy się jako jednostka kaperska. Ale posłanie Liama okazało się błędem. Wtedy o tym nie wiedziałem, lecz Exmouthowi powierzono dowodzenie nad całą misją. Nie spodziewałem się tego, lecz było to mniej więcej w tym samym czasie, gdy Dalziel (mój dawny dowódca) zaczął się wycofywać ze stanowiska. W Whitehall uznali, że Exmouth bez kłopotu poradzi sobie z dejem, a ja byłem przecież tylko najemnikiem. Wydawało im się więc, że przekazanie dowodzenia w ręce admirała to słuszny krok. Posyłając Liama, straciłem jedyną szansę na odzyskanie steru misji, w każdym razie w takim zakresie, w jakim dotyczyła ona mnie i „Korsarza”. Liam był upoważniony do przyjmowania rozkazów, lecz nie mógł odmówić ich wykonania, co ja byłbym w stanie uczynić.

– Więc to rozkazy Exmoutha zatrzymały cię w Algierze?

– Z początku. Ale im dłużej trwał ten impas, tym większe znaczenie miała moja dalsza obecność na dworze deja. Bez dostarczanych przeze mnie informacji Exmouth nie miałby pojęcia, co się tam dzieje, jak wygląda sytuacja niewolników i co planuje dej. – Royd umilkł, po czym dodał: – Nie mogłem się wycofać.

Wiedział, że Isobel nie zadała jeszcze najważniejszego pytania. W końcu odezwała się:

– Wahałeś się, czy wysłać mi wiadomość. A przecież ty nigdy się nie wahasz.

Royd parsknął. Miała rację. Lecz w tamtym przypadku...

– Kiedy zdałem sobie sprawę, że utknąłem i że zapowiada się, iż negocjacje między dejem a Exmouthem potrwają całe miesiące, chciałem napisać, zawiadomić cię, że wstrzymały mnie niespodziewane okoliczności. Lecz do tego czasu blokada stała się jeszcze ściślejsza. Nie mogłem wydostać się z miasta, nawet wyjście z samego pałacu było coraz trudniejsze. Moi ludzie przekazywali wiadomości do Exmoutha. „Korsarz” mógłby co prawda wyślizgnąć się z portu, bo flota znała go i pozwoliłaby mu przejść, lecz potem nie byłby w stanie już wrócić, bo uznano by go za jednostkę nieprzyjacielską, a wszystkich na pokładzie za wrogów. – Zamilkł, pogrążając się we wspomnieniach. – Kilku członków mojej załogi, Stewart, Bellamy, Jolley i inni, zaoferowali się, że wezmą wiadomość i prześlizgną się przez blokadę w łodzi wiosłowej. Musieliby udać się aż do Gibraltaru. Lecz na tyłach floty kręcili się Francuzi. Nie odważyli się nękać Exmoutha, zwłaszcza że wspierała go flota holenderska, lecz gdyby przechwycili moją wiadomość do ciebie, podpisaną moim nazwiskiem... z największą rozkoszą donieśliby dejowi, kogo właściwie u siebie gości.

– Ryzyko było zbyt wysokie.

Royd popatrzył na zaciśnięte dłonie Isobel.

– Na szali leżało życie moje, mojej załogi i ponad trzech tysięcy więźniów – powiedział. Nie była to przesada. – Musiałem zrezygnować z myśli o tym, żeby cię zawiadomić.

Wierzył też, że kochała go na tyle, by wybaczyć mu milczenie.

Z perspektywy czasu okazało się to błędem, lecz nawet teraz Royd nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby postąpić inaczej.

– Pod koniec sierpnia Exmouth zbombardował Algier – ciągnął. – To ja zidentyfikowałem wszystkie cele, które zaatakowano: zbrojownię, magazyn, baraki. Dej skapitulował i wydał europejskich niewolników. Ale tylko tysiąc, z jednej kwatery. Musiałem więc pozostać, dopóki nie zdołaliśmy uwolnić całej reszty. Potrwało to do marca następnego roku. Dopiero kiedy to zrobiliśmy, mogłem zrzucić przebranie, wrócić na pokład „Korsarza” i pożeglować do domu.

Gdzie odkrył, że to zwycięstwo przyszło mu okupić goryczą.

Mijały minuty. Żadne z nich się nie odzywało. Dziób statku unosił się i opadał; woda szemrała o burty, a kadłub pruł fale.

Wreszcie Isobel poruszyła się lekko.

– Z perspektywy czasu... W tych okolicznościach wszystko, co się wydarzyło potem, było nieuniknione. Nikt tu nie zawinił.

Jeszcze kilka dni temu Royd by się z tym nie zgodził, lecz teraz, usłyszawszy jej wersję wydarzeń...

– Było to nieuniknione, bo nie wiedziałaś, dlaczego nie wracam.

– Tak. A potem ty nie próbowałeś mi nic wyjaśnić. Kiedy kazałam ci odejść, naprawdę odszedłeś.

– Nie. – Po raz pierwszy, od kiedy usiadł u jej stóp, Royd odwrócił głowę i popatrzył wprost na Isobel. – Próbowałem się z tobą zobaczyć dwa razy... właśnie po to, by wszystko wyjaśnić.

Isobel zmarszczyła brwi.

– Kiedy?

– Dwa dni później. Tyle czasu zajęło mi dojście do wniosku, że... że muszę z tobą porozmawiać. – Royd popatrzył przed siebie. – Musiałem ci wszystko wyjaśnić. W drzwiach wpadłem na jedną z twoich starszych kuzynek. Powiedziała mi bez ogródek, że nie chcesz mnie widzieć.

Isobel poczuła w sercu lodowaty dreszcz.

– Nie miałam pojęcia o twojej wizycie – powiedziała cicho.

Royd spuścił wzrok na złożone dłonie.

– Myślałem, że może nadal się gniewasz... Spróbowałem jeszcze raz po tygodniu. Kolejna kuzynka wyrzuciła mnie za drzwi i nieźle mi przy tym wygarnęła.

Isobel popatrzyła na Duncana, który siedział po turecku przy Jolleyu, zajęty wiązaniem węzłów.

– One próbowały mnie chronić... Wiedziały o Duncanie.

Potężnym ciałem Royda wstrząsnął dreszcz. Jego palce, dotąd mocno zaciśnięte, nagle się rozluźniły.

– Stanowiłem kluczowe ogniwo długiej i trudnej misji – powiedział niskim, stłumionym głosem. – Ocaliłem trzy tysiące ludzi, a sam wraz z załogą wyszedłem bez szwanku. Wedle wszelkich możliwych standardów byłem... bohaterem, ale ty nie chciałaś o tym wiedzieć. Tak to dla mnie wyglądało.

Jego pierś uniosła się w ciężkim westchnieniu.

Isobel nie odrywała wzroku od jego profilu. Nie spodziewała się, że powie coś więcej, lecz czekała, wstrzymując oddech...

– Nie masz pojęcia, jak mnie to uraziło! Nie, gorzej... to była rana, bardziej zabójcza niż jakikolwiek cios, który dosięgnął mnie w całym życiu! – W głosie Royda brzmiało cierpienie, choć ton był oschły. – Byłaś jedyną osobą, której kiedykolwiek pozwoliłem tak się do siebie zbliżyć. Jedyną, która byłaby w stanie tak mocno mnie zranić. I zrobiłaś to.

Odgłosy morza – wiatru, fal, żagli i mew – zamykały ich ze wszystkich stron w kokonie bolesnych wspomnień.

Wreszcie Royd odetchnął głęboko i unosząc głowę, wypuścił powietrze.

– Więc owszem, odszedłem – oznajmił. – Od ciebie, od nas. Od wszystkiego, czym dla siebie byliśmy. – I dodał spokojniejszym tonem: – Nie miałem innego wyboru.

Isobel nie wątpiła, że wszystko, co powiedział, było prawdą. Mimowolnie też poczuła jego ból. Zawsze potrafiła wyczuwać emocje Royda, tak jak ślepiec odczytuje otaczającą rzeczywistość dotykiem.

– Pomyślałem wtedy, że podczas gdy ja przebywałem daleko, walcząc za króla i ojczyznę, ty się odkochałaś. Zmieniłaś zdanie. Że to, co nas łączyło, nie było miłością, w każdym razie nie taką, która nigdy nie umiera. – Royd wzruszył ramionami. – Bo niby co miałem pomyśleć?

Isobel znowu poczuła, jak ziemia kołysze się pod jej stopami.

Royd odwrócił się i popatrzył na nią. Ból w jego szarych oczach bez trudu przedarł się przez mury obronne, jakie wokół siebie wzniosła – równie dobrze mogłyby wcale nie istnieć.

– Ty też o nas nie walczyłaś – dodał Royd twardo, lecz spokojnie.

Isobel wytrzymała jego przeszywające spojrzenie.

– Nie sądziłam, że istnieliśmy jacyś „my", o których warto walczyć.

Royd widział opanowanie w jej ciemnobrązowych oczach. Isobel zawsze była jego kotwicą, bezpieczną przystanią chroniącą przed każdym sztormem. Ale ten sztorm szalał między nimi, to oni go wywołali. Jednak w tej chwili Royd miał wrażenie, jakby znaleźli się w samym oku tego cyklonu: przeszłość leżała już za nimi, lecz jeszcze nie widział, co czeka dalej i jakiej przyszłości mogą się spodziewać.

„Taką będziesz miał przyszłość, na jaką sam sobie zapracujesz".

Były to słowa jego ojca. Ileż w nich prawdy!

– A teraz, kiedy wreszcie oboje wiemy, co się wtedy wydarzyło, czy istnieją jacyś „my", o których warto zawalczyć?

Isobel nie odwróciła wzroku. Czuła doniosłość tego momentu tak samo jak Royd.

Po kilku sekundach odetchnęła i powiedziała zwyczajnie:

– Nie wiem, ale to niewykluczone. – Jej spojrzenie przeniosło się na chłopca. – No i jest jeszcze Duncan.

Royd podążył za jej wzrokiem.

– Skoro tak, to sądzę, że powinniśmy spróbować zgłębić, co oznacza to „niewykluczone”.

Isobel wróciła spojrzeniem do jego twarzy.

W jej oczach lśniła pewność, nie było w nich żadnego wahania.

Royd zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

Wreszcie Isobel skinęła głową.

– Musimy potwierdzić tę możliwość lub ją wyeliminować. Nie możemy iść naprzód, nie wiedząc, co... co dokładnie nas łączy.

***

Resztę popołudnia Royd spędził z Williamem Kellym nad wykresami, ustalając najszybszą trasę z Southampton do Freetown. Dopiero wieczorem zobaczył się z Isobel i synem podczas kolacji podanej na biurku w jego kabinie. Kiedy skończyli jeść, Bellamy przyniósł budyń dla Duncana.

Royd nie miał pojęcia, jakim sposobem jego ochmistrz zdołał przygotować coś takiego na morzu, lecz patrząc na zachwyt w oczach chłopca, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Duncan zaczął pospiesznie i nieskładnie dziękować, po czym zaatakował deser, zadając jednocześnie kolejne pytania. Nauczył się wystarczająco dużo o węzłach i linach, więc teraz jego uwaga przeniosła się na żagle.

Royd posłusznie wyliczył całe ożaglowanie „Korsarza”, tłumacząc, kiedy wciąga się poszczególne żagle i jakie

warunki pogodowe ograniczają ich użycie. Jednak przez całą rozmowę intensywnie myślał o Isobel.

Wiedział, że odzyskanie jej będzie o wiele trudniejsze niż zdobycie sympatii Duncana, choć podejrzewał, że w jej sercu pozostało więcej dawnych uczuć, niż pozwoliła mu zobaczyć. Miał powody przypuszczać, że pod twardą skorupą nadal kryje się miłość.

A Bóg wiedział, że i on ją kochał.

Lecz po rozmowie na dziobie statku Isobel nieco się wycofała. Tylko o pół kroku, na tyle, by móc wszystko przemyśleć. Zawsze tak było: najpierw wstrzymywała się, żeby ocenić sytuację, a dopiero potem szła dalej, podczas gdy Royd parł wciąż do przodu, dokonując oceny.

Dlatego właśnie podczas ich eskapad w dzieciństwie Isobel zazwyczaj podążała za nim, zamiast prowadzić. Nie chodziło o to, że była mniej przedsiębiorcza, po prostu miała w sobie więcej ostrożności.

W przypadku Royda natomiast ostrożność wynikała wyłącznie z determinacji, żeby odnieść sukces. Jeśli tego wymagało zdobycie upragnionej nagrody, potrafił być przezorny i cierpliwy.

Teraz właśnie potrzebował tych cech, żeby osiągnąć swój cel. Isobel nigdy nie była łatwą towarzyszką. Obcowanie z nią stanowiło niewątpliwie wyzwanie, ekscytowało, dawało satysfakcję, ale nie było łatwe.

Na razie więc wystarczało, że nie odrzuciła go wprost. Royd nie zamierzał bardziej na nią naciskać. Co nie znaczyło, że nie mógł zwiększyć swoich szans. Jego główny

błąd w przeszłości polegał na tym, że Royd nie dopuścił jej do swoich tajemnic; teraz nie zamierzał powtarzać tej pomyłki.

Zanim Duncan zdążył wyskrobać z miseczki resztki budyniu i dopić mleko, Royd podjął już decyzję co do następnego kroku.

Czekał, aż Isobel skończy nadzorować wieczorne mycie chłopca i z matczynym pocałunkiem na czole ułoży go w łóżku, po czym wskazał drzwi kabiny, z której sam korzystał.

– Teraz, kiedy nadrobiliśmy już zaległości – powiedział – może chciałabyś się dowiedzieć, co się dzieje we Freetown.

Isobel poczuła, jak budzi się w niej ciekawość. Podążyła ochoczo za Roydem do jego kajuty, gdzie jej wzrok spoczął na dokumentach rozłożonych na narzucie łóżka.

Royd pokazał, że może je przejrzeć.

– Oto wszystkie informacje, jakie dotąd dostałem – rzekł. – Listy są ułożone w kolejności chronologicznej.

Isobel usiadła na łóżku i zaczęła czytać.

Royd przyglądał się jej, opierając się o szafkę z miednicą. Decyzja, żeby pokazać jej tę korespondencję, nie była trudna. Musiał udowodnić Isobel, że się zmienił i od tej pory może być pewna jego szczerości.

Piętnaście minut później Isobel skończyła czytać ostatnią wiadomość – niedawne wezwanie od Wolverstone’a. Odłożyła ją na stosik listów, po czym uniosła głowę i popatrzyła na Royda.

– Mówiłeś, że ta misja przypomina tę sprzed ośmiu lat. Teraz rozumiem dlaczego. Znowu chodzi o handlarzy białych niewolników. I znowu w Afryce, choć w innej części. – Spojrzała na niego badawczo. – W liście od Declana napisano, że jego żona, lady Edwina, uważa, iż niewolnicy uprowadzili też kilka młodych kobiet. Myślisz, że Katherine mogła być jedną z nich?

– To możliwe, a nawet prawdopodobne. Przy odrobinie szczęścia już wkrótce się tego dowiemy. – Royd przerwał, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że może Isobel nie będzie miała wielkiej ochoty na ponowne spotkanie z jego braćmi, w każdym razie nie w jego towarzystwie i nie w takich okolicznościach. Mimo to... – „Korsarz” zmierza do Southampton, żeby zaopatrzyć się na rejs do Freetown, ale ja muszę jechać do Londynu, aby odebrać rozkazy, dowiedzieć się wszystkiego, co mogą mi powiedzieć Declan i Edwina oraz Robert i panna Aileen Hopkins, a przede wszystkim być na miejscu, kiedy wróci Caleb, żeby z pierwszej ręki usłyszeć jego raport. Jeśli mam przejąć obóz porywaczy, muszę o nim wiedzieć najwięcej, jak się da. Czytając te listy, na pewno zwróciłaś uwagę, że wciąż narasta polityczna presja, żeby wymierzyć winnym sprawiedliwość. Ale moim nadrzędnym celem będzie zapewnienie bezpieczeństwa porwanym, nieważne, ilu ich jest i kim są.

– Oczywiście. – Isobel złożyła ręce na kolanach i spojrzała mu w oczy. – Pojadę z tobą do Londynu.

Spodziewała się dyskusji, lecz Royd stłumił uśmiech i kiwnął głową.

– Jutro rano zejdziemy na ląd. Każę Liamowi przybić do brzegu w Ramsgate, skąd będziemy mieli krótszą drogę do Londynu, a potem statek popłynie dalej do Southampton, żeby się zaopatrzyć.

Isobel zmarszczyła brwi.

– Duncan – powiedziała. – Myślisz, że możemy w jakiś sposób odesłać go z powrotem do Aberdeen?

– Musiałabyś stoczyć prawdziwą bitwę, żeby ściągnąć go ze statku. Zresztą nie przychodzi mi do głowy żadne dobre rozwiązanie, które chciałbym zaryzykować. Duncan to pasażer na gapę. Na ile zrozumiałem, udało mu się zupełnie samodzielnie uciec z Carmody Place i spod opieki wszystkich, którzy tam nad nim czuwają, dostać się do portu i na pokład „Korsarza”. Jeśli spróbujesz go odesłać, jak myślisz, co się najprawdopodobniej stanie?

Isobel skrzywiła się.

– W końcu Declan ma w sobie moją i twoją krew – ciągnął sucho Royd. – Próba odesłania go do domu to strata czasu, którego ani ty, ani ja w tej chwili nie mamy.

Isobel stłumiła westchnienie.

– Masz rację. Jeśli poślemy go do domu pod opieką kogoś innego niż ja, nie zdziwiłabym się, gdyby zdołał się wymknąć i załapać na jakiś inny statek zmierzający do Freetown... A nawet nie chcę myśleć, na jakie ryzyko byłby wtedy narażony. Więc co proponujesz?

Royd już to przemyślał i znalazł rozwiązanie, które teraz jej wyjawił.

Isobel musiała przyznać, że jego plan mógł się powieść. Uśmierzyłby jej matczyne obawy, a jednocześnie pozwolił Duncanowi na to, co było mu teraz niezbędne – zapoznanie się z Roydem. Ich związek stał się już rzeczywistością i należało zapewnić warunki, żeby się rozwinął.

Zawsze miała głębokie poczucie winy, że pozbawia Duncana relacji z ojcem, którego tak rozpaczliwie potrzebował. A teraz, kiedy okazało się, że ojciec (widziany oczami zafascynowanego żeglugą chłopca) dalece przewyższa zwykłych śmiertelników, Isobel nie mogła z czystym sumieniem odebrać Duncanowi możliwości spędzania z nim czasu. Nie miała też najmniejszych wątpliwości, że na pokładzie „Korsarza” syn będzie bezpieczny.

– No dobrze – powiedziała w końcu, po czym dodała po zastanowieniu: – O ile zdołasz go przekonać, żeby został na pokładzie, kiedy pojedziemy do Londynu.

Royd kiwnął głową.

– W Londynie będę musiał się skupić na misji, na zdobyciu wszelkich możliwych informacji i spotkaniach z Wolverstone’em oraz Melville’em. A ty zapewne będziesz zajęta wszystkim, co wiąże się z Katherine i miejscem jej pobytu. Żadne z nas nie będzie miało czasu zajmować się Duncanem, a nie ma sensu zostawiać go pod opieką obcych. W dodatku oboje chyba wolelibyśmy uniknąć dodatkowego zamieszania, jakie spowodowałoby w takiej

chwili tłumaczenie sytuacji Declanowi, Edwinie i Robertowi.

Jak zwykle zapatrywał się na problem tak samo jak ona. Isobel wiedziała, że nie musi się martwić, czy Royd zdoła zapewnić synowi bezpieczeństwo. Mówiąc szczerze, możliwość podzielenia się rodzicielskimi obowiązkami z kimś, komu ufała, przyniosło jej ulgę – od dnia narodzin Duncana niosła ten ciężar całkiem sama.

Royd nadal opierał się o umywalkę. Stał tak daleko od Isobel, jak to możliwe w ciasnej kabinie, lecz ona mimo to nie mogła zapomnieć, że siedzi na jego łóżku i dzieli ich odległość zaledwie jarda. Poczuła się dziwnie zmieszana, ale niech ją diabli, jeśli pozwoli Roydowi to dostrzec.

– Doskonale – powiedziała. – O której godzinie dotrzemy do Ramsgate?

Royd odruchowo chciał podać jej czas w szklankach (gdy tylko jego stopy dotknęły pokładu, przestawił się na okrętowy sposób odmierzania godzin), ale szybko przeliczył to na zwykły sposób.

– Około dziesiątej rano. Zależy od fali.

Isobel skinęła głową i wstała.

– W takim razie zacznę się pakować.

Podeszła do drzwi kajuty i nie odwracając się, rzekła:

– Dziękuję, że powiedziałeś mi o tej misji. Dobranoc.

Zamknęła drzwi, zza których rozległo się niskie, zmysłowe „Śpij dobrze”.

Głos Royda przywołał wspomnienia miękkiej pościeli, nagiej skóry, twardych mięśni i dogłębnej rozkoszy.

Isobel zmarszczyła brwi, odsunęła od siebie te obrazy i zajęła się przygotowaniem kufra na pobyt w Londynie. Szkoda, że nie spytała Royda, ile czasu jego zdaniem tam będą, ale podejrzewała, że on też może nie wiedzieć. Jeśli zamierza czekać na powrót Caleba i „Księcia” z Freetown, nie sposób zgadnąć, ile to potrwa.

Później, kiedy przebrała się w koszulę nocną, zgasiła lampę i wsunęła się pod kołdrę, wbiła spojrzenie w kasetonowy sufit, w którym odbijało się światło gwiazd.

Patrząc na minione lata, o których wiedziała teraz znacznie więcej niż do tej pory, miała wrażenie, jakby ich zaręczyny sprowokowały złośliwy los, który celowo przyniósł misję Royda i nie pozwolił mu ani wrócić do domu, ani przesłać wiadomości. To właśnie ta nieobecność sprawiła, że obudziły się w niej wątpliwości i co do siebie, i co do niego. Isobel straciła wiarę w to, co między nimi było. Wmówiła sobie, że ta więź była za słaba, aby oprzeć na niej małżeństwo.

Lecz ich uczucie okazało się o wiele silniejsze, niż przypuszczała. Nie dało o sobie zapomnieć. Nawet nie osłabło z czasem.

I oto znaleźli się tutaj, wyruszali z kolejną misją, wspólnie z synem, a wśród więźniów, o których wolność mieli walczyć, znajdowała się prawdopodobnie jej kuzynka.

– Los – szepnęła Isobel – naprawdę lubi sobie zakpić.

Odkrycie prawdy o drugim życiu Royda – o misjach, niebezpieczeństwach, jakim stawiał czoła, ryzyku, jakie podejmował dla swojego króla i kraju – odświeżyło jego

stary, przyblakły nieco wizerunek, jaki miała w pamięci, odmalowując go na nowo w jasnych, intensywnych barwach. Obecny Royd był nieskończenie bardziej pełen energii, witalności i męskości niż ten z jej wspomnień.

Dorósł i stał się człowiekiem, jakiego kiedyś sobie wyobrażała. Nabrał cech, których dawniej nie miał, a które jeszcze bardziej do niej przemawiały.

I pomyśleć, że to ona sama wmaszerowała do jego gabinetu z żądaniem, aby ich relacja znowu zeszła na bardziej osobistą płaszczyznę!

Zupełnie nie uwzględniła w swoich kalkulacjach tych wszystkich zmian, jakie w nim zaszły.

Nadal jednak nie była pewna co do jego zamiarów. Wtajemniczył ją w swoją przeszłość – nie musiał, a jednak to zrobił – pozwolił jej zobaczyć rany, które pozostawił w nim ich związek. A potem przekazał jej wszystkie informacje o swoim obecnym zadaniu, zanim nawet o nie spytała, i na dodatek natychmiast się zgodził, żeby pojechała z nim do Londynu i stała się jego partnerką w tej misji. Na pewno miał w tym jakiś cel. Ale jaki?

Może sam jeszcze nie wiedział...

Z jej punktu widzenia znajdowali się wciąż na morzu niepewności. Lecz, tak jak sugerował Royd, może nadal istniało między nimi coś, o co należało zawalczyć? Może prawdziwe małżeństwo i wspólna przyszłość nie były jeszcze wykluczone?

Zasnęła, zanim zdążyła dostrzec choćby cień odpowiedzi.

***

Isobel stała przy sterburcie, patrząc na zbliżające się Ramsgate. Obok nich przesunął się gładko cypel położony na północ od miasta. Stada mew wzbijających się w powietrze znaczyły położony tuż za nim port.

Zaświtał piękny dzień, niebo tu, bardziej na południu, było jaśniejsze, a morze dość spokojne – nic nie stało na przeszkodzie, żeby przewieziono ich szalupą do portu i na główną keję.

Wcześniej, przy śniadaniu, Isobel pozwoliła Roydowi poinformować Duncana, że podczas gdy oni zejdą z pokładu i pojadą do Londynu, on ma pozostać na statku i popłynąć do Southampton.

Gdyby lepiej się nad tym zastanowiła, może zdałaby sobie sprawę, że dla Duncana będzie to radosna wiadomość. W jego wieku Londyn nie stanowił jeszcze wielkiej atrakcji, podczas gdy wizja spędzenia czasu na „Korsarzu” – pod skrzydłami Liama Stewarta i z nieograniczonym dostępem do reszty załogi – była dla chłopca prawdziwym rajem.

Royd skorzystał z jego entuzjazmu i skierował rozmowę na następny etap podróży. Jasno ujął swoje oczekiwania: kiedy wraz z Isobel powróci na „Korsarza” w Southampton, Duncan będzie musiał podjąć decyzję, czy chce wrócić do Aberdeen w towarzystwie jednego z ludzi Royda, czy też popłynąć z rodzicami w dalszy rejs. Jeśli jednak wybierze to drugie, po dotarciu do Freetown i przez cały czas pobytu w tropikach będzie musiał pozostać na statku – bez słowa skargi.

– Sam o tym zdecydujesz – podsumował Royd. – Zastanów się nad tym w trakcie pobytu w Southampton. Możesz wychodzić z załogą do portu i miasta, o ile będziesz miał na to pozwolenie Liama. Pod moją nieobecność jego słowo jest tu najważniejsze. Ale jeśli po naszym powrocie zdecydujesz się popłynąć dalej z nami, będziesz musiał mi obiecać, że pozostaniesz na pokładzie statku, dopóki nie wrócimy do Anglii.

Chłopiec był na tyle bystry, żeby nie podejmować pochopnej decyzji. Kiwnął tylko głową.

– Rozumiem – powiedział.

Tak więc sprawa z Duncanem została w miarę możliwości rozwiązana.

Isobel mogła się skupić na poszukiwaniach Katherine oraz na bardzo ważnej kwestii tego, jak miała postępować z Roydem.

Pomimo wszystkiego, czego się w ostatnich dniach dowiedziała, odkryła, że nie potrafi w przeciągu jednej nocy zmienić uczuć, które żywiła od lat. Pojmowała teraz motywy postępowania Royda, lecz pod względem emocjonalnym nie potrafiła tego jeszcze przyswoić.

Nie umiała opuścić tarczy, którą zasłaniała się od wielu lat. Może dojdzie do tego z czasem, ale na razie w towarzystwie Royda nadal miała się na baczności.

Kiedyś w pełni się przed nim otworzyła, a on ją zranił. To również była część prawdy. Isobel nie umiała jeszcze zaakceptować tego, że postępowanie Royda było uzasadnione, że zasługiwało na zrozumienie i przebaczenie.

Wymagałoby to dogłębnej zmiany spojrzenia na całe swoje życie, podobnie jak każda modyfikacja konstrukcji statku wymagała dodatkowych poprawek w innych miejscach, żeby zrównoważyć tę ingerencję. Nie było to proste.

Czuła, że Royd sam zmaga się z podobnymi wątpliwościami.

Kiedy ich oczom ukazał się port Ramsgate, a Liam zakręcił sterem i zawołał, żeby zluzować i spuścić wszystkie żagle, Isobel spojrzała za siebie, rozejrzała się po pokładzie i zobaczyła Royda idącego w jej stronę. Jej serce zabiło szybciej. Odwróciła głowę.

Royd przystanął obok niej.

– Kazałem załadować twoje pudło na kapelusze i brązowy kufer. Bo ten zamierzałaś zabrać, prawda?

Zakłopotana Isobel odrzekła:

– Zgadza się.

Skąd u niej to zmieszanie? Przecież zna tego mężczyznę od lat, a mimo to... Rozejrzała się.

– Gdzie Duncan?

– Przy wciągarce.

Chłopiec stał obok Jolleya, słuchając uważnie energicznych poleceń bosmana i bacznie obserwując działania załogi.

– Powiedziałem mu – rzekł Royd – że tym razem nie może wsiąść z nami do szalupy, ale w Southampton będzie miał mnóstwo okazji, żeby nią popływać i nauczyć się wiosłować.

– No tak, gdyby z nami popłynął, żeby pożegnać się na nabrzeżu, nie wiadomo, kto mógłby go tam zobaczyć.

– Właśnie. A w Southampton na kejach będzie taki tłok, że nikt raczej nie zwróci uwagi na jednego chłopca.

– A nawet gdyby, każdy weźmie go za chłopca okrętowego.

Szalupa została przerzucona przez burtę i powoli spuszczona; opadła na powierzchnię wody z cichym pluskiem. Czterech marynarzy zsunęło się po linach do rozkołysanej łodzi, a za nimi zszedł sternik Williams. Otwarto bramkę w burcie i Jolley – w asyście Duncana – spuścił do szalupy sznurową drabinkę.

Isobel wyjrzała za burtę i z ulgą stwierdziła, że koniec drabinki sięga do samej górnej krawędzi szalupy.

Odwróciła się do Duncana, a on rzucił się na nią i uściskał.

– Do widzenia, mamo! – Odchylił głowę i popatrzył jej w oczy, a emanująca z niego radość rozwiała obawy Isobel, że chłopiec skrycie przeżywa ich rozłąkę. Duncan wyszczerzył się w uśmiechu. – Zobaczymy się w Southampton!

Jej serce ścisnęło się lekko, gdy uśmiechała się w odpowiedzi, a potem mocno objęła synka i złożyła na jego czole pocałunek – była to jedyna czułość, na jaką pozwalał jej w obecności innych.

– Bądź grzeczny.

Puściła go i się odsunęła.

Teraz Royd z kolei nachylił się do Duncana, tak że ich głowy znalazły się na tym samym poziomie.

– Pamiętaj: na pokładzie statku słowo kapitana jest najważniejsze, a kiedy ja jestem na lądzie, kapitanem jest pan Stewart. Jeśli zrobisz coś wbrew kapitanowi, nie będziesz mógł tu pozostać i odeślemy cię do Aberdeen. – Słysząc te słowa, Duncan spoważniał. – Tak to jest, kiedy ktoś złamie reguły panujące na danym statku. Nigdy już na niego nie wsiądzie.

Duncan z największą powagą pokręcił głową.

– Nie złamię ich.

Royd uśmiechnął się szeroko.

– Wiem, że nie złamiesz. Jesteś na to za bystry.

Na twarzy Duncana znowu pojawił się promienny uśmiech.

– Do widzenia. – Chłopiec wyciągnął rękę.

Royd ujął jego dłoń, ale zamiast nią potrząsnąć, przyciągnął Duncana do siebie. Objął jego drobne ciało i zmierzwił mu włosy. Ten zapiszczał z uciechy.

– Pamiętaj, co mówiła matka, i bądź grzeczny.

Z tymi słowami Royd odwrócił się do Isobel.

– Ja zejdę pierwszy.

Wiedział, że Isobel potrafi pływać, lecz wolał ją na wszelki wypadek asekurować.

Zeskoczył do szalupy, zabalansował i spojrzał w górę. Isobel była już w połowie drogi.

Przywykła do wspinania się po drabinach i wiedziała, jak się do tego zabierać w sukni. Royd nie miał pojęcia, jak tego dokonywała, ale spódnica nigdy jej się nie rozwiewała ani nie wplątywała między nogi. Dziś Isobel miała na sobie

suknię w kolorze kości słoniowej, prostą i dopasowaną. Kiedy spotykali się w biurze lub dokach stoczni, nosiła zazwyczaj ciemniejsze kolory, zapewne ze względu na nieunikniony kurz i brud, lecz w jasnym stroju przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Zatrzymała się na ostatnim szczeblu, kołysząc się tuż nad burtą łodzi.

Royd złapał ją w talii. Isobel na chwilę przywarła do drabinki – jakby zaskoczona – a potem pozwoliła, żeby Royd postawił ją przy środkowej ławeczce.

– Dziękuję – powiedziała, spuszczając wzrok i wygładzając suknię.

Royd spojrzał w górę i zobaczył Liama Stewarta spoglądającego w dół z szerokim uśmiechem na twarzy. Zamarkował salut.

– Statek jest w pańskich rękach, panie Stewart.

Liam zasalutował w odpowiedzi.

– Tak jest, kapitanie. Do zobaczenia w Southampton.

Wyjęty segment burty wskoczył z chrobotem na miejsce. Nad nim pojawiła się buzia Duncana.

– Do widzenia! – krzyknął chłopiec, machając energicznie ręką.

Royd z Isobel także się uśmiechnęli i odmachali.

Potem stojący przy rumplu Williams rzucił krótki rozkaz i czterej marynarze siedzący na przedniej i tylnej ławce wzięli się do wioseł. Royd usiadł przy Isobel i łódź obróciła się gładko, po czym ruszyła w stronę portu.

– Skorzystamy z wodnych schodów przy Hotelu Zamkowym. Ma najlepsze stajnie w mieście, będziemy mogli nająć tam powóz z czwórką koni.

Isobel przytaknęła. Po chwili powiedziała cicho:

– To, co powiedziałeś Duncanowi... było bardzo sprytne.

Nie odrywając wzroku od majaczących z przodu statków, Royd odparł:

– Oboje wiemy, że nie ma co liczyć na to, że Duncan nie będzie miał różnych szalonych pomysłów. Najlepsze, co możemy zrobić, to pokazać mu, że każdy czyn ma swoje konsekwencje, zanim nauczy się ulegać impulsom.

Isobel parsknęła cichym śmiechem.

– W kwestii szalonych pomysłów na pewno nie brak ci doświadczenia.

Royd pokiwał głową.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

***

Najwyraźniej kapitanowie floty Frobisherów gościli w Hotelu Zamkowym przy Promenadzie Portowej na tyle często, że nie tylko ich rozpoznawano, ale też podejmowano prawdziwie po królewsku. Właściciel wylewnie powitał Royda, a dowiedziawszy się, czego mu potrzeba, natychmiast zaprowadził ich do małego, przyjemnie urządzonego prywatnego saloniku, gdzie mogli w spokoju zaczekać, aż stajenni zaprzęgną najlepszą czwórkę koni do najszybszego, najnowszego powozu.

Nie trwało to długo. Gdy tylko główny stajenny doniósł, że powóz już czeka, Isobel podziękowała za herbatę i zadeklarowała natychmiastową gotowość do drogi.

Kwadrans w saloniku spędziła na układaniu sobie w głowie listy tematów, które chciała omówić w drodze, żeby nie rozpamiętywać niedawnych podniecających chwil, gdy Royd pomógł jej zejść do szalupy, demonstrując przy tym niezwykłą siłę, i potem, kiedy przy wychodzeniu z łodzi podał jej rękę i podtrzymał, bo but Isobel ześlizgnął się z kamienia porośniętego szlamem. Isobel wylądowała tuż przy Roydzie, pierś przy piersi, i aż zabrakło jej tchu. Spojrzała mu w oczy i z najwyższym trudem oparła się impulsowi, żeby przyciągnąć jego głowę i go pocałować.

Nie dziwiły jej te odruchy – nie było sensu udawać, że nigdy nie łączyły jej z Roydem intymne relacje – lecz nie spodziewała się, że będą aż tak silne, że do tego stopnia zdołają wytrącić ją z równowagi.

Gdy tylko główny stajenny zatrzasnął drzwi, a woźnica strzelił z bata, powóz – na zaskakująco dobrych resorach i wyraźnie nowy – wytoczył się z dziedzińca zajazdu i wyjechał krętymi uliczkami z miasta na gościniec.

Pędzili naprzód, końskie kopyta wybijały równy, uspokajający rytm. Wrażenie intymności i świadomość tego, że przebywają sam na sam tak blisko siebie, stały się w końcu nie do zniesienia. Isobel poddała się i poruszyła pierwszy z tematów na swojej liście.

Z rozmowy Royda z Duncanem przy śniadaniu wywnioskowała, że we Freetown miała towarzyszyć

Roydowi na lądzie. Dokładnie o to jej chodziło, lecz zastanawiała się, jak dalece Royd zamierza włączyć ją w swoje działania.

– Przyznam, że jestem pod wrażeniem twojej chęci dzielenia się ze mną informacjami o tej misji. Nie mam jednak pewności, czy będziesz zainteresowany moimi opiniami na jej temat.

Siedzący naprzeciwko Royd popatrzył jej w oczy.

– Jak najbardziej. Pragnę poznać twoje zdanie. – Jego wargi drgnęły w uśmiechu. – I nie mam wątpliwości, że usłyszę je bez względu na to, czy będę tego chciał, czy nie.

Isobel spojrzała na niego niezadowolona.

Uśmiechnął się szerzej i rozparł wygodniej na siedzeniu.

– Ale owszem, spodziewam się, że będziemy ze sobą współpracować. Jeśli twoja kuzynka nie padła ofiarą jakiejś zupełnie innej zbrodni, co w tej względnie małej kolonii jest raczej mało prawdopodobne, nasze cele się pokrywają.

– Prędzej podzieliłbyś się dowodzeniem statku z innym kapitanem, niż uznał kobietę za równego partnera.

– Nie chodzi przecież o byle kobietę, tylko o ciebie.

Jego spojrzenie upewniło ją, że mówił te słowa z pełnym przekonaniem. Nie potrafiła się powstrzymać i spytała śmiało:

– Dlaczego?

– Ponieważ mimo burzliwej przeszłości zawsze dobrze nam się współpracowało. Mamy podobne charaktery, instynktownie się rozumiemy, a nasze zdolności uzupełniają się w zdumiewający sposób. – Royd zawahał się, po czym

dokończył: – Może nie zdajesz sobie sprawy, jaka to rzadkość, ale jako zespół... stanowimy prawdziwie dobraną parę.

– Razem jesteśmy warci więcej niż każde z nas osobno?

– Właśnie tak. – A po chwili Royd dodał: – Wiesz, że moja matka często podróżowała z ojcem, właściwie zawsze, kiedy mogła. Gdy była na pokładzie, to ona stawała się pierwszym oficerem taty, nie licząc spraw samej żeglugi. Tym się nie interesowała, ale wszystkie pozostałe aspekty życia na statku były zarówno jej domeną, jak i jego. – Popatrzył na nią spokojnie. – Tak więc w naszej rodzinie obecność żony kapitana na pokładzie, i to na mniej więcej równych, partnerskich zasadach, nie jest żadną nowością.

Isobel skłoniła tylko głowę, ignorując słowo „żona”, i poruszyła kolejną kwestię na swojej liście.

– Skoro mowa o twojej rodzinie, kogo mogę się spodziewać w Londynie?

– Declana i Edwiny. U nich się zatrzymamy. Są tam też Robert wraz z panną Aileen Hopkins, która przypłynęła z nim z Freetown. Robert i panna Hopkins zamierzają się pobrać, lecz ponieważ misja nie dobiegła końca, nie ogłosili jeszcze publicznie zaręczyn.

Isobel słyszała o ślubie Declana, który odbył się w jakiejś książęcej rezydencji.

– Dotarło do mnie, że lady Edwina odwiedziła Aberdeen po swoich zaślubinach, ale nie miałyśmy okazji się poznać. Jej ojciec był księciem, prawda?

Robert pokiwał głową.

– Jak wiesz, to nie powstrzymało jej jednak przed wyprawą z Declanem do Freetown i aktywnym udziałem w jego misji. Wygląda też na to, że jej wkład był znaczący. Edwina doskonale radzi sobie w towarzystwie.

Według Isobel Declan zawsze sprawiał wrażenie najbardziej konserwatywnego z czterech braci. Teraz złapała się na tym, że wygląda spotkania z jego żoną z większą ciekawością niż poprzednio.

– A co wiesz o pannie Hopkins?

– Nigdy jej nie spotkałem, ale to młodsza siostra dwóch oficerów marynarki, których znam. Mają jeszcze najmłodszego brata, który służy w stopniu porucznika w Eskadrze Zachodnioafrykańskiej i który w niewyjaśniony sposób zniknął, podobnie jak twoja kuzynka.

– Był jednym z tych, których posłano na poszukiwania zaginionego inżyniera wojskowego, prawda? Czytałam o tym w listach Declana i Roberta.

– Zgadza się. – Royd skrzywił się. – Rozumiem, po co Caleb zabrał dziennik Roberta, ale szkoda, że nie zostawił kopii.

– Wygląda na to, że nie było czasu.

– Spieszno mu było do wciągnięcia żagli, żeby nikt nie zdążył go powstrzymać – prychnął Royd.

– Czy dziennik Roberta przypomina twój?

Royd pokręcił głową.

– Mój to raczej prywatny dziennik okrętowy. Robert prowadzi o wiele bardziej szczegółowe zapiski, z licznymi

opisami i szkicami. Podchwycił to od matki, a w takich sytuacjach to prawdziwy dar niebios.

– Na pewno Caleb przywiezie dziennik Roberta z powrotem. Jeszcze zdążysz go przeczytać, zanim dotrzemy do Freetown.

Royd kiwnął głową, przenosząc spojrzenie na mijane drzewa.

Powóz toczył się szybko. Wjechali na odcinek porządnie utwardzonej drogi i tętent końskich kopyt brzmiał teraz jak grom.

Kiedy wzięli ostry zakręt i Isobel musiała podeprzeć się ręką o ścianę, popatrzyła na Royda.

– Widzę, że wspomniałeś woźnicy, że nam się spieszy.

– Obiecałem mu dziesięć gwinei, jeśli dowiedzie nas na Stanhope Street przed trzecią.

Isobel domyślała się, że właśnie tam mieszka Declan i jego Edwina. Im szybciej tam dotrą, tym łatwiej będzie mogła stworzyć większy dystans między sobą a Roydem.

Odchyliła się na oparcie i tak jak on zaczęła patrzeć na przesuwający się za oknem krajobraz, wyglądając końca podróży.

Jeden

Powóz zwolnił i zatrzymał się przed rezydencją na jednej z typowych ulic Mayfair. Royd wyjrzał na zewnątrz. Nie musiał sprawdzać numerów – drzwi stały otworem i dokładnie w tym samym momencie ukazali się w nich Robert i Declan. Obok Declana szła Edwina, a zza ramienia Roberta wyglądała dama o miedzianych włosach wskazujących na jej przynależność do rodu Hopkinsów.

– Wygląda na to, że zjawiliśmy się w idealnym momencie. Z jakiegoś powodu czeka na nas komitet powitalny – rzekł Royd.

Nachylił się, żeby otworzyć drzwi, i wysiadł, po czym odwrócił się i podał rękę Isobel. Położyła szczupłe palce na jego dłoni – był to taki zwyczajny gest, a jednak Royd poczuł nagły przypływ dumy i opiekuńczości.

Stając na chodniku, Isobel także popatrzyła na widoczną w drzwiach grupkę. Potem swobodnym ruchem wyjęła rękę z dłoni Royda, odwróciła się do służącego i poleciła mu zdjąć z dachu powozu pudło na kapelusze.

Zanim chłopiec zdążył to zrobić, z domu wyszło już trzech lokajów. Isobel podała najmłodszemu z nich pudło i torbę podróżną swojego towarzysza. Pozostawiając kufer pod opieką dwóch mocniej zbudowanych służących, odwróciła się do Royda, który właśnie płacił woźnicy.

– Gotowa? – spytał, podając jej ramię.

Isobel spojrzała w jego szare oczy i odczytała wypisane w nich wyzwanie. W końcu mieli wspólnie zająć się tą misją, a po jej zakończeniu i powrocie do Aberdeen czekały ich różne trudne decyzje. Ciekawe więc, jak sobie teraz poradzą w sprawach towarzyskich. Isobel uniosła brew, po czym spokojnie wzięła Royda pod ramię.

Weszli po stopniach na wąski ganek.

Isobel szybko przyjrzała się „komitetowi powitalnemu". Declan i Robert cieszyli się na widok Royda, lecz nie byli pewni, jak rozumieć jej obecność. Obaj przez okres zaręczyn brata przebywali głównie na morzu i Isobel nie wiedziała, co sądzą o zerwaniu ich zaręczyn, tym bardziej że Royd pewnie nie rozmawiał z nimi na ten temat.

W przeciwieństwie do obu braci, w których dawało się wyczuć ostrożność, eteryczna jasnowłosa piękność wyglądająca zza pleców Declana oraz miedzianowłosa dama u boku Roberta wydawały się zaintrygowane, jakby niecierpliwie pragnęły poznać Isobel.

– Royd. – Declan wyciągnął rękę.

Uścisnęli sobie dłonie i poklepali się po ramionach, a potem Royd przywitał się z Robertem.

Wreszcie Declan zwrócił się do towarzyszki brata.

– Witaj, Isobel – powiedział.

Uśmiechnęła się i podała mu rękę.

– Miło cię znowu widzieć, Declanie.

Gospodarz nachylił się nad jej dłonią, po czym odwrócił się do żony.

– Kochanie, oto Isobel Carmichael, dziedziczka stoczni Carmichaelów w Aberdeen. Isobel, oto moja małżonka, lady Edwina.

Chabrowe oczy lady Edwiny otworzyły się odrobinę szerzej; na pewno podczas wizyty w Szkocji słyszała o stoczni Carmichaelów. Wyciągnęła rękę z promiennym uśmiechem.

– Panno Carmichael. Witamy w Londynie i w naszym domu.

Isobel uścisnęła jej dłoń i odwzajemniła uśmiech.

– To ogromna przyjemność móc panią poznać, lady Edwino. I proszę mi mówić Isobel. Jak rozumiem, będzie pani skazana na nasze towarzystwo, przynajmniej dopóki Royd nie dowie się, co odkrył Caleb, i nie otrzyma rozkazów.

Edwina uśmiechnęła się jeszcze szerzej i przyciągnęła ją do siebie.

– Zapraszam do domu. Musisz poznać Aileen.

Isobel weszła do eleganckiego holu.

Miedzianowłosa dama cofnęła się i czekała teraz, żeby się przywitać.

– Jestem Aileen Hopkins. Poznałam Roberta we Freetown i wróciłam z nim do Londynu na „Trójzębie” – rzekła.

Isobel uścisnęła jej dłoń.

– Bardzo miło mi panią poznać, panno Hopkins.

– Ależ wystarczy Aileen. Wygląda na to, że wszystkich nas tutaj łączy zainteresowanie sytuacją we Freetown.

Isobel spoważniała.

– Istotnie. Wybieram się tam z Roydem w poszukiwaniu jednej z moich kuzynek. Rozumiem, że obie byłyście już w kolonii, więc bardzo chciałabym z wami porozmawiać. – Spojrzała w orzechowe oczy Aileen i niebieskie Edwiny. – Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co wiecie o niejakiej pannie Katherine Fortescue.

– Panna Fortescue! – Na twarzy Edwiny pojawiła się troska i dama położyła rękę na ramieniu Isobel. – Obawiam się, że panna Fortescue została porwana. Być może zabrano ją do pracy w kopalni.

Isobel zacisnęła usta i kiwnęła głową.

– Royd i ja domyślamy się, że jej zniknięcie jest prawdopodobnie związane z naszą misją.

Edwina i Aileen popatrzyły na braci, którzy wciąż stali na ganku.

Wymieniali się różnymi dokumentami i notatkami, przekładali je, czytali i wykrzykiwali coś ze zdumieniem.

– Przybyliście w idealnym momencie – powiedziała Edwina. – Niecałe pięć minut temu zjawił się u nas Hornby, jeden z ludzi Caleba, z tą teczką, którą trzyma Robert. Jest pełna raportów i map. Wygląda na to, że Caleb odnalazł kopalnię i został na miejscu, żeby czuwać nad jeńcami.

– Może przysłał listę porwanych – dodała Aileen – ale nie miałyśmy jeszcze okazji tego sprawdzić.

Obie damy wymieniły spojrzenia, po czym Edwina spytała:

– Czy chciałabyś pójść na górę i się odświeżyć, czy też...?

– Nie ma potrzeby – odrzekła Isobel. – Przekonajmy się, co przysłał Caleb.

Edwina skinęła głową i ruszyła przed siebie. Aileen poszła w jej ślady.

Isobel skinęła na kamerdynera, który doglądał lokajów wnoszących bagaże jej i Royda. Zdjęła kapelusz, odłożyła go na boczny stolik i ściągnęła rękawiczki. Dzięki Bogu znalazła się w towarzystwie podobnych sobie kobiet. Edwina może nie imponowała wzrostem i sprawiała wrażenie drobniutkiego, złotowłosego, błękitnookiego i delikatnego stworzenia, ale miała w sobie ogromny zasób energii i – jak podejrzewała Isobel – kręgosłup ze stali. Aileen Hopkins wydawała się obdarzona podobnym charakterem. Isobel przyglądała się, jak obie panie sprawnie zaganiają trzech braci z ganku do przytulnego salonu. Ruszyła za nimi.

Edwina zatrzymała się jeszcze w progu, żeby polecić kamerdynerowi Humphreyowi, żeby przygotował pokoje dla nowych gości. Isobel przywitała się z Robertem, po czym usiadła na sofie obok Aileen.

Edwina sięgnęła energicznie po teczkę, lecz siedzący po prawej stronie Isobel Royd okazał się szybszy. Nachylił się i rozłożył zawartość teczki na niskim stoliku pomiędzy dwiema kanapami.

– Nie ma co zaczynać rozmowy, dopóki każde z nas zna tylko fragment całości. Proponuję, żebyśmy podzielili się dokumentami, a po przeczytaniu podawali je w prawo.

W ten sposób każde z nas będzie mogło zapoznać się z ich zawartością.

Nikt nie zaprotestował. Royd podzielił papiery na sześć części i wszyscy zabrali się za czytanie.

Zapadła cisza, przerywana tylko szelestem papieru i sporadycznymi odchrząknięciami. Przyzwyczajona do przeglądania stosów dokumentów Isobel pierwsza skończyła swoją partię. Usiadła, porządkując w głowie zdobyte informacje, choć w układance nadal brakowało zbyt wielu elementów, żeby choćby domyślać się całości. Robert także uniósł głowę i ułożył równo swój stosik.

Jako ostatnia swoją partię skończyła Aileen i podała dokumenty Robertowi. Pozostali także wymienili się papierami i znowu zaczęli czytać.

Zanim wszyscy zdążyli zapoznać się z dokumentami, było już późne popołudnie. Edwina zadzwoniła po herbatę i Humphrey wraz z lokajem wnieśli tace obładowane imbrykami, filiżankami, spodkami i talerzykami, a także ciastami, w tym ciężkim owocowym keksem.

Kiedy wszyscy się pożywili, Royd odstawił filiżankę, znowu zebrał dokumenty do teczki i powiedział:

– Podsumujmy, czego się dotąd dowiedzieliśmy. Już wiemy, że wszystko zostało ukartowane przez trzech ludzi mieszkających we Freetown. Jakimś sposobem dowiedzieli się o złożach diamentów znajdujących się głęboko w dżungli. Założyli kopalnię w sekrecie, zapewne po to, by uniknąć opłat, podatków i rządowych ingerencji. A także

żeby korzystać z niewolniczej pracy, zwiększając w ten sposób swoje dochody.

– Wiemy, że do tej trójki należy attaché morski Maldoon oraz ktoś o nazwisku Winter, kto ma dostęp do sprzętu górniczego i zaopatrzenia – dorzucił Robert.

– Trzeci zaś – dodał Declan, a w jego głosie pobrzmiewał gniew – to ktoś z kancelarii gubernatora.

Royd przytaknął.

– Pierwotnie w operację zaangażowana była także lady Holbrook. Nie ma teraz znaczenia, czy zrobiła to z wyboru, czy pod przymusem, bo wycofała się i zniknęła.

– I dobrze – mruknęła Edwina.

– Aby otworzyć kopalnię – ciągnął Royd – nasza trójka potrzebowała kapitału, więc skontaktowała się z ludźmi skłonnymi finansować nielegalne przedsięwzięcia. Więźniowie nazywają ich sponsorami i jest ich kilku, ale nie wiemy dokładnie ilu. Najprawdopodobniej przebywają w Anglii i to oni ponoszą ostateczną odpowiedzialność, bo bez ich wsparcia nic by się nie udało.

Po chwili przerwy dodał:

– Samo tylko obmyślanie nikczemnych planów to nie zbrodnia. Zbrodnią natomiast jest wcielanie ich w życie, a umożliwianie takich działań może nawet większą. Należy przyjąć, że sponsorzy to ludzie zamożni, których stać na takie inwestycje. Bardzo możliwe, że to do nich trafia większość zysków, co ze zrozumiałych powodów budzi sprzeciw rządu.

Robert prychnął pogardliwie.

– Po incydencie z Czarną Kobrą w zeszłym roku rząd musiał wypłacić duże odszkodowania – rzekł. – A potem jak zwykle zaczął składać pochopne obietnice, zakładając, że potencjalne podobne zajścia to sprawa zbyt odległa, aby zaprzątać sobie nią głowę. Teraz jednak znalazł się w sytuacji, która może wywołać powszechne oburzenie i protesty. – Robert popatrzył Roydowi w oczy. – A biorąc pod uwagę obecne problemy społeczne i niezadowolenie z monarchii, władza nie może ryzykować kolejnego zajścia, po którym społeczeństwo uzna, że zamożni i wpływowi zbrodniarze są całkowicie bezkarni.

Royd pokiwał głową.

– Wnosząc z tonu listów Wolverstone’a, rządowi niezwykle zależy na przerwaniu całej operacji, uwolnieniu porwanych i oddaniu winnych, zarówno organizatorów, jak i sponsorów, w ręce sprawiedliwości. Mam mocne podejrzenie, że moje rozkazy będą dotyczyć tej ostatniej kwestii, ale kiedy dotrę na miejsce, to ja będę dowodził akcją i jak zwykle zrobimy wszystko po mojemu. – Po krótkiej chwili mówił dalej: – Naszym priorytetem powinno być przede wszystkim uwolnienie porwanych i zapewnienie im bezpieczeństwa, w drugiej kolejności musimy rozmontować operację, żeby nie można było jej wznowić, i wreszcie zebrać dowody, żeby skazać sponsorów.

Wszyscy potwierdzili stanowczymi kiwnięciami głów i pomrukami.

– Sponsorzy – wtrącił Declan – niemal na pewno znajdują się tutaj, a nie w kolonii. Najlepsze dowody będą mieć

organizatorzy, więc i tak musimy ich pochwycić w pierwszej kolejności. Spodziewam się, że groźba zawiśnięcia na szubienicy sprawi, iż nader chętnie zdradzą, kto zapewnił im fundusze.

– To prawda. Nie spodziewam się, aby tacy łajdacy mieli jakiekolwiek pojęcie o honorze – mruknął Robert.

Wreszcie Royd poruszył się w fotelu.

– Wracając do tego, co się działo w kolonii... Caleb pozbył się Kale’a i jego szajki, odcinając tym samym dostawy niewolników, a prawdopodobnie także sprzętu górniczego. W kopalni na pewno mają alternatywne źródła zaopatrzenia, ale trochę potrwa, zanim się zorientują, że stracili Kale’a, i wprowadzą nowe procedury. A tymczasem bez stałych dostaw nowych więźniów będzie im bardziej zależało na utrzymaniu w dobrym zdrowiu tych, których już mają. Do tego fakt, że Caleb wyeliminował gang Kale’a, oznacza, że podczas odbicia kopalni nie będziemy musieli się obawiać, iż handlarze niewolników przyjdą najemnikom z pomocą. To zaś da nam zasadniczą przewagę.

Royd spojrzał na dokumenty, które trzymał przed sobą.

– Dowódca najemników nosi nazwisko Dubois. Nie ma wątpliwości, że to właśnie on będzie dla nas największą przeszkodą w zajęciu kopalni i odbiciu więźniów.

Declan pochylił się, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy brata.

– Już kilka razy powiedziałeś „my” i „nas”. Czy to znaczy, że chcesz, abyśmy my także wzięli udział w twojej wyprawie?

Royd popatrzył na niego i jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– A spodziewałeś się, że zostaniesz tutaj i będziesz się cieszył przyjemnościami sezonu towarzyskiego?

– Boże broń! – krzyknął Declan. – Ale nie byłem pewien, czy nasze statki będą częścią twojego planu, czy też mamy tylko wlec się z tyłu.

– Moja załoga ma bez wątpienia największe doświadczenie w takich przedsięwzięciach, ale sądząc po podanych przez Caleba liczbach, będę potrzebować o wiele więcej ludzi. Ponadto musimy wkroczyć jednocześnie na teren kopalni i do kolonii. Moim zdaniem nie da się tego uniknąć. Dobrze, że Caleb wciągnął Lascelle'a do pomocy, ale jeśli mamy odbić więźniów całych i zdrowych, potrzebna nam będzie znaczna przewaga liczebna. – Nie odrywając wzroku od papierów, mówił dalej: – Przede wszystkim musimy dopilnować, żeby w momencie rozpoczęcia ataku więźniowie byli już poza zasięgiem najemników. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak tego dokonamy, dopóki sam nie zobaczę kopalni, ale jedno jest pewne: będziemy potrzebować wielu ludzi, więcej niż liczy łącznie załoga Caleba, Lascelle'a i moja. – Tu Royd popatrzył na braci i machnął ręką. – Ale o konkretach możemy pomówić później. Przede wszystkim musimy ustalić ogólny plan działań.

– Już coś wymyśliłeś – stwierdziła Isobel. – Podziel się tym z nami.

Zachęcony Royd wyjawił zarys swojego planu.

Nie zdziwiła go entuzjastyczna reakcja Roberta i Declana, lecz zapał ich pań sprawił, że niemal chciał się wycofać.

Wtedy jednak zauważył, że Isobel patrzy na niego znacząco, jakby czytała w jego myślach, i uznał, że bracia sami doskonale zaopiekują się swoimi towarzyszkami.

– Kiedy możemy wypłynąć? – spytała Isobel.

Wszyscy zwrócili oczy na Royda.

– Tak szybko, jak to tylko możliwe, czyli kiedy otrzymam rozkazy od Melville'a. Musi oficjalnie poprosić mnie o pomoc i dać mi pismo z pełnomocnictwem, czego nie będzie chciał zrobić... Polecić Deckerowi, żeby udzielił mi wszelkiej możliwej pomocy, to jedna sprawa, ale kazać wiceadmirałowi wykonywać moje rozkazy to coś zupełnie innego.

Robert uśmiechnął się cynicznie.

– Melville da ci wszystko, o co poprosisz.

Royd skłonił głowę i kontynuował:

– Poza rozprawieniem się z Melville'em i Wolverstone'em musimy się zastanowić nad kwestią wsparcia. Najprawdopodobniej będę musiał wezwać na pomoc jeszcze kilka osób, a to oznacza, że potrzebujemy co najmniej paru dni, żeby sprawdzić, kto jest wolny i gdzie obecnie przebywa.

– Lachlan to dość oczywisty wybór – stwierdził Declan.

– Sprawdziłem go już przed wyjazdem z Aberdeen. Przy odrobinie szczęścia powinien na dniach zawinąć do Bristolu.

– O kim jeszcze myślałeś? – spytał Robert. – Zamierzasz ściągnąć do pomocy kogoś spoza naszej floty czy...?

– Problem z zewnętrzną pomocą – skrzywił się Royd – polega na tym, że nie można być pewnym dowodzenia. Lascelle i Caleb współpracowali już wcześniej, więc nie przewiduję tu problemów. Ale inni? Wolałbym raczej trzymać się naszych kapitanów.

– Kit? – podsunął Declan.

Royd skinął głową, choć niechętnie.

– Ona i jej załoga najlepiej nadają się do wykonania jednego konkretnego zadania w całej operacji, więc owszem. Nie jestem pewien, czy dotrze do Bristolu na czas, żeby wyruszyć razem z Lachlanem, ale to nie ma znaczenia. Zawsze może nas dogonić nieco później.

Isobel wiedziała, o kim mowa: Kit Frobisher była w żeglarskim świecie jedyną kobietą, która dowodziła własnym statkiem. Robiła to już od ośmiu lat. Isobel spotkała ją kilka razy w dokach w Aberdeen i zawsze uważała ją oraz jej zdumiewająco bezpośredni stosunek do świata za absolutnie fascynujący.

Edwina popatrzyła znacząco na zegar na kominku, po czym oświadczyła:

– Już pora, żeby przebrać się do kolacji. Aileen i ja zaprowadzimy Isobel na górę i pokażemy jej pokój.

Podniosła się i trzej bracia natychmiast wstali. Aileen ochoczo podążyła w jej ślady. Isobel również chętnie wstała. Najwyższa pora, żeby lepiej poznać obie panie. Nieważne, jak się skończy sprawa między nią a Roydem. Edwina należała, a Aileen wkrótce miała należeć do rodziny

Frobisherów, były zatem ciotkami Duncana przez powinowactwo.

Nie licząc przyjaźni, która mogła je połączyć – bo najwyraźniej wszystkie trzy miały podobne charaktery – obie kobiety w przyszłości mogłyby stanowić dla Isobel duże wsparcie.

Edwina ruchem ręki przepuściła obie damy w drzwiach, po czym zwróciła się do mężczyzn:

– Panowie, kolacja o siódmej. Żadnego spóźniania.

Royd popatrzył za nią, gdy wychodziła z pokoju, i z trudem powstrzymał się, żeby nie pokręcić głową. Z tak żywiołową kobietą u boku Declan nigdy nie będzie panem we własnym domu...

Choć jeśli chodzi o żywiołowość, nikt nie mógł się równać z Isobel, nawet jej siejąca postrach babka.

Royd popatrzył na braci.

– Musimy zawiadomić Wolverstone’a i Melville’a, że dostaliśmy raporty Caleba. Im szybciej będę mógł się spotkać z Melville’em i wydobyć od niego potrzebne rozkazy, tym szybciej wyruszymy w podróż i uwolnimy tych ludzi.

– Chodźmy do biblioteki – powiedział Declan. – Tam możesz napisać wiadomość dla Wolverstone’a.

Royd szybko ułożył list do księcia, podkreślając potrzebę natychmiastowego spotkania i rozbudzając jego ciekawość wzmianką o otrzymanych informacjach. Gdy tylko notka została wysłana za pośrednictwem starszego lokaja, Royd przygotował się na nieuniknione pytania.

Zaczęły się natychmiast po zamknięciu drzwi za posłańcem.

– Co, u licha, robi tu Isobel? – spytał Robert.

– Szuka swojej kuzynki Katherine Fortescue – odparł Royd jak najspokojniej i streścił historię Katherine. – Kiedy Isobel i Iona dowiedziały się o jej zaginięciu, Isobel odwołała się do łączących nas dawniej relacji, żeby poprosić, abym zabrał ją do Freetown. A że sam akurat dostałem wezwanie od Wolverstone'a... przypłynęliśmy tu razem.

Obaj bracia milczeli, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć.

Wreszcie Robert prychnął.

– W takim razie dobrze się składa, że Caleb poznał Katherine i donosi, że jest cała i zdrowa... A w każdym razie na tyle, na ile to możliwe w takich okolicznościach.

Royd pokiwał głową.

– I teraz Isobel już wie, gdzie znajduje się jej kuzynka.

Declan wbił w niego spojrzenie – Royd nie był pewien, czy przerażone, czy też zdumione.

– Chyba nie zamierzasz zabrać Isobel do dżungli? Do kopalni?

– A sądzisz, że byłbym w stanie ją powstrzymać? Albo że jestem na tyle głupi, żeby marnować czas i energię na takie próby? Teraz, kiedy Isobel wie, że jej kuzynka znajduje się na terenie tej kopalni, nie odstąpi mnie na krok.

I to nie tylko z powodu Katherine, ale też z innych względów, o których jego bracia nie musieli teraz wiedzieć.

Zresztą zdaniem Royda zamiast martwić się o Isobel, powinni zatroszczyć się o swoje damy.

Poszedłby o zakład, że w tej chwili wszystkie panie wymieniają się poufnymi informacjami. I bardzo wątpił, by Edwina i Aileen zgodziły się pozostać w Londynie, kiedy się dowiedzą, że Isobel ma popłynąć z nim do Freetown, a nawet wyruszyć do dżungli i na teren kopalni. Sądząc po ich reakcji na jego plan, one również były oddane sprawie i ze wszystkich sił pragnęły, żeby porwani odzyskali wolność, a sprawiedliwości stało się zadość. Royd co prawda poznał Edwinę już jakiś czas temu, ale to były spotkania towarzyskie. Teraz, kiedy dowiedział się o jej wkładzie w misję Declana, utwierdził się w przekonaniu, że Edwinę i Isobel mimo pewnych różnic wiele łączy. Aileen Hopkins należała chyba do tego samego typu kobiet.

Co oznaczało, że ostatni etap misji będzie niezwykle ciekawym doświadczeniem dla wszystkich trzech Frobisherów. Royd życzył Robertowi i Declanowi powodzenia. Sam będzie wystarczająco zajęty dowodzeniem operacją i radzeniem sobie z Isobel.

Żaden z braci nie miał już nic do powiedzenia na temat panny Carmichael. Royd wiedział, że ich troska brała się w dużej mierze z chęci wspierania go i – owszem – obrony przed kobietą, która bezlitośnie nim wzgardziła, lecz przecież nie wiedzieli, co się między nimi wydarzyło. I Royd wcale nie miał ochoty im tego tłumaczyć. Czas na objaśnienia – w tym informację o Duncanie – jeszcze nie nadszedł.

– Jest coś jeszcze... – Declan rzucił Roydowi zaciekawione spojrzenie. – Nie wydajesz się specjalnie przejęty tym, że Caleb samowolnie wziął sprawy w swoje ręce.

Royd wzruszył ramionami.

– Skoro już dowiedział się o misji, bardzo bym się zdziwił, gdyby tego nie zrobił. I ten jeden raz wygląda na to, że zachowuje się odpowiedzialnie, jak przystało na dowódcę.

– Masz na myśli to, jak rozprawił się z Kale'em i jego szajką? – parsknął Robert.

– To było śmiałe zagranie, ale strategicznie bardzo słuszne. – Na miejscu Caleba Royd niemal na pewno postąpiłby tak samo. – A sądząc po informacjach od Lascelle'a, działanie Caleba było zarówno zdecydowane, jak i przezorne. Zanim ruszył do akcji, zabezpieczył się na wszelką ewentualność. – Royd wzruszył ramionami. – Nasz braciszek wreszcie zaczął dorastać. – Jego usta drgnęły w uśmiechu. – I chwała Bogu.

– Amen – mruknął Declan.

Robert nadal wydawał się nieprzekonany.

Lecz Royd czekał na taką właśnie oznakę dojrzałości ze strony Caleba. Był wielce zadowolony, że jego wiara w najmłodszego brata okazała się uzasadniona.

Robert spojrzał na zegarek.

– Edwina mówiła, że jemy o siódmej, prawda?

Było tuż po szóstej.

Declan westchnął i wstał.

– Pora przyczesać czupryny.

Było to ich stare powiedzonko z dzieciństwa.

Royd uśmiechnął się szeroko i ruszył za braćmi na piętro.

***

Rozmowa podczas kolacji okazała się bardzo interesująca. Siedząc pomiędzy Edwiną a Roydem, Isobel jadła, słuchała i się uczyła.

Nie dziwiły jej badawcze spojrzenia Roberta i Declana, kiedy myśleli, że tego nie widzi. Obaj znali jej – i Royda – temperament na tyle, by nie wypytywać jej otwarcie, ale najwyraźniej zastanawiali się, co się dzieje między nią a ich bratem. Udawanie, że nie dostrzega ich ciekawości, sprawiało Isobel pewną przyjemność.

Tak jak się spodziewała, dobrze się dogadywała z Edwiną i Aileen. Zaprowadziły ją razem do pokoju, który dla niej przeznaczono. Sypialnia Edwiny i Declana znajdowała się po lewej stronie saloniku naprzeciwko schodów, a pokoje Aileen i Roberta – w korytarzu na prawo. Sypialnia, do której Edwina pokierowała Isobel, położona była z drugiej strony i miała piękny widok na ogród. Royd dostał pokój obok niej. Isobel nie zareagowała na tę informację.

Edwina usiadła w fotelu przy kominku, Aileen na siedzisku pod oknem, i zaczęły rozmawiać o misji, pogodzie, jakiej mogły się spodziewać w Afryce, i konieczności rozpoczęcia przygotowań do podróży.

Isobel w tym czasie kręciła się po pokoju i sprawdzała, gdzie położono jej rzeczy. Przysłuchując się rozmowie, nie potrafiła zachować powagi. Miała mocne podejrzenie, że zapatrywania Roberta i Declana na udział ich pań w misji

będą znacznie odbiegać od poglądów samych zainteresowanych.

Wreszcie Edwina stwierdziła, że pora się przebrać, i wstała z fotela, podpierając się mocno rękami. Dopiero ten charakterystyczny ruch uświadomił Isobel, że jej gospodyni jest brzemienna. Do tej pory krój sukni maskował jej stan.

– Piąty miesiąc – potwierdziła Edwina z uśmiechem. – Ale czuję się doskonale, a skoro nic mi nie dolegało w drodze powrotnej z Freetown, to wątpię, aby cokolwiek groziło mi teraz. – Kiwnęła głową w kierunku panny Hopkins. – Podejrzewamy, że i Aileen spodziewa się dziecka, ale postanowiła nie mówić jeszcze o tym Robertowi.

– Na pewno zacząłby mnie traktować jak lalkę z porcelany, którą z całą pewnością nie jestem – rzekła Aileen z wojowniczym błyskiem w oczach. – Żadna siła na ziemi nie powstrzyma mnie przed udaniem się do tej kopalni i odnalezieniem Willa.

Isobel przygryzła wargę, powstrzymując się przed uwagą, że ona też nie przejmowała się zbytnio ograniczeniami wynikającymi z ciąży, w każdym razie aż do czasu, gdy zrobiła się za ciężka, żeby swobodnie się poruszać. Całe szczęście, że Duncan, jak przystało na rozsądne dziecko, postanowił się zjawić zaledwie dwa tygodnie później.

Isobel wychowała się w stałym towarzystwie kobiet – rozmaitych kuzynek i innych, które Iona wzięła pod swoje skrzydła. Znała wiele dam, które uznawała za swoje przyjaciółki, lecz żadna z nich nie miała takiej swobody jak ona, żeby samej decydować o własnym życiu.

Nie była pewna, dlaczego dano jej tyle wolności. Na pewno kluczowe znaczenie miał tu fakt, że była jedynym dzieckiem Jamesa Carmichaela. Ale gdyby sama nie skorzystała z możliwości, jakie dawała jej życiowa pozycja – gdyby nie była chłopczycą i nie biegała po stoczni w towarzystwie Royda Frobishera, nigdy nie uzyskałaby tak ogromnej swobody, jaką się teraz cieszyła.

Było to coś, nad czym musiała się zastanowić. Czy jeśli zwiąże się z Roydem, zmieni to coś znacząco w jej pracy i sposobie życia?

Dotarli do ostatniego dania.

– Poznałam już klimat Freetown i tym razem muszę się lepiej przyjrzeć swojej garderobie – powiedziała Edwina, zjadając winogrono.

Isobel poczęstowała się orzechami i podała półmisek Roydowi.

– Podczas drogi przez dżunglę bardzo się cieszyłam ze swoich półbutów – stwierdziła Aileen. – A choć kapelusze przydają się w mieście, a już na pewno kiedy chodzi się na piechotę w słońcu, to w dżungli naprawdę są bezużyteczne. Drzewa zatrzymują niemal całe światło. – Zwróciła spojrzenie na Roberta. – Z opisów Caleba i Lascelle’a wynika, że kopalnia jest położona w głębi lasu, a zabudowania przypominają obóz Kale’a.

Robert przytaknął niechętnie. Po chwili dodał:

– W dżungli panuje ogromny upał i duchota. Naprawdę nie ma potrzeby, żebyście się tam zapuszczały. Na pokładzie statku będzie o wiele chłodniej.

– Och, nie. – Aileen popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Zdecydowanie muszę udać się do kopalni. Pomijając już Willa, nie mogłabym sobie wybaczyć, gdybym nie sprawdziła, co z tamtymi czterema chłopcami i dziewczynką. Zmuszona byłam pogodzić się z tym, że ich uprowadzono, ale nie zaznam spokoju, dopóki na własne oczy się nie przekonam, że nic im nie jest. Muszę tam być, kiedy będziemy je uwalniać. Na pewno to rozumiesz.

Robert zacisnął usta, po czym bez słowa skłonił głowę, rozsądnie rezygnując z dyskusji.

Wygrawszy potyczkę, Aileen ochoczo wróciła do obierania figi.

Declan popatrzył przez stół na swoją delikatną, przypominającą elfa żonę. Zawahał się, lecz widać było, że musi o to zapytać:

– Czy to znaczy, że i ty zamierzasz ruszyć do kopalni pomimo... – Kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że chodzi o jej brzemienny stan.

– Ależ oczywiście! – odparła Edwina z szerokim uśmiechem. – Przecież spodziewam się tylko dziecka. Kobiety rodzą dzieci od tysiącleci. Nawet doktor Halliwell powiedział, że wolno mi spacerować, ile zechcę, a wręcz mi to zalecał.

– Wątpię, czy chodziło mu o afrykańską dżunglę – burknął Declan.

– Może i nie, ale w Ridgware przywykłam chodzić na wielomilowe spacery i nawet w Aberdeen wybierałam się na wrzosowiska, więc o ile tylko będę uważać, żeby się nie

przemęczać, wszystko pójdzie dobrze. Poza tym – dodała ze stanowczością w głosie – chyba nie chciałbyś, żebym akurat teraz pożałowała, że noszę w sobie nasze pierworodne dziecko, prawda?

Royd stłumił prychnięcie.

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekł Declan, poruszając się niespokojnie na krześle, i skupił się na obieraniu gruszki.

Wkrótce potem Edwina w doskonałym humorze wstała od stołu i towarzystwo przeniosło się do salonu. Pokój sprawiał miłe wrażenie. Roydowi podobał się gust bratowej, która wyraźnie kierowała się bardziej wygodą niż najnowszymi trendami mody.

Wszyscy rozsiedli się wygodnie, zrelaksowani i swobodni. Isobel spytała Edwinę, czy na następne dni ma zaplanowane jakieś wydarzenia towarzyskie, i rozmowa przeszła na bardziej ogólne tematy.

Robert planował w drodze powrotnej z Afryki odwiedzić rodzinę Aileen w Scarborough. Royd wypytywał pannę Hopkins o jej braci, co skierowało rozmowę na sytuację w obu Amerykach. Lecz jego uwaga koncentrowała się głównie na Isobel. Słuchał uważnie jej opinii. Wiedziała o branży transportowej niemal tyle samo co on.

Rozległ się dzwonek u drzwi, a kilka minut później do pokoju wszedł kamerdyner Humphrey. W ręce niósł srebrną tacę, na której leżały nożyk do korespondencji oraz biała koperta. Przystanął obok fotela Royda.

– Do pana, panie kapitanie.

Royd sięgnął po kopertę, popatrzył na pismo i usiadł prosto.

– To od Wolverstone’a. – Rozciął kopertę i odłożył nożyk na tacę. – Dziękuję, Humphrey.

Kamerdyner ukłonił się i odszedł.

Royd wyjął z koperty kartkę. Rozłożył ją i przeczytał.

– No i? – spytał Robert.

– Jutro o drugiej mamy spotkanie z Melville’em w Wolverstone House. Wygląda na to, że Melville nie jest w stanie wyrwać się wcześniej z admiralicji.

– Wyśmienicie! – Edwina popatrzyła na Isobel i Aileen. – To oznacza, że mamy cały ranek na przygotowania.

Widać było, że między trzema paniami szybko nawiązywała się więź, która mogła uczynić z nich liczące się wsparcie podczas wyprawy. Royd wiedział, jaką siłę potrafi mieć grupa kobiet – wystarczyło spojrzeć na babcię Isobel i jej żeński klan.

Czuł dziwne zadowolenie. Wszystko, co wiązało Isobel z jego rodziną, było korzystne.

Rozparł się w fotelu i uśmiechnął do Edwiny. Coraz bardziej lubił swoją bratową.

Dwa

Następnego dnia wczesnym popołudniem Isobel siedziała na eleganckiej sofie w dużym salonie Wolverstone House. Obok niej spoczywała Minerva, księżna Wolverstone, która również chciała wysłuchać raportu Caleba. Isobel zdziwiła się nieco – nie sądziła, że pełna spokoju księżna, zaledwie kilka lat starsza od niej, może być zaangażowana w intrygi swojego potężnego małżonka.

Sądząc jednak po stosunku Edwiny do Minervy, obie miały podobne zapatrywania na rolę żony w życiu męża. Isobel nieoczekiwanie poczuła się o wiele bardziej swobodnie. Edwina przedstawiła ją książęcej parze, bez skrępowania tłumacząc, że Isobel pochodzi z Aberdeen i żegluje z Roydem do Freetown w poszukiwaniu kuzynki, która należy do grupy więźniów przetrzymywanych w kopalni. Zarówno książę, jak i księżna zdawali się w pełni akceptować to wyjaśnienie, choć Isobel zauważyła, że Minerva rzuciła w kierunku Royda spojrzenie pełne namysłu.

Royd siedział teraz na krześle po prawej stronie Isobel; Edwina usiadła po drugiej stronie Minervy, a Declan, Robert i Aileen zajęli sofę naprzeciwko.

Dwaj najważniejsi uczestnicy spotkania siedzieli w fotelach przy kominku. Wolverstone’a cechowały spokój

i powściągliwość, które wręcz wytrącały przeciwników z równowagi. Miał ciemne włosy, ciemne oczy i jasną cerę.

W przeciwieństwie do niego Melville był łysiejącym, korpulentnym mężczyzną, na którym ubrania ledwo się dopinały. Cały czas wiercił się z przejęciem, a jego pulchne dłonie rzadko zastygały w bezruchu. Miał chorobliwie bladą karnację człowieka, który nigdy nie wychodzi na zewnątrz. Pomimo szlachetnego rodowodu jego rysy były wręcz pospolite. Isobel miała wrażenie, że w pozbawionych blasku brązowych oczach wicehrabiego dostrzega zaszczucie.

Royd właśnie streszczał Melville'owi, Wolverstone'owi i Minervie raport Caleba.

– Te informacje – zakończył – w połączeniu z raportami Dixona i Hillsythe'a umożliwią nam odbicie kopalni.

Wolverstone pokiwał głową znad dłoni złożonych w piramidkę. Nie odrywał wzroku od Royda, lecz kiedy się odezwał, Isobel odniosła wrażenie, że zwraca się do Melville'a.

– Aby zakończyć sprawę raz na zawsze, musimy osiągnąć trzy cele. Po pierwsze uratować więźniów i zapewnić im bezpieczny powrót do Freetown oraz wszelkie możliwe odszkodowania. Po drugie zamknąć kopalnię i dopilnować, żeby żadne takie przedsięwzięcie nie było już możliwe w przyszłości. To będzie wymagać zmian we władzach kolonii i zewnętrznego nadzoru, ale tym można się zająć później. Po trzecie trzeba schwytać wszystkich uwikłanych w ten proceder, czyli trzech miejscowych instygatorów oraz ich tajemniczych sponsorów. – Tu książę wreszcie popatrzył

na Pierwszego Lorda i jego głos stwardniał. – Wszyscy chyba się zgadzamy, że sponsorzy to prawie na pewno Anglicy i to o takiej pozycji, że ich zdemaskowanie wywoła skandal. W związku z tym koniecznie musimy zgromadzić wystarczająco dużo dowodów, żeby postawić ich przed sądem. Sama identyfikacja nie wystarczy, żeby ich skazać, a jeśli zostaną uniewinnieni, lud będzie się burzył.

Melville zrobił minę, którą można by nazwać niemal naburmuszoną. Nerwowo skubał rękaw. Kiedy Wolverstone znowu przemówił, jego głos brzmiał nieco łagodniej.

– Moim zdaniem najlepsze rozwiązanie to dać kapitanowi Frobisherowi wszystko, czego potrzebuje do wykonania misji.

– Tak, tak. – Melville się skrzywił i machnął z irytacją ręką. – Wszystko, czego potrzebuje. Musimy zakończyć wreszcie tę sprawę, złapać tych przeklętych sponsorów i zdobyć dostateczne dowody, żeby ich skazać, zanim dowiedzą się o tym ci piekielni dziennikarze.

Royd wymienił spojrzenia z Wolverstone’em, po czym rzekł spokojnie do Pierwszego Lorda:

– Potrzebuję, żeby wydał pan rozkazy Deckerowi.

Na twarzy Melville’a ukazał się wyraz niezrozumienia.

– Wystawiłem już list pana bratu – oznajmił wicehrabia, kiwając głową w stronę Declana.

– Ten list zatrzymał na wszelki wypadek Caleb. W tych okolicznościach była to słuszna decyzja. Ale nawet gdyby go nam odesłał, to by nie wystarczyło. – Royd popatrzył Melville’owi w oczy. – Nie mówię o liście, który zobowiąże

Deckera do udzielenia mi pomocy. Potrzebuję pełnomocnictwa, które każe wiceadmirałowi wykonywać moje rozkazy. Jeśli mam wypełnić tę misję, muszę wydawać mu polecenia, nie martwiąc się o to, czy je spełni.

Melville wyraźnie był zszokowany.

– Prosi pan, żebym dał mu, kaperowi, dowodzenie nad eskadrą marynarki? Nad wiceadmirałem?

– Zgadza się.

Melville prychnął z oburzeniem, lecz Royd mówił dalej:

– Muszę mieć możliwość wydawania Deckerowi rozkazów, nie martwiąc się o to, czy je wykona. Jeśli tego nie zrobi, jeśli choćby się zawaha, sukces całej misji stanie pod znakiem zapytania.

Wicehrabia zerknął na Wolverstone'a. Książę odpowiedział spokojnym spojrzeniem i uniósł brew, jakby pytając: A czego się spodziewałeś?

Melville spuścił wzrok i wreszcie mruknął, spoglądając z ukosa na Royda:

– Dobrze więc. Tego wieczoru każę przygotować i przesłać rozkazy. Na Stanhope Street, zgadza się?

– Numer dwadzieścia sześć – potwierdził Declan.

– Może jeszcze jakieś życzenia? – spytał sarkastycznie Melville.

– Będzie mi potrzebny podobny list z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zagwarantuje współpracę ze strony gubernatora Holbrooka, i jeszcze jeden z Ministerstwa Wojny do dowódcy Fortu Thornton. Proszę jednak nie pisać

zbyt szczegółowo. Musimy móc zachować elastyczność działania.

Melville aż otworzył usta ze zdumienia. Znowu popatrzył na Wolverstone’a i znowu nie dostał od niego żadnego wsparcia. Prychnął, pokręcił się trochę i w końcu niechętnie kiwnął głową.

– Kiedy wypływacie? – spytał Wolverstone.

– „Korsarz” powinien był dopłynąć do Southampton dziś rano. Na pewno w tej chwili uzupełniają zapasy. Kiedy statek będzie gotowy, stanie dalej na wodach portu, a wtedy „Trójząb” i „Kormoran” również będą mogły dobić do kei i się zaopatrzyć. Jutro prześlemy rozkazy. Potem zaś... będzie nam potrzebny jeszcze jeden dzień, żeby rozesłać dalsze dyspozycje i zakończyć przygotowania. – Royd popatrzył na Wolverstone’a. – Potrzebuję wsparcia jeszcze co najmniej dwóch innych statków z naszej floty. Razem pięć jednostek, które dołączą do Caleba i Lascelle’a. W tej chwili zakładam, że wyruszymy w poniedziałek rano.

– W poniedziałek? – burknął Melville. – Sprawa jest pilna. Nie może pan wyruszyć wcześniej?

– Owszem – odparł spokojnie Royd – ale „Korsarz” i tak jest szybszy od innych statków, więc nie ma sensu, żeby wypływał przed nimi. Po przekazaniu poleceń Deckerowi musiałbym zadekować się gdzieś w okolicy Freetown i czekać, aż pozostali mnie dogonią, zanim zapuszczę się dalej w deltę. A im dłużej by to trwało, tym większe ryzyko, że jeden z instygatorów dowie się o naszej obecności i domyśli się naszych zamiarów. Robert i Declan muszą

dopłynąć do Freetown zaraz po mnie, żeby zająć się Deckerem. Najlepiej więc, jeśli wszyscy wypłyniemy tego samego dnia.

– No dobrze. – Melville zrobił niezadowoloną minę i dodał dość agresywnym tonem: – Bardziej mnie obchodzi, kiedy wrócicie. Kiedy mogę oczekiwać zakończenia sprawy?

Royd przez kilka sekund patrzył mu w oczy, po czym stwierdził:

– Sprawa zakończy się wtedy, gdy sponsorzy znajdą się w naszych rękach wraz z dostatecznymi dowodami, żeby posłać ich na szubienicę.

Na tym spotkanie się skończyło. Melville wyszedł jako pierwszy.

– Jak widzieliście, ta sprawa bardzo szarpie nerwy Pierwszego Lorda – rzekł cicho Wolverstone, odprowadzając Royda i Isobel do drzwi. – Od początku wiedział, że to wielkie zagrożenie dla stabilności rządu, dlatego właśnie poprosił mnie o pomoc. Może burzy się i dąsa, ale ma dobrą intuicję. Nie spodziewał się jednak, że sprawa urośnie do takich rozmiarów.

Isobel spojrzała na księcia.

– To znaczy do jakich?

Wolverstone zwolnił, więc oni również przystanęli.

– Nie chodzi tylko o ten przypadek. Nakłada się na to jeszcze zeszłoroczna porażka w sprawie kultu Czarnej Kobry. Co prawda Czarnej Kobrze i jej wspólnikom wymierzono w końcu sprawiedliwość, lecz ten incydent miał poważne reperkusje. Rząd z trudem utrzymuje

porządek. Król ostentacyjnie rozrzuca pieniądze, podczas gdy skarbiec świeci pustkami i kraj do tej pory nie otrząsnął się z zapaści po wojnie. Na to nakładają się teraz żądania reparacji ze strony kilku kolonii za szkody wyrządzone przez kult Czarnej Kobry. To wszystko rozbudziło nastroje antyrządowe. W odpowiedzi rząd obiecał solennie, że nie dopuści, aby taka sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła... I nagle to. – Wolverstone przerwał i wszyscy troje znowu ruszyli do drzwi. – Jedyne, co nas ratuje, to że gazety o niczym jeszcze nie wiedzą. Jeśli uda nam się rozwiązać problem we Freetown i skazać sponsorów, zapobiegnie to skandalowi i dowiedzie, że rząd jest zdecydowany podejmować wszelkie działania przeciwko członkom elit, którzy uważają, że są ponad prawem.

– A czy rząd faktycznie jest na to zdecydowany? – spytał cierpko Royd, zatrzymując się w progu.

Usta Wolverstone’a wykrzywiły się w cynicznym uśmiechu.

– Na razie tak. Cieszmy się tym, dopóki to trwa.

Royd prychnął.

***

Postanowili wrócić na Stanhope Street piechotą. Isobel cieszyła się z możliwości rozprostowania nóg i odetchnięcia świeżym powietrzem. Co prawda miejskie zapachy, tłok i wieczny hałas to nie świeża morska bryza i delikatny szum

fal, lecz wcale jej to nie przeszkadzało – wszak przywykła do odgłosów stoczni i woni smoły, trocin oraz lakieru.

Zanim skręcili z South Audley Street w Stanhope, usłyszała dość komentarzy ze strony Edwiny i Aileen, aby rozumieć, skąd brał się wyraz rezygnacji na twarzach Roberta i Declana. Obaj bracia chyba w końcu pogodzili się z faktem, że ich damy popłyną razem z nimi. Isobel nie była jednak pewna, jak zapatrują się na ciąg dalszy, już po dotarciu do Freetown, lecz nie miała wątpliwości, że w razie konfliktu Edwina i Aileen postawią na swoim.

Royd również obserwował pozostałe dwie pary. Wiedział, że jego bracia mają nadzieję, iż uda im się przekonać panie do pozostania we Freetown, podczas gdy sami ruszą ze swoimi ludźmi do dżungli, lecz nie sądził, żeby im się to udało. Nic jednak nie mówił.

Nie tak dawno sam najgoręcej protestowałby przeciwko pozwalaniu kobietom na narażanie się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Ale nie tym razem. Nie z Isobel.

Cała jego przyszłość mogła przecież zależeć od tego, czy pozwoli Isobel wziąć udział w tej akcji jak równej sobie.

Kiedy wrócili do domu, rzekł do braci:

– Teraz, gdy mamy zgodę Melville’a, musimy rozesłać wszystkie dyspozycje i zastanowić się, czego jeszcze możemy potrzebować.

Tamci pokiwali głowami i ruszyli za nim do biblioteki, gdzie wypisali szczegółowe polecenia dla swoich zastępców. Declan poprosił już Humphreya o wezwanie dwóch posłańców. Gdy tylko rozkazy były gotowe, zapieczętowali

je i wysłali do biur spółki Frobisher i Synowie w Southampton oraz Bristolu. Uporawszy się z tym najważniejszym elementem przygotowań, zajęli się dopracowaniem list ludzi, zaopatrzenia, uzbrojenia i amunicji, które ułożyli wstępnie poprzedniego popołudnia i dzisiejszego ranka.

***

Royd wrócił na górę, żeby przebrać się do kolacji. Dało mu to okazję, aby spędzić w samotności kilka minut i jeszcze raz przemyśleć swoje plany – nie tylko te związane z misją...

Słyszał, jak Isobel kręci się w sąsiednim pokoju. Szybko doszedł do wniosku, że powinien dalej postępować tak jak teraz. Najlepszy sposób na ponowne zdobycie jej serca i przekonanie, żeby została jego żoną, to traktować ją tak, jakby to już się stało.

Isobel sama mimowolnie wchodziła w tę rolę, a im bardziej się z nią oswajała i im swobodniej się w niej czuła, tym lepiej.

Świetnie to działało w sferze towarzyskiej i codziennym życiu, lecz pozostała jeszcze jedna kwestia, której jak dotąd żadne z nich nie poruszyło.

Przypinając złotą spinką świeżą krawatkę, Royd przypomniał sobie, jak sytuacja wyglądała poprzednim razem.

Nigdy właściwie nie zalecał się do Isobel. Nigdy nie próbował jej uwieść. To, że się do siebie zbliżyli, było tak

naturalne jak fakt, że deszcz spada z nieba – ani on, ani ona nie podejmowali w tym celu świadomych działań.

– Ale to było wtedy – powiedział cicho Royd, patrząc na swoje odbicie – a teraz jest inaczej.

Isobel obserwowała każdy jego ruch i pilnie się wystrzegała jakiegokolwiek zbliżenia.

Royd uśmiechnął się do siebie. Czekały ich jeszcze dwie noce i jeden dzień w Londynie. Potem wrócą na pokład „Korsarza”, gdzie z uwagi i na otoczenie, i na obecność ich syna warunki będą o wiele mniej sprzyjające. Najlepiej wziąć się do tego już teraz.

***

Isobel natychmiast wyczuła zmianę w zachowaniu Royda. W jego szarych oczach z powrotem pojawił się dziwny błysk.

Gdyby miała choć odrobinę rozsądku, natychmiast wycofałaby się za mur wyniosłej, lodowatej uprzejmości, za którym Royd nie zdołałby jej dosięgnąć. Nie miała z tym najmniejszego problemu, kiedy chodziło o każdego innego mężczyznę.

Z Roydem jednak... Zawsze miał w sobie coś, czemu Isobel nie potrafiła się oprzeć.

Nawet wiedząc, czym to grozi.

Od początku wiedziała, do czego zmierzał. Czy naprawdę chciała znowu otwierać ten rozdział?

Ku swojemu zdumieniu nie potrafiła udzielić sobie na to pytanie jasnej odpowiedzi.

Tymczasem pozwoliła, aby Royd zaprowadził ją do jadalni. Oczywiście nie było w tym niczego zaskakującego – pozostałe dwie pary ruszyły przodem, a oni szli na końcu, jak poprzedniego wieczoru. Lecz tym razem Royd nakrył drugą ręką jej palce spoczywające na jego ramieniu i przesunął kciukiem po wrażliwej skórze.

Isobel wstrzymała na chwilę oddech. Jej serce zabiło odrobinę szybciej.

Doszli do stołu i Royd puścił jej rękę. Gestem kazał odejść lokajowi i sam podsunął krzesło swojej towarzyszce. Isobel usiadła, a on zajął miejsce obok niej.

Jego palce musnęły przy tym jej nagie ramię, przesuwając się lekko do karku.

Isobel z najwyższym trudem powstrzymała się przed drżeniem.

Kiedy Royd usiadł, wolno odwróciła głowę w jego stronę, a potem się uśmiechnęła.

I poszli w tan. Bo naprawdę był to swego rodzaju taniec, w którym ich dłonie i spojrzenia, tylko pozornie niewinne, od czasu do czasu się spotykały.

Isobel już zapomniała, jak prowokujące potrafią być takie zwykłe dotknięcia, jak bardzo budzą zmysły. Z trudem skupiała się na rozmowie.

Lecz ostatecznie poradziła sobie całkiem nieźle.

Może i miała kłopot, żeby odpowiedzieć na kilka pytań ze strony Edwiny i Aileen, za to kiedy przeszli do salonu, musnęła palcami nadgarstek Royda, odbierając z jego rąk

filiżankę z herbatą, i to sprawiło, że Frobisher nie usłyszał pytania Roberta i ten musiał je powtórzyć.

Dopiero dopijając herbatę, Isobel zaczęła się zastanawiać, dlaczego Royd postanowił rozpocząć tę grę właśnie teraz.

Wszyscy udali się do pokojów o tej samej porze. Panie weszły na piętro jako pierwsze, a panowie podążyli za nimi.

Na górze towarzystwo podzieliło się na pary. Declan i Edwina weszli do swojej sypialni i zamknęli drzwi. Isobel z udawaną nonszalancją skierowała się do swojego pokoju.

Royd deptał jej po piętach.

Włosy Isobel były wysoko upięte i dziewczyna czuła na odsłoniętym karku oddech dawnego kochanka. Dotarła do drzwi i odwróciła się, żeby stawić mu czoła.

Royd przystanął dosłownie o krok od niej – tak blisko, że musiała odchylić głowę, aby móc spojrzeć mu w oczy.

W mroku korytarza sprawiał wrażenie drapieżnika.

Patrzył na nią przez kilka sekund, po czym spuścił wzrok na jej usta.

Isobel mimowolnie oblizała dolną wargę.

Royd ujął ją za ręce i przysunął się z gracją tancerza, przypierając Isobel do drzwi.

Dał jej mnóstwo czasu, gdyby chciała się wycofać.

Ale oczywiście tego nie zrobiła. Na tym polegał jej problem z Roydem – dokądkolwiek ją prowadził, musiała za nim podążyć.

Zawsze.

Royd nachylił głowę i ich usta się spotkały.

Boże, jak jej tego brakowało! Jak za tym tęskniła. Rozchyliła wargi i Royd wsunął w nie język.

Ścisnęła jego dłonie i odpowiedziała tym samym.

Jakże to proste. I nigdy nie było inaczej: w tych sprawach, jak we wszystkich innych, zawsze współpracowali niczym jeden organizm.

Isobel nie potrafiła się odsunąć. Oboje czuli, jak narasta w nich pożądanie.

Royd już zapomniał, jaką rozkoszą może być zwykły pocałunek. Nie spodziewał się, że dawna namiętność rozkwitnie tak szybko.

Zamierzał tylko pocałować Isobel, pobudzić jej zmysły, lecz nie potrafił przerwać, zrezygnować z obietnicy zawartej w tej pierwszej od ośmiu długich lat pieszczocie.

Obudził się w nim głód, nad którym Royd nie miał żadnej kontroli.

Zaczęli się całować mocniej, z większym zapamiętaniem.

Royd sięgał już po klamkę drzwi do pokoju Isobel, kiedy nagle przez jego pożądanie przebił się głosu rozsądku.

Jeszcze nie. Jeszcze nie!

Sprawy toczyły się za szybko.

Podniósł głowę.

Popatrzył na Isobel, czekając, aż jej powieki uniosą się i odsłonią ciemne, lśniące oczy.

Spojrzała na niego. Słowa były niepotrzebne; oboje zdawali sobie sprawę, co im grozi, jeśli zapomną się choćby na chwilę, jeśli zwycięży w nich pożądanie.

Dawniej nie miało to znaczenia, teraz jednak, po latach konfliktu, coś takiego groziło poważnymi konsekwencjami.

Owszem, Royd mógłby nalegać, a Isobel by ustąpiła. Ale było na to za wcześnie, zbyt wiele kwestii musieli jeszcze rozstrzygnąć. Na pewno w ten sposób nie odzyskałby jej zaufania.

Puścił dłonie Isobel i nieco się odsunął.

Ona odchyliła głowę i wpatrywała się w niego, próbując odczytać jego myśli. Sięgnęła po omacku do klamki i nacisnęła ją. Patrzyła na niego jeszcze przez krótką chwilę, po czym weszła tyłem do pokoju.

Royd natychmiast zatęsknił za ciepłem jej ciała. Zacisnął dłonie, żeby nie sięgnąć w jej stronę.

Mógłby przysiąc, że Isobel doskonale wie, co się dzieje w jego głowie.

Uśmiechnęła się i cicho zamknęła drzwi sypialni, do ostatniego momentu nie odrywając od niego wzroku.

Royd odetchnął głęboko, po czym odwrócił się i poszedł do swojego pokoju.

Jego spojrzenie padło na puste łoże, które zdawało się z niego szydzić.

Z cierpką miną zsunął z siebie frak.

Bardzo wątpił, czy zazna dziś snu.

Trzy

– Przypływ kończy się jutro po południu – rzekł Royd.

Jadł śniadanie bez apetytu. Miał za sobą okropną noc, a kiedy wreszcie udało mu się zasnąć, męczyły go zmysłowe sny.

Pomyśleć, że jakaś kobieta potrafiła aż tak namieszać mu w głowie!

– Czy powinniśmy wyjechać z Londynu już dzisiaj? – spytała Edwina. – Czy też wystarczy jutro rano?

Bracia popatrzyli na siebie i Robert ze wzruszeniem ramion stwierdził:

– Nie widzę powodu, żebyśmy wyjeżdżali już dzisiaj. Załogi potrafią sobie poradzić, a nasza obecność nie przyspieszy zaopatrywania statków.

– Ja też głosuję za tym, żeby zostać do jutra – rzekł Declan. – Możemy wyruszyć tak wcześnie, jak tylko będziesz chciał – rzucił w stronę Royda.

Isobel była rozdarta: nigdy nie spędziła tak dużo czasu z dala od Duncana, a jednocześnie nie miała wątpliwości, że chłopiec doskonale się bawi. Dziś czy jutro – nie sprawi mu to żadnej różnicy.

Pozostali także opowiadali się za późniejszym wyjazdem. W pewnym momencie Isobel poczuła na sobie pytające spojrzenie Royda. Zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

– W takim razie jutro – rzekła.

Royd popatrzył na Declana.

– Zgoda, ale zamówmy szybkie powozy.

– Każę Humphreyowi się tym zająć. Możesz uznać sprawę za załatwioną.

Robert przeglądał właśnie listę, którą położył obok siebie na stole.

– Sprawdzałem, ilu mamy ludzi. Zdecydowanie potrzebna nam będzie załoga Lachlana i kilka osób od Kit. Jak sądzisz, Royd, kiedy będą mogli wypłynąć?

– Kazałem im zaopatrzyć się w bristolskich magazynach i ruszyć prosto na południe. Nie powinni pozostać daleko w tyle za „Trójzębem”. Przy stałych wiatrach „Kormoran” dopłynie do Freetown jako drugi po „Korsarzu”.

Wszyscy skończyli już jeść, więc Edwina odsunęła krzesło i wstała.

– Przenieśmy się do salonu. Tam możemy wygodnie usiąść i omówić wszystko krok po kroku, a tymczasem służba sprzątnie ze stołu.

Towarzystwo postąpiło zgodnie z tą sugestią. W salonie Royd stanął przed kominkiem, zakładając ręce za plecy, i przedstawił swój plan podróży.

– „Korsarz” jako pierwszy wypłynie z Southampton i dotrze do Freetown. „Trójząb” powinien wyruszyć za nim, a na końcu „Kormoran”, który pewnie wyprzedzi go w drodze. Starajcie się jednak dopłynąć mniej więcej w tym samym czasie. Kiedy znajdę się na miejscu, przemknę nocą na deltę, omijając port. Zlokalizuję statek flagowy Deckera

i złożę mu wizytę. Musi jak najszybciej zabrać się do działania. Spodziewajcie się blokady, ale eskadra otrzyma rozkaz, żeby przepuszczać wszystkie jednostki Frobisherów, więc wywieście bandery.

– Ma się rozumieć – przytaknął Declan.

– Obaj też – ciągnął Royd – będziecie musieli wpłynąć na deltę pod osłoną ciemności. Wyznaczymy sobie miejsce spotkania i wtedy zobaczymy, co dalej robić.

– Pewnie będziesz miał co najmniej dzień przewagi nad „Kormoranem”, jeśli nie więcej – zauważył Robert.

– Kiedy już rozmówię się z Deckerem, wykorzystam ten czas, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w kolonii. Choć oczywiście nie mogę zwyczajnie zapukać do rezydencji gubernatora i go o to zapytać.

– Kto więc udzieli nam informacji? – spytała Isobel.

Przykładała dużą wagę do szczegółów i jak na jej gust Royd zbyt często w swoich wypowiedziach mówił w liczbie pojedynczej. Najwyraźniej jednak zrozumiał jej obawy, bo popatrzywszy na nią przez chwilę, powiedział:

– Jeszcze nie wiem. Zobaczymy po dopłynięciu na miejsce. – Potem zwrócił się do Declana: – Kiedy dotrzesz do Freetown, przekażę ci wszystko, czego zdołamy się dowiedzieć. Wasze zadanie będzie stosunkowo proste, choć może wymagać pewnych zachodów. Przekonacie Holbrooka i dowódcę fortu, że w ich najlepszym interesie jest ustawić blokadę po wschodniej stronie miasta. Musimy dopilnować, żeby żadna informacja o naszym przybyciu nie przedostała się lądem z kolonii do kopalni.

– Tak aby w kopalni nie zorientowali się, że nadchodzi ratunek dla więźniów – zgodził się Robert i popatrzył na Declana. – Poznałeś już Holbrooka. Najlepiej więc, żebyś to ty z nim porozmawiał, a ja zajmę się dowódcą fortu.

Declan pokiwał głową.

– Zwłaszcza że spędziłeś więcej czasu w kolonii, szczególnie po jej wschodniej stronie. Będziesz się lepiej orientował, gdzie należy rozstawić posterunki. – Przeniósł spojrzenie na Royda. – W tym czasie ty zapewne będziesz na zatoce?

– Tak, popłynę w górę delty, gdy tylko przekażę wam misję. Gdzieś tam powinien czekać statek Lascelle'a. Dzięki temu będę wiedział, gdzie mam przybić do brzegu. Planuję natychmiast ruszyć stamtąd w kierunku kopalni.

– A co ze wsparciem Lachlana i Kit? – spytał Robert.

– Obsada pozostała na „Korsarzu" i „Kruku" poprowadzi Lachlana w odpowiednim kierunku. A ja muszę jak najszybciej dotrzeć do Caleba i zrobić rekonesans, żeby móc zaplanować akcję ratunkową, zanim do mnie dołączycie.

– Ale poczekacie na nas z Calebem, prawda? – spytał Robert nieufnie.

Royd uśmiechnął się szeroko.

– Owszem, chyba że nie będziemy mieli innego wyboru. – Po chwili dodał: – Jeśli naszym priorytetem jest uchronienie pojmanych przed niebezpieczeństwem, to musimy uderzyć na kopalnię z jak największą siłą. Poczekamy na was, ale

ruszajcie w drogę niezwłocznie, gdy tylko upewnicie się, że komunikacja między kolonią a kopalnią została zerwana.

Declan pokiwał głową.

– To z kolei prowadzi do najważniejszej kwestii – oznajmił – czyli do przejęcia kopalni. Z informacji przesłanych przez Caleba wynika, że niełatwo będzie przedostać się przez palisadę obozu, nie przyciągając uwagi najemników. Chyba że Caleb w tym czasie wymyślił, jak dostać się do środka.

– Rzeczywiście. – Royd zacisnął usta. – Największa słabość naszego planu to fakt, że nawet przy przewadze liczebnej nasze siły będą na zewnątrz tej przeklętej palisady, więc najemnicy mogą wziąć więźniów na zakładników i nic na to nie poradzimy, dopóki nie wedrzemy się do środka.

– A z kolei wszystkie potencjalne miejsca, gdzie można się przedrzeć, na pewno będą strzeżone – dodał Robert. – Więc w ten sposób weszlibyśmy tylko w pułapkę.

Przez cały ten czas kobiety słuchały uważnie, przenosząc wzrok z jednego brata na drugiego. Wreszcie Isobel się poruszyła.

– Ta palisada... – powiedziała, patrząc na Royda. – Oglądałam rysunki Caleba i czytałam raport Lascelle’a. Zgadzam się z ich opinią, że próba obalenia jej w trakcie ataku to zły pomysł. Ale gdybyśmy zdołali wcześniej osłabić konstrukcję? Tak, żeby po rozpoczęciu ataku można było szybko rozebrać palisadę w kilku miejscach? Moglibyśmy zrobić parę wyrw, którymi uciekliby więźniowie. Caleb znalazł przecież sposób, żeby zawiadomić ich o naszych

planach, więc czekaliby w gotowości. A jednocześnie wasi ludzie wdarliby się do środka pozostałymi wyrwami.

– Czy to wykonalne? – spytał Royd.

– Nie wiem. Nie mogę być pewna, dopóki na własne oczy nie zobaczę konstrukcji. Ale jest w niej coś znajomego. Te wiązania i mocowania... Niech no tylko sobie przypomnę, gdzie to już widziałam... Jeśli będę wiedziała, jak to skonstruowano, będę też umiała to rozebrać.

Declan nachylił się i otworzył usta, lecz Royd powstrzymał go ruchem ręki.

– Daj jej czas. Na pewno coś wymyśli, jeśli tylko zostawimy ją w spokoju.

Robert mruknął pod nosem coś o tym, że czas to właśnie to, czego im brakuje, i Aileen trzepnęła go w ramię.

Royd uśmiechnął się, po czym znowu spoważniał.

– Więcej nie zdołamy teraz zaplanować – rzekł. – Dopiero po dotarciu do kopalni przekonamy się, co da się zrobić.

Wszyscy zgodzili się z tym niechętnie, a potem wszedł Humphrey z informacją, że podano obiad – nawet nie zdawali sobie sprawy, że minął już cały poranek.

Przenieśli się do jadalni, gdzie rozmowa zeszła na sprawy rodzinnej spółki i wpływ, jaki oddelegowanie najlepszych statków do tej misji będzie mieć na interesy.

Panie słuchały uważnie i zadawały pytania. Dowiedziały się, że choć rząd nie płaci bezpośrednio rodzinie Frobisherów za usługi, to wynagradza jej wszelkie straty w ludziach oraz statkach i w żaden sposób nie ogranicza jej działalności komercyjnej. Przede wszystkim zaś w zamian

za doraźne świadczenie usług spółka ma prawo pierwszeństwa do kontraktów transportowych licznych rządowych agend.

Po posiłku bracia przeszli do biblioteki, aby pomówić jeszcze o misji, panie zaś udały się do swoich pokojów, żeby się spakować.

Isobel cały czas rozważała kwestię budowy palisady. Pakowanie zajęło jej niewiele czasu, ponieważ po przyjeździe nie wyjmowała rzeczy z kufra. Już po chwili wsunęła głowę do sypialni Edwiny.

Zastała tam Aileen, która siedziała na wielkim łożu, podczas gdy pani domu zastanawiała się nad wyborem porozkładanych po całym pokoju sukien.

– Jest sierpień – powiedziała, witając gościa uśmiechem. – W takich temperaturach nie będę potrzebować ciężkich sukni, ale z tego, co mówiłyście, w dżungli przyda mi się coś z mocniejszego materiału, prawda?

– Najlepsze będą bryczesy – rzekła Isobel. – A do tego lekki żakiet i buty do jazdy konnej.

Edwina uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ oczywiście! – zawołała, lecz natychmiast spochmurniała. – Ale nie mam żadnych bryczesów, a Declana z pewnością nie będą na mnie pasować.

– Ja też nie mam nic takiego – skrzywiła się Aileen – choć faktycznie lekkie spodnie i żakiet stanowiłyby idealne odzienie na takie warunki, w jakich przyjdzie nam działać.

– Ty zapewne masz parę? – spytała Edwina, patrząc na Isobel.

– Nawet kilka. – Isobel odsunęła dwie zwiewne jedwabne suknie i usiadła na stołku przy toaletce. – Dobrze się zaopatrzyłam na tę wyprawę. Zwykle zakładam spodnie, kiedy muszę wspinać się w stoczni po szkieletach kadłubów albo rejach. A co do góry, w zupełności wystarczy letni żakiet do jazdy konnej.

– To mam. Buty też. – Edwina odwróciła się do szafy i zaczęła w niej szperać. – Tylko te bryczesy... – Nagle wyprostowała się z radosną miną. – Już wiem, do kogo się z tym zwrócić!

Podeszła do sekretarzyka i wyjęła kartkę.

– Jordan Draper. To sekretarz mojego brata, agent, księgowy; prawdziwy magik w kwestii rozwiązywania takich problemów. Wystarczy, że machnie swoją magiczną różdżką, i w mgnieniu oka będziemy miały spodnie. – Zaczęła pisać coś w pośpiechu. Trzy minuty później liścik był już w drodze, a Edwina zamknęła drzwi za lokajem. – Mam tylko nadzieję, że Jordan nie poszedł do któregoś z klubów Juliana. Jeśli jest na Dolphin Square, powinien do wieczora podesłać nam coś odpowiedniego.

Isobel sądziła, że to dość optymistyczne kalkulacje, lecz postanowiła się nie wtrącać i rozmowa przeszła na kwestię tego, czy w kolonii potrzebne im będą suknie wieczorowe i czy trzeba będzie iść do kościoła.

– No i muszę mieć też coś, co zrobi odpowiednie wrażenie na gubernatorze Holbrooku, żeby na pewno trzymał się naszych wytycznych – dodała Edwina, podnosząc dwie

eleganckie suknie spacerowe, jedną żółtą, drugą niebieską. – Jak myślicie, która?

– Niebieska – odparły obie jednocześnie.

***

Wczesnym wieczorem wszyscy byli już spakowani – nawet panowie, którzy, jak wynikało z doświadczenia Isobel, zawsze zostawiają takie rzeczy na ostatnią chwilę. Wszystkie kufry, torby podróżne oraz żeglarskie worki zniesiono i ustawiono przy schodach. Brakowało tylko kilku mniejszych pudeł i walizek, które panie miały domknąć przed wyjazdem.

Schodząc o szóstej wieczorem na dół, Isobel spojrzała na stertę bagaży. Usłyszała za sobą kroki na schodach i uniosła głowę, choć po dreszczyku, który przebiegł jej po grzbiecie, już wiedziała, kto to.

Odwróciła się.

Schodząc po ostatnich stopniach, Royd również rzucił okiem na bagaże, po czym przeniósł wzrok na nią.

– Gotowa? – spytał.

– Zdaje się, że powozy zamówiono na piątą rano – powiedziała.

Royd przytaknął ruchem głowy.

– Dotarcie do Southampton nawet czterokonnymi powozami zajmie nam siedem godzin, a nie możemy sobie pozwolić na to, by przegapić falę – dodał, kierując się do salonu.

– Kiedy dokładnie zaczyna się odpływ? – spytała Isobel, ignorując jego rękę na swoich plecach.

– O trzeciej trzydzieści. Zdążymy.

Pozostali czekali już w salonie. Edwina zadysponowała kolację na szóstą, żeby wszyscy mogli się wcześnie położyć. Gdy tylko Isobel i Royd dołączyli do reszty, Humphrey przyszedł oświadczyć, że podano do stołu.

Royd wziął rękę Isobel i włożył ją sobie pod ramię. Pozwoliła mu na to. Nie było sensu zachowywać dystansu. Zresztą wzajemne towarzystwo obojgu sprawiało przyjemność.

Podobnie było z Edwiną i Declanem. Pobrali się już wiele miesięcy temu, lecz nadal mieli dla siebie ciepłe uśmiechy i dotykali się ze swobodą typową dla zakochanych par. Robert i Aileen również powoli zaczynali nabierać takich nawyków.

Co do Royda i Isobel... Nie da się zaprzeczyć, że zawsze byli jak dwie połówki jednej całości, pozostawała tylko kwestia, czy zdołają stworzyć jakiś związek.

Podczas rozmowy przy kolacji w naturalny sposób wrócili do tematu, który zajmował ich myśli.

– Czy powinniśmy najpierw skontaktować się z Holbrookiem, czy dowódcą fortu? – zastanawiał się Declan.

– Zróbmy to jednocześnie – powiedział Robert. – Ja pójdę do fortu, a ty do rezydencji gubernatora.

– Ale najpierw – wtrącił Royd – poślijcie grupę ludzi, żeby ustawili blokadę na ścieżce wiodącej z kolonii do obozu

Kale’a. Nie chciałbym, żeby przy kopalni zaskoczył nas ktoś nadchodzący z tamtego kierunku.

Robert pokiwał głową.

– Nie ma problemu. Poślę tam mały oddział. Mogą pilnować ścieżki, dopóki nie ruszymy na kopalnię, a potem do nas dołączyć.

Zaczęli omawiać, jak najlepiej przedstawić sytuację Holbrookowi i dowódcy fortu. Edwina oraz Aileen poczyniły kilka wyśmienitych sugestii.

Kiedy jednak rozmowa przeszła na kwestię wyprawy do dżungli, z pewnych uwag rzuconych przez Declana i Roberta można było wywnioskować, iż obaj jeszcze się łudzą, że ich damy dadzą się przekonać do pozostania w kolonii.

Edwina bezlitośnie rozwiała te nadzieje, oświadczając wesoło:

– Czy wspominałam, że Aileen i ja sprawiłyśmy sobie bryczesy? Teraz będziemy mogły tak samo jak Isobel przedzierać się przez chaszcze. – Uśmiechnęła się promiennie do Declana. – Jordan przysłał nam je przed godziną. Kapitalny człowiek. Nawet nie pytał, do czego są nam potrzebne, tylko załączył liścik z życzeniami: „Oby się dobrze nosiły”.

– Nawet nie chciałam sobie robić nadziei – dodała Aileen – bo przecież Jordan miał na to tak niewiele czasu, ale okazało się, że wyszukał idealny dla mnie rozmiar. W połączeniu z butami i żakietami, które sprawiłam sobie na poprzednią podróż, bez trudu będę mogła dotrzymać

wszystkim kroku. Czy nawet biec, jak musieliśmy to robić ostatnim razem – rzekła, patrząc na Roberta. – Bez sukni będzie to o wiele łatwiejsze.

Robert i Declan popatrzyli tylko po sobie i postanowili nie protestować, przynajmniej nie w tej chwili.

Isobel podejrzewała, że obaj spróbują poruszyć tę kwestię ze swoimi partnerkami w cztery oczy, lecz gdyby ktoś ją pytał o zdanie, powiedziałaby, że lepiej dać sobie spokój. Żadna z pań nigdy nie zgodzi się pozostać w kolonii. Edwina może i była w ciąży, ale miała się doskonale, a brzuch jak na razie nie urósł jej na tyle, żeby przeszkadzać. Co do Aileen zaś... Czyżby Robert w ogóle jej nie znał?

Tymczasem ona i Royd kontynuowali swoją uwodzicielską grę niespodziewanych muśnięć i sugestywnych spojrzeń, które wzmagały napięcie między nimi.

Była połowa sierpnia i panował upał, więc kucharka Edwiny zaserwowała wyśmienity, a jednocześnie odświeżający posiłek: kremową zupę z porów, węgorza i pstrąga w galarecie, plastry pieczonego indyka i pieczoną przepiórkę na zimno z gotowanymi warzywami, potem sorbet i wreszcie orzechy oraz świeże owoce.

Częstując się figą, Isobel zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić, czy „Korsarz” ma dostateczny zapas owoców, by Duncanowi starczyło ich na całą podróż. Targowisko w Southampton położone było w pobliżu nabrzeża. Postanowiła też, że musi zajrzeć do miejscowej stoczni. Wciąż chodziło jej po głowie rozwiązanie problemu

palisady. Może jeśli znajdzie się w znajomym otoczeniu, wpadnie na jakiś pomysł.

– Proszę. – Royd podał jej nożyk do owoców, żeby mogła obrać figę.

Wzięła go, muskając palcami dłoń Frobishera. Obrała owoc i zjadła w sposób, który musiał wzbudzać nieprzyzwoite myśli, bo Royd zdołał oderwać od niej wzrok dopiero wtedy, gdy wytarła palcem sok z dolnej wargi. Odchrząknął i spytał Declana o załogę „Kormorana”.

Isobel stłumiła śmiech. Wiedziała, że Royd znajdzie sposób, żeby jej odpłacić.

I rzeczywiście, kiedy pół godziny później towarzystwo skierowało się na górę, zrezygnowawszy z herbaty w salonie, Royd położył rękę na dolnej części jej pleców, tym razem stanowczo, nie muskał jej jak poprzednio. Isobel nie dała po sobie nic poznać, tylko z uśmiechem pożegnała pozostałych, lecz w środku cała płonęła i czuła, że ma miękkie kolana.

Ruszyła przed Roydem w kierunku swojej sypialni, czując dawne pragnienie, które przez lata tkwiło może w ukryciu, ale wcale nie zgasło.

Nie była już jednak dziewczyną sprzed ośmiu lat, a on nie był mężczyzną, z którym naiwnie się zaręczyła.

Pod drzwiami pokoju przystanęła. Royd wreszcie opuścił rękę z jej talii. Stali o wiele bliżej, niż przystało na zwykłych znajomych.

– Dla jasności: mam nadzieję, że nie wyobrażasz sobie, że pójdziesz do kopalni beze mnie – powiedziała, patrząc mu

w oczy.

Royd przypomniał sobie rozmowę przy kolacji i uśmiechnął się cierpko.

– Nie jestem taki jak moi bracia.

– Rzeczywiście, nie jesteś – przyznała.

Żaden z pozostałych Frobisherów nigdy nie wzbudził w niej najmniejszego zainteresowania. Byli... może nie do końca typowi, ale wiadomo było, czego się po nich spodziewać. A z Roydem wręcz przeciwnie. Nawet teraz dowiódł tego, dodając nieoczekiwanie:

– Dla jasności: zamierzam dzielić się z tobą wszystkim, całym swoim życiem. Niczego już nie będę ukrywał.

Isobel zadrżała pod jego wzrokiem, lecz uniosła tylko brew, jakby nie zrobiło to na niej wrażenia.

– I dobrze.

Royd przesunął spojrzeniem po jej twarzy, po czym powiedział przyciszonym głosem:

– Powinniśmy iść spać. Jutro czeka nas długi dzień.

– Masz rację – zgodziła się, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza, po czym oboje się poddali. Isobel nie była pewna, które z nich wykonało pierwszy krok, ale nie miało to znaczenia, gdy znalazła się w objęciach Royda.

Chwyciła go mocno za ramiona, przywierając ustami do jego warg.

Oboje pogrążyli się bez pamięci w pocałunku, a z każdą sekundą narastała w nich obietnica tego, co mogło jeszcze

nastąpić. Byli gotowi na kolejny krok.

Dali się porwać namiętności o wiele silniejszej niż ta, która łączyła ich przed ośmiu laty – wtedy nie pragnęli się nawzajem aż tak rozpaczliwie.

Jej usta żądały, a on słuchał, coraz bardziej rozpalając się pod wpływem jej uniesienia, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć.

Lecz nie mógł dać się skusić.

Jeszcze nie teraz.

Odsunął się dokładnie w momencie, gdy jej pożądanie sięgnęło zenitu, choć zrobił to z najwyższym trudem.

Oboje oddychali ciężko. Royd popatrzył w lśniące oczy Isobel i zdołał się słabo uśmiechnąć.

Oszołomiona Isobel zamrugała.

Rozluźniła palce zaciśnięte na jego ramionach. Royd delikatnie odsunął od siebie jej ręce, zmuszając się, żeby ją puścić.

Isobel zmrużyła oczy, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Royd uśmiechnął się szerzej i zrobił krok do tyłu.

– Zobaczymy się jutro rano o czwartej trzydzieści.

Nie czekając na jej reakcję, odwrócił się i ruszył do swojego pokoju. Chwytając za klamkę, obejrzał się, dziwiąc się brakowi odpowiedzi. W przytłumionym świetle lampy zobaczył, że oczy Isobel zwęziły się w ciemne szparki.

Odczekała sekundę, po czym odezwała się wyzywająco:

– Nie ty jeden potrafisz w to grać.

Napięcie między nimi było tak wielkie, że niemal iskrzyło.

Kąciki ust Royda uniosły się w prowokującym uśmiechu i rzekł niskim głosem:

– W każdej chwili chętnie się z tobą zmierzę.

A potem otworzył drzwi i zniknął w środku.

Isobel z trudem próbowała uspokoić oszalałe zmysły.

Wątpiła, czy woda w dzbanie na toaletce zdoła ugasić w niej ten pożar.

***

Następnego dnia o szesnastej stali razem na górnym pokładzie „Korsarza”. Isobel patrzyła na wciągane żagle z nieznanym dotąd podnieceniem.

Statek zaczął sunąć po wodzie. Wiatr rozwiewał jej włosy i drobne kropelki morskiej piany szczypały ją w policzki. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się z zachwytem.

Słońce, które wciąż stało wysoko nad zachodnim horyzontem, opromieniało „Korsarza” oraz pozostałe płynące jego śladem statki – to była dobra wróżba.

Wyszli z basenu portowego. „Korsarz” był dobrze znany na tych wodach – większe jednostki ustępowały mu z uwagi na szybkość i zwrotność, mniejsze zaś podziwiały go z daleka. Wiał mocny wiatr i wody portu zostały za nimi, z przodu zaś lśniła zapraszająco cieśnina Solent.

Wciągnęli bombramsle i statek dosłownie pomknął nad wodą. Stojący obok Isobel Duncan chwycił się relingu i krzyknął z radością.

Isobel z szerokim uśmiechem spoglądała na jego rozwiane włosy, lśniące oczy i wyraz zachwytu na twarzy.

Chłopiec tęsknił za nią, lecz – tak jak przypuszczała – nie nudziło mu się podczas jej nieobecności. Kiedy wreszcie weszła na pokład (a było to zaledwie pół godziny przed odbiciem od kei), powitał ją uściskami, promiennym uśmiechem i nieprzerwanym trajkotaniem o wszystkim, co w tym czasie porabiał.

Był szczęśliwy, a ona cieszyła się z tego.

Rzuciła spojrzenie na Royda, który stał za sterem. Ciekawe, ile już usłyszał na temat wyczynów swojego syna; wszedł na pokład sporo wcześniej. Szkoda, że nie mogła zobaczyć, jak Duncan go powitał. Dzięki temu dowiedziałaby się więcej o stosunku chłopca do ojca.

Popatrzyła przed siebie z uniesieniem.

Podczas wczesnego śniadania wszyscy niecierpliwili się, żeby rozpocząć misję. Punktualnie o piątej zajechały trzy powozy i wreszcie ruszyli w drogę. Jechali gościńcem z zawrotną prędkością. Gdy wreszcie stanęli pod biurem spółki Frobisherów, Royd, Robert i Declan ruszyli na nabrzeże do swoich statków, a Edwina i Aileen po krótkiej naradzie postanowiły towarzyszyć Isobel podczas wizyty w stoczni. Już wiedziały, że wybiera się tam w nadziei, że znajome otoczenie pomoże jej opracować sposób osłabienia palisady.

Royd chciał iść z nimi, ale miał zbyt wiele do zrobienia na pokładzie, dlatego zabrał tylko jej rzeczy, uścisnął rękę i życzył powodzenia.

Isobel jako członkini rodu Carmichaelów miała zagwarantowany bezwarunkowy wstęp do stoczni; jej

nazwisko było synonimem szkutniczej jakości i cieszyło się poważaniem morskiej branży jak Wielka Brytania długa i szeroka.

Brygadzista na jej widok natychmiast posłał po właściciela, lecz Isobel jeszcze przed nadejściem tej ważnej figury zauważyła to, czego potrzebowała. Kiedy właściciel przybiegł w pośpiechu, powiewając połami fraka, uśmiechnęła się, skomplementowała jego zakład – który istotnie zdawał się dobrze funkcjonować – i spytała, czy mogłaby pożyczyć pewną piłę.

Mężczyzna nawet się nie zawahał, zachęcał wręcz, żeby korzystała ze wszystkiego, czego tylko jej trzeba. Narzędzie, o które chodziło, było co prawda dość rzadkie, lecz nie kosztowało drogo. Isobel zapewniła go, że potrzebna jej wyłącznie piła i zwróci ją w drodze powrotnej, po czym rozstała się z nim w wyśmienitym humorze.

– Czy to wystarczy? – spytała Aileen, kiedy szły do portu.

– Służy do przecinania grubych smołowanych lin, które przez lata tkwiły w jednym miejscu i stwardniały na kamień. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że da radę przeciąć i te pnącza, którymi związane są belki palisady. Muszę tylko wymyślić, gdzie najlepiej je poprzecinać.

Royd wydał rozkaz i wciągnięto kolejny żagiel, żeby jeszcze lepiej wyzyskać siłę wiatru od rufy. Isobel popatrzyła na niego z uśmiechem – tak samo jak on nie mogła się doczekać, kiedy dotrą na miejsce.

Odwróciła się i spojrzała na niewielką flotę jednostek, które płynęły na popołudniowej fali i malały w miarę, jak

„Korsarz” parł coraz szybciej naprzód. Rozpoznała „Trójząb” wpływający na Solent z gracją łabędzia. Niedaleko za rufą szedł „Kormoran”. Declan trzymał się wytycznych i nie starał się wyjść na prowadzenie. Żaden z trzech statków nie wciągnął jeszcze wszystkich żagli – dookoła wciąż było wiele innych jednostek, musieli więc najpierw wydostać się na otwarte wody kanału La Manche.

Kiedy Royd zarządził, żeby rozwinięto kolejne żagle, Isobel zobaczyła, że Duncan porusza ustami – powtarzał po cichu polecenia, żeby je zapamiętać. Nie dziwiła się, że chłopiec bez pamięci zakochał się w życiu na statku – w końcu było to niejako jego dziedzictwo. Widząc, jaką radość czerpie z żeglugi, pożałowała, że dotąd mu jej zabraniała.

Po chwili odsunęła się od relingu i zeszła do kajuty, żeby wypakować szczotki, grzebienie i szpilki do włosów do szuflady pod umywalką, a potem usiadła na łóżku i oddała się rozmyślaniom. Po kilku godzinach, kiedy „Korsarz” sunął już po falach kanału, a pozostałe statki pozostały tak daleko w tyle, że nawet nie było ich widać, wróciła na górę i ruszyła w kierunku dziobu. Po przeciwnej stronie pokładu zobaczyła podskakującego Duncana. Odwrócił się i zawołał coś do idącego za nim Royda, który zajęty był sprawdzaniem, czy wszystko na statku jest w porządku.

Na jej widok Royd zmienił kierunek i niespiesznie przeszedł pod bomem, żeby do niej dołączyć. Isobel oparła się o burtę i patrzyła na biegającego Duncana. Teraz miejsce Royda zajął przy nim sternik Williams.

Royd wsparł się o burtę, muskając Isobel ramieniem.

– Nie mogłam go puszczać do doków – powiedziała, nie odrywając wzroku od syna. – Gdyby tylko miał okazję, zajrzałby w każdy kąt, a wszyscy tam wiedzieli o naszych zaręczynach i natychmiast rozpoznaliby w nim twojego syna.

Royd poczuł mimowolny gniew, ale pohamował go i spytał:

– Czy on wie, na czym polega twoja praca?

Isobel pokręciła głową.

– Wie, że pomagam jego dziadkowi w prowadzeniu stoczni. Pewnie myśli, że jestem kimś w rodzaju sekretarki.

Royd parsknął śmiechem. Fakt, że Duncan nie zdaje sobie sprawy z wartości pracy Isobel, można by potraktować jako karę za ukrywanie chłopca, lecz nie byłoby to w porządku. I trzeba to naprawić. Ich syn musi się dowiedzieć, jak błyskotliwą ma matkę.

– Rozumiem, dlaczego go przede mną ukrywałaś – powiedział – ale teraz wytłumacz mi, jak ci się to udało.

– Nie było tak trudno, jak myślisz. W tamtych czasach papa wciąż sam się wszystkim zajmował: negocjował umowy, ustalał szczegóły, doglądał projektów i konstrukcji. Rzadko bywał w domu, a jeszcze rzadziej odwiedzał Ionę. Może sobie przypominasz, że niezbyt dobrze się dogadują, a ja po naszych zaręczynach przeniosłam się do niej do Carmody Place.

Royd zmrużył oczy i popatrzył w słońce.

– Chcesz powiedzieć, że twój ojciec o niczym nie wie?

– Nie wiedział... aż do niedawna. – Isobel urwała na chwilę. – Jakieś dwa miesiące temu odwiedził mnie w Carmody Place. Była niedziela i zupełnie się go nie spodziewałam, ale pojawił się pilny problem z budową statku i papa potrzebował mojej rady. Było słoneczne popołudnie. Wszystkie dzieci bawiły się na dworze, a ja siedziałam w kuchni z innymi kobietami. Iona poszła na górę się zdrzemnąć, więc nie było jej na horyzoncie. Oczywiście lokaj zna papę i od razu zaprowadził go do salonu.

– Niech zgadnę. Widać było stamtąd miejsce, gdzie bawiły się dzieci.

Isobel przytaknęła.

– Zanim mnie zawiadomiono i doszłam do salonu, papa zwrócił już uwagę na Duncana i domyślił się po jego wyglądzie, że to potomek Frobisherów. Nadal jednak nie wiedział, że to mój syn. Lecz kiedy rozmawialiśmy, Duncan wpadł do salonu, żeby mi coś powiedzieć. – Isobel westchnęła z rezygnacją. – Rzucił się na mnie, krzycząc: „Mamo! Mamo! Zgadnij, co się stało!”.

Royd wyobraził sobie całą scenę.

– Twój biedny ojciec... – Pokręcił głową.

– Chyba nigdy w życiu nie był tak bliski omdlenia. Musiałam posadzić go w fotelu. Posłałam Duncana, żeby przyniósł whisky. Nalał całą szklankę. Papa wypił ją duszkiem.

Royd z trudem powstrzymał się od śmiechu, lecz szczerze współczuł Jamesowi Carmichaelowi. Staruszek nigdy nie

był specjalnie zadowolony z tego, że Royd chciał poślubić jego córkę, i okazało się, że jego zastrzeżenia nie były bezpodstawne. Odkrycie sekretu Isobel w takich okolicznościach...

– I co było dalej?

– Papa nalegał, żebym ci powiedziała, ale odwiodłyśmy go od tego pomysłu, przynajmniej na razie.

– Mówiąc „my”, masz na myśli siebie i Ionę?

– I moją matkę, i babkę ze strony Carmichaelów, czyli matkę papy, i jeszcze moje ciotki. – Wzruszyła ramionami. – Czyli praktycznie wszystkie kobiety z rodziny.

– One wszystkie wiedziały?

– Tylko Iona i moja matka, lecz pozostałe oczywiście się domyśliły. W końcu niełatwo ukryć dziecko, a już na pewno nie takie jak Duncan.

Mimo to jakoś zdołałaś tego dokonać przez całe osiem lat, pomyślał Royd. Ku jego zaskoczeniu nie towarzyszyła temu tak wielka uraza, jak można by się spodziewać.

– A więc to dlatego podczas ostatniego spotkania twój ojciec był taki skrępowany i tak dziwnie mnie traktował! – przypomniał sobie nagle.

– Owszem. Cała ta sytuacja bardzo mu się nie podoba.

– Trudno się dziwić.

– Nie, chodzi o coś jeszcze. Nie tylko o ciebie. Duncan może po tobie dziedziczyć.

Dla Royda nie było tu żadnego „może”: Duncan był jego pierworodnym synem, a zatem dziedzicem jego majątku,

koniec i kropka. Choć oczywiście w aspekcie prawnym nadal należało to potwierdzić.

– Papa nie może się pogodzić z tym, że zabroniłyśmy mu wspominać o Duncanie – westchnęła Isobel, patrząc na syna. – Mniejsza o to, co ty pomyślisz. Bardziej się martwi o twoich rodziców. W końcu łączy go bliska znajomość z twoim ojcem.

Widząc zbliżającego się Duncana, Royd odepchnął się od burty.

– Po powrocie będziemy musieli powiedzieć wszystko moim rodzicom. Nie mam pojęcia, jak zareagują. Wątpię, aby mama prędko zdołała ci wybaczyć, że ukrywałaś przed nią wnuka... Ale na razie nie musimy zaprzątać sobie tym głów.

Isobel nie zaprzeczyła. Royd nachylił się do chłopca. Duncan trajkotał z podnieceniem o rybie, którą zauważył z dziobu. Royd zmierzwił mu włosy i wyprostował się, po czym odszedł w stronę rufowego pokładu, a Duncan skakał przy nim i dalej zasypywał go pytaniami.

Isobel skrzyżowała ramiona na piersi i oddała się rozmyślaniom. Wiedziała, że Royd skupia się w tej chwili tylko na misji – zawsze wyznaczał sobie konkretne zadania i całkowicie się im poświęcał. Zgadzała się też, że poinformowanie jego rodziców można odłożyć na później. Lecz było też kilka spraw, które – choć nie wiązały się z wyprawą do Freetown – jej zdaniem najlepiej byłoby rozwiązać w ciągu najbliższych dni, zanim pochłoną ich działania w kolonii.

Cztery

Czekała na odpowiednią chwilę. Po kolacji, kiedy położyła Duncana do łóżka i upewniła się, że zasnął, wyszła na pokład. Tak jak przypuszczała, Royd stał za sterem, prowadząc „Korsarza” przez wody, nad którymi zapadał zmierzch.

Na morzu jadał zwykle kolację o osiemnastej w towarzystwie ludzi, którzy pełnili psią wachtę. Potem o ósmej wychodził na pokład i przejmował ster na cztery pierwsze szklanki pierwszej wachty. Od czasu do czasu robił to i o innych porach, kiedy pojawiały się jakieś kłopoty albo zwyczajnie po to, żeby dać odpocząć Liamowi lub Williamowi Kelly’emu.

Jakiś czas temu wybiła druga szklanka. Isobel otuliła się szalem i zaczęła przechadzać po pokładzie. Czuła na sobie wzrok Royda, lecz nagle w górze zafurkotał jeden z żagli. Royd rzucił kilka poleceń i dwóch marynarzy wspięło się na reje.

Isobel doszła do ławeczki na dziobie i usiadła, podciągając pod siebie nogi. Nadal byli w kanale La Manche, przynajmniej tak jej się wydawało. Na niebie błyszczały już pierwsze gwiazdy, choć nie żeglowała na tyle często, żeby potrafiła określić dzięki nim położenie statku.

W ostatnich latach bardzo często wypływała z Roydem, żeby przetestować wprowadzane na statkach modyfikacje,

lecz podczas tych wypraw nigdy nie pływali tak szybko jak teraz. Wrażenie mocy i niepowstrzymanego pędu, kiedy „Korsarz” mknął w przechyle, zapierało dech w piersiach.

Było to niezwykle ekscytujące doznanie i rozumiała, dlaczego Royd tak ciężko pracował, by okiełznać siłę wiatru.

Przyciągnęła kolana do piersi, oparła na nich brodę i zasłuchała się w szept wiatru.

Nadal tak siedziała, kiedy wydzwoniono czwartą szklankę pierwszej wachty i Royd wyłonił się z mroku.

Isobel podniosła głowę i usiadła prosto.

– Schodzisz pod pokład?

Royd podał jej rękę i pomógł wstać.

– Skończyłem na dziś. Myślałem, że już śpisz.

– Rozmyślałam – odparła Isobel, poprawiając szal.

Ruszyli do rufowego włazu. Royd zastanawiał się, co tak zajmowało jej myśli. Czasem rezultatem takich medytacji był jakiś nowy projekt lub udoskonalenie, ale kiedy indziej zapowiadały one niebezpieczeństwo.

Gdy miał o to spytać, doszli akurat do kajut. Isobel uchyliła swoje drzwi i odwróciła się twarzą do Royda, lecz zamiast zwykłego „dobranoc”, którego oczekiwał i przed którym zamierzał skraść jej kolejny pocałunek, powiedziała nagle:

– Jest pewna kwestia, którą musimy się zająć.

Stali o krok od siebie. Royd czuł jej zapach – mieszankę ziołowego mydła oraz woń jej ciała – i z trudem udawało mu się skupić. Nie bardzo wiedział, o co może chodzić.

– Jaka kwestia?

– Taka – rzekła Isobel, po czym zrobiła krok w jego stronę, przyciągnęła do siebie jego głowę i mocno pocałowała.

Zanim się zorientował, przysunęła się jeszcze bliżej, przytulając do niego całym ciałem, i rozchyliła usta.

Royd mimowolnie objął ją i przygarnął do siebie, ulegając jej zaproszeniu.

Nie pozostało nic – żadne bariery – co mogłoby powstrzymać ich przed ujawnieniem długo powściąganej pasji.

Zbudził się w nich głód. Pragnęli siebie nawzajem z siłą wykraczającą poza zwykłe pożądanie. Royd przycisnął Isobel do siebie i zmiażdżył jej usta w pocałunku, a ona zanurzyła palce w jego włosy.

Nagle, nie odrywając się od siebie, zaczęli się przesuwać w kierunku uchylonych drzwi. Royd wszedł tyłem do kajuty. Isobel podążyła za nim, całując i dotykając go pożądliwie. Dotarło do niego, że nie miała najmniejszego zamiaru się wycofać. Kierowała go prosto do łóżka.

Potem przemknęło mu przez głowę, że przecież Duncan śpi w sąsiedniej kajucie, lecz Isobel na pewno o tym nie zapomniała – jeśli uważała, że nie ma powodu przenosić się gdzie indziej, to spokojnie mógł jej zawierzyć.

Była to ostatnia racjonalna myśl, jaka zaświtała mu w głowie. Isobel rozpięła jego koszulę, rozsunęła szarpnięciem poły i zaczęła dotykać jego piersi.

W mgnieniu oka namiętność rozpaliła się niczym płomień, który pochłonął ich oboje.

Royd szarpnął tasiemki stanu sukni Isobel i zsunął ją z jej ramion. Znowu zaczął ją mocno całować.

Odpowiadała z równym zapamiętaniem.

Nie przerywając pocałunku, Isobel uwolniła ramiona z rękawów i znowu rzuciła się na niego, szarpiąc jego ubranie, aż on także strząsnął z siebie frak i koszulę. Isobel uśmiechnęła się zmysłowo i powiodła rękami po jego piersi.

Jej dotyk go rozpalał. Royd rozwiązał tasiemki jej przejrzystej koszuli i materiał opadł na podłogę.

Isobel była tak piękna jak w jego wspomnieniach. Dotknął jej jędrnych krągłości, a ona zadrżała i znieruchomiała, przymykając oczy i rozchylając lśniące wargi.

Royd nachylił głowę i pocałował jej piersi. Chwyciła go za głowę, drżąc pod naporem doznań silniejszych niż wszystko, co zapamiętała z dawnych lat. Jego ciało zmieniło się od tego czasu, nabrało tężyzny. Wtedy byli przecież bardzo młodzi, nie do końca dojrzali. Teraz zaś oboje znaleźli się u szczytu swojego rozwoju.

Isobel pragnęła się przekonać, czy nadal będą reagowali na siebie tak jak dawniej, czy nadal będą się pożądali. Miała już odpowiedź: nie było tak samo.

Było o wiele lepiej.

Wciągnęła powietrze i odchyliła głowę Royda, żeby móc go pocałować. Wyprostował się, a ona przywarła do niego całym ciałem. Ich usta stopiły się w jedno. Isobel dotykała i chwytała go chciwie, jakby nie mogła się nim nasycić.

Reszta ubrań poleciała na podłogę.

Jakoś udało im się przesunąć w kierunku łóżka i padli na jedwabną narzutę. Byli tak rozpaleni, że ich skóra niemal parzyła.

Oboje nie lubili się spieszyć, woleli przeciągać te chwile i cieszyć się sobą nawzajem, smakować i badać rękami swoje ciała, pieszczotami doprowadzać się do szaleństwa.

Lecz tym razem odkryli, że tego nie potrafią. Uwolnili w sobie coś, co żądało natychmiastowego zaspokojenia.

Oboje dyszeli ciężko, ich ciała pokryły się potem, wiły się w pożądaniu, aż wreszcie Royd nie wytrzymał, odchylił Isobel na plecy i wszedł w nią.

Zastygli na chwilę pod wpływem rozkosznego doznania. Już zapomnieli, jak to jest.

Isobel uchyliła powieki i popatrzyła Roydowi w oczy. Ujrzała w nich to wszystko, co sama czuła. Tęsknotę, pragnienie, które nigdy nie zgasło, żal za straconym czasem, smutek, że tak się pogubili.

Ale teraz wreszcie się odnaleźli.

Royd wycofał się i znowu w nią wszedł, jeszcze głębiej. Przymknęła oczy i objęła go nogami.

Zaczęli poruszać się w znajomym, odwiecznym jak morze rytmie, aż wreszcie dotarli na szczyt i Isobel poczuła wybuch rozkoszy, bardziej intensywnej niż w jej wspomnieniach. Świat zniknął...

Powoli uspokajali się, czując rodzącą się między nimi nową więź, tak silną, że teraz nic już jej nie złamie.

Minęły długie minuty, zanim Royd zdołał zebrać siły, żeby się przesunąć, położyć obok niej i nakryć ich stygnące ciała jedwabną kołdrą.

Isobel, na wpół już śpiąca, przekręciła się, wtuliła w niego i złożyła mu głowę na piersi, a on objął ją ramionami. Przerzuciła nogę przez jego biodro, po czym z westchnieniem zapadła w sen.

Royd przymknął oczy i podążył jej śladem.

***

Isobel obudziła się w ciemnościach na dźwięk wybijanej szklanki. Royd spał głęboko, jego pierś unosiła się regularnie.

Isobel leżała wygodnie w jego objęciach, patrząc na pogrążoną w mroku kajutę, do której wkradało się światło gwiazd i księżyca; do świtu brakowało jeszcze wiele godzin.

Wreszcie poruszyła się ostrożnie i wysunęła z ramion kochanka.

Royd przebudził się, czując na piersi dotyk jedwabistych włosów. W sennym otępieniu dotarły do niego ciepłe, wilgotne pocałunki, które Isobel wyciskała na jego skórze, i jego ciało zastygło w oczekiwaniu.

Isobel usiadła na jego udach, schodząc niżej ustami.

Nie otwierając oczu, Royd uśmiechnął się, zastanawiając się, jak daleko posunie się ta gra – Isobel nigdy wcześniej nie zaskoczyła go w ten sposób, więc sądził, że zaraz przestanie.

Ona jednak nie przestała.

Kiedy objęła palcami jego twardą męskość, wciągnął powietrze i wygiął plecy.

Potem poczuł na sobie jej ciepły, wilgotny język, przesuwający się z dołu do góry. Sięgnął do niej, lecz ona już objęła go wargami.

Wsunął dłonie w jej włosy i gwałtownie ścisnął. Stał się całkowicie bezwolny.

Isobel cieszyła się poczuciem władzy, jakie dawała jej świadomość, że Royd jest absolutnie zdany na jej łaskę.

Czekała na to osiem długich lat. Już dawno temu słyszała o takich pieszczotach, ale jako młoda dziewczyna nie miała odwagi spróbować. Teraz jednak wiedziała, czego chce, i nie zamierzała dłużej czekać.

Fascynowała ją czysta fizyczność tego aktu: dotyk najdelikatniejszej i najwrażliwszej skóry na ciele Royda, jego palce na jej głowie, jego niespokojne drżenie i naprężające się mięśnie.

Royd zacisnął oczy. Czuł, że zaczyna tracić nad sobą kontrolę i zaraz ulegnie rozkoszy, lecz nie mógł się zmusić, żeby powstrzymać Isobel. Przyjemność, którą odczuwał, była zbyt wielka.

I kiedy już dyszał, pełen bezrozumnego pragnienia, powstrzymując się resztką sił... Isobel się cofnęła.

Royd uchylił powieki i popatrzył na nią. Przyglądała mu się z przechyloną głową, jakby podziwiając swoje dzieło...

Odetchnął głęboko, podniósł się i przekręcił na kolana, po czym chwycił ją i rzucił na łóżko. Zanim zdążyła zareagować, rozchylił jej uda, a potem popatrzył na jej

zdziwioną twarz, uśmiechnął się i odpłacił jej pięknym za nadobne. Z nawiązką.

Smakował ją jak jeszcze nigdy dotąd. On również przed ośmiu laty zachował to doświadczenie na późniejszą okazję, która nigdy nie nadeszła.

Isobel wiła się w całkowitym zapamiętaniu, usiłowała stłumić jęki, lecz wszystko to sprawiało, że Royd miał ochotę jeszcze bardziej przedłużyć grę i doprowadzić kochankę do jeszcze głębszej rozkoszy.

Wyciągnął rękę i chwycił Isobel za pierś, po czym zaczął ją pieścić.

Z trudem stłumiła krzyk. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

Royd nigdy nie widział jej tak oszalałej, tak kompletnie pozbawionej zahamowań... Była to zupełnie nowa Isobel.

Doprowadził ją prawie na szczyt, a potem, dając jej tylko chwilę na uspokojenie, zabrał ją dalej i strącił w otchłań ekstazy.

Kiedy opadła na łóżko, bezwładna i wyczerpana, ukląkł między jej wspaniałymi, smukłymi nogami i wszedł w nią powoli, żeby samemu się zaspokoić.

Nie spodziewał się, że znowu do niego dołączy. Po raz kolejny pokazała, że nie jest już kobietą z jego wspomnień.

Pożądanie, które ich rozpaliło, zapłonęło teraz jeszcze gorętszym ogniem, spopieliło wszelkie opory i znowu w błysku rozkoszy powiodło w całkowite zapomnienie.

Przywarli do siebie mocno, zupełnie jak dawniej.

Ale nie, pomyślał Royd. Wcale nie byli już tymi samymi ludźmi, którzy zaręczyli się lata wcześniej.

Tym razem nie zasnęli od razu. Ułożyli się tak jak poprzednio – on na plecach, ona z głową na jego piersi – i leżeli, pełni nieznanego wcześniej spokoju.

To było jak oczyszczenie: te chwile rozpalonej namiętności pozwoliły im zapomnieć o przeszłości i skupić się na teraźniejszości. Lecz pewne rzeczy dla Royda się nie zmieniły: radość z bliskości Isobel, głęboko zmysłowa rozkosz, jakiej nikt poza nią nie był w stanie mu dać, oraz poczucie spełnienia, jakie czuł jeszcze długo potem.

I nie zmieniło się to, jak była mu droga Isobel.

Royd czuł, jak jego ciało wypełnia błogie nasycenie. Zaczynała ogarniać go senność, lecz przez głowę przepływały mu jeszcze obrazy ich zespolenia. Uśmiechnął się... i nagle jego zadowolenie przyćmiła pewna myśl. Jakim sposobem dziewczyna sprzed wielu lat stała się tą kobietą, która przed chwilą tak wprawnie torturowała go rozkoszą?

Pomyślał, że nie powinien o to pytać – nie miał do tego prawa. Bo co, jeśli odwzajemniłaby się tym samym? Przecież Royd nie spędził tych ośmiu lat w celibacie.

Gdyby miał w głowie choć odrobinę oleju, nie poruszałby tego tematu, lecz...

– Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczyła?

Isobel przez kilka sekund milczała, po czym uniosła głowę i popatrzyła na niego. Jej oczy były tak ciemne, że nie potrafił odczytać z nich odpowiedzi.

– A jak myślisz?

– Gdybym wiedział, tobym nie pytał.

Isobel wpatrywała się w niego przez kilka chwil, po czym prychnęła.

– Skoro już musisz wiedzieć, kobiety ze sobą rozmawiają. A w Carmody Place jest wiele kobiet.

Zaczęła się mościć wygodnie, aż wreszcie ułożyła się plecami do Royda. Ziewnęła, dodając:

– Teorię poznałam już osiem lat temu. Od tamtej pory czekałam, żeby ją wypróbować.

I zasnęła, zanim do Royda dotarło znaczenie jej słów.

Popatrzył na nią w mroku i się uśmiechnął. Powoli odwrócił się i łagodnie przyciągnął ją do siebie, aż poczuł jej plecy przy swojej piersi. Zamknął oczy.

***

Obudził ją, kiedy świt zaczął barwić niebo.

Powolną pieszczotą zaprowadził ją w miejsce, gdzie każdy dotyk wprawiał w drżenie, a najlżejsze muśnięcie dłoni budziło cudowną rozkosz.

Ogarnięta pożądaniem Isobel unosiła się na falach przyjemności.

Royd pieścił ją prawie do utraty zmysłów i wreszcie się z nią połączył. Poruszali się cudownie wolno.

Aż na szczyt, gdzie czekała rozkosz. Nawet wtedy jej nie puścił, ich dłonie się splatały, a nagie ciała spajały w idealnej harmonii.

Później, kiedy ich oddechy wróciły do normy i serca biły w normalnym rytmie, Isobel położyła się obok Royda

i zaczęła się zastanawiać nad sytuacją. Jedno było jasne: już nic nie będzie takie samo.

Ten powrót do intymności był nieunikniony. Teraz, kiedy wreszcie zrobili ten krok i odkryli, że ich fizyczne relacje są nawet bardziej intensywne niż we wspomnieniach, pozostało jedno proste pytanie: co teraz?

Isobel uniosła głowę, żeby spojrzeć na Royda.

– I co dalej?

Na pewno coś już obmyślił.

Popatrzył jej w oczy.

– Myślałem, że to oczywiste.

– Gdybym wiedziała, tobym nie pytała – odparła zgryźliwie.

Royd uśmiechnął się lekko, lecz natychmiast spoważniał. Po kilku sekundach, nie odrywając od niej wzroku, rzekł:

– Chcę, żebyś była moją żoną. Partnerką w życiu. Wspólniczką we wszystkich sprawach.

Wszystkich?, pomyślała sceptycznie Isobel. Lecz jego głos, wyraz twarzy i oczu świadczyły o tym, że dokładnie to miał na myśli.

Zadrżała.

– A co z Duncanem?

Pytała właściwie bardziej po to, by dać sobie chwilę na odpowiedź, niż dlatego, że faktycznie miała co do tego jakiekolwiek wątpliwości.

– Stanie się oficjalnie moim synem i dziedzicem – rzekł Royd i po chwili dodał: – Już nim jest, bez względu na wszystko.

Nie zamierzała z tym dyskutować. Kiedy jednak wchodziła w Aberdeen na pokład statku, nie przewidziała tej sytuacji. Nigdy więc nie zadała sobie najważniejszego pytania.

Ale deklaracja Royda wymagała jakiejś odpowiedzi.

Isobel ewidentnie nie miała żadnych obaw przed oddaniem mu swojego ciała. Jednak nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdoła z powrotem oddać mu serce.

Już raz to uczyniła, a on je złamał. Może niechcący, ale cierpienie to cierpienie, a tak głębokie rany niełatwo się goją mimo logicznych argumentów.

Nie winiła go już za to, co się stało. To jednak nie znaczyło, że potrafiła wymazać tamten ból. I nadal z obawą myślała o tym, że miałaby znowu się narazić na taki ból.

Royd wyraźnie określił swoje pragnienia i znała go na tyle, aby wiedzieć, że mówi szczerze. A to, że wspomniał o całym życiu – o wszystkich jego aspektach – uzmysłowiło jej, że sama również pragnie właśnie takiej wspólnoty.

Lecz choć Isobel przyznawała, że złożył jej bezprecedensową ofertę, i to wbrew swoim głęboko zakorzenionym przyzwyczajeniom, musiała się zastanowić, czy w razie zaistnienia jakichś nieprzewidzianych okoliczności nie okaże się to dla niego zbyt trudne. Może wtedy Royd wmówi sobie, że ona wcale nie musi o czymś wiedzieć.

Przecież tak właśnie było wcześniej.

Nie odrywając wzroku od jego oczu, Isobel zdała sobie sprawę, że istnieje tylko jeden sposób, aby sprawdzić, czy

zmiana Royda jest trwała.

– Przekonajmy się, dokąd zawiodą nas wiatry – rzekła.

Nie była to odpowiedź, na jaką liczył – wyczytała to z jego ostrzejszego spojrzenia – jednak Royd skłonił głowę, godząc się z jej słowami.

Wiedzieli, że nie zdołają już zasnąć. Podnieśli się zatem i razem wyszli na spotkanie nowego dnia.

Pięć

Dwanaście dni później Isobel stała u boku Royda, kiedy „Korsarz” pod osłoną nocy wpływał na rozległą deltę, na której południowym brzegu rozciągała się kolonia Freetown. Spoglądając ponad ciemnymi wodami, dostrzegała w oddali światła migoczące na odległym brzegu.

Zależało im na tym, aby „Korsarz” nie został zidentyfikowany – najlepiej, gdyby w ogóle go nie dostrzeżono. Nie mogli ryzykować, że ktoś w kolonii zda sobie sprawę z pojawienia się kolejnej jednostki Frobisherów i zawiadomi instygatorów, którzy z kolei mogliby przesłać informację do najemników w kopalni. Statek płynął więc teraz pod inną nazwą i innymi znakami: Isobel znajdowała się obecnie na pokładzie „Pelikana”, na którego maszcie powiewała holenderska bandera.

Sunęli bezszelestnie, niesieni siłą trzech czarnych żagli. Royd wykorzystał wiejącą w stronę lądu bryzę, żeby wyhamować pęd statku.

Płynęli bez świateł, łamiąc tym przepisy żeglugi. Niebo było zachmurzone i księżyc jeszcze nie wszedł, lecz gwiazdy lśniły na tyle jasno, że dobrze widzieli powierzchnię morza.

Royd wydawał cicho polecenia – okrzyki niosłyby się daleko po wodzie – a załoga na wachcie stała w gotowości,

czekając na sygnał. Wszyscy pływali pod jego rozkazami od lat i wiedzieli, jak się zachowywać w takiej sytuacji.

Royd popatrzył w stronę leżącego na sterburcie portu i zakręcił kołem, wolno zmieniając kurs.

Płynęli tak przez dziesięć minut. W miarę jak zbliżali się do Freetown, Isobel coraz bardziej się niecierpliwiła. Dzisiejsza noc miała być pierwszym prawdziwym testem obietnicy Royda, że zamierza się z nią dzielić całym swoim życiem.

Od tamtej pierwszej nocy po wypłynięciu z Southampton w naturalny sposób zaczęli dzielić łoże. Pod tym względem ich relacja miała się świetnie – była silniejsza niż poprzednio, oboje też cenili ją i czerpali z niej radość. W tych sprawach nie musieli się niczego obawiać.

Isobel zastanawiała się, jak Duncan zareaguje na tę zmianę, lecz okazało się, że wszystko poszło zdumiewająco gładko. Któregoś ranka chłopiec wstał wcześniej niż zwykle i przyłapał ich śpiących w jej łóżku. Kiedy się obudzili, zobaczyli go przypatrującego się im spod zmarszczonych brwi.

– Co robisz w łóżku mamy? – spytał Royda.

Ten odpowiedział bez chwili wahania:

– Wiesz, że jestem twoim tatą. Mamusie i tatusie zwykle sypiają razem.

Duncan zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym uśmiechnął się promiennie i spytał, kiedy zamierzają wstać.

Isobel dziękowała Bogu, że chłopiec chyba nie zauważył braku jej koszuli nocnej.

W tej chwili Duncan spał w swoim łóżku pod pokładem. Cieszyła się, że chłopiec nie będzie świadkiem brawurowej akcji, w jaką wkrótce rzucą się jego rodzice.

Zakładając oczywiście, że Royd dotrzyma słowa.

Royd ustawił statek na właściwym kursie, zablokował ster i skinął na ludzi stojących w gotowości pod bezanmasztem. Tamci niemal bezgłośnie ściągnęli żagle. Statek zwolnił, a potem zakołysał się na fali, dryfując lekko z prądem.

Royd przekazał ster Kelly'emu, wziął lunetę i podszedł do sterburty, żeby zbadać sytuację w porcie.

Isobel podążyła za nim. Z tej odległości jednostki stojące na kei wyglądały praktycznie tak samo.

Royd przyjrzał się ciemnym kształtom i po chwili jego oko zatrzymało się na jednym statku.

– Mamy szczęście – mruknął zadowolony. – Wygląda na to, że Decker jest w domu.

– Który to jego statek?

Royd podał jej lunetę i pokazał palcem.

– Tamta siedemdziesiątka czwórka po prawej stronie.

Isobel co prawda nigdy nie miała do czynienia ze statkami marynarki, lecz wiedziała, że chodzi o jednostkę o siedemdziesięciu czterech działach. Przysunęła lunetę do oka i odszukała okręt.

– Faktycznie w kajucie na rufie pali się światło.

– Nie wiem, kto inny mógłby tam siedzieć o tej porze – rzekł Royd. Po chwili dodał: – Już po dziesiątej. Lepiej ruszajmy. Wolałbym nie wyciągać go z łóżka.

– Drżę na samą myśl o tym – odparła ironicznie Isobel, oddając lunetę i kierując się do drabinki.

Royd dał znak Jolley'owi, żeby spuścił szalupę, po czym ruszył śladem Isobel do kabiny na rufie, powtarzając w głowie plan działania. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak przewidywał, nie powinni się znaleźć w niebezpieczeństwie, lecz...

Jego zamiar ponownego zdobycia serca Isobel rozwijał się może nie do końca zgodnie z oczekiwaniami, ale na pewno w dobrym kierunku. Royd sądził pierwotnie, że najlepsze będą spokojne zaloty, lecz nie wziął pod uwagę jej – ani swojego – temperamentu. Isobel wyrwała mu cugle i sama przejęła dowodzenie – a on na pewno nie zamierzał się uskarżać. Przez ostatnie dwanaście dni (i nocy) czuł się... jakby po ośmioletnim sztormie zawinął wreszcie do portu.

Ich związek był teraz mocny jak skała, lecz jednocześnie Royd obawiał się o bezpieczeństwo Isobel.

I jeszcze nie wymyślił, jak pogodzić te dwie sprawy.

Kiedy wszedł do kajuty, zobaczył Isobel nachyloną nad jego kufrem z bronią. Przystanął na chwilę, podziwiając kształtne pośladki rysujące się pod jej cienką spódnicą, lecz już po sekundzie otrząsnął się i podszedł sprawdzić, co robi.

Zajęta była porównywaniem ciężaru noży. Royd miał ich w kufrze spory wybór, ona zaś sprawdzała właśnie dwa o krótkich ostrzach.

– Chyba ten – powiedziała wreszcie i wyprostowała się, patrząc na Royda. – Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

– Skąd. – To przynajmniej mówił szczerze.

Sam uczył Isobel posługiwania się nożem, rzucania nim i obrony. Wątpił jednak, czy kiedykolwiek miała okazję skorzystać z tych nauk.

– Ale wiesz, że nie wejdziesz na okręt Deckera, prawda? W tej sukni nie dasz rady się wspinać.

Isobel uśmiechnęła się, jakby spodziewała się podobnej uwagi.

– Faktycznie – rzekła i skinęła dłonią w kierunku łóżka. – Dlatego właśnie zamierzam się przebrać.

Royd spojrzał i zaklął w myślach. Już kiedy nosiła suknię, trudno mu było oderwać od niej wzrok, a co dopiero spodnie? Przynajmniej nie były obcisłe.

Isobel odłożyła nóż i zaczęła rozwiązywać tasiemki stanu. Royd odwrócił się w stronę kufra, aby skupić się na własnym uzbrojeniu.

Lecz mimo to słyszał szelest zdejmowanej sukni, a potem wsuwania dobrze mu już znanych szczupłych nóg w nogawki z mocnej bawełny.

W przeciwieństwie do większości dziewcząt, Isobel w dzieciństwie często nosiła spodnie. Royd słyszał, że babka poradziła jej matce, aby pogodziła się z faktem, że Isobel na zawsze pozostanie chłopczycą, że taka widać jej natura i skoro ma odziedziczyć stocznie, to być może nie jest to wcale taka tragedia, bo w spodniach może bezpieczniej wdrapywać się po szkieletach statków i uczyć tego, co będzie jej kiedyś potrzebne.

W dokach stoczni rzeczywiście było wiele miejsc, gdzie noszenie sukni wiązałoby się z dużym ryzykiem. A że Isobel spędzała tam sporo czasu, nic dziwnego, że nadal zwykła okazjonalnie ubierać się po męsku. On jednak nie widział jej w takim stroju od ponad ośmiu lat.

Uzbroiwszy się w kilka noży, zamknął kufer i odwrócił się do niej. Upinała właśnie długie włosy w ciasny węzeł na czubku głowy. Widok Isobel stojącej tak z uniesionymi ramionami i smukłymi kształtami doskonale rysującymi się pod krótką kurteczką, spodniami i jeździeckimi butami wywarł na nim dokładnie takie wrażenie, jakiego Royd się obawiał.

Jak, u licha, ma się skupić na tym, żeby spokojnie wyłożyć Deckerowi swoje racje, kiedy ona będzie stała obok w tym stroju?!

Isobel wsunęła ostatnią spinkę, opuściła ramiona i odwróciła się do niego.

– Jestem gotowa. – Na jej twarzy widział niecierpliwość i determinację.

Niezadowolony z własnej podatności na jej wdzięki zacisnął zęby i wskazał drzwi.

– Chodźmy więc. Decker musi zacząć działać jeszcze przed świtem.

***

Pół godziny później szalupa niemal bezszelestnie wsunęła się w plamę głębokiego cienia rzucanego przez flagowy okręt Deckera. Podpłynęli do niego ukradkiem pod osłoną

innych jednostek, a ostatni odcinek, kiedy musieli przedostać się przez otwartą wodę, sforsowali w momencie, gdy wartownicy Deckera byli akurat na drugim końcu statku.

Jak na razie nikt nie wykrył ich obecności. Na ogromnym okręcie panował spokój.

Planowali dostać się na pokład i do kajuty Deckera tak, aby jego ludzie ich nie zauważyli – mieli też nadzieję, że uda im się w ten sam sposób opuścić okręt. Im mniej osób będzie wiedzieć o ich wizycie, tym lepiej.

Jak w przypadku większości jednostek marynarki, tak i tej podczas postoju w rodzimym porcie strzegło tylko dwóch ludzi, którzy wolno obchodzili pokład. Nawet z szalupy łatwo było się zorientować w ich pozycji po dźwięku kroków; ukrycie się przed nimi nie powinno nastręczyć trudności.

Inaczej wyglądała sprawa z dostaniem się na okręt. Nie mogli skorzystać z liny z bosakiem, bo uderzenie narobiłoby zbyt dużo hałasu. Pozostał łańcuch kotwiczny. Jak zwykle w przypadku statku o podobnym tonażu kotwice były dwie, obie na dziobie. Ze względu na prądy w porcie zarzucono je na sterburcie, a łańcuchy zwieszały się do wody w odstępie jakichś dziesięciu stóp.

Royd spojrzał na Isobel, która siedziała obok niego na środkowej ławce szalupy. Przyglądała się uważnie statkowi oraz łańcuchom kotwicznym i nasłuchiwała kroków strażników. Nachylił się do niej i szepnął:

– Ty weź lewy łańcuch. Ja wezmę prawy. Zaczniemy się wspinać, kiedy strażnicy dotrą do środka pokładu. Na górze zaczekamy, aż odejdą, i przełazimy.

Isobel kiwnęła głową i uśmiechnęła się szeroko.

– Chodźmy – szepnęła.

Podniosła się płynnie i bez wprawiania szalupy w kołysanie przesunęła się w stronę lewego łańcucha.

Royd ruszył za nią. Kiedy chwycił żelazne ogniwa, popatrzyli na siebie, nasłuchując i czekając...

– Teraz – powiedział bezgłośnie.

Isobel podciągnęła się na łańcuchu i zaczęła się wspinać.

Była szybka. Royd ruszył za nią do góry.

Isobel miała ochotę się roześmiać. Przez całe życie łaziła po linach, łańcuchach i sieciach, zresztą ogniwa łańcucha były tak duże, że swobodnie mogła wsuwać w nie buty.

Royd pozostał w tyle. Jego stopy nie mieściły się w ogniwach, więc musiał ciężko pracować rękami.

Isobel pierwsza dotarła pod burtę. Obróciła się na łańcuchu, opierając barkiem i biodrem o kadłub. Dzięki temu była osłonięta występem burty i niewidoczna, chyba że strażnik wychyliłby się dalej. Oddychała nieco szybciej, ale nie była zdyszana.

Po kilku sekundach Royd dołączył do niej i zatrzymał się w takiej samej pozycji.

Czekali, nasłuchując; kroki nadchodzącego strażnika niosły się wyraźnie. Mężczyzna zatrzymał się na dziobie, bezpośrednio nad nimi, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem przez pokład.

Odczekali dwa uderzenia serca i Royd poruszył się – lecz Isobel była szybsza. Odchyliła się od kadłuba, wsunęła stopę w otwór, z którego wychodziły łańcuchy, i podciągnęła się tak, że jej głowa znalazła się nad burtą. Spojrzała i upewniła się, że strażnik odszedł. Ten drugi, który szedł w stronę dziobu wzdłuż bakburty, nie mógł ich dostrzec, bo zasłaniały ich stojące na drodze grodzie, maszty, pozwijane żagle, luki, kabestany, kołowroty i wszelkie inne sprzęty wypełniające środek pokładu.

Isobel nachyliła się, położyła na burcie i zsunęła na pokład, lądując bezszelestnie na ugiętych nogach.

Sekundę później obok niej pojawił się Royd. Nie czekała, aż obejmie prowadzenie, i pierwsza przemknęła w plamę cienia pod grodzią. Stamtąd przesunęła się pod osłonę skrajnika. Jednostki komercyjne były tak podobne do wojskowych, że z łatwością mogła się zorientować w rozkładzie okrętu i nawet nie musiała się zastanawiać, gdzie szukać najlepszej osłony przed wzrokiem wartownika.

Z Roydem depczącym po piętach dotarła do jednej z zejściówek. Dokładnie w momencie, gdy strażnik podszedł bliżej, wsunęli się pod przypominającą kaptur osłonę chroniącą właz przed deszczem i morską pianą.

Wstrzymali oddech, gdy marynarz ich mijał, i natychmiast pospiesznie ruszyli dalej. Kiedy wrócił pierwszy wartownik, przykucnęli na chwilę za osłoną wciągarki. W końcu dotarli do zejściówki rufowej.

Isobel otworzyła właz. Zastygli, nasłuchując, lecz do ich uszu nie dotarł żaden dźwięk. Isobel cicho zeszła po

schodach. W przejściu skierowała się do drzwi, które prowadziły w stronę rufy. Tak jak się spodziewała, zabezpieczały je dwa rygle. Royd ruszył cicho w stronę kabiny Deckera, a ona odwróciła się jeszcze, żeby z powrotem zamknąć przejście.

Dotarli do kajuty. Royd przystawił ucho do drzwi, Isobel zrobiła to samo.

Nie było słychać żadnej rozmowy ani kroków, za to rozlegał się szelest przekładanych papierów, a potem skrobanie pióra.

Royd wyprostował się i sięgnął po klamkę, dając Isobel znak, że pójdzie przodem.

Otworzył drzwi i śmiało wszedł do środka.

Decker podniósł głowę z wyrazem irytacji na twarzy. Widząc, kto odważa się zakłócić mu spokój, wytrzeszczył oczy, a jego usta otworzyły się wolno. Wyraźnie był częściowo przerażony, a częściowo oburzony.

Isobel, powstrzymując uśmiech, wsunęła się do pomieszczenia i szybko zamknęła drzwi.

Decker zerwał się na nogi i ryknął:

– Co to ma znaczyć, do kroćset?!

– Proszę mówić ciszej – odparł spokojnie Royd. – Przysłano mnie tu, żebym omówił sprawę pewnych zaniedbań, do jakich doszło na pańskiej wachcie.

Decker zamrugał. Nie brakowało mu inteligencji: natychmiast zrozumiał znaczenie słów „przysłano mnie” i domyślił się, że pod „zaniedbaniami na wachcie” musi się kryć drugie dno. Mimo to skrzywił się gniewnie.

– Co to wszystko ma znaczyć? – warknął cicho.

Royd wsunął rękę za pazuchę i wyciągnął złożoną kartkę. Rzucił ją na biurko.

– Nowe rozkazy od Melville’a. Proszę to przeczytać, a potem porozmawiamy.

Decker spojrzał na papier jak na jadowitą żmiję, po czym niechętnie wyciągnął rękę. Rozkładając wiadomość, zerknął z ukosa na Royda – i dopiero wtedy zauważył stojącą przy drzwiach Isobel.

W pierwszym odruchu wziął ją za członka załogi Royda, lecz kiedy spojrzał na nią uważniej, wytrzeszczył oczy i się wyprostował.

Jeśli widok Frobishera był dla niego zaskoczeniem, to obecność Isobel wprawiła go w prawdziwe osłupienie.

Otworzył usta.

– Proszę usiąść – odezwała się dziedziczka rodu Carmichaelów. – Ja postoję. – Kiedy zaś wiceadmirał nadal gapił się na nią bez słowa, kiwnęła głową w stronę listu w jego dłoni. – Musi pan to przeczytać.

Decker zamrugał, oderwał od niej spojrzenie, spojrzał na rozkazy i opadł na fotel.

Jego twarz pobladła. Przeczytał wiadomość po raz drugi.

Isobel i Royd czekali cierpliwie.

Wreszcie wiceadmirał podniósł wzrok.

– Ależ to jakiś absurd! – krzyknął buńczucznie.

– Widział pan podpis – rzekł Royd.

– Phi! – Decker z pogardliwym prychnięciem rzucił papier na biurko. – Melville nie ma pojęcia o dowodzeniu na

morzu.

Royd nadal zachowywał niewzruszony spokój.

– To wcale niewykluczone. Jednak w tym przypadku, choć sprawa należy do pańskich kompetencji, chodzi o problem nie na morzu, lecz na lądzie. W kolonii i poza jej granicami – uściślił. Wbił spojrzenie w wiceadmirała. – Gdyby pan wiedział, co się tu dzieje, nie dziwiłby pana ani mój widok, ani te rozkazy.

Było jasne jak słońce, że Decker nie wie o żadnych kłopotach w kolonii. Prychnął i poruszył się niespokojnie, lecz wreszcie ze zniecierpliwieniem wskazał Roydowi krzesło stojące przed biurkiem.

– Siadaj pan, na litość boską, i mów, o co tu chodzi.

Royd spojrzał pytająco na Isobel, lecz ona pokręciła głową. Była zbyt przejęta, aby usiąść. Patrzyła, jak Royd zajmuje miejsce z nonszalanckim spokojem, i zastanawiała się, jak potrafi tak doskonale zapanować nad emocjami. Nigdy dotąd nie widziała go tak opanowanego.

Royd pokrótce opowiedział Deckerowi tyle, ile ten musiał wiedzieć, żeby pojąć ogrom strasznych rzeczy, które – jak to ujął – działy się w kolonii na wachcie wiceadmirała.

Aby oddać mu sprawiedliwość, Decker nie uciekał od odpowiedzialności. Zadał kilka celnych pytań, na które Royd szczerze odpowiedział. Isobel obserwowała tę wymianę zdań z zainteresowaniem. Pod pewnymi względami wyglądało to jak starcie młodości z wiekiem, lecz jej kojarzyło się bardziej ze starciem śmiałości z zachowawczością.

Deckerowi powierzono zadanie ukrócenia handlu ludźmi. Jego działania dotyczyły co prawda tras żeglarskich, lecz fakt, że tak wielkie zbrodnie mogły być popełniane w jego rodzimym porcie, tuż pod jego nosem, stanowił trwałą skazę na honorze wiceadmirała.

Decker na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to, kiedy Royd zakończył wyjaśnienia, wiceadmirał zacisnął zęby, złożył ręce na biurku i twardo popatrzył na młodzieńca.

– Nie musi mi pan tłumaczyć, jak sobie z tym poradzić. – Te słowa zostały wypowiedziane z głęboką niechęcią. Potem Decker podniósł się i sięgnął po sznur dzwonka wiszącego na ścianie. – Skontaktuję się z Holbrookiem. Razem opanujemy sytuację...

– Nic takiego pan nie zrobi.

Głos Royda brzmiał tak stanowczo, że Decker się zawahał. Zamarł z dłonią o kilka cali od sznura.

Royd nie odrywał od niego wzroku.

– Niech pan się nie łudzi. Jeśli podejmie pan jakiekolwiek działania, które mogą zagrozić mojej misji, będę zmuszony przejąć dowodzenie nad tą jednostką i zakuć pana w dyby na jego własnym okręcie – stwierdził głosem pozbawionym wyrazu.

Była to niebagatelna groźba i gdyby Royd poczuł się zmuszony ją spełnić, kariera Deckera skończyłaby się w niesławie.

Mijały minuty, a obaj mężczyźni nadal się w siebie wpatrywali. Upór Royda motywowany był oddaniem

sprawie, upór Deckera zaś – głęboką niechęcią do pomysłu, że miałby się znaleźć pod rozkazami Frobishera. Tego samego Frobishera, którego, jak słyszała Isobel, określano mianem władcy korsarzy. Właściwie trudno się dziwić, że była to dla wiceadmirała gorzka pigułka. Isobel doskonale wiedziała, kto wygra tę rozgrywkę, lecz nie miała czasu czekać.

Skrzyżowała ramiona, wyprostowała się i wbiła spojrzenie w Deckera.

– Na litość boską, Ralph! Czy mam poprosić swoją babkę, żeby do pana napisała? I może jeszcze do pańskiej żony oraz admirała Harte'a?

Zaskoczony Decker przeniósł na nią wzrok.

Isobel podeszła bliżej.

– Tego pan chce? – spytała. – Może pan nie zauważył, ale w tę sprawę uwikłana jest członkini rodu Carmodych, i wcale nie mam na myśli siebie. W tej kopalni znajduje się moja kuzynka, Katherine Fortescue. Została uprowadzona z ulicy w kolonii, w drodze na pocztę, całe miesiące temu! Od tamtej pory jest przetrzymywana przez złoczyńców stojących za tym spiskiem i zmuszana do pracy w kopalni!

Jej dramatyczna przemowa kompletnie wytrąciła Deckera z równowagi. Isobel wbiła w niego ostre spojrzenie i sięgnęła po ostateczną broń.

– Jeśli sądzi pan, że Iona nie zdoła przedstawić sprawy tak, aby wyszło, że to wszystko pańska wina, to najwyraźniej od dawna nie miał pan z nią do czynienia. Proszę mi wierzyć, jeśli nie doniosę, że uczynił pan

wszystko, ale to absolutnie wszystko, co w pana mocy, aby pomóc mojej kuzynce, zamiast skupiać się na pożałowania godnych próbach podkreślania własnego stanowiska, babcia wywiesi pana na rei. – Widząc w oczach Deckera przerażenie, dodała ciszej: – Zna pan Ionę. Wie pan, że się nie zawaha. Więc może powinien pan zrobić to, co on mówi – zakończyła, kiwając głową w stronę zachwyconego jej występem Royda.

Kiedy kompletnie pokonany i pobladły Decker skierował na niego wzrok, Royd popatrzył na niego bez triumfu, choć myśl, że wiceadmirał postrzega go jako mniejsze zło, budziła w nim ogromne rozbawienie.

Decker przełknął ślinę, po czym wolno opuścił rękę i opadł z powrotem na fotel. Popatrzył na rozkazy od Pierwszego Lorda, a potem znowu na Royda.

– No dobrze. Co więc... – Wciągnął powietrze i dokończył nieco bardziej ugodowo: – Co więc mam zrobić?

Royd wytłumaczył mu plan, podkreślając, jak ważna w całej akcji jest szybkość działania i pozory, że to tylko rutynowe ćwiczenia.

– Nie możemy pozwolić, żeby ktokolwiek w kolonii się domyślił, że planujemy akcję ratunkową. A to znaczy, że będzie pan musiał ukryć to przed swoimi oficerami. Proszę udzielić im tylko niezbędnych informacji.

Decker przytaknął. Popatrzył na zegar na ścianie.

– Natychmiast wydam rozkaz. Powiem, że staliśmy się opieszali i musimy przećwiczyć manewry, których nie stosujemy rutynowo. Pewnie moi kapitanowie pomyślą, że

to starość rzuciła mi się na umysł – dodał, wzruszając ramionami – ale wykonają polecenia.

– Nic więcej nas nie obchodzi. – Royd podniósł się z krzesła i popatrzył na Isobel.

Ta skinęła głową i ruszyła do drzwi.

Decker wstał i obciągnął kamizelkę.

– Czy mogę zaoferować wam jakąkolwiek... hm, pomoc? Zapewne zamierzacie oddalić się tak samo niezauważenie, jak się pojawiliście?

Royd zawahał się, lecz w końcu Decker sam się zaoferował – a nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło.

– Dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli jak najmniej osób dowie się o tej wizycie. Gdyby mógł pan wyjść z nami na pokład i zająć strażników na rufie przez kilka minut, zaraz znikniemy.

Decker pokiwał głową i skinął ręką w stronę drzwi.

Royd ruszył przodem, Isobel za nim, a wiceadmirał na końcu. Kiedy doszli do zejściówki, Decker wyszedł z nimi na pokład i zrobił to, o co prosili.

Na dziobie Royd pomógł Isobel przejść przez burtę i złapać się łańcucha. Sam chwycił za drugi, a kiedy ich głowy znalazły się blisko siebie, szepnął:

– „Ralph”?

– Dobrze jest pamiętać, jak kto ma na imię. Czasem się to przydaje, zwłaszcza gdy chce się kogoś skłonić, żeby coś zrobił – mruknęła.

Posłała mu spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że nie miała na myśli wyłącznie Deckera.

– A czasem nie – odparł natychmiast Royd.

Jak większość znanych mu osób, Isobel nigdy nie zwróciła się do niego pełnym imieniem, ani by coś mu polecić, ani w żadnym innym celu.

Isobel błysnęła zębami w uśmiechu, a potem zaczęła szybko schodzić. Pierwsza wróciła do szalupy.

Royd uśmiechnął się mimowolnie. Zapomniał, jak to jest – to poczucie koleżeństwa, dobroduszna rywalizacja, a jednocześnie współpraca, kiedy trzeba się zmierzyć z kimś trzecim. Kolejna rzecz, której mu brakowało, od kiedy Isobel zniknęła z jego życia.

Usiadł przy niej i dał sygnał Williamsowi, żeby wracali na „Korsarza”. W ciemności odnalazł dłoń Isobel. Ich palce mocno się splotły.

Trzymając się za ręce, sunęli po ciemnych wodach.

Sześć

Po powrocie Royd przejął ster statku, kazał wciągnąć kilka żagli i skierował „Korsarza” tak blisko północnego skraju delty, jak tylko pozwoliły na to przybrzeżne rafy.

– Tylko ktoś z samego wierzchołka Tower Hill, dysponujący doskonałą lunetą i powodem, by nas szukać, mógłby teraz zauważyć nasz statek – mruknął z zadowoleniem.

Wreszcie polecił rzucić kotwicę i wraz z Isobel wrócili do kabiny, żeby przespać się kilka godzin.

Teraz, kiedy słońce wstawało nad horyzontem, Isobel stała przy nim na rufie i patrzyła przez drugą lunetę na jednostki Eskadry Zachodnioafrykańskiej, które wypływały z portu i zajmowały pozycje w poprzek ujścia delty.

– To jedno trzeba Deckerowi przyznać: potrafi skutecznie działać – prychnął Royd, kiedy ostatnie dwa okręty zajęły swoje miejsca. Po krótkiej chwili dodał ciszej: – A przy okazji, doceniam twoją pomoc z Deckerem wczoraj w nocy, ale skoro ja mam się z tobą dzielić wszelkimi informacjami związanymi z tym przedsięwzięciem, to może odwzajemniłabyś się tym samym?

Isobel opuściła lunetę i popatrzyła na niego spokojnie.

– Zgoda.

Uśmiechnęła się i spojrzała na blokadę ustawiającą się na wodach delty.

– Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy Decker mnie rozpozna. A kiedy stwierdziłam, że wie, kim jestem, postanowiłam poczekać i przekonać się, jak zareaguje na twoje słowa, zanim skorzystam z naszych koneksji.

Royd burknął coś pod nosem.

– Znajomość całego dostępnego arsenału przed przystąpieniem do bitwy to podstawowa zasada dowodzenia. A to jasne, że posiadanie babci, która jest prawdziwą smoczycą, wiąże się z pewnymi korzyściami.

Isobel roześmiała się.

– Dam ci znać, jeśli natkniemy się w tej misji na kogoś innego, kogo mogę w ten sposób zastraszyć.

Ułagodzony Royd skinął głową i znowu popatrzył przez lunetę.

Nie było już jednak co oglądać. Jednostki marynarki, głównie fregaty, zostały rozmieszczone tak, aby blokować wszelki dostęp do zatoki. Żadna wieść z Europy nie miała szans prześlizgnąć się między nimi ani do kopalni, ani w przeciwnym kierunku. Prawdziwie zdesperowany posłaniec mógłby spróbować przedostać się do kolonii lądem, z wybrzeża na zachód od Freetown, po południowej stronie delty, lecz tę trasę wkrótce miała odciąć Kit.

– Jak na razie – powiedział Royd, opuszczając lunetę – wszystko idzie zgodnie z planem.

– Więc co zamierzasz dzisiaj robić?

– Musimy się przyczaić. W kolonii jest zbyt wiele osób, które mogłyby mnie rozpoznać, żeby ryzykować wizytę w świetle dnia. Nie mogę nawet posłać nikogo z załogi.

Natychmiast rozniosłaby się wieść, że „Korsarz” stoi gdzieś w zatoce. Dziś nic już nie zdziałamy, możemy tylko czekać. – Po chwili dodał: – Obiecałem Duncanowi, że nauczę go wiązania węzłów.

Wprowadzanie chłopca w tajniki żeglugi sprawiało Roydowi o wiele większą przyjemność, niż się spodziewał; dawało mu też okazję do spędzania czasu z synem.

– Kiedy ruszymy w górę delty?

– Gdy tylko Declan lub Robert tu dopłynie. Muszą zabezpieczyć kolonię, zanim dołączą do nas w kopalni, a nie wiadomo, czy nie spowolni ich jakiś sztorm lub słaby wiatr.

– Ale zakładając, że nie będą mieli żadnych opóźnień, jak sądzisz, który z nich będzie tu pierwszy?

Royd spojrzał na morze.

– Mam nadzieję, że przynajmniej „Kormoran” dotrze przed północą. Jeśli tak, przekażemy sprawę w ręce Declana i ruszymy w dalszą drogę. Chcę jak najszybciej dotrzeć do kopalni.

Isobel mruknęła potakująco.

– A czy w tym czasie moglibyśmy się czymś zająć? – spytała po chwili.

Royd popatrzył na nią wymownie.

– Czymś związanym z misją... – poprawiła się.

Była z natury popędliwa, dlatego Royd postanowił już się z nią nie drażnić.

– Nie możemy ryzykować wizyty w kolonii za dnia, ale dobrze byłoby się dowiedzieć, czy w ostatnim czasie nie doszło tam do jakichś ważnych wydarzeń. Kiedy zapadnie

zmrok, możemy wziąć szalupę, popłynąć do miasta i odwiedzić Charlesa Babingtona. Na pewno trzymał rękę na pulsie, a porusza się w odpowiednich kręgach, żeby wiedzieć, gdyby coś się działo. Będzie chciał poznać nasz plan, a poza tym może będziemy go potrzebować, żeby dopilnował, aby Macauley nie czepiał się Deckera o blokadę. No i musi wiedzieć, że wkrótce przybędą tu Robert i Declan.

Isobel mogła się więc pocieszać myślą, że po zmroku zabiorą się do działania. Łatwiej było znieść bezczynność, wiedząc, że nie potrwa to wiecznie. W końcu Royd też czekał, aż Isobel ponownie mu zaufa. Nie dlatego, że z natury był cierpliwy, ale dlatego, że wiedział, że nagroda będzie tego warta.

Przesłała mu radosny uśmiech.

– Wyśmienity pomysł. Przeczytam jeszcze raz odpowiednie fragmenty dziennika Roberta. Zatem wyruszymy o zachodzie słońca?

Royd uśmiechnął się szeroko.

– Gdy tylko zapadnie zmrok.

***

Isobel szła pod ramię z Roydem główną ulicą kolonii. Miała na sobie lekką spacerową suknię z ciemnozielonego diagonalu, a na jej nadgarstku wisiała mała torebka. Była prawie dziesiąta wieczorem i okolica była praktycznie opustoszała. Nawet gdyby ktoś ich zobaczył, pomyślałby, że to tylko jakiś dżentelmen odprowadza damę do domu.

Zeszli na ląd przed dwiema godzinami. Royd kazał szalupie podpłynąć pod kraniec nabrzeża przeznaczonego dla miejscowych kupców. Co prawda eskadra nie stała w porcie, lecz wolał ominąć Keję Rządową szerokim łukiem, żeby nie zauważył ich nikt z największych jednostek handlowych. Kiedy wysiedli z szalupy, razem z niewielką grupką ludzi Royda skierowali się do spokojniejszej handlowej części miasta.

Weszli w wąskie uliczki i grupa się podzieliła. Załoga Royda poszła sprawdzić, czy w tawernach nie krążą jakieś ciekawe plotki. On sam zaś postanowił zaspokoić ciekawość Isobel, dlatego udali się w kierunku modniejszej dzielnicy i aż do fortu na samym szczycie Tower Hill. Przyjrzeli mu się z daleka, trzymając się w cieniu, i zaraz zawrócili. Znaleźli też dom Sherbrooków, u których Katherine pracowała jako guwernantka – Isobel miała ich adres. Jak na miejscowe standardy była to całkiem porządna rezydencja, znajdująca się w rzekomo bezpiecznej dzielnicy europejskiej.

Royd zapytał, czy Isobel nie chciałaby zapukać do drzwi i poznać panią Sherbrook, lecz ona po zastanowieniu pokręciła głową.

– To nie jej wina, że Katherine została uprowadzona, a taką wizytą tylko zawiadomimy niepotrzebnie o swojej obecności.

Royd nie skomentował tych słów, lecz czuła, że pochwala jej decyzję.

Potem zajrzeli do niewielkiego parku, o którym mówiła im Aileen. Nawet w świetle księżyca był to przyjemny zakątek. Przysiedli na chwilę na ławce i spojrzeli na zatokę.

Isobel nigdy jeszcze nie podróżowała dalej niż do Amsterdamu. Odczuwała ciepło i wilgoć, lecz nie dawały jej się one we znaki. Powiała lekka bryza, która rozproszyła resztki dziennego upału i zostawiła w powietrzu woń nocnych kwiatów.

Freetown stanowiło najmniej cywilizowane miejsce, w jakim była. Edwina i Aileen mówiły jej, że dalej od Tower Hill okolica robi się coraz mniej sympatyczna. Isobel cieszyła się, że przybyła tu tylko z wizytą. Myśl, że Katherine tu mieszkała... Ionie wcale by się to nie spodobało.

Siedzieli w parku, dopóki Royd nie uznał, że czas już na odwiedziny u Babingtona. Mieszkał on w okolicy, której Royd wolał unikać, więc szli z dużą ostrożnością, lecz przez całą drogę nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Weszli po schodach do garsoniery i Royd zapukał do drzwi. W oknach nie było widać żadnego światła i nikt im nie otworzył.

Royd zapukał po raz drugi, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął komplet wytrychów. Isobel przyglądała mu się bez słowa. Kilka razy urządzali sobie zawody, kto szybciej otworzy zamek. Zwykle wygrywała.

Drzwi się otworzyły i Royd wprowadził ją do środka.

Isobel znalazła lampę oraz hubkę i po sekundzie zapłonął jasny płomień. Przykręciła knot i nakryła lampę kloszem.

Słabe światło ukazywało środek pokoju, lecz kąty pozostawały skryte w mroku.

Isobel usiadła na sofie.

– I co teraz? – spytała.

– Znowu musimy czekać – odparł Royd, uśmiechając się.

Zajął fotel po lewej stronie, który stał przodem do wejścia.

Po piętnastu minutach usłyszeli kroki na schodach, a potem zachrobotał klucz i drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł Babington. Wyciągnął rękę, żeby odłożyć kapelusz na szafkę, i nagle ujrzał Isobel.

Zamrugał zdumiony, po czym jego spojrzenie przesunęło się na Royda. Natychmiast go rozpoznał i na jego twarzy ukazał się wyraz ulgi.

– Bogu niech będą dzięki!

– Miło, kiedy ktoś się cieszy na twój widok – mruknął Royd.

– Nawet nie wiesz jak – odparł tamten, zamykając drzwi. – Czyżby wreszcie nadchodził ratunek?

– Owszem. Ale w tej chwili działamy w ukryciu. Na pewno nie muszę ci tłumaczyć, że nie możemy sobie pozwolić, żeby ktoś z przestępców lub ich wspólników w kolonii dowiedział się o naszym przybyciu.

Babington obszedł fotel i opadł na niego.

– A my tymczasem mieliśmy tu kilka niespodziewanych wydarzeń i gości.

Isobel przesunęła się, żeby mieć lepszy widok, i Royd przypomniał sobie o jej obecności.

– Moja droga, pozwól, że przedstawię ci Charlesa Babingtona ze spółki Macauley i Babington. Charles, oto Isobel Carmichael... – O mało nie powiedział „Frobisher”. – Krewna Katherine Fortescue, młodej damy, która została porwana z kolonii i obecnie jest przetrzymywana w kopalni. Isobel to moja wspólniczka.

Babington znał Royda z dawnych czasów i nie umknęło jego uwadze owo „moja droga” ani też fakt, że zabranie kobiety w podróż, i to jako wspólniczki, było dla najstarszego Frobishera czymś bardzo nietypowym.

Isobel wyciągnęła dłoń i młodzieniec postąpił tak, jak nakazywało dobre wychowanie: uśmiechnął się i ujął jej rękę.

– Bardzo mi miło, panno Carmichael.

– Żałuję, że nie spotykamy się w przyjemniejszych okolicznościach – powiedziała. – Jak rozumiem, pańska narzeczona również znajduje się w tej nieszczęsnej kopalni.

Babington spoważniał.

– Zniknęła całe miesiące temu.

– Możliwe, że nie zdaje pan sobie z tego sprawy, lecz Caleb... brat Royda... dotarł do obozu przy kopalni – rzekła Isobel łagodnie. – Przesłał wiadomość, że wszyscy więźniowie mają się dobrze, i pozostał tam, aby wraz z grupą swoich ludzi czuwać z zewnątrz nad ich bezpieczeństwem.

Babington popatrzył na Royda z niemal bolesną nadzieją w oczach, a potem z powrotem przeniósł wzrok na Isobel.

– Czy wspominał o Mary z imienia?

Isobel przytaknęła.

– Przysłał listę więźniów, a także raporty z obozu, które potwierdzają, że wszyscy są cali i zdrowi. Nie wdając się w szczegóły, najemnik, który dowodzi przedsięwzięciem, woli utrzymywać swoich robotników w dobrym stanie, a kobietom, jako zakładniczkom mającym zagwarantować współpracę mężczyzn, nie grozi żadne napastowanie.

– Bo nie można szantażować ludzi skrzywdzeniem kogoś, kogo już się skrzywdziło? – domyślił się Babington.

– Właśnie.

Młodzieniec odetchnął z ulgą.

– Dziękuję za tę informację – powiedział.

– Ależ nie ma za co. Kiedy jednak przyjdzie czas, żeby zamknąć kopalnię, porywacze nie będą już potrzebować więźniów, a zatem również kobiet. Musimy uratować wszystkich, zanim do tego dojdzie.

Spojrzenie Babingtona pomknęło ku Roydowi.

– Czyżby Caleb sugerował, że porywacze szykują się do zwinięcia interesu?

– Zasadniczo nie, ale wszystkie dowody, jakie udało nam się zgromadzić, raporty z kopalni i to, co wywnioskowaliśmy na temat prowodyrów, sugeruje, że gdy tylko produkcja zacznie spadać, sponsorzy zażądają zamknięcia kopalni. Musimy się tam dostać i uratować więźniów, zanim taki rozkaz dotrze do najemników prowadzących operację.

– Jeśli mogę w jakikolwiek sposób pomóc, wystarczy, że powiesz słowo. – Babington odetchnął głęboko. – A jeśli to

możliwe, chciałbym udać się z wami do kopalni.

– Będziesz nam potrzebny do ochrony kolonii. Wkrótce dotrą tu Robert i Declan – to będzie ich zadanie. Ze mną nie wyruszysz, bo wybieram się do kopalni najszybciej, jak to możliwe, lecz oczywiście możesz przyłączyć się do nich. Moi ludzie zrobią rekonesans i rozpoczną przygotowania, ale jeśli będzie taka możliwość, poczekamy z atakiem, aż Robert i Declan dołączą do nas ze swoimi siłami.

Babington pokiwał głową.

– Ja też się na to piszę. Ale co mam robić tutaj?

– Na początek wyjaśnij, co miałeś na myśli, mówiąc o nieoczekiwanych wydarzeniach i gościach.

Babington zamilkł na chwilę, żeby pozbierać myśli. Nagle przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza i zaproponował gościom coś do picia.

Kiedy wszyscy trzymali już szklaneczki z whisky – nie wyłączając Isobel, której ochota na tak mocny trunek zszokowała nieco gospodarza – młodzieniec napił się i nachylił ku gościom.

– Pierwsza sprawa to niespodziewane zniknięcie attaché morskiego, pana Silasa Muldoona. Jednego dnia był, a następnego rozpłynął się w powietrzu. Decker podobno był wielce niezadowolony, kiedy po powrocie zastał ataszat pogrążony w całkowitym chaosie. Holbrook też bardzo się uniósł, ale najwyraźniej uznał, że Muldoon to kolejny biedak, który uległ pokusie szybkiego zbicia fortuny w dżungli. – Babington pokręcił głową. – Nie jestem

w stanie pojąć, jakim cudem skądinąd rozsądny człowiek może być aż tak zaślepiony.

– Może Holbrook nie jest zaślepiony, tylko pod wpływem kogoś, kto ma interes w tym, by gubernator nie podejmował żadnych działań w sprawie zaginionych – rzekł Royd, sącząc whisky. – Właściwie nie mamy wątpliwości, że ktoś w kancelarii Holbrooka należy do szajki, i nie chodzi mi o lady Holbrook. Ona chyba tylko przekazywała informacje o potencjalnych ofiarach.

– O ile mi wiadomo, w kancelarii Holbrooka są tylko trzy osoby, których rad chętnie słucha – oznajmił Babington.

– Tak mówił też Hillsythe, jeden z uprowadzonych. Infiltrował kancelarię Holbrooka, żeby dowiedzieć się czegoś o tych zniknięciach, lecz porwano go, zanim zdążył ich wykryć.

– Cóż – rzekł Babington – nikt z kancelarii gubernatora nie dał ostatnio nogi, ale jakieś dziesięć dni temu zniknął nagle zastępca fortowego intendenta, niejaki William Winton. A razem z nim ogromna ilość wojskowych zapasów, takich, które w ogóle nie powinny były się znaleźć w tej kolonii, nie mówiąc już o zbieraniu kurzu na magazynowych półkach. Intendent, nawiasem mówiąc wuj Wintona, jest całkowicie załamany. W forcie nadal próbują się doliczyć, ile i co zniknęło, ale ponieważ to właśnie zastępca intendenta zajmował się całym zaopatrzeniem... – Babington wzruszył ramionami. – W tej chwili nie mają pojęcia, jak duże są straty.

– A te zapasy... – wtrąciła Isobel. – Czy były to rzeczy, które przydałyby się w kopalni?

Babington przytaknął.

– Te, o których mi wiadomo, owszem, bardzo by się przydały w takim miejscu.

– Zatem najpierw zniknął Muldoon, a zaraz po nim Winton. Musimy więc założyć, że obaj są w kopalni. – Royd zastanowił się, po czym dodał: – Ale w kancelarii gubernatora nadal kryje się kret, więc to nie wpływa na nasze plany.

– Może uczyni to kolejna wiadomość – powiedział Babington. – Ci nieoczekiwani przybysze, o których wspominałem. Właśnie wracam z kolacji urządzonej pospiesznie przez Macauleya i jego żonę na cześć dwóch niespodziewanych gości: lorda Petera Rossa-Courteneya i pana Fredericka Neilla. Przybyli wczoraj na pokładzie kupieckiego statku, prosto z Londynu.

– Doprawdy? – spytał Royd z zainteresowaniem.

Babington przytaknął.

– Nie wyglądają na przyjaciół, zachowują się raczej jak wspólnicy w interesach. Twierdzili, że chcą się tylko rozejrzeć po kolonii, sprawdzić, na co można tu zapolować, czy da się łowić ryby i tym podobne... Dość kiepska wymówka, bo po co mieliby wybierać akurat to miejsce? Macauley zna ich obu. Podobno mają bardzo dobre koneksje w polityce i towarzystwie. Są też niezwykle bogaci. Obaj dużo inwestują, choć żaden z nich nie para się czymś tak pospolitym jak handel. – Babington urwał i napił

się, po czym ciągnął: – Po kolacji Macauley zaczął ich przyciskać. Chciał wiedzieć, co naprawdę ich tu sprowadza. Po długich wykrętach Neill wreszcie powiedział, że zastanawiają się nad zainwestowaniem w plan zagospodarowania nowych obszarów pod zabudowę i chcieli się rozejrzeć, zanim inni ich ubiegną, oraz podpisać umowy na najlepsze tereny, żeby nikt nie sprzątnął im ich sprzed nosa.

Royd zmarszczył brwi.

– A czy to prawdopodobne, żeby ktoś chciał ich ubiec? Freetown nie wygląda mi na okolicę, którą czeka znacząca ekspansja.

– Tu właśnie zaczyna się robić interesująco, bo był tam również Holbrook i nic na ten temat nie słyszał. Tak samo Macauley ani nikt inny z obecnych, choć to wiodące postaci tutejszego świata biznesu. Ross-Courtney zrobił znaczącą minę i mruknął do Neilla, że nie powinien był o niczym wspominać... Oczywiście po tej uwadze wszyscy prześcigali się w propozycjach pomocy. W każdym razie najważniejsze jest to, że Ross-Courtney i Neill postanowili skorzystać z propozycji Holbrooka, żeby jego główny doradca, niejaki pan Arnold Satterly, który dziwnym zbiegiem okoliczności ma już pewne powiązania z Rossem-
-Courtneyem, towarzyszył im w wyprawie krajoznawczej po dżungli otaczającej kolonię.

Isobel usiadła prosto.

– To bardzo interesujące – rzekł Royd. – Poza uwolnieniem porwanych powierzono mi zadanie zebrania wszelkich

możliwych dowodów, żeby ujawnić i skazać prowodyrów przedsięwzięcia.

– Miałem nadzieję, że tak właśnie będzie – powiedział Babington, opróżniając szklaneczkę.

– A zatem – podsumowała Isobel – ten cały Satterly, który jest głównym doradcą Holbrooka i jednocześnie znajomym owego zamożnego lorda, ma zaprowadzić do dżungli obu panów, którzy zjawili się tutaj bez zapowiedzi i znanego powodu. Chyba wolno nam wyciągnąć stąd wniosek, że Satterly to członek szajki, a Ross-Courtney i Neill to dwaj z londyńskich sponsorów?

– To bardzo kusząca teoria – uśmiechnął się Royd. – I choć zgadzam się z twoim rozumowaniem, to trudno mi uwierzyć, że dwóch tak wysoko postawionych dżentelmenów naraziłoby się na ryzyko i pokazało tu osobiście, jeśli faktycznie są w to zamieszani. Przecież na pewno by rozumieli, co im grozi, gdyby ujawniono ich związek ze sprawą. Jeśli choćby jedna osoba, na przykład Hillsythe, zobaczy ich w kopalni, a potem ucieknie, to koniec.

– Hm. – Isobel pokręciła głową. – No nie wiem... Jeśli są absolutnie przekonani, że tutejsze władze nawet nie zwróciły uwagi na całe przedsięwzięcie, nie mówiąc o podjęciu działań, to wcale bym się nie zdziwiła, gdyby w swojej arogancji sądzili, że wszystko dalej będzie szło po ich myśli. No i oczywiście zakładają, że więźniowie zostaną zabici i nie będą w stanie przeciwko nim świadczyć.

Po kilku sekundach milczenia Royd stwierdził:

– Najbardziej martwię się tym, dlaczego naprawdę tu przyjechali. Może zaczynają się denerwować i chcieli na własne oczy sprawdzić, ile jeszcze zysków mogą czerpać z kopalni, zanim postanowią ją zamknąć i pozbyć się ryzyka?

Isobel przemyślała jego słowa i wykrzywiła usta.

Po chwili milczenia Babington odstawił szklankę.

– Miałeś mi powiedzieć, co mam robić. Wystarczy jedno twoje słowo, a sprawa będzie załatwiona.

Royd pokiwał głową.

– Przede wszystkim na pewno zauważyłeś, że ujście delty zostało zablokowane.

Babington roześmiał się cierpko.

– Czy zauważyłem? Co prawda w tej chwili nie mamy w porcie żadnych jednostek i nie spodziewamy się ich powrotu jeszcze przez kilka dni, lecz Macauley niemal dostał apopleksji. Wysłał wiadomość do ataszatu, ale skoro Muldoon zniknął, nikt inny nie chciał wziąć za to odpowiedzialności, a trzej pozostali pracownicy mówią, że to tylko ćwiczenia.

– Takie wieści rozpuścił Decker. Ale w rzeczywistości zablokował deltę, żeby żadne informacje nie przedostały się z Londynu do kolonii i kopalni. Jeśli to możliwe, dopilnuj, żeby Macauley dał spokój wiceadmirałowi... Choć i tak nie będzie w stanie dosięgnąć go osobiście, bo okręt Deckera również jest na morzu.

– Bardzo mądrze. Powiem Macauleyowi, że w tej chwili to tylko ćwiczenia, ale słyszałem pogłoski, że może się

szykować większe zagrożenie, dlatego Decker podjął działania prewencyjne. Macauley ma paranoję na punkcie piratów i kaperów.

Royd uśmiechnął się szeroko.

– To w zupełności powinno wystarczyć. Co do reszty zaś... – Pokrótce przedstawił kroki, jakie mieli podjąć Declan i Robert. – Na pewno przyda im się twoja pomoc. Powiem, żeby skontaktowali się z tobą natychmiast po przybyciu.

Babington pokiwał głową.

– Poślę do portu chłopca, żeby dał mi znać, kiedy się pojawią. Czy mają przybyć, że się tak wyrażę, oficjalnie?

– Owszem. „Korsarz” maskuje się w tej chwili jako „Pelikan”, ale zrzucimy przebranie, gdy tylko popłyniemy dalej. Declan powinien pojawić się tej nocy, a Robert będzie tuż za nim. – To mówiąc, Royd podniósł się i podał dłoń Isobel.

– Powinniśmy już iść.

Babington odprowadził ich do drzwi. Kiedy wyszli na zewnątrz, spytał, jakby nie mógł się powstrzymywać:

– Jak sądzicie, ile jeszcze minie czasu, zanim więźniowie zostaną uwolnieni?

W jego głosie wyraźnie brzmiał strach – strach o swoją Mary, strach przed tym, że nie uda się jej uratować.

Royd odwrócił się, popatrzył mu w oczy, pełne zarazem nadziei i obawy, po czym odparł zgodnie z prawdą:

– Zakładam, że niecały tydzień.

Babington przyjął to z ulgą, choć zabarwioną lekkim niedowierzaniem.

Royd skinął mu głową i zszedł za Isobel po schodach.

***

Było tuż po północy, kiedy „Kormoran”, obecnie drugi najszybszy statek we flocie Frobisherów, przemknął przez kordon jednostek marynarki i dołączył do „Korsarza”.

Minęło już ponad dziesięć lat, od kiedy Isobel przemieszczała się z pokładu na pokład na linie. Znowu przebrała się w bryczesy. Stłumiła pisk – nie strachu, lecz radości – i pokonała łukiem odstęp między obydwoma statkami.

Było to niebezpieczne, ale bardzo podniecające.

Wylądowała roześmiana na pokładzie „Kormorana” i wysunęła stopę z pętli liny.

Declan, który czekał, żeby pomóc w razie potrzeby, rzucił jej zrezygnowane spojrzenie.

– Będziesz miała fatalny wpływ na Edwinę – mruknął.

Isobel tylko się roześmiała.

Edwina czekała na nią na pokładzie rufowym. Isobel wspięła się zręcznie i uśmiechnęła szeroko na widok jej ubioru.

– Co o tym sądzisz? – spytała Edwina, okręcając się.

– Myślę, że gdyby londyńskie szwaczki mogły cię teraz zobaczyć, wprowadziłabyś nowy trend w modzie, przynajmniej dla dam w odmiennym stanie.

Edwina miała na sobie luźne spodnie i znoszone buty jeździeckie, a do tego obszerną chłopską koszulę, która doskonale skrywała rosnący brzuszek.

– W dodatku tak jest o wiele przewiewniej. – Edwina powachlowała się rąbkiem koszuli. – Już zapomniałam, jakie tu są upały.

Jej wzrok przyciągnął jakiś ruch na pokładzie i wychyliła się przez reling, żeby zawołać męża, który rozmawiał z Roydem:

– Może dołączycie do nas?! To wam oszczędzi powtarzania wszystkiego dwa razy.

Royd i Declan wymienili znaczące spojrzenia, które wywołały wybuch śmiechu Isobel, po czym podeszli do drabinki.

Royd wszedł jako pierwszy. Ujrzawszy strój Edwiny, uśmiechnął się szeroko, lecz zaraz spoważniał, gdy dołączył do nich Declan.

– Witaj, Edwino. Jak minęła podróż?

– Szybko i bez problemów – odpowiedziała z uśmiechem, po czym spojrzała na męża. – No i co teraz?

Royd posłusznie przekazał im wszystko, czego się dowiedział od Babingtona.

Isobel wtrąciła, że poinformowali młodzieńca, iż Mary Wilson została uprowadzona do kopalni, ale podobno ma się dobrze.

– Biedak musiał szaleć z niepokoju – rzekła ze współczuciem Edwina.

– Nie wiem, czy szalał – odpowiedział Royd i skierował wzrok na Declana – ale bardzo pragnie wesprzeć ciebie oraz Roberta i wyruszyć z wami do kopalni.

Declan pokiwał głową.

– Na pewno przyda się dodatkowa szpada, zwłaszcza taka, której właściciel jest dobrze zmotywowany.

– No właśnie. A poza tym Babington ma najlepsze rozeznanie co do tego, kto przebywa obecnie w kolonii.

– Więc co jeszcze mówił? – spytał Declan.

Royd wspomniał już o zniknięciu Muldoona i Wintona. Teraz opowiedział o dwóch nieoczekiwanych gościach, którzy przybyli do Freetown.

– Wielkie nieba! – Edwina wyglądała na wstrząśniętą. – Lord Peter i pan Neill?

– Znasz ich? – spytał Royd.

– Nie osobiście, ale słyszałam o nich. Lord Peter jest jednym z najbliższych zauszników króla. To Kawaler Królewskiej Sypialni i książęcy syn. Porusza się w najwyższych kręgach, ale nie ma żony i przeważnie spędza czas w jednym ze swoich klubów, w męskim towarzystwie. Widziałam go kilka razy i zawsze sprawiał wrażenie aroganta, któremu się wydaje, że jest lepszy od wszystkich. Co do Fredericka Neilla, to potomek bocznej gałęzi pewnego szlachetnego rodu. Udało mu się zawrzeć dwa bardzo korzystne małżeństwa. Jego obecna żona, podobnie jak poprzednia, która zmarła, spędza większość czasu na prowincji. Zdaje mi się, że ci państwo podejmują u siebie okoliczne ziemiaństwo, lecz sami nie bywają w londyńskim towarzystwie. – Edwina przerwała, próbując przypomnieć sobie coś więcej. – Zarówno jeden, jak i drugi są bardzo bogaci. Zwłaszcza Neill słynie ze swoich

inwestycji. Ale obaj znani są też z rozrzutności i... no cóż, zawsze szukają okazji, żeby powiększyć swoją fortunę.

– Chcesz powiedzieć, że to chciwcy? – spytał Royd.

– Tak, ale dobrze to maskują. Obaj cenią sobie swoją pozycję towarzyską, więc...

– A zatem – przerwała jej Isobel – należą do osobników, którzy mogliby się zaangażować w nielegalną kopalnię diamentów, gdzie wykorzystuje się niewolniczą pracę, ale dołożą wszelkich starań, żeby nikt nigdy się o tym nie dowiedział. – Popatrzyła na Royda. – Miałeś rację. Naprawdę przybyli tu właśnie po to: by przekonać się, ile czasu powinna jeszcze działać ta kopalnia.

– Wybierają się do kopalni? – podchwycił Declan.

– Nie mamy całkowitej pewności – rzekł Royd, po czym pokrótce streścił wszystko, co powiedział im na ten temat Babington, włączając w to intrygującą koneksję między Rossem-Courtneyem a głównym asystentem Holbrooka.

– Satterly – wtrąciła Edwina. – Przypominam go sobie. To on wprowadził nas do domu Holbrooka, pamiętasz?

Declan przytaknął, zaciskając zęby.

– To on musi być szpiegiem w kancelarii Holbrooka.

– Najprawdopodobniej – przyznał Royd. – Ale nadal musimy zachować ostrożność. – Spojrzał na brata. – Nieważne, co myślimy na temat Rossa-Courtneya i Neilla, liczy się bezpieczeństwo więźniów.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Jak my wszyscy.

– Mimo to – stwierdziła Isobel, opierając ręce na biodrach – bardzo bym nie chciała, żeby któryś z tych sponsorów

nam się wymknął.

– Najlepiej by było – dorzuciła Edwina – gdybyśmy zdołali ich pochwycić w tym samym czasie, gdy będziemy odbijali więźniów.

Royd skrzywił się.

– Owszem, ale wiem z doświadczenia, że najbardziej optymistyczne plany rzadko udaje się zrealizować. Jednak przekonajmy się, na ile możemy im pozwolić. Może sami zawiążą sobie stryczki.

– I to dosłownie – wtrącił złowieszczo Declan.

– No właśnie – przytaknął Royd. – Oto, co zrobimy.

Zaczął nakreślać plan działań.

– O ile wiemy, ci w mieście nie korzystają z południowej trasy do kopalni. Przedzierają się przez dżunglę, zapewne mijając po drodze obóz Kale’a. To oznacza, że powinniśmy być w stanie dotrzeć na miejsce i połączyć siły z Calebem co najmniej o dzień wcześniej niż Satterly wraz z lordem Peterem i Neillem. Jeśli cokolwiek będzie świadczyć o tym, że zamierzają natychmiast zamknąć kopalnię, ruszymy do ataku, lecz – podniósł dłoń, by uciszyć protest Declana – w miarę możliwości zaczekamy na ciebie i Roberta. Z tego, co wiemy o Dubois, zdecydowanie wolałbym mieć znaczną przewagę liczebną i czas na obmyślenie jakiejś skutecznej strategii. Jeśli więc Ross-Courtney i Neill nie postanowią natychmiast zwinąć interesu, na pewno nie przegapicie całej akcji.

– No dobrze – zgodził się niechętnie Declan. – Ale pozwolę sobie zauważyć, że ty i Caleb w duecie to sytuacja,

która aż się prosi o kłopoty.

Isobel stłumiła śmiech. Declan miał rację, choć niewiele osób wiedziało, jak impulsywny jest w istocie Royd; zawsze potrafił to ukrywać o wiele lepiej niż Caleb.

Edwina zmarszczyła brwi.

– Ale jeśli otoczymy miasto kordonem, Satterly i reszta na pewno to zauważą i się wycofają, prawda? Na widok straży przestraszą się i pozostaną we Freetown.

– Na tym polega zmiana w naszym planie. To będzie przynęta, którą im rzucimy. – Royd popatrzył na Declana. – Przede wszystkim będziecie musieli odnaleźć Satterly'ego i tamtych dwóch. Domyślam się, że mieszkają u Holbrooka, ale potwierdźcie to razem z Babingtonem. Kiedy ich namierzycie, nie wychylajcie się, pozwólcie im wyruszyć do kopalni. Upewnijcie się, że odeszli, a potem możecie zawiadomić Holbrooka i komendanta fortu. Dalej działajcie zgodnie z dotychczasowym planem odcięcia dostępu, na wypadek gdyby się okazało, że w mieście jest ktoś jeszcze, kto ma związek z tą sprawą.

– Albo gdyby Muldoon i Winton nagle wrócili – dodał Declan.

– No właśnie. Wszyscy znamy więc plan działania. Czy wiadomo, jak daleko za tobą jest Robert?

– Niezbyt daleko – odparł Declan. – Kiedy wprowadzisz na „Trójzębie" takie udoskonalenia jak na „Kormoranie", jego statek znowu będzie szybszy od mojego. – Słysząc to, Royd uśmiechnął się szeroko. – Spodziewam się, że przybędzie przed świtem, jeśli nie wcześniej.

– Wyśmienicie. A Kit i Lachlan? Wiesz, co u nich?

– Robert sygnalizował, że widział Lachlana, a Lachlan potwierdził, że Kit płynie za nim.

Royd pokiwał głową.

– Wygląda na to, że jesteśmy gotowi. Tak gotowi, jak to możliwe.

Edwina zmarszczyła brwi.

– Czy dobrze zrozumiałam, że Kit ma patrolować wybrzeże, aby nie dopuścić, żeby jakiś statek wymknął się przez blokadę?

– Jej „Małżonka” ma największą siłę rażenia w całej naszej flocie, a Kit najlepiej z nas wszystkich radzi sobie w takich sytuacjach – rzekł Royd. – Nie wyłączając mnie.

– Krwiożercza harpia – mruknął Declan.

Edwina wydawała się zaintrygowana.

– Chciałabym poznać tę Kit – powiedziała do Isobel.

Ta odpowiedziała uśmiechem.

– Spodoba ci się. Jest bardzo... – popatrzyła na obu braci i uśmiechnęła się jeszcze szerzej – bezpośrednia.

Declan prychnął i odwrócił się do Royda.

– To mi o czymś przypomniało. Robert przekazał mi wiadomość od Kit: posłała część swoich ludzi do Lachlana na pokład „Morskiego Smoka”. Mówi, że skoro „Małżonka” ma tylko pilnować odwodów, poradzi sobie z mniejszą załogą.

Royd pokiwał głową.

– Przyda nam się każdy przeszkolony i sprawdzony człowiek. – Popatrzył na Isobel. – Skoro wszyscy już wiemy,

co robić, powinniśmy ruszać.

Oczy Isobel rozbłysły. Odwróciła się, żeby pożegnać się z Edwiną.

– Dziś jest trzydziesty pierwszy – powiedział Royd, klepiąc Declana w ramię. – Spodziewam się zobaczyć ciebie, Roberta i waszych ludzi nie później niż trzeciego.

– Będziemy na czas – odparł tamten.

Royd i Isobel wrócili na pokład „Korsarza”. Wszystko było gotowe i Royd zaczynał się niecierpliwić: miał potrzebę działania.

Nie zdążył jeszcze dojść do steru, a już wydawał rozkazy, żeby podnieść kotwicę i postawić żagle.

– W drogę! – rzekł Liam Stewart z uśmiechem, oddając mu koło.

– Tak, w drogę. – Royd polecił wciągnąć kolejne żagle.

W ciągu kilku minut „Korsarz” zaczął sunąć naprzód, pozostawiając „Kormorana” daleko za sobą.

Isobel stanęła obok Royda. Wiatr rozwiewał jej luźne kosmyki włosów, a na widocznej w poświacie księżyca twarzy widać było napięcie.

Po kilku minutach musnęła ramię Royda.

– Pójdę się trochę przespać.

– Dołączę do ciebie, kiedy wyprowadzę statek na kurs. Może dotrzemy na miejsce przed świtem, ale i tak nie zejdziemy na brzeg, dopóki nie zrobi się jasno.

Isobel kiwnęła głową i zeszła po drabince.

Royd ustawił „Korsarza” na odpowiednim kursie, oddał ster Liamowi i ruszył za nią.

Siedem

Po zaledwie kilku godzinach snu obudziło go ciche stukanie do drzwi kajuty. Royd łagodnie wysunął się z objęć Isobel i po cichu wstał z łóżka, po czym założył spodnie. Isobel nawet nie drgnęła. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie obudzić, ale postanowił tego nie robić – potrzebowała sił na czekającą ich wędrówkę przez dżunglę. Przygładził ręką potargane włosy, wziął buty i podszedł do drzwi. Za nimi stał Williams. Royd wyszedł na zewnątrz i zamknął kajutę.

– Przy brzegu zauważyliśmy statek na kotwicy – mruknął Williams. – Sądzimy, że to „Kruk” Lascelle’a, ale nie mamy pewności.

Royd pokiwał głową i włożył buty.

– Sam zobaczę.

Chwilę później wszedł na rufę. Williams podał mu lunetę. Royd przysunął ją do oka i przyjrzał się jednostce, która nadal znajdowała się dość daleko na sterburcie. Kryła się w zakolu niewielkiego cypla.

Chmury przesłoniły księżyc i w mroku trudno było rozróżnić barwę kadłuba. Podobnie jak „Korsarz”, także ten statek nie był oświetlony. Royd popatrzył wyżej na maszty. Górne reje „Kruka” były ustawione pod charakterystycznym kątem.

Opuścił lunetę i oddał ją Williamsowi.

– To faktycznie „Kruk”, co oznacza, że dopłynęliśmy do celu. – Podeszli do Kelly’ego, który zastąpił Liama Stewarta za sterem. – Oni widzą nas tak samo słabo jak my ich, a „Korsarz” nie ma żadnych charakterystycznych cech. Podpłyńmy do nich od bakburty, tylko wolno – rzekł Royd do Kelly’ego, a Williamsowi polecił: – Zapalić lampy i wciągnąć banderę. Musimy dać im znać, kim jesteśmy. Nie możemy zakładać, że ich wachta nas rozpozna, a lepiej nie rozpoczynać wyprawy od niepotrzebnego zamieszania.

Royd skierował się z powrotem do kajuty. Do świtu wciąż pozostało kilka godzin. W korytarzu zsunął buty. Pod wpływem impulsu uchylił drzwi do kabiny Duncana i zajrzał do środka. Chłopiec leżał z rękami i nogami rozrzuconymi na łóżku, pogrążony w głębokim śnie. Royd uśmiechnął się, zamknął drzwi, po czym wszedł na palcach do środka głównej kajuty.

Rozebrał się i wsunął z powrotem do łóżka, układając przy smukłym, miękkim ciele Isobel. Dotyk jej delikatnej skóry dziwnie go uspokajał. Isobel była odwrócona do niego plecami. Objął ją i położył głowę na poduszce.

Dopiero wtedy się poruszyła.

Royd przesunął ręką po jej nagim ramieniu.

– Wszystko w porządku – szepnął. – Śpij dalej.

Isobel uśmiechnęła się lekko, po czym znowu się rozluźniła i zasnęła.

Royd objął ją, zamknął oczy i także pogrążył się w słodkich objęciach Morfeusza.

***

Przy śniadaniu Isobel przysłuchiwała się, jak Royd negocjuje z Duncanem, aby ten zgodził się pozostać na pokładzie. Było to dla niej nowe doświadczenie. Wreszcie mogła rozsiąść się wygodnie i powierzyć to trudne i delikatne zadanie komuś, kto – musiała to przyznać – doskonale się do niego nadawał.

Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że Royd rozumie Duncana lepiej niż ktokolwiek inny. Dowiódł tego, tłumacząc chłopcu, że wraz z matką muszą ocalić biednych ludzi przetrzymywanych w kopalni, a jeśli dodatkowo będą się musieli o niego martwić, nie zdołają się skupić na zadaniu.

Isobel nigdy nie przyszłoby do głowy odwołać się do budzących się właśnie instynktów moralnych syna. Domyśliła się, że Royd wytłumaczył mu już sytuację i opowiedział o dzieciach porwanych do kopalni. Nie zdziwiła się więc, gdy na koniec Duncan z poważną miną uroczyście obiecał, że pozostanie na pokładzie pod opieką Kelly’ego i bosmana Jolleya. Tego drugiego połączyła już z chłopcem przyjaźń – czy też raczej relacja mistrza z czeladnikiem – a i Kelly, mając syna w podobnym wieku, darzył Duncana sympatią. Isobel nie miała powodów sądzić, że pod jej i Royda nieobecność małemu zabraknie opieki albo rozrywki.

Mniejszą pewność miała natomiast co do jego bezpieczeństwa. Co innego zostawić go na statku w porcie Southampton, a co innego – na skraju afrykańskiego

odludzia. Tak przynajmniej mówił jej instynkt macierzyński, ale niestety nie znalazła lepszego rozwiązania.

Pożegnała się z Duncanem, ukrywając wszelkie obawy. Objęła go mocno. Chłopiec odwzajemnił uścisk, lecz szybko się odsunął i oznajmił z szerokim uśmiechem:

– Tata powiedział, że Jolley i inni mogą mnie nauczyć wspinać się na maszt. Ale tylko do pierwszej rei.

Isobel oczami wyobraźni natychmiast ujrzała go z połamanymi kośćmi, lecz powiedziała sobie, że przecież w domu Duncan wspinał się na o wiele wyższe drzewa. Zarzuciła na ramię torbę z zapasowym ubraniem, szczotką oraz kilkoma niezbędnymi drobiazgami i zmusiła się do uśmiechu. Miała ochotę zasypać syna radami, ale powiedziała tylko ogólnikowo:

– Bądź grzeczny.

I pod wpływem impulsu ujęła jego buzię w dłonie i złożyła mu na czole pocałunek.

Jeszcze raz spojrzała na niego, po czym podeszła do liny wiszącej za burtą. Duncan podbiegł, żeby ją dla niej przytrzymać.

Isobel uśmiechnęła się, pomachała mu i zsunęła się do szalupy, żeby razem z częścią załogi Royda ruszyć na brzeg.

Stanęli na plaży, skąd biegła ścieżka w głąb gęstej dżungli. Szalupa kursowała między brzegiem a „Korsarzem”, przewożąc kolejne grupki ludzi, Isobel zaś w tym czasie przyglądała się statkom stojącym burta w burtę. „Kruk” był pomalowany na czarno i nieco mniejszy,

za to miał minimalnie większe zanurzenie. Isobel pomyślała, że musi mieć niemało dział.

Popatrzyła na „Korsarza” i ujrzała Royda, który właśnie szykował się do opuszczenia statku. Szalupa wróciła już pod burtę i inni marynarze zsuwali się do niej na linach.

Na pokładzie miał pozostać Kelly i Jolley wraz z pięcioma ludźmi. Royd wydał im ostatnie polecenia, po czym odwrócił się do Duncana. Zmierzwił mu włosy i powiedział coś, a chłopiec wyprężył się z uśmiechem i energicznie zasalutował. Royd odpowiedział salutem, po czym przerzucił przez ramię swój worek i zsunął się po linie, lądując lekko w szalupie.

Gdy tylko usiadł, łódka odbiła od statku i ruszyła do brzegu.

Osiadła na piasku niedaleko szalupy „Kruka”, z której wyszło pięć osób. Royd posłał swoją załogę przodem, a sam skierował się do tamtych. Isobel przyglądała się rozmowie z daleka, osłaniając oczy ręką. Rankiem kapitanowie obu statków szybko się porozumieli i Royd wyjawił załodze Lascelle’a plany marszu na kopalnię. Najwyraźniej część Francuzów postanowiła się przyłączyć.

Isobel patrzyła, jak najbardziej rosły spośród pięciu mężczyzn wita Royda z uśmiechem i wyciąga dłoń, którą ten serdecznie uścisnął. Widać było, że znają się i darzą sympatią. Pozostali czterej kiwnęli Roydowi z szacunkiem i ruszyli przez piasek do ekipy z „Korsarza”.

Wreszcie Royd i ten potężny człowiek skierowali się w stronę Isobel.

– Oto Jacques Reynaud, bosman Phillipe’a Lascelle’a. A to jest Isobel Carmichael.

Reynaud wyszczerzył się i ukłonił niedbale.

– *Enchanté, ma’moiselle.*

Isobel uśmiechnęła się do niego, podczas gdy Royd mówił dalej:

– Reynaud dowodził grupą, która eskortowała Hornby’ego z powrotem na „Księcia” i umożliwiła mu powrót do Londynu.

– Tak – potwierdził Reynaud. – Cieszę się, że udało im się bezpiecznie tam dotrzeć, a jeszcze bardziej cieszę się na widok „Korsarza”.

– Reynaud i pozostali wrócą z nami do obozu Caleba. Znają drogę.

– *C’est vrai,* macie ze sobą Hornby’ego... – Reynaud uniósł dłoń i pozdrowił ochmistrza Caleba, który stał razem z załogą Royda. – Ale przyda wam się więcej ludzi, którzy znają teren.

– To prawda – przyznał Royd. – Może ruszycie przodem z Hornbym i Williamsem? Pan Stewart i Bellamy pójdą w środku, a ja z panną Carmichael będziemy zamykać tyły.

– Doskonale. – Reynaud kiwnął im głową i odszedł.

Po chwili ruszyli w drogę.

Isobel szła z Roydem na końcu. Wchodząc na ubity trakt, przystanęła jeszcze i obejrzała się na „Korsarza”.

Duncan stał z Jolleyem na dziobie. Pomachał im.

Isobel uniosła rękę bez uśmiechu. Czuła na sobie spojrzenie Royda.

– Tam będzie bezpieczniejszy niż z nami – mruknął. – Na obu statkach jest łącznie czternastu ludzi i mają taką siłę rażenia, że żadni maruderzy nie odważą się ich nękać. Poza tym „Korsarz” znowu stoi pod własną banderą. Każdy pirat, który zna się na swoim rzemiośle, rozpozna go i będzie się trzymał z daleka.

Isobel westchnęła. Royd wziął ją za rękę i pociągnął za sobą, dodając:

– Niedługo dołączy do nich także „Morski Smok”. Wierz mi, nikt nawet się nie zbliży do tych statków.

Isobel znowu westchnęła, tym razem z rezygnacją.

– Wiem, że masz rację, ale nadal mi się to nie podoba.

Royd uśmiechnął się, lecz nic już nie powiedział. Isobel przyspieszyła i weszli w ciepły mrok pod drzewami.

Wędrówka przebiegała spokojnie, ale okazała się bardziej męcząca, niż się spodziewali. Ścieżka wiodła wciąż mniej więcej na południe i biegła to w górę, to w dół, wiła się wokół pagórków i schodziła w jary. Była dobrze wydeptana, ponieważ w ostatnich miesiącach korzystała z niej niejedna grupa ludzi, ale grunt poryty był przez korzenie drzew i pokrywały go pnącza, na które należało uważać. Patrzyli więc pod nogi i nie za często podnosili wzrok, żeby rozejrzeć się po okolicy i zorientować w położeniu, choć widok mieli mocno ograniczony: zewsząd otaczały ich pnie drzew oraz liście palmowe i rzadko kiedy widzieli dalej niż na dziesięć jardów.

Im bardziej się oddalali od chłodnej wody, tym bardziej doskwierała im duchota. Kiedy Royd zarządził przerwę na

późny obiad, wszyscy ociekali już potem. Widząc to, zdecydował, że wstrzymają się z dalszą wędrówką, dopóki temperatura trochę nie spadnie. Nikt nie zaprotestował, nawet Isobel.

Siadając przy niej na zaimpregnowanym kocu, który rozłożyła na stercie opadłych liści, Royd stwierdził, że z całej grupy to on najbardziej się niecierpliwi. Budziło się w nim znajome uczucie: pragnienie ruszenia na pomoc Calebowi. Tyle że poprzednio chodziło o to, by chronić najmłodszego brata przed niebezpieczeństwem, teraz zaś... właściwie nie obawiał się o samego Caleba. Wyglądało na to, że chłopak wreszcie wydoroślał i wręcz wzorcowo wykonał swoją część misji. Na pewno miał się świetnie. Nie, tym razem niecierpliwość Royda brała się bardziej z żądzy czynu. Tak samo jak wcześniej Declan, tak i on martwił się, że przegapi całą akcję.

Przymykając oczy, przyznał przed samym sobą, że aż rwie się do działania.

***

Wiele godzin później wreszcie rozbili obóz na noc w niewielkiej dolince.

Temperatura zaczęła nieco opadać i lekka bryza poruszała czubkami drzew na tyle, że i w dole zrobiło się trochę przewiewniej i znowu mogli odetchnąć.

Ku zdziwieniu Royda okazało się, że Isobel – która, o ile wiedział, nawet w domu nie chadzała na piesze wędrówki –

trzyma się całkiem nieźle. Marsz był dla niej o wiele mniej wyczerpujący niż dla niektórych z jego ludzi.

Nie czekając, aż ją o to poproszą, wzięła na siebie przygotowanie posiłku. Co oznaczało dyrygowanie resztą. Nikt z załogi nie miał jednak nic przeciwko temu. Byli tak zmęczeni, że nie mieli siły myśleć i cieszyli się, że ktoś pokazuje im palcem, co robić. A Isobel była w tym bardzo dobra.

Royd zostawił ją, a sam zaczął naradzać się z Hornbym i Reynaudem. Razem pochylili się nad mapką Lascelle'a. Wynikało z niej, że przebyli już ponad pół drogi do obozu Caleba.

– W takim razie – rzekł Royd – jeśli wyruszymy wcześnie, zanim temperatura się podniesie, przy odrobinie szczęścia powinniśmy dotrzeć do obozu wczesnym popołudniem.

– Zgadza się – potwierdził Hornby. – Na tym odcinku będziemy mieli pod górkę. – Pokazał na mapce fragment ścieżki. – Rano łatwiej się z nim uporamy, a kiedy wejdziemy na wysokość kopalni, zrobi się trochę chłodniej.

– Świetnie. – Royd złożył mapę. – Więc tak właśnie uczynimy.

Obudzili się przed świtem i ruszyli w drogę, zanim promienie słońca zaczęły przebijać się przez listowie. Spowijał ich gęsty mrok dżungli i zapach gnijących liści oraz żyznej gleby, czasem przyprawiony mocną wonią kwiatów kwitnących na rozmaitych pnączach. Jak poprzedniego dnia, tak i teraz padało niewiele słów.

Wszyscy oszczędzali siły i skupiali się na podejściu pod górę.

Ciszę zakłócały hałaśliwe, ostre krzyki ptactwa, zupełnie niepodobne do łagodnych treli brytyjskich ptaków. Im wyżej wchodzili, tym częściej zdarzało im się słyszeć szelesty w gęstych zaroślach dookoła. Kilku ludzi wyciągnęło z bagaży niewielkie kusze, lecz chociaż Hornby i Reynaud potwierdzili, że w okolicy można spotkać dzikie kozy i prawdopodobnie nawet dziki, nikt nie zauważył żadnej zwierzyny.

Wreszcie przestali się wspinać i wyszli na płaski, równiejszy odcinek drogi.

– To już niedaleko – powiedział Hornby. – Mniej niż mila.

We wszystkich wstąpiły nowe siły. Przyspieszyli kroku. Royd przeszedł do przodu i przejął prowadzenie. Isobel poszła razem z nim.

Mijając swoich ludzi, Royd przypominał im, żeby zachowali ciszę i rozglądali się za zwiadowcami Caleba.

Dwadzieścia minut później Reynaud, który szedł tuż za nim, wskazał w lewo i szepnął:

– To droga do obozu.

Była niewiele szersza niż ścieżka dla dzikiej zwierzyny.

Royd stanął. Rozciągnięta kolumna ludzi stopniowo się zatrzymywała.

Royd zmrużył oczy i przykucnął, aby zbadać liście ścielące się na ziemi.

Wyprostował się powoli.

– Dajcie znać reszcie – mruknął do Hornby’ego i Reynauda. – Niech wszyscy rozglądają się uważnie, ale podejrzewam, że Caleb i jego załoga opuścili już ten obóz.

Odwrócił się do Isobel i popatrzył na nią pytająco. Pokręciła głową i wysunęła podbródek, odpowiadając bez słów, że nie zamierza wycofać się na koniec kolumny.

Royd przez chwilę zdawał się toczyć jakąś wewnętrzną dyskusję, lecz w końcu pokiwał głową.

– Trzymaj się blisko mnie – szepnął i wszedł na dróżkę.

Isobel ruszyła za nim. Potrafiła skradać się tak cicho jak on, a choć wzrok miała może nieco gorszy, nie dotyczyło to słuchu.

Kiedy zbliżyli się do zakrętu w lewo, Reynaud klepnął Royda w ramię, aby mu pokazać, że potem dróżka opada nieco w dół i dochodzi do obozu.

Royd pokiwał głową i ruszył dalej.

Ostatecznie okazało się, że cała ta ostrożność była niepotrzebna. Obóz świecił pustkami.

Weszli na jego teren, rozglądając się na wszystkie strony.

Royd obrócił się w miejscu.

– Nie widzę żadnych śladów walki – stwierdził. Podniósł głowę i spytał cicho: – Ktoś coś zauważył?

Nikt nie odpowiedział.

Nagle Hornby pobladł.

– Musieli ich złapać.

Royd poklepał go po ramieniu.

– Może nie uwierzysz, ale to mogłoby wcale nie być takie złe.

Isobel nie wiedziała, co znaczą te słowa. Przez większą część drogi Royd był pogrążony w rozmyślaniach; rozpatrywał różne warianty akcji ratunkowej. Teraz jego względny spokój sugerował, że co najmniej jeden z tych scenariuszy uwzględnia możliwość, iż Caleb i jego ludzie zostali schwytani i zabrani do kopalni.

Royd rzucił torbę na ziemię.

– Rozbijcie obóz. Liam, rozstaw straże. – Rozejrzał się dookoła. – Potrzebujemy więcej informacji. Znajdźmy tę skalną półkę i przekonajmy się, co z niej zobaczymy – powiedział do Isobel.

Natychmiast odłożyła swoje rzeczy. Poluzowała w pochwie długi nóż, który pożyczyła sobie ze skrzyni Royda, i przypięła na biodrach.

– Hornby i Reynaud: wy znacie drogę – oznajmił Royd, po czym rozejrzał się po swoich ludziach i wybrał dwóch: – Giles, Macklin, wy też chodźcie z nami. Musimy postawić tam obserwatorów.

Reszta pod okiem Liama Stewarta zaczęła rozbijać obóz. Oni tymczasem wyruszyli kolejną wąziutką ścieżką za Hornbym i Reynaudem.

Isobel wyuczyła się na pamięć mapki Caleba przedstawiającej okolice kopalni, ale teraz trudno jej było zorientować się w terenie. Dopiero gdy zobaczyli po lewej stronie niewielkie jezioro, zdołała określić, gdzie się znajdują. Wspinając się zboczem wzgórza po wąskiej, skalistej dróżce, dostrzegła po prawej stronie fragmenty zabudowań kopalni skrytych za drzewami.

Reynaud prowadził ich jak po sznurku. I on, i Hornby mieli ponure miny: zaginęli nie tylko ich druhowie, ale też dowódcy.

Wreszcie dotarli do skalnego występu. Wspięli się i rozejrzeli niecierpliwie.

Przed nimi, sto lub więcej stóp w dole, rozciągał się teren kopalni. Otwarta brama obozu znajdowała się niemal bezpośrednio pod nimi, a wejście do samej kopalni było ukryte pod nawisem zbocza wnoszącego się po ich prawej stronie. Barak najemników – długi, prostokątny budynek – stał nieco po lewej, na środku placu otoczonego palisadą.

Za barakami wznosiła się prosta w konstrukcji wieża obserwacyjna, a jeszcze dalej stało kilka częściowo tylko widocznych budynków.

Było popołudnie. Po terenie przechadzało się dwóch uzbrojonych najemników. Inni dwaj opierali się o otwartą bramę, a trzech siedziało w budce na szczycie wieży. Nigdzie jednak nie było widać więźniów.

Nagle Isobel nachyliła się i pokazała palcem.

– Dziewczęta zajęte sortowaniem siedzą pod tamtym zadaszeniem. Jak się dobrze przyjrzeć, widać, kiedy wyciągają ręce do tamtej sterty kamieni.

Jakiś czas później z kopalni wyszła grupka obdartych dzieci, które dźwigały plecione kosze. Z trudem zaniosły je do sterty rudy pod zadaszeniem i wysypały zawartość.

Isobel aż ścisnęło w dołku: wiele z tych dzieci było młodszych – a w każdym razie drobniejszych i chudszych – od Duncana.

Obiecała sobie, że wszystkie je uratuje – a potem zajmie się tymi, którzy je zniewolili.

Popołudnie płynęło, aż wreszcie Reynaud usiadł prosto i wbił spojrzenie w trzech pokrytych brudem i pyłem mężczyzn, którzy wyłonili się z kopalni, aby napić się wody ze stojącej obok beczki.

– To Ducasse, nasz sternik. I Fullard. Ale tego trzeciego nie znam.

– Świetnie. – Royd oparł się plecami o skałę. – A więc przynajmniej część z nich tam jest.

W ciągu następnej godziny rozpoznawali coraz więcej członków załogi Caleba i Lascalle'a, lecz nie było widać obu kapitanów.

Isobel prawie nie odrywała wzroku od chaty, którą Caleb określił mianem stanowiska do oczyszczania kamieni. Dwa razy wyszły z niej jakieś kobiety, obeszły plac oraz baraki najemników i zniknęły, aby potem wrócić. Wśród nich nie było jednak Katherine.

Wreszcie, kiedy światło zaczęło przygasać, drzwi chaty się otworzyły i na dwór wyszły dwie kobiety. Isobel wyprostowała się i utkwiła spojrzenie w jednej z nich – szczupłej o brązowych włosach. Nie chciała się pomylić... lecz wtedy dziewczyna uśmiechnęła się do swojej towarzyszki i Isobel poczuła ulgę. Trąciła Royda łokciem.

– To Katherine.

– Ta o brązowych włosach?

– Tak. – Isobel patrzyła, jak kuzynka idzie po ubitym piachu w stronę zadaszenia, gdzie pracowała grupka

dziewcząt. – Na pewno chodzi o to sprawdzanie kamieni, o którym mówił Caleb.

Po jakichś dwudziestu minutach pracy z dziećmi Katherine i jej towarzyszka wróciły do chaty, dźwigając kosze z rudą. Opróżniły je na stertę pod drzwiami, odstawiły i weszły po stopniach do środka.

Isobel rozluźniła się. Katherine była cała i zdrowa i najwyraźniej w dobrym humorze. Odetchnęła głęboko. Spojrzała na Royda. Teraz musieli tylko znaleźć Caleba i Lascelle'a, i wszystko będzie dobrze.

Spojrzenie Royda skupione było na tym, co dzieje się w dole. Isobel nie wyczuwała w nim niecierpliwości ani niepokoju o brata.

Co było bardzo dziwne, bo przecież doskonale wiedziała, jak silne są ich braterskie więzi.

Nachyliła się do Royda, opierając się o niego ramieniem, i spytała szeptem:

– Skąd masz pewność, że Caleb wciąż żyje i jest tam na dole?

Royd popatrzył na nią z ukosa i odpowiedział:

– W sumie nie wiem, ale... jakoś to czuję. Caleb i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Nie jesteśmy bliźniakami, ale gdyby zginął, na pewno bym o tym wiedział.

– A ja zawsze miałam wrażenie, że z całej waszej trójki właśnie ty najwięcej go sztorcowałeś. I myślałam wtedy – przyganiał kocioł garnkowi.

– To prawda. – Royd uśmiechnął się szeroko. – Ale właśnie dlatego to robiłem. Jedyna różnica między mną a Calebem polega na tym, że ja wcześnie się nauczyłem panować nad swoją dzikością. I rozumiem też o wiele lepiej niż on, jak niebezpieczne jest zamiłowanie do ryzyka i dreszczyku emocji. W każdym razie tak było do tej pory.

– Do tej pory?

– Przez wszystkie te lata czekałem, aż Caleb okiełzna tę swoją dzikość, nauczy się nad nią panować. Podobnie jak w moim przypadku jego największy talent to zdolność dowodzenia, ale by naprawdę dorosnąć, musiał najpierw nauczyć się tłumić swoje popędy. Podczas tej misji wreszcie zobaczyłem, że wziął się w garść. Krok po kroku podejmował właściwe decyzje z właściwych pobudek. Pomimo wszelkich pokus, a jestem pewien, że w takiej sytuacji mu ich nie brakowało, trzymał się tego, co należało robić, i nie uległ swoim popędom.

Zmienił pozycję i rozprostował nogi.

– Wyciągałem go z tarapatów więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć, ale tym razem będzie inaczej. Tym razem nie muszę go ratować, tylko wspólnie stawimy czoło sytuacji.

– Czyli teraz będzie dla ciebie bardziej partnerem niż młodszym bratem, którego trzeba prowadzić za rączkę?

Royd błysnął zębami w uśmiechu.

– Właśnie. Tym razem samodzielnie poprowadzi część akcji. A co do tego, skąd mam taką pewność, że znajduje się na terenie kopalni... – Przerwał na tak długo, że Isobel

oderwała od niego wzrok i popatrzyła w dół, żeby sprawdzić, czy nie wydarzyło się coś nowego. – Jedyną prawdziwą przeszkodą w bezpiecznym uratowaniu wszystkich jeńców był brak odpowiedniej liczby ludzi zdolnych do walki na terenie kopalni.

Isobel zamrugała ze zdziwieniem.

– Więc myślisz, że Caleb i jego załoga celowo dali się schwytać?

– Myślę, że coś się wydarzyło, a Caleb dostrzegł okazję i z niej skorzystał. Ja bym tak zrobił, a w tego rodzaju sytuacjach myślimy i reagujemy bardzo podobnie. Już widzieliśmy, że większość jego załogi jest tam w dole. Czekam tylko, żeby zobaczyć samego Caleba i Phillipe'a. Jeśli Caleb zdołał nabrać Dubois i dostać się za palisadę, to oznaczałoby, że rozprawił się z największą przeszkodą na naszej drodze. A skoro tak, to nie masz pojęcia, jaki będę mu wdzięczny.

Isobel uniosła brwi, lecz nie skomentowała jego słów. Oparła się o skałę i zaczęła rozmyślać o tym, co powiedział o jego relacji z najmłodszym bratem. Zgadzała się, że są do siebie podobni. Zawsze miała wrażenie, że Royd był zbyt surowy dla Caleba. Jego samego swego czasu uważano wśród żeglarskiej braci za wcielonego diabła, więc ta surowość wobec młodszego brata wydawała się hipokryzją.

Słońce zaszło za zachodnie wzgórza i nad terenem kopalni zaczynał zapadać zmrok.

Nagle Royd usiadł prosto.

Isobel spojrzała w dół i również się wyprostowała.

Z kopalni wylewali się ludzie – niektórych widzieli już wcześniej, lecz było też wielu innych.

Ktoś krzyknął: „Żarcie!” i robotnicy skierowali się ku jednemu z budynków położonych za barakami.

– Na szkicu Caleba znajdowała się tam kuchnia – mruknęła Isobel.

Royd przytaknął, nie odrywając wzroku od mężczyzn wychodzących z kopalni.

Stopniowo strumień ludzi zaczął rzednąć. Isobel przyłapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

Nagle Hornby zerwał się na nogi.

– Jest – powiedział, z trudem powstrzymując się przed podniesieniem głosu.

– Phillipe też – westchnął z ulgą Reynaud.

Obaj kapitanowie znajdowali się w sześcioosobowej grupce, która jako ostatnia opuściła kopalnię. Byli tak samo brudni jak cała reszta, a ich ciemne włosy pokrywała gruba warstwa pyłu. Widać było jednak, że nie odnieśli żadnych obrażeń. Nieświadomi, że są obserwowani z góry, dołączyli swobodnym krokiem do kolejki więźniów czekających na jedzenie. Kobiety i dzieci dostały już swoje porcje i jadły je teraz, siedząc na pieńkach rozstawionych wokół paleniska.

Kiedy Caleb i Lascelle zniknęli za barakami, Royd podniósł się, po czym z uśmiechem podał rękę Isobel.

– Obaj są w środku. Wracajmy do obozu i dostosujmy do tego nasze plany.

Osiem

Zejście ze wzgórza przy gasnącym świetle dnia zajęło trochę czasu. Zanim dotarli do obozu, zapadła już ciemna noc i tylko dobra pamięć Reynauda oraz mdły blask obozowych świateł sprawiły, że nie musieli się błąkać godzinami.

W tym samym czasie załodze udało się złapać dziką kozę, którą ugotowano w pewnej odległości od obozu na potrawkę. Teraz, kiedy wszyscy wiedzieli, że Caleb, Lascelle i ich ludzie są w kopalni, zapanowała niemal radosna atmosfera. Owszem, byli w niewoli, ale cali i zdrowi. To więcej, niż część ekipy spodziewała się po zastaniu opustoszałego obozowiska.

Isobel usiadła na pniu, a Royd na ziemi obok niej, i oboje pochłonęli kolację z wielkim apetytem. Po posiłku, kiedy załoga sprzątała, Royd utkwił wzrok w lampie, którą postawili na środku polany, i się zamyślił. Widząc, że Isobel także się nad czymś zastanawia, stuknął ją w kolano, podniósł się i ruszył w kierunku ich bagaży na skraju obozu. Przytoczył jakiś pniak i oczyścił go dłonią, po czym oboje usiedli.

– No więc? – spytała Isobel.

Zanim jednak Royd zdążył coś powiedzieć, między drzewami rozległ się świergot jakiegoś ptaka. Liam kiwnięciem głowy potwierdził, że to ich zwiadowcy.

Chwilę później usłyszeli tupot stóp, stłumiony grubym dywanem liści i miękkiej ziemi.

Royd wstał. Isobel także się podniosła.

Na łąkę wszedł Lachlan, uchylając się przed wiszącym pnączem.

– Dobry wieczór, panowie – wyszczerzył się, a zobaczywszy stojącą obok Royda Isobel, dodał: – I pani. Nie spodziewałem się tu ciebie, Isobel.

Znali się, bo nie tak dawno temu stocznia Carmichaelów przeprowadziła remont „Morskiego Smoka”.

– Witaj, Lachlanie.

Royd ukrył niezadowolenie. Lachlan słynął z zamiłowania do flirtów, lecz nigdy nie posuwał się dalej, więc w sumie był niegroźny.

Ludzie Lachlana weszli do obozu i przywitali się z załogą „Korsarza”, a Hornby przedstawił im Reynauda i pozostałych Francuzów.

Nagle Royd zauważył z tyłu jasnowłosą głowę.

– Co, do kroćset, robi tutaj Kit? – warknął do Lachlana.

– Lepiej sam ją spytaj – odparł tamten, jasno dając do zrozumienia, że nie odpowiada za poczynania kuzynki.

– Kit? Gdzie? – spytała radośnie Isobel, stając na palcach i się rozglądając.

– O tam. – Royd podniósł rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę Kit, i przywołał ją gestem.

Kit przecisnęła się do nich między grupkami mężczyzn. Kiedy podeszła, wyraz jej twarzy wyraźnie mówił, że przy

całym szacunku dla Royda nie zamierza się tłumaczyć ze swojego udziału w akcji.

Skinęła mu głową, po czym spojrzała na Isobel i jej mina złagodniała.

– Isobel, jak miło cię widzieć.

Royd wiedział, że nie były bliskimi przyjaciółkami, ale znały się na tyle dobrze, aby zawsze się wspierać. Obie miały też w zwyczaju ignorować ograniczenia, które im się nie podobały. Mimo to...

– Przecież wyraźnie poleciłem, żebyś pilnowała odwodów – powiedział, mrużąc oczy, i na osłodę dodał: – W takich zadaniach sprawdzasz się lepiej od nas.

– Och, dziękuję, kuzynie – rzekła z uśmiechem Kit. – Ale to, że „Małżonka” tak dobrze się spisuje, nie jest wyłącznie moją zasługą. Załoga doskonale da sobie radę beze mnie. Ronsard poradzi sobie z każdym, kto spróbuje przemknąć przez blokadę. Dowodzenie przez tydzień czy dwa dobrze mu zrobi.

Wszystko, co powiedziała, było prawdą – Royd nie mógł się z tym spierać.

Co więcej, Kit świetnie się sprawdzała w walce, choć stosowała niekonwencjonalne metody. Była obdarzona doskonałym wzrokiem, potrafiła ocenić przeciwnika i miała doświadczenie w dowodzeniu. Każdy człowiek pływający pod banderą Frobisherów skoczyłby za nią w ogień. Podsumowując, była cennym nabytkiem, którego lepiej nie odrzucać – i zjawiła się dokładnie w momencie, gdy Royd

zdał sobie sprawę, że będzie potrzebował więcej ludzi o jej zdolnościach.

– Skoro już tu jesteś... – mruknął z niezadowoleniem.

Uśmiech Kit zrobił się jeszcze szerszy.

Royd popatrzył na Lachlana.

– Musimy zacząć pracować nad planem działania. Mamy tylko jedną szansę.

– Gdzie Caleb? – spytał Lachlan, rozglądając się. – Myślałem, że jest tutaj.

– Dołączył do więźniów w kopalni.

– Co? – spytali jednym głosem Kit i Lachlan.

Kiedy przynieśli sobie po pniaku, żeby usiąść, Royd wszystko im wyjaśnił. Nakreślił patykiem zarys kopalni i opisał, co udało im się zobaczyć.

– To, że Caleb, Lascelle i ich załogi są w obozie, rozwiązuje problem ludzi zdatnych do walki wewnątrz palisady. Lecz nadal mamy kilka kwestii do rozwiązania. Zgadzam się z opinią Caleba i Lascelle’a: ci najemnicy znają się na swojej robocie i na pierwszą zapowiedź kłopotów nie zawahają się wziąć kobiet i dzieci na zakładników.

– Wspominałeś o zaaranżowaniu jakiegoś wypadku – powiedziała Isobel. – Takiego, który odwróci uwagę Dubois i jego ludzi.

– Właśnie tego nam trzeba. – Royd pokiwał głową. – Mam nadzieję, że Caleb będzie w stanie coś zasugerować.

– To będzie musiało się odbyć na terenie kopalni, prawda? – spytała Kit. – Ten Dubois nie sprawia wrażenia kogoś, kto

zwyczajnie wysłałby na zewnątrz wszystkie swoje siły.

– To prawda – potwierdził Royd. – Trzeba wymyślić coś w środku.

– Więc muszą to załatwić ci, którzy się tam znajdują – podsumował Lachlan.

– Owszem, sami tego nie zorganizujemy. Jeśli podejmiemy jakiekolwiek działania na zewnątrz, Dubois natychmiast zorientuje się, że tu jesteśmy, i weźmie zakładników. – Royd przerwał na chwilę. – Zostawmy tę kwestię, dopóki nie uda mi się skontaktować z Calebem. Skupmy się na tym, co robić, kiedy już odwrócimy uwagę najemników. Gdy tylko zacznie się akcja, musimy wydostać wszystkie kobiety i dzieci z kopalni i zabrać je gdzieś, gdzie najemnicy nie będą w stanie z powrotem ich schwytać.

– Więc potrzebne nam jakieś miejsce, które będziemy w stanie obronić, i ludzie do eskorty oraz ochrony – powiedziała Kit.

– Dookoła mamy dżunglę – stwierdził Royd. – Wybór odpowiedniego miejsca i eskorty to nie problem. Ale najpierw musimy jakoś ich stamtąd wydostać.

– Nie wystarczy otworzyć bramę i sami do nas dobiegną? – spytał Lachlan.

– Nie. Brama jest co prawda otwarta za dnia, ale strzeże jej dwóch ludzi i w razie jakiegokolwiek zajścia jako ostatni opuszczą posterunek. Zresztą najprawdopodobniej i tak uderzymy wieczorem, kiedy kobiety i dzieci zbiorą się w tej chacie – wskazał prostokąt z boku obozu – a wtedy brama będzie już zamknięta dwiema ciężkimi belkami.

– W takim razie musimy jakoś sforsować palisadę.

– To jedyne rozwiązanie, ale trudne ze względu na jej konstrukcję. – Royd popatrzył na Isobel. – Mówiłaś, że to narzędzie, które pożyczyłaś w Southampton, poradzi sobie z ogrodzeniem. Gdzie ono jest?

– Na dnie twojego worka – rzekła, a kiedy zrobił zdziwioną minę, wyjaśniła: – Włożyłam je tam, zanim się spakowałeś.

Royd sięgnął za siebie i przyciągnął worek. Poszperał w środku, aż wreszcie wyciągnął coś zawiniętego w olejak.

– To?

– Tak.

Isobel położyła zawiniątko na kolanach, po czym rozwinęła je, odsłaniając dziwnie wyglądające narzędzie. Miało gruby drewniany uchwyt i trzy ciężkie ostrza o ząbkowanych krawędziach, ustawione równolegle do siebie w odległości pół cala. Ząbki były odgięte w obie strony, tak że krzyżowały się z pozostałymi ostrzami. Isobel podniosła przyrząd i pokazała go reszcie.

– Używa się tego do przecinania nasmołowanych lin albo uszczelnionej izolacji. Caleb pisze w raporcie, że palisadę trzymają sznury ze skręconych pnączy. Przecinanie ich zwykłym ostrzem zajęłoby zbyt wiele czasu. To powinno zadziałać o wiele szybciej.

– Mam już wstępny pomysł, jak możemy dostać się za palisadę, kiedy rozpoczniemy akcję sabotażową, ale nie ma sensu czynić konkretnych ustaleń, dopóki nie porozmawiam z Calebem – mówił dalej Royd. – Musimy też zyskać

pewność, że to zadziała – tu skinął na trzymaną przez Isobel piłę – i że będziemy w stanie wydostać kobiety i dzieci z obozu.

Z uwagi na Kit i Lachlana wyjaśnił:

– Caleb pisał, że z obozu codziennie wychodzi chłopiec o imieniu Diccon, żeby zbierać owoce i orzechy. Przekaże naszą wiadomość, ale jeśli Caleb cały dzień pracuje w kopalni, najwcześniej będziemy mogli się spotkać jutro wieczorem.

– Więc dopóki nie rozmówisz się z Calebem – podsumowała Kit – możemy co najwyżej układać wstępne plany.

– Zgadza się. Czyli możemy się zastanowić, jak wydostać z obozu kobiety i dzieci i dokąd je zabrać, jak przedostać się z naszymi ludźmi do środka i jak uzbroić więźniów. – Royd popatrzył na Lachlana. – Oraz jak postąpić z innymi, którzy mogą tam przebywać, czyli z Muldoonem i zastępcą intendenta fortowego Wintonem.

Lachlan zmarszczył brwi.

– Więc jeszcze ich tam nie widziałeś?

– Nie, ale jeśli przebywają w barakach, to z naszego punktu obserwacyjnego na skale nie będziemy w stanie ich zobaczyć, chyba że wyjdą na teren obozu. Muszę też dowiedzieć się od Caleba, czy nie wydarzyło się coś, co wymusi na nas natychmiastową akcję ratunkową. Biorąc pod uwagę wygląd tych najemników i liczbę jeńców, byłoby lepiej, gdybyśmy mogli zaczekać, aż dołączą do nas Robert i Declan. Przyda nam się znaczna przewaga liczebna.

– Kiedy spodziewasz się ich przybycia? – spytała Kit.

– Mam nadzieję, że dotrą tu pojutrze. Na pewno nie będą się ociągać – dodał z uśmiechem.

Lachlan i Kit zachichotali.

– Z Calebem mogę się spotkać dopiero jutro wieczorem – ciągnął Royd – więc jeśli mamy czekać na Roberta i Declana, atak przeprowadzimy najwcześniej pojutrze wieczorem. Mam tylko nadzieję, że Caleb nie powie, że musimy natychmiast rozpocząć akcję ratunkową. To bardzo utrudniłoby sprawę.

Wszyscy zamilkli, aż wreszcie Isobel sięgnęła w stronę Royda i wyjęła mu patyk z rąk. Wskazała kółko oznaczające jeziorko w pobliżu kopalni.

– Moglibyśmy zgromadzić w tym miejscu kobiety i dzieci – zaczęła. – Najemnicy przychodzą tu tylko rano, żeby nadzorować jeńców, którzy noszą do obozu zapasy wody na cały dzień. Nie zbadaliśmy jeszcze tego terenu, ale wygląda na to, że jeziorko otacza dżungla i nie ma do niego dostępu poza tą dróżką, która stanowi przedłużenie ścieżki biegnącej wokół obozu. Co więcej, Caleb i Lascelle zakopali przy pomoście skrzynkę z bronią. Jeśli kobiety i dzieci będą w swoim baraku, kiedy zacznie się akcja, to po wycięciu przejścia w palisadzie za barakiem moglibyśmy ich stamtąd wydostać jeszcze przed rozpoczęciem walki, zanim najemnicy choćby pomyślą, żeby do nich zajrzeć.

– Moglibyśmy też ustawić na ścieżce kordon obrońców – zauważył Royd.

– A kiedy kobiety i dzieci dotrą do jeziorka – rzekł Lachlan – potrzebna tam będzie tylko garstka ludzi do obrony, jeśli stanowisko da się łatwo utrzymać. Reszta kordonu będzie mogła wrócić bramą do obozowiska. Zakładając oczywiście, że to twoje poręczne narzędzie pozwoli nam otworzyć także bramę – dodał, spoglądając na Isobel.

– Nie jestem w stanie na to odpowiedzieć, dopóki jej nie obejrzę – odparła, marszcząc nos.

Royd przez chwilę przyglądał się mapce, po czym spojrzał na Isobel.

– Chyba powinniśmy wypróbować tę piłę.

Twarz Isobel pojaśniała.

– W tej chwili?

– Nie możemy niczego planować, dopóki nie dowiemy się, jak działa.

***

Oczywiście Lachlan i Kit nie zgodzili się pozostać w obozie. Royd nie zmuszał ich do tego. Taka wyprawa była dla nich okazją do obejrzenia terenu kopalni i zorientowania się w okolicy.

Całą czwórką poszli ostrożnie główną ścieżką, która prowadziła do bramy. Gdy tylko ich oczom ukazała się palisada – dobrze widoczna w mroku na tle nieco jaśniejszej góry – zeszli z drogi w zarośla.

Ruszyli gęsiego wzdłuż ogrodzenia mniej więcej do miejsca, w którym powinien się znajdować barak kobiet i dzieci. Royd skinął na pozostałych, aby się zbliżyli.

– Nie patrolują obszaru na zewnątrz palisady i wydaje mi się, że strażnicy z wieży nie widzą ścieżki dookoła obozu. Mimo to nie ma co ryzykować. Od tej pory porozumiewajmy się tylko na migi i w miarę możliwości trzymajmy się cienia.

Kiedy doszli na miejsce, odczekali chwilę, żeby zyskać pewność, że nikt ich nie zauważył, po czym Isobel wyjęła narzędzie, rozwinęła je i podała Roydowi, a sama odsunęła się nieco od palisady i przyjrzała konstrukcji. Caleb i Lascelle nie mylili się: wiązania trzymające drewno były bardzo solidne. Nacisnęła dwie deski, żeby sprawdzić, na ile ustąpią – praktycznie nie drgnęły. Przyjrzała się skręconym pnączom i sprawdziła je paznokciem, po czym sięgnęła po piłkę i przyłożyła ostrze do lin.

Zaczęła ciąć. Zęby dość łatwo przepiłowały pnącza, nie czyniąc przy tym hałasu, lecz stało się jasne, że podczas ataku przecięcie wszystkiego trwałoby za długo.

Isobel oczyściła ostrze i znowu zawinęła narzędzie, po czym schowała je do kieszeni. Poczuła stukanie w ramię i odwróciła się, napotykając pytające spojrzenie Royda.

Podniosła palec, nakazując mu poczekać.

Znowu odsunęła się o krok i popatrzyła w górę, na wyższą część palisady. Ostatnie wiązania desek znajdowały się na wysokości około dziesięciu stóp nad ziemią, dobre cztery stopy poniżej szczytu ogrodzenia.

Potem wzięła garść piasku i wtarła go w ślady po cięciu – w ten sposób nikt niczego nie zauważy, chyba że będzie dokładnie sprawdzał wszystkie wiązania.

To podsunęło jej inny pomysł. Zaczęła szukać w ogrodzeniu szczelin lub otworów, przez które można by zajrzeć do środka i upewnić się, czy faktycznie znajdują się na tyłach baraku kobiet.

Pozostali zorientowali się, o co jej chodzi, i również zaczęli szukać. Wreszcie Lachlan stuknął ją w ramię, a kiedy na niego spojrzała, pokazał palcem i powiedział bezgłośnie:

– Barak.

Isobel popatrzyła na otwór, który jej wskazywał. Niestety znajdował się za wysoko, aby mogła przez niego zajrzeć.

Potem Kit znalazła wcięcie w jednej z desek, tuż nad ziemią. Isobel przykucnęła i zajrzała do środka. Ujrzała tylną ścianę drewnianej chaty wzniesionej na niskich palach. Podniosła się.

– Idealnie – powiedziała bezgłośnie do Kit.

Znowu sięgnęła po swoje narzędzie i podcięła wiązania, które trzymały deski, po czym zamaskowała je piachem.

Zadowolona popatrzyła na Royda, wskazała na siebie i poruszyła palcami, pokazując na migi, że idzie do bramy. Ten po chwili zastanowienia pokiwał głową i ruszył przodem.

Jedno spojrzenie na umocowanie wrót w zawiasach położyło kres nadziei, że sforsują bramę przez ich rozcięcie. Isobel zbadała jednak ogrodzenie i wybrała dwie pozycje, po jednej z obu stron bramy. Oznaczyła wiązania podobnie jak poprzednio.

Wreszcie kiwnęła głową w stronę dżungli i ruszyli z powrotem: Royd przodem, Isobel za nim, dalej Kit i na końcu Lachlan.

Przerwali milczenie dopiero wtedy, gdy znowu znaleźli się w pobliżu ścieżki prowadzącej ze szlaku do ich obozu.

– Więc przecięcie pnączy potrwa za długo – zaczął Royd. – Ale coś już wymyśliłaś.

– To prawda. – Isobel wyjaśniła, że jej pomysł polega na zrobieniu dwóch wyrw w palisadzie. Wyczuwała, że Royd nie jest zachwycony jej udziałem w akcji ratunkowej, lecz nie protestował.

Kiedy doszli do obozu, większość ludzi już spała. Isobel stwierdziła, że mimo podniecenia wywołanego świadomością, iż w namacalny i znaczący sposób przyczyni się do odbicia kopalni, długi dzień ją zmęczył. Stłumiła ziewnięcie.

Kit i Lachlan poszli szukać swoich bagaży.

Royd przykucnął przy torbie i wyciągnął z niej złożony kawałek olejniaka. Isobel odpięła pas z bronią i odłożyła go obok swoich rzeczy.

Royd strzepnął materiał i rozciągnął go na ziemi.

– Posłanie czeka, pani – rzekł, wskazując zamaszystym gestem.

Isobel stłumiła chichot. Zdjęła kurtkę i złożyła ją zamiast poduszki, po czym z głębokim westchnieniem ułożyła się na płachcie.

– A ty gdzie będziesz spał? – szepnęła do Royda, który stał nad nią i odpinał szpadę.

Popatrzył na nią znacząco i chwilę później położył się przy niej. Isobel odwróciła się z uśmiechem i wtuliła w niego plecami.

Jego ramię spoczęło na jej talii. Isobel przymknęła oczy, a potem poczuła, jak Royd odsuwa jej włosy z karku i całuje delikatnie w szyję.

Z uśmiechem zapadła w sen.

Dziewięć

Po południowej przerwie mężczyźni wrócili do kopalni. Caleb wraz z innymi boleśnie wolno kuł skalną ścianę w drugim tunelu. Zgodnie z zarządzeniem Muldoona posługiwał się tylko młotkiem i dłutem, żeby ostrożnie wyłuskiwać diamenty z kruszącego się kamienia – wszak mogły okazać się diamentami z rzadkiego błękitnego gatunku.

Odkrycie Muldoona, że w kopalni poza zwykłymi białymi diamentami można znaleźć też błękitne, pozwoliło jeńcom zwolnić tempo pracy, dzięki czemu mieli gwarancję, że pożyją na tyle długo, by ratunek zdążył do nich dotrzeć.

Choć z perspektywy Caleba i kilku innych mężczyzn w tej chwili groziła im bardziej śmierć z nudów niż z rąk najemników.

Przez większość czasu udawali tylko, że kują skałę, uzupełniając dzienną normę produkcji z zapasów ukrytych w pierwszym, teraz już porzuconym korytarzu. Od czasu do czasu korzystali też z diamentów, które dzieci ukryły w stertach odrzuconych kamieni. W ścianach tunelu musiało pozostać tyle kruszcu, żeby przekonać Muldoona podczas jego częstych inspekcji, że w kopalni nadal jest mnóstwo rudy do wydobycia.

W rzeczywistości bowiem żyła, która biegła wzdłuż drugiego korytarza, zwęziła się teraz do zaledwie kilku cali.

Jeszcze trochę, a w skale mogło zabraknąć lśniących klejnotów, których widok budził błysk chciwości w oczach Muldoona.

Dixon, wojskowy inżynier, porwany, żeby nadzorować otwarcie i działalność kopalni, ostrożnie monitorował pracę. Dziś zawyrokował, że każdy więzień powinien wydobyć nie więcej niż dwa diamenty.

Caleb postanowił więc zająć się jednym rano, a drugim po południu, co pozostawiało mu mnóstwo czasu na rozmyślania.

Po raz kolejny zastanawiał się nad działaniami, jakie podjął, aby pomóc w akcji ratunkowej, kiedy nagle w kopalni rozległo się słabe echo nawoływań z wieży strażniczej – sygnał, że ktoś przybył do obozu.

Caleb wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Dookoła niego inni jeden po drugim także przerywali pracę. Nagle poczuli, jak ziemia drży od tupotu stóp.

Caleb popatrzył na Phillipe’a Lascelle’a, który z takim samym jak on zniechęceniem pracował u jego boku.

– Kto teraz?

Phillipe wsunął narzędzia do kieszeni.

– Muldoon już tu jest, Winton też.

Jak domyślał się Dixon, to właśnie młodszy Winton okazał się wspólnikiem Muldoona, który przysyłał do kopalni narzędzia oraz inny sprzęt. Przed dziesięcioma dniami zjawił się osobiście z kolejnym ładunkiem.

– Arsene i Cripps nie wyruszali po zapasy. Może to ten trzeci? – Caleb również schował narzędzia. – Ten

nieuchwytny jegomość z kancelarii gubernatora?

Rysy twarzy Phillipe’a stwardniały.

– Jeśli tak, musimy się zastanowić, co to oznacza. Może trzeba będzie zmienić plany.

– Boże, mam nadzieję, że nie – odparł Caleb. – Ratunek jest już blisko. Potrzebujemy jeszcze co najwyżej kilka dni.

– Mów ciszej – ostrzegł Phillipe ponuro. – Nie kuś losu.

Pracowali w głębi korytarza, ale teraz ruszyli w kierunku skalnego nawisu osłaniającego wejście do kopalni, gdzie dołączyli do Hillsythe’a, Fanshawe’a, Hopkinsa i Dixona.

Po chwili zjawiły się także Kate Forstescue, narzeczona Caleba, oraz ukochana Dixona, Harriet Frazier.

Wszyscy spojrzeli na orszak, który właśnie wkraczał do obozu.

Trzej nowo przybyli dżentelmeni – bo sądząc po odzieniu i manierach, zdecydowanie nie należeli do pospólstwa – przystanęli niedaleko baraków, rozglądając się dookoła z minami książąt dokonujących kontroli pomniejszych włości.

Za nimi stało trzech tubylców, którzy nieśli drogo wyglądające bagaże.

Dwaj z przybyszów byli w starszym wieku, zapewne po pięćdziesiątce, i odziani w szaty, które, choć pozbawione ostentacji, nie odstawałyby od innych nawet w arystokratycznym salonie. Po kroju od razu było widać, że wyszły spod igły najlepszych krawców na Savile Row. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie aroganckich, przy czym

ten wyższy, z grzywą srebrzystych włosów, wydawał się bardziej wyniosły niż jego krępy towarzysz.

Trzeci mężczyzna był młodszy, po trzydziestce, ubrany schludnie i porządnie, lecz jego odzienie pozbawione było stylu pozostałej dwójki. Stał tyłem do kopalni i dyrygował tragarzami, którzy odstawiali bagaże. Kiedy im zapłacił, tubylcy odeszli, a on sam odwrócił się, tak że robotnicy mogli wreszcie ujrzeć jego twarz.

Stojący obok Caleba Hillsythe zaklął.

– To Satterly. Arnold Satterly – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Prawa ręka gubernatora.

Caleb zobaczył na jego twarzy lodowatą wściekłość. To właśnie Satterly zdradził Hillsythe’a i nakazał jego porwanie.

– Wygląda na to, że wreszcie poznaliśmy ostatniego z trzech naszych złoczyńców.

– Faktycznie – przyznał Hillsythe. – Ale pozostałych dwóch nigdy nie widziałem.

– Ja też nie – rzekł Dixon.

Kate również pokręciła głową.

– Pracując u Sherbrooków, napatrzyłam się podczas przyjęć na członków miejscowej elity. Znam Satterly’ego, ale nie tych dwóch. Nigdy dotąd ich nie widziałam.

Drzwi baraku się otworzyły i stanął w nich Muldoon, a za nim Winton. Gdy zorientowali się, na kogo patrzą, na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie, a nawet pewna irytacja. W następnej chwili szybko zeszli po stopniach ganku. Cali

w uśmiechach, podeszli bliżej i zaczęli się kłaniać starszym mężczyznom.

– Wielkie nieba – szepnął Caleb, kiedy wreszcie zrozumiał. – To dwaj ze sponsorów.

– Na pewno przyjechali sprawdzić, jak się ma inwestycja – rzekł Hillsythe.

Wszystkich ogarnął niepokój. Ta wizyta na pewno nie wróżyła dla nich nic dobrego.

Phillipe miał rację. Caleb powinien był wiedzieć, że nie wolno kusić losu.

Zazwyczaj przy wejściu do kopalni nie było słychać rozmów prowadzonych na schodach baraku, lecz tym razem wiał zachodni wietrzyk, więc wytężając słuch, więźniowie mogli usłyszeć urywki rozmowy.

– Kuzynie – zwrócił się siwowłosy mężczyzna do Satterly’ego – może przedstawisz nam swoich kolegów.

Caleb wymienił szybkie spojrzenie z Hillsythe’em. Kuzyn? A więc to jest ogniwo łączące inicjatorów planu ze sponsorami.

Satterly miał niższy głos, w konsekwencji gorzej było go słychać. Nie wyłapali więc nazwiska siwowłosego jegomościa, za to usłyszeli, że tęższy dżentelmen nazywa się Frederick Neill.

Po chwili jednak wywnioskowali z rozmowy, że ten starszy osobnik to lord Ross-Courtney i że przybył wypytać trzech wspólników o obecny stan kopalni i produkcję.

Muldoon z wielkim podekscytowaniem opowiadał im o odkryciu błękitnych diamentów. Po żywym

zainteresowaniu obu przybyszy widać było, że to dla nich nowa informacja.

– Musieli wypłynąć z Londynu, zanim dotarła tam wiadomość od Muldoona – mruknął Fanshawe.

Niezapowiedziana wizyta obu sponsorów budziła w Calebie coraz gorsze przeczucia. Zwłaszcza że z urywków rozmowy, jakie do nich dochodziły, wynikało, że Ross-Courtney to postać kluczowa dla przedsięwzięcia, koordynator wszystkich inwestorów.

A najbardziej niepokojący był fakt, że ani on, ani Neill nawet nie próbowali ukryć swojej tożsamości.

– Oby Royd zjawił się tu jak najszybciej – mruknął Caleb pod nosem.

Chyba nigdy jeszcze nie wyglądał starszego brata z taką niecierpliwością. Przybycie Rossa-Courtneya i Neilla sprawiło, że odsiecz stała się nagle o wiele pilniejszą sprawą.

Przybysze spojrzeli przelotnie na ludzi zgromadzonych przed kopalnią, lecz poza tym całkowicie ich zignorowali, jakby jeńcy nie zasługiwali na ich uwagę.

Ta wyniosłość dała się również zauważyć podczas ich spotkania z Dubois, który do tej pory czekał na ganku baraku i dopiero teraz zszedł po schodach, żeby Muldoon mógł go przedstawić.

Znając już Dubois, łatwo było dostrzec, że sposób, w jaki traktuje go Ross-Courtney (a i Neill nie był o wiele lepszy), bardzo działa mu na nerwy – jakby był tylko niewartym uwagi sługusem, co więcej, sługusem francuskim.

Muldoon, wyraźnie podenerwowany, zatarł ręce i rzekł:

– Dubois, zgodzisz się na pewno, że barak medyczny będzie najlepszą kwaterą dla lorda Rossa-Courtneya i pana Neilla.

Dubois obojętnie milczał, wbijając tylko spojrzenie w Muldoona, aż tamten odwrócił się do sponsorów i sam zaprowadził ich na miejsce, gnąc się w ukłonach.

Nagle uwagę Caleba przyciągnęło mignięcie jasnego materiału przy bramie. To Diccon przebiegł obok strażników i pomknął prosto do kopalni, lecz na widok odwróconego plecami Dubois nagle wyhamował i wlepił w niego wzrok, po czym przeniósł go na nowo przybyłych. Wciągnął głęboko powietrze, popatrzył na grupę robotników, wreszcie odwrócił się i odszedł w stronę kuchni, taszcząc kosz pełen zbiorów.

Caleb zastanawiał się, o co w tym chodzi.

Przybysze zniknęli im z oczu. Dubois odwrócił się, popatrzył na stojących przy wejściu do kopalni więźniów i krótkim gestem dłoni nakazał im się rozejść.

Kate uśmiechnęła się lekko do Caleba, po czym energicznym krokiem wróciła z Harriet do oczyszczania kamieni.

Caleb zaś wraz z innymi wszedł do kopalni. Podczas gdy reszta zniknęła z powrotem w drugim korytarzu, on z pozostałymi pięcioma przywódcami zatrzymali się niedaleko wejścia.

– Nie podoba mi się to – stwierdził Dixon.

– Chyba wszyscy się z tobą zgadzają – rzekł Caleb, rozglądając się po twarzach pozostałych.

– Więc co teraz? – spytał Hopkins. – Czy w oczekiwaniu na odsiecz możemy zrobić coś, co zminimalizuje niebezpieczeństwo, z jakim się wiąże przybycie tych ludzi?

– Co możemy zrobić, żeby nie kazali Dubois natychmiast zamknąć kopalni? – wyraził się bardziej dobitnie Fanshawe.

– Wygląda na to, że najlepszą obroną przed zwinięciem interesu są błękitne diamenty – powiedział Caleb.

– To prawda – zgodził się Hillsythe. – A ratunek musi być już blisko. Na pewno wystarczy, jeśli zdołamy wytrwać jeszcze tylko kilka dni, może nawet mniej niż tydzień.

– Poza tym musimy się wystrzegać wszelkiej paniki – dodał Phillipe. – Ułożyliśmy już plany i wszystkie przygotowania zostały zakończone. Przybycie tych ludzi to nie powód, żeby nagle wszystko zmieniać.

Zastanawiali się nad tym przez chwilę.

– Możemy zrobić jedną rzecz – stwierdził w końcu Caleb. – A mianowicie dopilnować, żeby kobiety miały do pokazania kilka błękitnych diamentów, kiedy ci dwaj panowie pójdą dokonać inspekcji chaty, gdzie oczyszczana jest ruda. Niech ich chciwość zadziała na naszą korzyść.

Dixon pokiwał głową.

Caleb poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw. Spojrzał w dół i zobaczył u swojego boku Diccona (który nienawidził wchodzić do kopalni).

– Co się stało? – spytał natychmiast.

Diccon popatrzył na pozostałą piątkę, która dalej omawiała plany, po czym szepnął:

– Czy możemy porozmawiać na osobności? Mam wiadomość do przekazania.

Caleb położył dłoń na ramieniu chłopca. Nie mogli wyjść na zewnątrz. Tam zobaczyłby ich Dubois.

– Nie będziesz się bał wejść głębiej w tunel?

– Chyba nie mam wyboru.

Coraz bardziej zaniepokojony Caleb wziął latarnię i ruszył za chłopcem w głąb porzuconego pierwszego korytarza. Kiedy skręcili, uznał, że znaleźli się dostatecznie daleko od innych. Przystanął, a Diccon odwrócił się twarzą do niego.

– Co się stało? – spytał znowu Caleb, choć już się domyślał, o co chodzi.

– W dżungli podszedł do mnie jakiś człowiek. Wyglądał zupełnie jak pan. No, może jest trochę starszy, ale to na pewno pana brat.

Royd. Puls Caleba nagle przyspieszył.

– I co ci powiedział?

Diccon nabrał powietrza.

– Kazał przekazać panu to: Sowa. Pies. Dwa. Osiem. Mówił, że będzie pan wiedział, co to oznacza.

Na twarzy Caleba pojawił się uśmiech.

– O, tak. Doskonale wiem, co to znaczy.

Nikt poza Roydem nie mógłby przesłać takiej wiadomości.

Diccon wpatrywał się w niego z niemal bolesnym natężeniem.

– Więc to już? – spytał. – Idą nam na ratunek?

Caleb próbował zapanować nad szerokim uśmiechem, ale nie zdołał. Pozostali musieli się o tym dowiedzieć.

– Tak, to już... Tylko nie krzycz z radości, nadal musimy trzymać wszystko w sekrecie. Ale owszem, wreszcie przybyła odsiecz.

– A czy mogę powiedzieć innym dzieciom?

– Zatrzymaj tę informację dla siebie, dopóki nie omówię wszystkiego z pozostałymi. Pewnie ogłosimy to wieczorem przy ognisku. Wtedy będziesz mógł wszystko opowiedzieć. Zgoda?

Diccon pokiwał głową. Po chwili rzekł:

– To w takim razie pójdę do kuchni umyć te owoce. W ten sposób będę z dala od innych i nie będzie mnie kusić, żeby się wygadać.

Razem wrócili do reszty więźniów i Diccon wyszedł z kopalni.

Na widok miny Caleba Phillipe urwał w pół słowa i spytał:

– Co takiego?

Caleb odstawił latarnię. Wyprostował się i otarł ręce o spodnie – był to jego zwykły odruch przed bitwą. Co prawda zazwyczaj staczał bitwy na morzu... Rozejrzał się po otaczających go twarzach i uśmiechnął radośnie.

– Diccon właśnie przyniósł wiadomość. Mój brat Royd przybył z ratunkiem.

***

O dwudziestej Caleb przyczaił się za tylną ścianą baraku mężczyzn, czekając na odgłosy pohukiwania sowy.

W dzieciństwie każdy z czterech braci wybrał sobie ptaka, którego wołanie miało być jego sygnałem. Jako najstarszy i w związku z tym najmądrzejszy Royd zarezerwował dla siebie sowę. Robert wybrał kruka, Declan – mewę, a Caleb najbardziej psotnego z ptaków – wróbla.

Wiadomość od Royda była jasna: sowa miała znaczyć, że jest tu osobiście i że Caleb ma nasłuchiwać jego sygnału, pies i dwójka oznaczały drugą psią wachtę, a ósemka – osiem szklanek w tejże wachcie.

Osiem szklanek drugiej psiej wachty równało się godzinie ósmej wieczorem. Jedynym działającym czasomierzem, do którego mieli dostęp więźniowie, był stary zegarek Dixona, ale trudno było stwierdzić, czy dobrze chodzi.

By nie minąć się z Roydem, Caleb odszedł od ogniska dziesięć minut przed umówioną godziną. Kiedy więźniowie dowiedzieli się, że dwaj przybysze, którzy zjawili się w obozie, mają władzę, żeby zamknąć kopalnię i doprowadzić do ich śmierci, morale spadło. Na wiadomość, że ratunek jest już na miejscu, wszyscy poczuli wielką ulgę, lecz nadal byli roztrzęsieni. Wieczorne spotkanie Caleba z Roydem miało im dać nadzieję na pomoc.

Caleb usiłował zapanować nad rosnącymi wątpliwościami co do zegarka Dixona, kiedy nagle tuż zza palisady doszedł odgłos pohukiwania sowy. Młodzieniec z uśmiechem ruszył w stronę ogrodzenia. Nie wiedział, w którym dokładnie miejscu przy palisadzie Royd będzie na niego czekać, ale uznał, że sam wybrałby tyły męskiego baraku, ponieważ

stojące obok latryny stanowiły dobry pretekst na wypadek, gdyby ktoś go tu przyłapał. Do tego barak osłaniał ten fragment ogrodzenia przed wzrokiem strażników na wieży.

Caleb przysunął się do palisady i szepnął:

– Jestem.

Poczuł nacisk na deski, kiedy brat oparł się o nie z drugiej strony.

– Gratuluję. Udało ci się dostać do obozu, nie wzbudzając podejrzeń tych drani – powiedział Royd.

Caleb zdziwił się – nie oczekiwał na wstępie pochwały.

– No dobrze – ciągnął rzeczowo Royd. – Co muszę wiedzieć?

– Gdzie rozbiliście obóz?

– Na łące, w tym samym miejscu, gdzie wy. Hornby nas zaprowadził.

– Nie jesteście tam bezpieczni. Dubois zna to miejsce. Właśnie tam nas złapał.

– To już nie ma znaczenia. Nie planujemy długiego pobytu.

Caleb wyszczerzył się: cały Royd.

– W porządku. Domyślam się, że znaleźliście tę skalną półkę nad obozem?

– Tak. Przybyliśmy na miejsce wczoraj i od tamtej pory was obserwujemy. Znamy rozkład obozu, widzieliśmy wszystkich więźniów i najemników. Możesz potwierdzić, że ci dwaj, którzy już tu byli, to Muldoon i Winton, a tych trzech nowo przybyłych to Satterly, lord Peter Ross-Courtney i pan Frederick Neill?

– Muldoon to ten ciemnowłosy, jest tu od jakiegoś miesiąca – odparł ponuro Caleb. – Winton jest najmłodszy i widać, że zżerają go nerwy. Pojawił się tu chyba dziesięć dni temu. Satterly to najmłodszy z tych trzech, którzy dziś przybyli. Hillsythe potwierdził, że jest prawą ręką gubernatora. Co do Rossa-Courtneya i Neilla wiemy, że to dwaj ze sponsorów, i wygląda na to, że pozostałych trzech nie spodziewali się tu zobaczyć, nie wyłączając Satterly'ego. Aha, poza tym Satterly ma koneksje z Rossem-Courtneyem.

– Podobno to jego daleki kuzyn – potwierdził Royd. – Orientujesz się, czy ktoś jeszcze należy do szajki poza Muldoonem, Wintonem i Satterlym? Czy ktoś pozostał w kolonii?

– Z tego, co słyszeliśmy, wynika, że było ich tylko trzech.

– To dobrze. Kazaliśmy Deckerowi zablokować deltę. Nikt się tu nie dostanie ani nie wydostanie na zewnątrz, odcięliśmy wszelką komunikację. Dodatkowo Robert i Declan otoczyli miasto kordonem, w każdym razie od strony kopalni. Nie spodziewaliśmy się tu Rossa-Courtneya i Neilla, ale Babington powiedział nam o ich przybyciu i dość dziwnych planach zorganizowania safari w towarzystwie Satterly'ego. Oczywiście było to mocno podejrzane, lecz nie mieliśmy dowodów, więc pozwoliliśmy im opuścić kolonię. A teraz są tutaj, co stanowi dostateczne potwierdzenie ich udziału w sprawie – zakończył z satysfakcją Royd.

– Z tego, co zdołaliśmy podsłuchać, Ross-Courtney to główny koordynator sponsorów. Zachowuje się tak, jakby całe przedsięwzięcie należało do niego. Neill to tylko inwestor. – Coś w słowach Royda zaniepokoiło Caleba, ale nie mógł sobie uzmysłowić, co takiego. – Przejdźmy więc do akcji ratunkowej. Ilu ludzi masz ze sobą?

Słysząc odpowiedź, zmarszczył brwi.

– Ledwo wystarczy. Teraz, kiedy jest tu Ross-Courtney i Neill... Bóg wie, co im chodzi po głowach, a na jedno ich słowo w ciągu godziny wszyscy możemy być martwi. Wieczorem dokonali inspekcji kopalni, ale nic nie dali po sobie poznać. Nie mamy pojęcia, do jakich wniosków doszli. Staramy się z całych sił rozbudzić ich zainteresowanie błękitnymi diamentami... Ach, ty o tym jeszcze nie wiesz.

Szybko wyjaśnił bratu, że odkrycie w rudzie rzadkich błękitnych diamentów pozwoliło im spowolnić proces wydobycia kruszcu.

– Jak na ironię sam Muldoon tak nam kazał. Mamy nadzieję, że przekona Rossa-Courtneya i Neilla, że na kopalni da się jeszcze sporo zarobić, więc nie należy jej teraz zamykać.

– Nie wygląda na to, żeby zamierzali od razu wstrzymać prace. Jeśli masz już jakiś pomysł, jak odwrócić uwagę najemników, abyśmy mogli przejąć kontrolę nad obozem, to jutro wieczorem możemy zabrać się do działania. Robert i Declan wraz ze swoimi ludźmi powinni tu dotrzeć najpóźniej po południu.

– Więc oni też tu przybędą?

– Żadna siła by ich nie powstrzymała.

Po raz pierwszy od miesięcy Caleb poczuł, jak ogarnia go spokój.

– Czyli...

– Czyli będziemy mieli aż nadto ludzi, żeby przeprowadzić akcję ratunkową. – W głosie Royda brzmiała absolutna pewność. – Jedyne, co zostało do rozwiązania, to kwestia odwrócenia uwagi najemników.

Caleb wyszczerzył się w mroku.

– Tym się już zajęliśmy i wszystko jest gotowe – powiedział. – Zdradzę ci swoje plany, jak ty zdradzisz mi twoje.

Royd stłumił śmiech.

– Dalej więc – zachęcił.

Caleb wyjaśnił, co zamierza zrobić.

– Wystarczy już tylko zapalić lont.

Wtedy Royd przedstawił mu swoją strategię działania. Caleb był pod wrażeniem.

– Możemy to idealnie zgrać z naszym sabotażem.

– Widzieliśmy Katherine Fortescue – powiedział nagle Royd. – Możesz potwierdzić, że nic jej nie jest?

Caleb zamrugał ze zdziwieniem. „Widzieliśmy”? Skąd ta liczba mnoga zamiast, jak zwykle, pojedynczej? Właśnie to zwróciło przedtem jego uwagę.

– Owszem, Kate ma się dobrze – odpowiedział. – A dlaczego pytasz?

Przecież Royd nie mógł wiedzieć o jego związku z Katherine.

Royd westchnął.

– Jest tu Isobel Carmichael – wyjaśnił, wprawiając młodszego brata w zdumienie.

– Jak to? Co ona tutaj robi?

– To krewna Katherine ze strony Iony Carmody. Iona niepokoiła się o los Katherine. Dopiero niedawno dowiedziały się o jej zniknięciu z kolonii. Więc oczywiście Isobel postanowiła tu przypłynąć, odnaleźć Katherine i ją uratować. Zdecydowałem się zabrać ją ze sobą. Tak było bezpieczniej.

Caleb znał Isobel na tyle, by wiedzieć, że to prawda, ale biorąc pod uwagę łączącą ją z Roydem przeszłość...

Jednak jego starszy brat był na tyle doświadczony, żeby poradzić sobie z Isobel. Caleb zaś musiał się skupić na ważniejszych sprawach, choć nie był zachwycony tym, że Kate jest spokrewniona ze słynącą z trudnego charakteru Ioną. Lecz skoro zamierzał się z nią ożenić bez względu na wszystko, przynajmniej dobrze, że usłyszał o tym wcześniej.

– Czy jeszcze o czymś powinienem wiedzieć? – spytał Royd, przerywając jego rozmyślania.

– Chyba omówiliśmy już wszystko.

– Zatem jutro wieczorem. Zaczynajcie, kiedy będziecie gotowi, tylko tak, żeby kobiety i dzieci były bezpieczne. Wkroczymy do akcji, gdy tylko odwrócicie uwagę najemników.

Caleb stał bez ruchu, napawając się pewnością brzmiącą w słowach brata. Nagle usłyszał lekki szelest i już wiedział, że Royd zniknął.

Trzymając się w cieniu za barakiem mężczyzn, spokojnym krokiem ruszył w kierunku latryn, a stamtąd do ogniska – wszyscy czekali tam z utęsknieniem na wieści.

***

Kiedy Royd wrócił do obozu, zobaczył przed sobą przejęte, pełne oczekiwania twarze.

Zatrzymał się przy słabo świecącej latarni na środku polany, po czym z uśmiechem rozejrzał dookoła.

– Jutro wieczorem ruszamy do akcji.

Powściągając głośne okrzyki radości, wszyscy zaczęli poklepywać się nawzajem po ramionach, czekając na szczegółowy plan.

Royd wyjaśnił, jak ma wyglądać zaplanowana przez więźniów akcja sabotażowa. Zorganizowali ją z imponującym rozmachem, biorąc pod uwagę ograniczone środki i możliwości działania.

– Przy odrobinie szczęścia – zakończył – ściągnie to najemników w jedno miejsce.

Dalej streścił plan dostania się do obozu, który opracował w ciągu dnia z Isobel, Kit i Lachlanem.

– Rozpoczęliśmy już przygotowania, ale jutro po południu wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Zajmiemy pozycje na długo przed tym, jak więźniowie zaczną działać. Ruszamy do akcji natychmiast, gdy tylko strażnicy przestaną pilnować palisady. Mamy trzy zadania: bezpiecznie wydostać kobiety i dzieci, rozprawić się z najemnikami i pojmać pięciu przywódców szajki, którzy

przebywają obecnie w obozie. Podzielimy się na grupy, które zajmą się poszczególnymi zadaniami, ale możemy to zrobić dopiero wtedy, gdy zjawią się tu moi bracia i dowiemy się, jakimi dokładnie siłami dysponujemy. Odłóżmy to więc do jutrzejszego popołudnia. A tymczasem...

Zaczął wymieniać, co jeszcze muszą zrobić, między innymi wydobyć skrzynię z uzbrojeniem, zakopaną przez Caleba nad jeziorem. Urządzenia, które miały im umożliwić przedostanie się przez palisadę, były już częściowo gotowe.

– Gdy tylko je skończycie, ustawcie na pozycji, ale zachowajcie najwyższą ostrożność. Nie stać nas na najmniejsze błędy. – Royd powiódł wzrokiem po kręgu ludzi. – To się odnosi do wszystkich. Ani jednego potknięcia.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedziały jednocześnie załogi.

Royd zwolnił ludzi i podszedł do pniaka, na którym siedzieli Isobel, Kit i Lachlan, przysłuchując się jego słowom.

– A nasze małe przedsięwzięcie? – spytała Isobel.

– Tym musimy się zająć w nocy.

Dziesięć

Następnego ranka Isobel spała do późna, zmęczona po ostatniej nocy, którą spędziła na podpiłowywaniu dziesiątek pnączy. Mieli to robić na zmianę, lecz okazało się, że pozostali nie bardzo sobie radzą z jej narzędziem i ząbkowane ostrze cały czas się zacinało. W końcu Isobel stwierdziła, że szybciej będzie, jeśli sama to zrobi. Royd i Lachlan podnosili ją tylko na zmianę, żeby mogła przepiłować górne wiązania, podczas gdy Kit dociskała deski, aby w ten sposób ułatwić jej pracę.

Zanim skończyli, Isobel nie czuła rąk. Mieli za to przygotowane wyjście dla kobiet i dzieci – deski trzymały się teraz tylko na dwóch lekko podpiłowanych pnączach, z którymi w mgnieniu oka można było sobie poradzić.

Główna brama była większym problemem: nie chcieli zbytnio osłabić konstrukcji, bo wtedy samo otwieranie i zamykanie wrót mogłoby ją obalić. Isobel wraz z Roydem wybrali wiązania, które należało zachować, aby brama mogła normalnie działać i w miarę stabilnie stać.

Z obu stron zostawili po jednym, choć mocno ponacinanym wiązaniu w górze, jednym na wysokości ramion i pasa i wreszcie nad ziemią. Pozostałe pnącza Isobel rozcięła, podczas gdy Royd, Kit i Lachlan cały czas sprawdzali konstrukcję, żeby mieć pewność, że nie zawali się przed czasem.

A kiedy rozpocznie się akcja ratunkowa i w obozie powstanie zamieszanie, pozostawione wiązania wystarczy rozciąć maczetami.

Po powrocie Isobel rzuciła się na legowisko i natychmiast zasnęła.

Najwyraźniej rankiem Royd uznał, że nie ma potrzeby jej budzić. Ocknęła się, kiedy wstawał, ale odwróciła się tylko plecami do budzącego się obozowiska i zaraz znowu zapadła w głęboki sen.

Wreszcie zbudziła się, słysząc skrzek papugi wysoko w drzewach. Przeciągnęła się, przekręciła na drugi bok i zobaczyła siedzącą obok Kit.

– Dzień dobry, śpiochu – odezwała się tamta z uśmiechem.

– Trzeba było mnie wcześniej obudzić – mruknęła Isobel.

– Co? I złamać rozkaz naszego wspaniałego przywódcy, który kazał zostawić cię w spokoju? – Kit prychnęła. – Nie ma szans.

Isobel stłumiła śmiech i usiadła.

– W każdym razie już nie śpię. Która godzina?

– Nie mam pojęcia – rzekła Kit, spoglądając z grymasem niezadowolenia do góry. – Nie mogę się zorientować, nie widząc słońca. Ale śniadanie było kilka godzin temu.

Isobel rozejrzała się po polanie. W zasięgu wzroku widać było tylko trzech ludzi zajętych splataniem lin.

– Gdzie są wszyscy?

– Część obserwuje kopalnię ze skały, część poszła wydobyć ukrytą nad jeziorem broń i przygotować ją do użytku, a reszta męczy się przy tych tyczkach, które

wymyśliliście z Roydem. Chcą skończyć przygotowania najwcześniej, jak to możliwe. Ustawienie żerdzi na pozycji tak, żeby nikt w obozie tego nie zauważył, potrwa jakąś godzinę czy dwie.

Isobel pokiwała głową. Spała dość dobrze, lecz mimo to czuła się pozbawiona energii. Była to wina upału – ciężkiej duchoty, która zdawała się ją przytłaczać i pozostawiać na skórze wrażenie potu i brudu. Popatrzyła na Kit.

– To jezioro... Może przejdziemy się i rozejrzymy w terenie? Jeśli mamy tam zaprowadzić kobiety i dzieci, to chyba najpierw same powinnyśmy zapoznać się z trasą.

– Masz rację.

Isobel wstała i zaczęła grzebać w swojej torbie, dopóki nie znalazła schowanego na dnie lnianego ręcznika. Wyciągnęła go i pokazała Kit.

– Lepiej to zabiorę na wypadek, gdybym zmokła.

– Kapitalna myśl – roześmiała się Kit, sięgając po własny worek. – Poczekaj, ja też wezmę.

Ruszyły ścieżką prowadzącą wokół zbocza na skalną półkę, lecz w pewnym momencie odbiły w bok i weszły na dróżkę, która wiodła dalej na wschód. Wkrótce wyszły z gęstej dżungli prosto na skraj jeziorka.

Miało ono mniej niż sto stóp szerokości. Z miejsca, gdzie stały, roztaczał się widok na prymitywny pomost i oczyszczony z roślinności obszar tuż przy nim, naprzeciwko ścieżki prowadzącej z kopalni. Wykopana broń została już doprowadzona do porządku i leżała teraz równo ułożona na końcu pomostu.

– Sprawa jest dość prosta – rzekła Isobel, rozglądając się wokół. – Więźniowie powinni skierować się prosto do jeziora i zgromadzić tam dalej, na drugim końcu. Ludzie wyznaczeni do ich obrony mogą ustawić się na pomoście.

Kit przytaknęła.

– Prościzna. Zresztą sądząc po planach Royda, niewielu najemników powinno być w stanie wydostać się z obozu.

W tle cały czas rozbrzmiewał szum płynącej wody. Isobel rozejrzała się w poszukiwaniu jego źródła i daleko po lewej stronie zobaczyła wpadający do jeziora strumień tworzący niewielki wodospad.

Spowijała go delikatna chłodna mgiełka.

– Chyba jest tu całkiem głęboko. Spokojnie można by popływać. Woda powinna być dość chłodna – rzekła Kit.

– Właśnie o tym myślałam – odpowiedziała Isobel – ale wolałabym nie zostawiać ubrań na widoku. Ta ścieżka prowadzi dalej dookoła jeziora. Tam naprzeciwko wodospadu jest chyba kawałek odkrytego brzegu.

Kit spojrzała w tym samym kierunku, po czym machnęła ręką.

– Prowadź.

Ruszyły ścieżką i wreszcie znalazły maleńką zatoczkę, zupełnie niewidoczną z pomostu.

Zaczęły się na wyścigi rozbierać. Isobel miała przy sobie mniej broni, którą należało najpierw odpiąć, dlatego pierwsza wsunęła się do wody. Czując na spoconej skórze chłód, westchęła z rozkoszy.

Po kilku sekundach dołączyła do niej Kit.

Podpłynęły do wodospadu. Za nim odkryły głęboki, ocieniony basen. Tam było jeszcze chłodniej, a w powietrzu unosiły się zimne kropelki wody. Dziewczęta zabawiły tu przez chwilę, dopóki nie poczuły, że dostatecznie się ochłodziły, po czym znowu wypłynęły w jaśniejszy, upstrzony plamami światła cień pod drzewami.

Po raz pierwszy od wejścia w dżunglę Isobel czuła się odświeżona. Rozejrzała się dookoła. Poza nią i Kit nie było nikogo, wszyscy mężczyźni byli zajęci gdzie indziej. Przymknęła oczy i unosiła się na wodzie, pozwalając, aby piana z wodospadu tańczyła na jej nagiej skórze.

Nie wiedziała, ile czasu leży tak w ciszy.

Wreszcie Kit powiedziała:

– Ja wychodzę. Ale ty zostań jeszcze, jeśli chcesz.

Isobel uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– Poleżę tu jeszcze kilka minut. Na pewno znajdę drogę powrotną.

Usłyszała, jak Kit się ubiera, a potem szelest liści i stłumiony dźwięk kroków, kiedy odchodziła w las.

Isobel unosiła się w kojącym chłodzie, czując na skórze łagodne promienie słońca.

Nagle na wodzie pojawiły się fale. Otworzyła oczy.

Twarde dłonie chwyciły ją w pasie. Natychmiast rozpoznała ten dotyk.

Nabrała powietrza i kopnęła...

Royd wciągnął ją pod wodę.

Obrócił ją twarzą do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

Isobel przestała się szarpać.

Po kilku sekundach wynurzyli się na powierzchnię i odetchnęli głęboko.

Isobel odgarnęła włosy z twarzy i zamrugała.

Royd uśmiechnął się szeroko. Obejmując ją w pasie, zaczął ciągnąć w kierunku wodospadu i widocznej za nim groty.

– Zawsze marzyłem o tym, aby być z syreną – mruknął.

– Z syreną?

Isobel błyskawicznie podźwignęła się na jego ramionach – akurat na tyle, by wepchnąć go pod wodę.

Kiedy się wynurzył i potrząsnął głową, żeby pozbyć się wody z oczu, obrzuciła go swoim najbardziej wyniosłym spojrzeniem i rzekła:

– Chyba masz na myśli Amazonkę. W końcu jesteśmy w dżungli.

Royd roześmiał się, objął ją za szyję i przyciągnął do siebie w namiętnym pocałunku. A potem ruszył pod wodospad.

***

Wrócili do obozowiska akurat na czas, żeby załapać się na późny obiad. Kit rzuciła Isobel porozumiewawcze spojrzenie, które ta ostentacyjnie zignorowała.

Kiedy zaspokoili głód, Royd zebrał wszystkich starszych stopniem oficerów, którzy wrócili już z dżungli, gdzie ich ekipy zajmowały się konstruowaniem żerdzi, i przedstawił im plan działania.

Isobel siedziała z boku i się przyglądała. Takiego Royda jeszcze nie widziała: był teraz dowódcą wiodącym ludzi do walki.

Walki, w której na szali leżało ich życie, a on poczuwał się do obowiązku je chronić. Na pierwszy rzut oka opracowany przez niego plan wydawał się ryzykowny, lecz w miarę jak Royd objaśniał, gdzie, jak i kiedy ma uderzyć każda grupa, Isobel zaczęła rozumieć, że każdy ruch jest doskonale przemyślany, a każdy ich człowiek zawsze będzie miał za plecami jakieś wsparcie.

Poza tym Royd słuchał uwag swoich kuzynów oraz innych oficerów i w kilku przypadkach zmienił rozkazy na podstawie ich opinii.

Wraz z Liamem i Lachlanem ustalili, co robić, gdyby coś się nie udało.

Wreszcie Royd wstał i pozwolił im się rozejść. Wszyscy zasalutowali i wrócili do przygotowań w dżungli.

Isobel podniosła się i otrzepała spodnie.

Royd zwrócił się do niej. U wylotu ścieżki wiodącej do skalnej półki czekało już na niego dwóch mężczyzn.

– Idziemy zmienić obserwatorów – powiedział.

– Pójdę z wami – zaproponowała.

Wszystko na terenie kopalni wydawało się toczyć tak jak w poprzednich dniach, nie licząc obecności Rossa-Courtneya i Neilla, którzy paradowali po całym obozie, zaglądając to tu, to tam, podczas gdy Satterly i Muldoon dreptali za nimi z niejakim podenerwowaniem. W którymś momencie z baraku najemników wyłonił się Winton

i podszedł do wejścia kopalni. Zajrzał do środka, lecz nie wszedł dalej. Zauważywszy Rossa-Courtneya i Neilla w pobliżu chaty, gdzie pracowały kobiety, obrócił się na pięcie i wrócił do baraku.

– Ten na pewno wolałby znajdować się teraz gdzie indziej – mruknął Royd.

Isobel pokiwała głową i zaczęła się zastanawiać, dlaczego Winton przyglądał się tak kopalni.

Ross-Courtney wszedł po stopniach do chaty, gdzie czyszczono kamienie. Muldoon powiedział coś, jakby próbując odwrócić jego uwagę, lecz tamten tylko machnął wyniośle ręką i zniknął w środku. Neill podążył za nim. Satterly i Muldoon spojrzeli na siebie i ruszyli w ich ślady.

Mijały minuty. Wreszcie Isobel poruszyła się i spytała:

– Ile oni już tam siedzą?

Royd popatrzył na niebo.

– Co najmniej pół godziny. Ale na miejscu Rossa-Courtneya chciałbym obejrzeć kamienie, które wydobywa się w kopalni. Caleb mówił, że są wśród nich rzadkie błękitne diamenty. Podejrzewam, że twoja kuzynka i inne kobiety korzystają właśnie z okazji, żeby podsycić chciwość Rossa-Courtneya i Neilla na tyle, żeby nie przyszło im do głowy zamknąć kopalni.

Isobel nie odrywała oczu od chaty. Wreszcie drzwi się otworzyły i wyszła Katherine oraz dwie inne kobiety, a za nimi wszyscy mężczyźni. Ruszyli prosto do wiaty, pod którą kilka dziewcząt sortowało kruszec.

Katherine zawołała do nich, a one natychmiast wstały i odsunęły się na bok, żeby mogła pokazać coś obu jegomościom.

– Pewnie demonstruje, czym się zajmują – powiedział Royd.

– Na to wygląda.

Neill i Satterly słuchali uważnie. Muldoon wszystko to już wiedział. Lecz Ross-Courtney... Patrzył w bok, nie zwracając uwagi na prezentację.

Isobel podążyła za jego spojrzeniem i zesztywniała.

– Co takiego? – spytał Royd.

– Nie podoba mi się, jak patrzy na tę dziewczynę. Tę jasnowłosą – oznajmiła Isobel.

Po chwili szturchnęła go łokciem.

– Patrz na Neilla. On też to zauważył.

Nawet z tej odległości widać było pogardę na twarzy niższego mężczyzny.

Katherine wyszła spod wiaty i stanęła między Rossem-
-Courtneyem a dziewczyną, tłumacząc coś z nadmiernym ożywieniem. Na pewno próbowała odwrócić uwagę lorda.

Uśmiechając się odrażająco, Ross-Courtney pozwolił się zaprowadzić z powrotem do chaty.

Isobel odetchnęła z ulgą.

– Wieczorem przystępujemy do akcji – przypomniał Royd, patrząc na nią z ukosa.

– I dobrze. – Cała grupka weszła już do środka. Idąca na końcu Katherine obejrzała się niespokojnie na pracujące

pod wiatą dziewczęta. – Jeśli ten drań dotknie którejś z nich choćby palcem, urwę mu jaja.

Royd wiedział, że Isobel nie żartuje. Naprawdę było ją na to stać.

Przez kolejne pół godziny nie wydarzyło się nic godnego odnotowania, lecz w miarę jak słońce znikało za horyzontem, napięcie wzrastało. Wszyscy wiedzieli, że zbliża się pora ataku, a kończą przygotowania. Co jakiś czas poszczególni oficerowie pojawiali się na skale, aby donieść o postępach prac lub omówić jakiś szczegół.

Wreszcie dało się zauważyć poruszenie, które zwiastowało przybycie Declana, Edwiny, Roberta i Eileen. Royd posłał pozostałych dwóch obserwatorów na przerwę, żeby zrobić na skalnym występie miejsce dla swoich braci oraz ich pań.

– Macie niezły czas.

– Opuściliśmy kolonię wczoraj rano. Wczesnym popołudniem dotarliśmy do obozowiska Kale’a – wyjaśnił Robert. – Rozbiliśmy obóz w dżungli i dziś rano znowu wyruszyliśmy o świcie.

– Wczesnym rankiem łatwiej się idzie – powiedziała z uśmiechem Aileen. – No i chcieliśmy przybyć na tyle wcześnie, żeby móc się rozeznać przed wkroczeniem do akcji.

Royd nie odpowiedział. Liczył na to, że braciom uda się przekonać Aileen i Edwinę, żeby pozostały we Freetown. Nadzieja ta okazała się próżna, lecz na szczęście przygotował się na taką ewentualność: panie mogły pomóc

Isobel przy ewakuacji kobiet i dzieci. Czuwając w okolicy jeziora nad ich bezpieczeństwem, same też znajdą się dalej od zagrożenia.

– Przy okazji – wtrącił Robert – jest z nami Babington. Czeka z naszymi ludźmi.

– Tego się spodziewałem.

Dla Babingtona Royd też miał już wyznaczone zadanie.

– Gdybyśmy chcieli go powstrzymać, musielibyśmy go związać – parsknął Robert.

– Słyszeliśmy, że Caleb i jego ludzie dali się złapać – rzekł Declan z dezaprobatą.

– To prawda – odparł spokojnie Royd. – Udało mu się doprowadzić do schwytania, nie tracąc przy tym ani jednego człowieka, a to z kolei pozwoliło nam pokonać największą przeszkodę w skutecznym uratowaniu wszystkich więźniów.

Robert zrozumiał jako pierwszy.

– Innymi słowy w tej chwili mamy wewnątrz obozu dość ludzi z doświadczeniem w walce, aby nie dopuścić do tego, żeby najemnicy wzięli zakładników.

– Właśnie – potwierdził Royd. – Inaczej bylibyśmy zmuszeni pogodzić się ze stratą co najmniej kilku więźniów, więc bardzo się cieszę, że Caleb zdołał wejść do obozu.

Declan prychnął.

– Znając go, nie było to zaplanowane działanie, ale zawsze potrafi obrócić sytuację na swoją korzyść. – Po sekundzie zapytał: – Więc jakie są twoje rozkazy?

Royd streścił im plan. Bracia słuchali, nie przerywając. Również Edwina i Aileen przysłuchiwały się uważnie. Wydawały się zadowolone, że Royd uwzględnił je w działaniach.

– Nie widzę żadnych luk – powiedział Declan i dodał, zwracając się do Isobel: – Możliwość przedarcia się przez palisadę da nam przewagę. Najemnicy nie będą się tego spodziewali.

– Musimy przekazać plany naszym załogom – oznajmił Robert. – Zatrzymaliśmy się przy drodze wiodącej z obozu Kale'a. Jak zaawansowane są wasze przygotowania? Kiedy mamy przyprowadzić naszych ludzi?

Royd popatrzył na słońce; było już dość późne popołudnie.

– Nasze ekipy powinny być już prawie gotowe do ustawienia żerdzi na pozycjach. Przekażcie plany swoim ludziom i przyprowadźcie ich do naszego obozu, a potem pomożecie nam w pracy. Chcę, żeby wszyscy byli gotowi, zanim zapadnie zmrok.

Obaj bracia wstali.

Declan popatrzył na Edwinę, która nadal siedziała na skale.

– Idziesz?

– Pomyślałam, że Isobel mogłaby pokazać Eileen i mnie to jezioro. Jeśli mamy tam zaprowadzić kobiety i dzieci, to byłoby dobrze, gdybyśmy zapoznały się z terenem.

Royd wzruszył ramionami.

– Niezły pomysł. Okolica jest bezpieczna, najemnicy nigdy tam nie chodzą, nie licząc porannej wyprawy po wodę.

– Chętnie pokażę wam drogę – rzekła energicznie Isobel. – A potem wrócimy we trzy do naszego obozu.

Royd spojrzał na Roberta i Declana.

– Po drodze przyślijcie tu dwóch ludzi, żeby nas zmienili. Kiedy zejdę z posterunku, pójdę nad jezioro i przyprowadzę stamtąd nasze panie. Isobel ma rację: nie ma sensu, żeby Edwina i Aileen wracały taki szmat drogi do miejsca, gdzie się zatrzymaliście.

Declan pokiwał głową.

– Zobaczymy się więc w waszym obozie.

Odwrócił się i zszedł z występu. Robert podążył za nim. Trzy kobiety również wstały i zeszły na ścieżkę.

Po drodze przystanęły, żeby przepuścić jedną z ekip, która ciągnęła wielki okorowany i wypolerowany pień.

– Ach, teraz rozumiem – rzekła Edwina, przyjrzawszy się linom i bloczkom niesionym przez kilku mężczyzn.

– Bardzo sprytnie – zgodziła się Aileen. – Dubois na pewno nie będzie się tego spodziewał.

– Nasza główna przewaga to zaskoczenie – przyznała Isobel. – Chodźmy. Mam wam sporo do opowiedzenia.

Kiedy doszły do jeziora, pokazała im pomost i przygotowane już uzbrojenie.

– No dobrze, więc kobiety i dzieci mają schronić się tam za pomostem, a grupa mężczyzn będzie ich bronić – powiedziała Aileen. – Więc jaki tu pożytek z nas?

– Dokładnie o tym samym pomyślałam – zgodziła się Edwina, przyglądając się jeziorku. – Czy da się tu wykąpać?

– Kit i ja już to zrobiłyśmy – stwierdziła z uśmiechem Isobel.

Oczy Aileen rozbłysły.

– Po podróży wiele bym dała, żeby poczuć na skórze wodę.

– Z tamtej strony jest maleńka osłonięta zatoczka. – Isobel wskazała wodospad. – I dojście do wody jest lepsze.

Poprowadziła je skrajem jeziorka.

Rozbierając się, Aileen zauważyła:

– Oto kolejna przewaga spodni nad suknią: łatwiej je zdjąć i założyć.

Isobel przysiadła na płaskim głazie. Kiedy tamte wsunęły się do wody i przebrzmiały ich pierwsze okrzyki zachwytu, rzekła:

– Moje zadanie to przeciąć ostatnie wiązania i otworzyć przejście na tyłach baraku kobiet.

Edwina pokiwała głową.

– Będziemy tuż za tobą, żeby zaprowadzić je do jeziora.

– Ale kiedy już wydostaną się za palisadę i znajdą pod osłoną naszych uzbrojonych ludzi...

– No właśnie – dokończyła Isobel. – Więc jaki mamy plan?

***

Dzień dłużył się Calebowi niemiłosiernie. Młodzieniec podejrzewał, że reszcie więźniów także.

Wreszcie nadszedł czas na wieczorny posiłek.

Caleb zauważył, że mężczyźni, którzy pozorowali ciężką pracę w kopalni, przed wyjściem na zewnątrz przystają na chwilę przed skalną ścianą, jakby z myślą o tym, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – a nawet jeśli próba ratunku zawiedzie – nigdy już jej nie zobaczą.

Ci, którzy zajmowali się wygarnianiem skutej skały spod nóg innych, odłożyli swoje narzędzia na stertę łopat i czekanów. Dixon specjalnie wyznaczył na nie miejsce przy wyjściu z kopalni. Tuż pod ręką.

Co więcej, wszyscy nosili teraz młotki i dłuta przy sobie – kiedy narzędzia kobiet się stępiły, Dubois ogłosił, że teraz każdy sam ma się troszczyć o swój sprzęt, więc nie mogło to wzbudzić niczyich podejrzeń.

Caleb po raz ostatni wyszedł spod skalnego nawisu, rozejrzał się i podszedł do Phillipe’a, po czym wolno skierowali się do kuchni po kolację.

Wydali już swoim ludziom rozkazy. Kiedy zacznie się akcja sabotażowa i najemnicy skierują się gdzie indziej, oni zajmą pozycje przed barakiem kobiet. Dopóki Royd z pozostałymi nie wedrą się do obozu i nie zaopatrzą ich w prawdziwą broń, więźniowie będą musieli zdać się wyłącznie na dłuta, młotki i doświadczenie.

Kobiety i dzieci zebrały się już przy ognisku. Przechodząc obok, Caleb usłyszał, jak Annie upomina jednego z chłopców, żeby nie upuścił jedzenia.

Wszyscy w napięciu czekali na rozpoczęcie akcji.

Przy śniadaniu Caleb wytłumaczył jeńcom, jak wygląda plan i co mają robić, podkreślając też, jak ważne jest, aby

trzymali się dokładnie scenariusza. Ze swojej strony zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby zapewnić jak najsprawniejszy przebieg ewakuacji.

Posuwając się wolno w kolejce do kuchni, ukradkiem spojrzał na ganek baraku najemników.

– Jest Satterly, Muldoon, Ross-Courtney i Neill – mruknął. – Siedzą wygodnie i piją brandy czy inną whisky.

– Mam nadzieję, że im smakuje, bo jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, więcej jej nie pokosztują – prychnął cicho Phillipe.

Caleb całkowicie się z nim zgadzał.

– Dubois, Arsene, Cripps i Winton siedzą pewnie w środku.

– Omijają naszych dżentelmenów i ich sługusów szerokim łukiem.

– Nawet łajdacy mają swoje standardy.

Phillipe parsknął śmiechem i natychmiast go stłumił.

– Strażnicy z wieży przeszli pod bramę – zauważył Caleb. – Wątpię, czy to coś zmieni. I tak odbiegną, kiedy zacznie się sabotaż.

Naburmuszony kucharz wręczył im blaszane talerze. Leżało na nich po kawałku czerstwego chleba, twardego sera i kilka pasków suszonego mięsa. Wzięli jedzenie i wrócili do ogniska.

Caleb usiadł obok Kate i uśmiechnął się do niej. Wszyscy jedli w milczeniu.

Zmrok zapadł szybko, jak zwykle w tych stronach. Obóz spowiła ciemność. Jeden z mężczyzn dorzucił do ogniska.

Caleb odstawił pusty talerz i rozejrzał się po twarzach oświetlonych migotliwymi płomieniami. Wszyscy byli spięci. Wszyscy też znali swoje zadania i zdecydowani byli je wypełnić. Popatrzył na Annie, Gemmę, Ellen i Mary – wiedział, że może polegać na nich oraz na Harriet i Kate, by dzieci były gotowe do ewakuacji z obozu.

I jemu, i pozostałym mężczyznom ulżyło, kiedy się dowiedzieli, że kobiety znajdą się daleko od terenu walk.

Jego wzrok zatrzymał się na czterech najstarszych chłopcach, którzy szeptali coś do siebie z ożywieniem. Nie był pewien, czy odegrają swoje role, ale razem z Hillsythe'em zrobili wszystko, żeby ich przekonać, że najbardziej pomogą, zostając w baraku mężczyzn i czekając, aż ktoś po nich przyjdzie. Zwykle sypiali z dorosłymi, więc gdyby teraz nagle przeszli do baraku kobiet i młodszych dzieci, mogłoby to zaniepokoić Dubois lub jego oficerów.

– Nie mogę usiedzieć w miejscu, wiedząc, że po tych wszystkich tygodniach za kilka godzin ruszymy wreszcie do akcji – mruknął siedzący obok niego Phillipe. – Muszę się poruszać.

Caleb doskonale go rozumiał. Sam nie mógł znieść narastającego napięcia.

Hillsythe wbił spojrzenie w ziemię.

– Te ostatnie godziny zawsze są najgorsze... A jeśli coś ma się nie udać, to właśnie teraz.

Ugryź się w język, pomyślał Caleb.

– Musimy zachować spokój. Jak dotąd daliśmy radę. Wystarczy, że krok po kroku wykonamy plan.

Phillipe parsknął cicho.

– Mówisz, jakbyś nie wiedział, że to nigdy nie jest takie proste.

Caleb zignorował jego słowa. Odwrócił się do Kate i uśmiechnął uspokajająco.

– Czy to nie pora, żeby dzieci wróciły do baraku?

Ścisnęła go za ramię.

– Jeszcze nie. Cierpliwości. I tak trudno będzie je przekonać, żeby nie zaczęły się wiercić i rozglądać, gdy będziemy je tam zabierać. – Popatrzyła na Dixona. – John powie Harriet, kiedy nadejdzie czas.

Ustalili, że dzieci mają wrócić do baraku pół godziny wcześniej niż zwykle, aby mieć pewność, że będą gotowe na ewakuację. Caleb miał nadzieję, że pomysł Royda z otwarciem przejścia na tyłach baraku kobiet się uda.

– U ciebie wszystko gotowe? – spytał, odwracając się do Phillipe’a.

Phillipe obmyślił akcję sabotażową do spółki z Hillsythe’em i Dixonem. On i jego ludzie, jako najbardziej doświadczeni w eksplozjach, byli odpowiedzialni za jej realizację.

– Sprawdziliśmy wszystko dziś rano. Jesteśmy gotowi do działania.

– A kogo wyznaczyłeś do odpalenia ładunku?

– Siebie. Jeśli coś stanie mi na przeszkodzie, zrobi to Ducasse, a gdyby i on nie mógł, Quilley. W każdym razie

jeden z nas. Nie musisz się o to martwić.

– Doskonale. – Caleb bardzo się cieszył, że tak wcześnie pomyśleli o sabotażu i zaczęli układać plany. Przygotowanie wszystkiego zajęło kilka tygodni wytężonej pracy – nie dlatego, że zadanie samo w sobie było trudne, ale po prostu bali się wykrycia. – Declan i Robert na pewno dołączyli już do Royda. Wszystko jest na najlepszej drodze.

Popatrzył na Kate, a kiedy uniosła głowę, zmusił się do uśmiechu.

Wszystko będzie dobrze.

Jakby czytając mu w oczach, Kate poklepała go po ramieniu i ścisnęła za rękę.

– Harriet właśnie dała sygnał. Pora na nas. Powodzenia. Zobaczymy się później.

Caleb nie był w stanie się uśmiechnąć. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i mocno uścisnąć.

Kate odsunęła się i wstała, żegnając się z mężczyznami krótkim ruchem dłoni, po czym wraz z pozostałymi kobietami zaczęła zaganiać dzieci do baraku.

Hillsythe rzucił czterem starszym chłopcom stanowcze spojrzenie i oni również niechętnie się podnieśli, po czym z ociąganiem ruszyli do baraku mężczyzn.

W Calebie narastało napięcie. Był przekonany, że pozostali czują to samo.

Siedział, udając, że nic się nie dzieje, i patrzył, jak Kate z pomocą najstarszej dziewczynki, Tilly, zagania resztę dzieci do baraku.

– Akcja ratunkowa została oficjalnie rozpoczęta – szepnął do siebie.

Jedenaście

Kate ruszyła z Tilly do baraku w ślad za ostatnimi dziećmi. Maluchy były bardziej ożywione niż zwykle w porze snu, ale Dubois, Arsene'a i Crippsa nie było na ganku, a pozostali czterej mężczyźni – Satterly, Muldoon i dwaj nowo przybyli – nie dopatrzą się w tym niczego podejrzanego.

– Hej, ty tam! Dziewczyno!

Tilly zamarła.

O nie. Kate rozpoznała głos Rossa-Courtneya. Odwróciła się w stronę ganku.

Zszedł po stopniach, nie odrywając wzroku od Tilly. Jego uśmiech był dobrotliwy, lecz w oczach czaiło się zło.

Zdawał się zupełnie nie dostrzegać Kate.

Im bardziej się zbliżał, tym wyraźniej przypominał lubieżnego satyra.

Tilly zaczęła drżeć.

Ross-Courtney zatrzymał się przed nią.

Z twarzy dziewczyny odpłynęła cała krew, biedaczka gotowa była zemdleć.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Moja droga, będziesz mi potrzebna na kilka godzin.

Tilly drżała tak mocno, że nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Kate nie wiedziała, co robić. Przecież za niecałą godzinę będą wolni! Muszą zachować spokój, nie mogą wzbudzać podejrzeń Dubois, ale do tego czasu Tilly może spotkać nieodwracalna krzywda.

– Wydaje mi się... – oczy Rossa-Courtneya rozbłysły jeszcze bardziej drapieżnie, jakby przerażenie Tilly tylko go podniecało – że doskonale się nadasz.

Zanim Kate zdążyła cokolwiek powiedzieć, jego ręka zacisnęła się na łokciu dziewczyny.

– No chodź tu...

– Nie! – Tilly szarpnęła się, na próżno usiłując się wyrwać.

Wstrząśnięta Kate popatrzyła na siedzących na ganku mężczyzn. Byli najbliżej, wszystko widzieli i słyszeli, ale choć wydawali się zniesmaczeni, żaden nie zamierzał nawet ruszyć palcem.

– Puść mnie! – wrzasnęła Tilly.

Kate podniosła wzrok na Rossa-Courtneya i zobaczyła, jak z jego twarzy opada maska.

Szarpnął dziewczynę i warknął:

– Aha, więc lubisz na ostro, co? Mnie to odpowiada...

Kate rzuciła się na niego.

– Puszczaj ją, bydlaku!

Mężczyzna pociągnął Tilly w bok i gwałtownie uderzył Kate.

– Zapominasz się, kobieto!

Kate zatoczyła się i upadła.

Obok niej przemknął jakiś cień.

Zamrugała, unosząc dłoń do policzka... i nagle ujrzała Rossa-Courtneya wyciągniętego na ziemi jak długi, a nad nim stał z zaciśniętymi pięściami Caleb.

– *Arrêté!* Nie ruszać się!

Krzyk dobiegł z ganku. Oszołomiona Kate ujrzała Dubois, który zbiegał po stopniach. Za nim podążali Arsene i Cripps. Wszyscy byli uzbrojeni.

Obok niej Tilly zanosiła się rozdzierającym płaczem, z trudem łapiąc powietrze.

Lascelle i Hillsythe pomogli Kate się podnieść.

– Przytrzymać go – powiedział Dubois, wskazując Caleba.

Arsene i Cripps odciągnęli młodzieńca do tyłu, a on pozwolił na to bez walki.

Popatrzył przez ramię na Kate, a potem przeniósł spojrzenie na Lascelle’a.

– Idźcie. Ale już! – rozkazał stanowczo.

Lascelle skinął głową z ponurą miną.

– Chodźmy – szepnął do Kate.

Objęła roztrzęsioną, łkającą Tilly i razem z Lascelle’em poszli do baraku kobiet.

Na ganku czekały Harriet i Gemma, obie tak samo blade i wstrząśnięte jak ona. Gemma wprowadziła Tilly do środka, lecz Kate odwróciła się z powrotem.

Lascelle zastąpił jej drogę.

– Nie. – Spojrzenie jego ciemnych oczu było nieugięte. – Słyszałaś, co powiedział. Jeśli chcesz go ocalić, zostań tutaj i daj mi wykonać moje zadanie. Jeśli ci na nim zależy, nie będziesz mnie zatrzymywać.

„Idźcie”. Caleb wyraźnie kazał Lascelle’owi ruszać do akcji.

Kate pokiwała głową.

– Masz rację. Tylko się spiesz.

– Tak zamierzam. – Lascelle obejrzał się na najemników, po czym szybko potoczył wzrokiem dookoła.

Uwagę wszystkich – łącznie ze strażnikami – przyciągał rozgrywający się dramat.

Lascelle rozpłynął się w mroku za barakiem kobiet.

***

Caleb, przytrzymywany przez Arsene’a i Crippsa, wiedział, że nie ma co się szarpać. Musiał pozwolić, żeby sprawy same się toczyły. Nie było innego wyboru.

Satterly i Muldoon – co za tchórze! – zeszli z ganku w ślad za Dubois i jego oficerami. Przykucnęli po obu stronach Rossa-

-Courtneya i kiedy zaczął dochodzić do siebie, pomogli mu usiąść.

Caleb patrzył na cieknącą z lordowskiego nosa krew z poczuciem mściwej satysfakcji.

Mężczyzna otarł twarz rękawem. Popatrzył na zaplamiony materiał, a potem podniósł głowę i spojrzał na Caleba. W jego oczach płonęła nienawiść.

Caleb odpowiedział tym samym.

– I ty się uważasz za mężczyznę – rzucił z pogardą.

Ross-Courtney podniósł się z wysiłkiem i rzucił ku Dubois, sięgając po jego pistolet.

Francuz odepchnął go bez ceregieli.

– Precz mi, ty... – Z trudem powstrzymał się przed dorzuceniem epitetu.

Nie odrywając wzroku od Caleba, Ross-Courtney zażądał:

– Daj mi swój pistolet. Zastrzelę kundla na miejscu.

Dubois popatrzył na lorda. Przez krótką chwilę Caleb łudził się, że do niego strzeli – wszak Ross-Courtney popełnił niewybaczalną zbrodnię. Złamał rozkazy Francuza. Zniszczył strategię, która pozwalała mu kontrolować więźniów. Skuteczna i prosta metoda, utrzymująca wszystkich robotników w ryzach, stała się bezużyteczna.

Dubois będzie pragnął się zemścić.

Mimo to kiedy najemnik wolno odwrócił się w stronę Caleba, młodzieniec pojął, że to nie Ross-Courtney zapłaci za ten incydent.

Tylko on.

Z oczu Dubois wyzierało coś potwornego.

Arsene, który pomagał unieruchomić więźnia, poruszył się niepewnie. Widział to samo co Caleb i wolałby znaleźć się nieco dalej.

Usta Dubois wygięły się w uśmiechu.

– Mam lepszy pomysł – powiedział cicho, niemal spokojnie. – Może pan się przyglądać.

Ross-Courtney zmarszczył brwi, lecz nawet jemu instynkt samozachowawczy podpowiadał, żeby nie wchodzić Francuzowi w drogę.

– Zawsze wiedziałem, że będą z tobą kłopoty – rzekł z namysłem Dubois, patrząc na Caleba. Odsunął się

i machnął w kierunku baraku stojącego najbliżej kopalni. – Podwiesić mi go z ostatniego filaru ganku.

Caleb rozważał przez chwilę, czy nie utrudnić Arsene’owi i Crippsowi wykonania rozkazu, lecz w każdej chwili mogła się rozpocząć akcja ratunkowa, a wtedy będzie musiał być w pełni sił, dlatego jedynie zapierał się tak, że tamci musieli go ciągnąć.

Wreszcie przycisnęli go plecami do filaru. Jeden ze strażników przyniósł sznur. Arsene przytrzymał ręce Caleba, a Cripps związał je w nadgarstkach. Potem przerzucił linę przez krokiew i napiął, tak że ramiona Caleba znalazły się w górze, a on sam musiał stanąć na palcach i oprzeć się piętami o podstawę filaru, żeby nie zawisnąć na rękach. Nie mógł się ruszyć.

Dubois zniknął w baraku. Muldoon i Satterly pozostali przy schodach. Ross-Courtney wpatrywał się zajadle w Caleba. Neill zaś przez cały ten czas nie ruszył się z ganku, popijał tylko drinka i obserwował wszystko w milczeniu.

Caleb widział swoich towarzyszy niedoli, którzy stali pomiędzy paleniskiem a barakiem kobiet.

Wreszcie pojawił się Dubois. On również zauważył więźniów, do których zbliżyło się akurat dwóch najemników, aby ich zapędzić z powrotem do baraku.

– Nie! – krzyknął. – Niech podejdą bliżej. Chcę, żeby wszyscy widzieli, co spotyka tych, którzy sprawiają kłopoty. – Popatrzył na Arsene’a. – Ściągnij z niego koszulę.

Arsene i Cripps szarpnęli za poły koszuli Caleba i zdarli ją, odsłaniając ramiona i piersi młodzieńca.

Wtedy właśnie Caleb zauważył wąski nóż do skórowania, którym Dubois kręcił z wielką wprawą.

Caleb napiął mięśnie i szarpnął za sznur.

Pospiesz się, Phillipe...

Dubois podszedł bliżej z dziwnym uśmiechem na twarzy, w jego oczach płonęła niemal euforia... Skryty w nim potwór wreszcie doszedł do głosu.

Caleb tylko dostarczył mu pretekstu.

Patrząc na nóż, młody kapitan poczuł, jak żołądek ściska się w nim ze strachu. Przypomniał sobie, że obdzieranie ze skóry to bardzo długotrwały proces.

Dubois przystanął z boku. Niemal czułym gestem przyłożył ostrze noża tuż pod prawym sutkiem Caleba.

I ciął.

Caleb zacisnął zęby i zdusił krzyk. Nie da mu tej satysfakcji... Ale długie ukośne cięcie piekło tak, że z trudem mógł to znieść.

Jednak musiał wytrzymać. Na pewno nie potrwa to długo.

Na pewno.

Zacisnął oczy i mimowolnie uniósł głowę, napinając mięśnie szyi, kiedy Dubois znowu ciął, tym razem przez całą lewą pierś.

Poczuł przejmujący ból i jego mięśnie zadrżały. Ile jeszcze...

– Pali się!

Krzyk dobiegł z wieży.

Dubois zamrugał i odwrócił się na pięcie.

– Gdzie?

– W baraku z zaopatrzeniem!

Wszyscy najemnicy, a także Satterly, Muldoon i Ross-Courtney ruszyli w tamtą stronę. Neill podniósł się i zszedł z ganku, żeby popatrzeć.

Próbując zapomnieć o przeszywającym bólu, Caleb wyciągnął szyję, lecz nie mógł dojrzeć samego baraku. Widział tylko unoszące się z niego kłęby dymu.

Nastąpiła seria eksplozji i ujrzał odbijające się w kuchennych rondlach płomienie.

Dubois zaklął i odwrócił się z powrotem do Caleba, który starał się na niego nie patrzeć, aby nie prowokować potwora czającego się we Francuzie.

– Ha! – prychnął Dubois, rzucając zakrwawiony nóż na ganek. – Co się odwlecze, to nie uciecze. Arsene! Cripps! *À moi!*

Rozpętało się piekło.

Więźniowie trzymali się z tyłu. Ci nieobeznani z walką przemknęli do wejścia do kopalni i uzbroili się w szpadle i czekany, które tam składowano. Ludzie Caleba i Lascelle’a zbili się tymczasem w grupę, zajmując pozycję między biegającymi w panice najemnikami a drzwiami baraku kobiet. W gęstniejącym dymie Calebowi wydawało się, że jakaś ciemna postać wysunęła się z mroku i dołączyła do reszty. To pewnie Phillipe. Teraz obie załogi miały przynajmniej jednego dowódcę.

Wszyscy znaleźli się na wyznaczonych pozycjach – z wyjątkiem samego Caleba. Zaklął, zgrzytnął zębami i spróbował poluzować więzy.

***

Na krzyk z terenu kopalni fragment palisady za chatą kobiet runął cicho na ziemię.

Isobel wkroczyła do obozu jako pierwsza, a Edwina i Aileen deptały jej po piętach. Uznały, że żeglarze oddelegowani do ewakuacji nie wzbudzą takiego zaufania kobiet i dzieci jak one, dlatego kazały im czekać i tylko kierować nad jezioro więźniów, których same będą wyprowadzały.

Pierwszą osobą, którą Isobel ujrzała po otworzeniu drzwi baraku, była Katherine.

Kuzynka spojrzała na nią przerażonym wzrokiem i wciągnęła ją do środka.

– Ten potwór ma Caleba! – krzyknęła. – Podciągnął go na linie i tnie nożem!

Isobel odsunęła ją na bok, żeby nie blokować przejścia Edwinie i Aileen. Kobiety minęły je i zaczęły wyprowadzać więźniów na zewnątrz.

Upewniwszy się, że wszystko idzie zgodnie z planem, Isobel ponownie odwróciła się do Katherine.

– Jest tu Royd. Uwolni Caleba. Zawsze wyciąga go z kłopotów. A my tymczasem musimy się trzymać planu.

To była jedyna rzecz, której ją nauczyły przygody z Roydem: wszystko zawsze szło lepiej, kiedy trzymali się

jego planu.

Spojrzała w oszalałe oczy Katherine.

– Uratujemy go, ale w tej chwili musimy zapewnić bezpieczeństwo dzieciom.

Katherine zamrugała, po czym odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

– Tak. Masz rację.

Maluchy były już gotowe do ucieczki i nie trzeba ich było zachęcać – chodziło raczej o zachowanie jako takiego porządku.

W trzy minuty chata opustoszała. Z więźniów pozostała tylko Katherine. Isobel wymieniła spojrzenia z Edwiną i Aileen.

– Nic nie widać przez ten dym... – powiedziała Katherine, podchodząc do drzwi.

Isobel zbliżyła się do niej, zaciskając usta. Edwina i Aileen dołączyły do nich.

***

Caleb klął i szarpał się pod filarem, próbując dosięgnąć krępujących go więzów, kiedy nagle zza pleców dotarł do niego odgłos kroków. Zamarł.

– Nie ruszaj się – usłyszał głos Royda.

Rozległo się mocne łupnięcie i Caleb opadł na pięty, a Royd zaczął przecinać więzy, które krępowały mu ręce.

Caleb rozmasował nadgarstki.

– Mocno cię pociął? – spytał Royd, patrząc na jego pierś.

– Nie na tyle, żeby mnie unieszkodliwić. Dopiero się rozkręcał.

– Dubois?

Caleb przytaknął.

– Hej... unik!

Caleb podniósł głowę, słysząc znajome ostrzeżenie – w samą porę, aby złapać sztylet rzucony przez Declana.

– W takim razie działamy dalej zgodnie z planem – polecił Royd i odbiegł w stronę rozpoczynającej się potyczki.

Caleb rozejrzał się dookoła. Na teren obozu wlewali się ludzie Frobisherów. Zsuwali się w trzech miejscach palisady po belkach wspartych na otaczających wzniesieniach. Mieli szpady w dłoniach i noże w zębach.

Potem pojawił się Robert na czele jednego oddziału. Pozdrowił Caleba i podał mu szpadę.

– Gdzie jest ta trójka z kolonii, Ross-Courtney i Neill?

– Tam. – Caleb skinął głową w stronę baraku. – Czekają na ciebie – dodał z uśmiechem.

Robert także się uśmiechnął.

– Dobrze się nimi zajmę. Są z nimi jacyś najemnicy?

– Nie wydaje mi się. Chyba wszyscy pobiegli do pożaru.

Robert wskoczył na stopnie baraku. Wyważył nogą drzwi i rzucił się do środka z załogą depczącą mu po piętach.

Rozległy się krzyki i wrzaski, ale nie było słychać strzałów.

Caleb sprawdził swoje obrażenia. Wciąż krwawiły, ale krew tylko się sączyła. Dubois nie zdążył się zabrać do odrywania skóry, więc nadal były to zwykłe cięcia, nic

więcej. Piekły, ale Caleb prawie tego nie czuł, zaaferowany panującym dokoła chaosem.

Declan poprowadził swoją załogę na odsiecz więźniom zgromadzonym pod barakiem kobiet. Rozdali im broń. Dalej zadanie więźniów polegało na dopilnowaniu, żeby żaden najemnik nie zdołał się przedrzeć i wziąć zakładników ani uciec przez wyrwę w palisadzie.

Ludzie Royda utworzyli kordon, który zaczął się zamykać wokół przeciwników, więżąc ich między barakami a płonącą komórką z zaopatrzeniem.

W gęstym dymie najemnicy nie zdążyli się jeszcze zorientować, że obóz został zaatakowany, a strażnicy z wieży zajęci byli ucieczką przed płomieniami, które zaczynały już lizać konstrukcję.

Po raz pierwszy podczas wspólnej walki u boku braci Caleb został mianowany dowódcą. Royd scedował na niego tę funkcję, ponieważ najmłodszy kapitan najlepiej znał i teren, i nieprzyjaciela.

Jego uwagę przyciągnął ruch przed barakiem szajki. Ludzie Roberta wyciągnęli na ganek Satterly’ego, Muldoona i Wintona, a w ślad za nimi też Neilla i Rossa-Courtneya. Nie cackali się. Pojmani mieli ręce związane za plecami, a ich włosy i odzienie były w nieładzie.

– Przetrzymamy ich przy stertach kruszcu, zgodnie z planem – powiedział Robert, zatrzymując się obok Caleba.

– Tylko miej oko na tyły baraków, na wypadek gdyby któryś z tych drani próbował się tamtędy wymknąć.

– Jasne.

Hillsythe, Dixon, Fanshawe i Hopkins zajęli pozycję przed kopalnią, gdzie strzegli słabiej uzbrojonych współwięźniów i hamowali ich zapędy do walki.

Nagle coś skrzypnęło... i duży fragment palisady przy bramie obozu legł na ziemi z głośnym hukiem. Zaraz potem w wyrwie pojawili się Lachlan i Kit na czele swoich ludzi.

Caleb wyszczerzył się i pomknął w ich stronę.

– Ty pilnuj bramy – rzucił do Kit. – I poślij kilku ludzi, żeby zablokowali przejście między barakami a stertami rudy. – Pokazał jej drogę. – Robert będzie miał oko na to miejsce, ale musi też pilnować jeńców, więc jeśli ktoś spróbuje się tamtędy przedostać, będzie mu potrzebne wsparcie.

– Załatwione! – rzekła Kit, salutując.

– A gdzie Royd? – spytał Lachlan, rozglądając się po obozie pełnym dymu.

– Tędy – powiedział Caleb, prowadząc go z szerokim uśmiechem na twarzy w sam środek walki.

***

Skryty w kłębach dymu Royd czekał ze swoimi ludźmi, aż najemnicy zdadzą sobie sprawę, że zostali zaatakowani.

Nie spodziewał się, że zajmie to tyle czasu, lecz nikt nie przypuszczał, że dym będzie aż tak gęsty. Ale w końcu byli prawie na równiku. Wszystko tu było wilgotne, więc i bardziej dymiło.

Jego ludzie przygotowali się na to i osłonili nosy oraz usta wilgotnymi chustkami, które ułatwiały też rozpoznanie, po

której są stronie.

Kiedy i wieża strażnicza stanęła w ogniu, zamęt w szeregach najemników stał się jeszcze większy. Nie mieli dość wody, więc chwycili jutowe worki z kuchni i próbowali nimi ugasić pożar. W końcu jednak zdali sobie sprawę, że to na nic. Dym był już wszędzie i zasłaniał widok na resztę obozu, a płomienie na wieży buchały coraz mocniej.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu zaledwie kilku minut od pierwszego okrzyku: „Pali się!”.

Kiedy runęła brama, Royd poczuł, jak zadrżała ziemia. Jeszcze chwila, a Dubois zorientuje się wreszcie...

Gdzieś z przodu rozległ się gniewny okrzyk. Sekundę potrwało, zanim Royd go zrozumiał. To Dubois lub jeden z jego oficerów rozkazywali swoim ludziom przynieść więcej wody.

Royd uśmiechnął się szeroko pod chustką i dał sygnał swojej załodze, aby powoli ruszyła naprzód.

Wreszcie po prawej stronie rozległ się odgłos pierwszej potyczki.

I zaczęło się. Stal uderzała o stal, walczący krzyczeli i ciskali przekleństwami, ścierając się w kłębach dymu.

Royd pragnął odnaleźć Dubois. Przywódca najemników musiał zginąć. Ludzie Frobisherów zajmowali się pozostałymi przeciwnikami, a on parł wciąż do przodu. Jego załoga, najbardziej doświadczona w boju, stanowiła główną siłę uderzeniową.

Lachlan i jego ludzie byli tuż za nimi i pilnowali, żeby nikt się nie prześlizgnął, Kit zaś trzymała ostatnią linię przy

bramie.

Wszyscy wiedzieli, że najemnicy będą walczyć do ostatka, nie dadzą się wziąć żywcem.

Lecz tamci zupełnie się nie spodziewali, że w kłębach dymu wpadną na dobrze uzbrojonych marynarzy, dlatego załoga Royda bez kłopotu się z nimi rozprawiała.

Chata z zaopatrzeniem cała stała już w ogniu. Royd słyszał jego buzowanie i wrzaski uwięzionych na wieży ludzi. Czuł narastające gorąco.

Zerwała się niespokojna bryza, która zaczęła podwiewać dym do góry. Royd zauważył Dubois dokładnie w tym momencie, gdy tamten wreszcie zdał sobie sprawę, że w obozie znajdują się nieznani mu uzbrojeni ludzie.

W sekundę ocenił powagę sytuacji, po czym rzucił się w stronę baraku kobiet.

Ogień płonął coraz mocniej, coraz jaśniejszym płomieniem. Dym rzedł.

Dubois ujrzał na swojej drodze ludzi Declana, Caleba i Lascelle’a, wyhamował więc i zmienił kierunek, rzucając się w największy wir walki. Wzniósł szpadę i ryknął, zagrzewając podwładnych do boju – lecz jego siły były już znacznie uszczuplone, a ci, którzy jeszcze żyli, znaleźli się w potrzasku.

Jego panowanie w obozie zbliżało się do końca.

Royd widział, jak to odkrycie powoli dociera do Dubois; jego twarz wykrzywiła wściekłość.

Ruszył w stronę Francuza.

Barak z zaopatrzeniem eksplodował, rzucając wszystkich na ziemię.

Royd zakasłał, upewnił się, że jest cały i zdrowy, i podniósł się na nogi.

Jego ludzie także szybko się pozbierali, żeby skorzystać z przewagi, ale i najemnikom nie brakowało doświadczenia. Od nowa zadźwięczały szpady i walka trwała dalej.

***

Robert przyglądał się swoim więźniom. Wszyscy byli nieco sterani, lecz trudno mu było wzbudzić w sobie współczucie.

Pilnował ich oddział jego najbardziej doświadczonych ludzi. Pojmani nie byliby w stanie nawet podnieść się z miejsca.

Ross-Courtney, wepchnięty wraz z pozostałymi między zwały rudy, wściekał się i szarpał bezskutecznie za więzy.

– Pożałujecie tego! Obiecuję wam!

Robert popatrzył na niego i odparł spokojnie:

– Nie powinno się składać obietnic, których nie można dotrzymać.

Siedzący obok arystokraty Neill miał mord w oczach. Wcześniej próbował przekupić Roberta... kiedy nagle, dziwnym zbiegiem okoliczności, potknął się i upadł. Teraz mógł się popisać kilkoma nowymi siniakami.

Pozostali trzej milczeli, patrząc czujnie i nieufnie. Nie zdoławszy przekonać strażników o swojej niewinności, nie sprawiali więcej kłopotów. Satterly gapił się intensywnie na

Roberta – pewnie zauważył jego podobieństwo do Declana, którego widział podczas jego pobytu z Edwiną we Freetown.

Robert zwrócił się do swojego sternika Millera.

– Miej na nich oko. I dopilnuj, żeby nikt ich nie ruszył. Niestety potrzebni nam są żywi... na razie – dodał, patrząc na jeńców z niesmakiem.

– Tak jest, kapitanie – rzekł Miller. – Dopilnujemy, aby włos im z głowy nie spadł.

Reszta ludzi Roberta stała ustawiona w kordon, którego jedno ramię osłaniało przejście z tyłu wiaty, gdzie czyszczono kruszec, a drugie blokowało drogę zza baraków. Dołączyło do nich kilku członków załogi Kit.

Przejście za barakami oświetlały teraz płomienie liżące wieżę strażniczą.

– Jak dotąd z tej strony nie nadszedł żaden najemnik, więc Royd i jego ludzie nieźle się chyba bawią – oznajmił Robert do swojej załogi. – Może się do nich przyłączymy?

Tamci ruszyli za nim z uśmiechem.

Kiedy okrążyli barak, od strony kopalni podbiegł do nich jakiś człowiek.

– Jestem Hillsythe – powiedział, unosząc rękę.

– A ja Robert Frobisher.

– Potrzebujecie gdzieś wsparcia? Nasi ludzie nie mają szpad, ale są uzbrojeni w czekany i łopaty... i mają rachunki do wyrównania.

Robert obejrzał się na bramę i pokazał ręką.

– Widzisz tę kobietę, o tam?

Hillsythe wytężył wzrok i zamrugał.

– Trudno byłoby jej nie zauważyć.

– To Kit Frobisher. Możecie wziąć swoich ludzi i dołączyć do niej. Najemnicy spróbują w końcu ucieczki. Powiedzcie, że ja was przysłałem.

Hillsythe zasalutował i ruszył z powrotem do kopalni.

Robert zaś poprowadził swoich ludzi prosto w rzednący dym, na tyły bitwy.

Po chwili znalazł się u boku Declana.

– Myślałem, że pilnujesz baraku kobiet – powiedział, rozprawiwszy się z jednym z najemników.

– Bo tak było. Ale jest tam Lascelle, a to w zupełności wystarczy. – Declan wyszczerzył zęby. – Nie chciałem przegapić całej zabawy.

Rzucił się na nich kolejny najemnik. Declan uniósł szpadę i wyszedł mu na spotkanie.

Robert odwrócił się i sparował czyjś cios. Gdzieś przed nimi byli Royd, Caleb i Lachlan. I Dubois. Robert odskoczył, zablokował niskie cięcie i walczył dalej.

***

Goniąc Dubois, Royd rzucił się w sam środek bitwy. Tchórz jednak go zauważył i ciągle cofał się za swoich ludzi, posyłając ich do walki.

Royd wcześniej przestrzegał, że przeciwnicy będą zdesperowani, gotowi walczyć do ostatka, i kazał wszystkim zachować najwyższą ostrożność. Przy takiej przewadze liczebnej nie było potrzeby, żeby ktokolwiek ryzykował

życie. Podejrzewał jednak, że jego ludziom trudno będzie zapanować nad gniewem i pragnieniem wymierzenia sprawiedliwości.

A dotyczyło to przede wszystkim Dubois.

Potyczka zaczynała się rwać – najemnicy zdali sobie sprawę, że nie wygrają i jedyna nadzieja w ucieczce. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy doszli do tego wniosku w tym samym momencie, bo nagle zaczęli się wycofywać.

Jakiś najemnik wpadł tyłem na Royda, ten odepchnął go w stronę kogoś innego i nagle przez ułamek sekundy zobaczył w świetle płomieni Isobel. Kiedy zamrugał, już jej nie było, lecz nie miał wątpliwości, że mu się nie przywidziało. Chciał pobiec za nią i sprawdzić, co tu jeszcze robi, lecz zaatakował go kolejny przeciwnik i trzeba było się skupić na walce. No i poza tym wciąż czekał Dubois, który w przeciwieństwie do swoich ludzi zdawał się kierować na tyły obozu. Czyżby znajdowało się tam jakieś ukryte wyjście? A może Dubois chciał dotrzeć do więźniów?

Royd zacisnął zęby i dalej parł w jego stronę. Na myśl, że Isobel kręci się tam, dokąd zmierza Dubois, przeszedł go zimny dreszcz.

Pozbywszy się wreszcie ostatniego przeciwnika, Royd odwrócił się na pięcie i pochwycił błysk złocistych włosów.

– Do kroćset! – zaklął.

To była Edwina. A za nią w mroku przemykała Aileen!

Royd wyprostował się i rozejrzał za Dubois.

Kilka kroków za sobą zauważył Caleba. On także zajęty był szukaniem przywódcy najemników.

Nagle dostrzegł, jak Francuz znika w chmurze dymu, która nadal spowijała barak z zaopatrzeniem.

Próbował się wymknąć.

Royd spojrzał na Caleba i gwizdnął.

***

Caleb usłyszał gwizd i rozejrzał się w poszukiwaniu brata.

Royd pokazał przed siebie i powiedział: „Dubois”. Francuz próbował się wymknąć.

Caleb kiwnął głową i popędził wzdłuż baraków.

Po drodze zobaczył Phillipe’a zwartego w walce z Arsene’em, co oznaczało, że Arsene już nie żyje. Ujrzał też uciekającego do bramy Crippsa, któremu zastąpił drogę Declan. Cripps także nie miał szans.

Z innymi najemnikami rozprawiały się już oddziały Royda. Pozostał tylko Dubois. Caleb okrążył barak przy kopalni, przepchnął się przez kordon ludzi Frobisherów i pobiegł dalej.

***

Royd odskoczył, kiedy Dubois nieoczekiwanie rzucił się na niego z cieni.

Francuz złożył się do finty, czekając na zadanie ciosu. Royd tylko dzięki refleksowi zdołał się zasłonić ostrzem.

Cofnął się, żeby zmusić Dubois do wyjścia z cienia i dymu.

Za jego plecami wieża strażnicza płonęła jasnym ogniem. Royd przesunął się w bok, żeby nie znaleźć się pod nią,

kiedy runie.

Dubois zamarł na sekundę, po czym z grymasem wściekłości rzucił się do zaciętego ataku.

Royd zablokował cios i wyprowadził kontrę, po czym zręcznie wykonał serię cięć, które zmusiły Dubois do przejścia od ataku do obrony. Gdy tylko jednak Royd się odsłaniał, Francuz znowu się na niego rzucał.

Był dobry. Ale Royd był lepszy.

I widział, że Dubois zaczyna zdawać sobie z tego sprawę.

Jak również z tego, że Royd tylko się z nim bawi.

Przywódca najemników odskoczył nagle tanecznym krokiem, cofając się w przejście między chatą z zaopatrzeniem a barakiem medycznym. Płomienie, które wciąż lizały budynek, oświetlały scenę plamami jaskrawego światła. Dubois przykucnął, ciężko dysząc. Rozejrzał się desperacko – na pewno miał nadzieję, że zjawi się jeden z jego ludzi i odwróci uwagę Royda.

Ten zaś uśmiechnął się i zaczął iść do przodu, kręcąc szpadą.

Dubois zerwał się i zaczął cofać, aż doszedł do pustej przestrzeni. Tam przystanął. Było to dobre miejsce na ostatnią walkę, lecz on nadal uciekał spojrzeniem w bok, w stronę niestrzeżonego przejścia na tyłach baraków.

Royd usłyszał kroki Caleba i młodszy brat wyszedł z cieni za barakami, zabijając w Dubois wszelką nadzieję na ucieczkę.

– Tu i teraz – oświadczył Royd. – Stąd nie ma wyjścia.

Caleb stanął u jego boku ze spojrzeniem utkwionym w Dubois. W tej jednej chwili Royd uświadomił sobie, jak bardzo jego młodszy brat dojrzał w ciągu ostatnich miesięcy.

– Ty czy ja? – spytał spokojnie.

– Sądzę, że ja – odparł zdecydowanie Caleb; nie odrywając wzroku od Dubois, pokazał ręką swoją pociętą pierś. – Bez cienia wątpliwości ja.

Royd usunął się bez słowa. Caleb może ustępował mu odrobinę pod względem umiejętności szermierczych, lecz z pewnością nie był niezdarą, nawet jeśli czasem pozwalał ludziom tak myśleć. Dubois chyba dał się na to nabrać, bo w jego oczach rozpalił się żywy błysk. Na pewno właśnie te pozory sprawiły, że Francuz wpuścił Caleba i Lascelle'a na teren obozu.

Caleb podszedł płynnym krokiem do Dubois, podczas gdy Royd stanął z boku, aby obserwować, czy nikt się nie zbliża. Widział, że Declan i Lachlan rozprawiają się już z niedobitkami przeciwników. Zobaczył też nadchodzącego Roberta. Wszystko szło więc zgodnie z planem.

Uspokojony Royd poświęcił się obserwowaniu toczącej się przed nim walki.

***

Zanim Caleb zbliżył się na odległość szpady, rozplanował już w głowie całe starcie. Przesunął się tak, aby mieć płonący barak za sobą, dzięki czemu dobrze widział Dubois, podczas gdy sam pozostawał dla niego tylko konturem.

Roześmiał się pogardliwie i odwrócił głowę, jakby chciał spojrzeć na Royda...

Dubois połknął przynętę i rzucił się do gorączkowego ataku.

Caleb zablokował cios, tak że obie klingi znalazły się w górze, i uśmiechnął się.

Dubois miał może więcej krzepy, lecz Caleb był młodszy i sprawniejszy. Gdy odsunął się płynnym ruchem i sam wyprowadził atak, stało się jasne, że ma też przewagę zasięgu.

Zadawał cięcie za cięciem, za każdym razem głębiej raniąc przeciwnika.

Dubois nie miał dokąd uciekać. Krew ciekła mu z licznych ran. W ostatniej rozpaczliwej próbie natarł na Caleba, lecz ten znowu zablokował jego klingę, po czym nagle wyprostował się i odrzucił Dubois w tył – a potem szerokim cięciem rozorał mu brzuch.

Rana była na tyle głęboka, że musiała się okazać śmiertelna – mogła to być jednak bardzo powolna śmierć.

Dubois wypuścił szpadę i ścisnął obiema rękami brzuch. Popatrzył na Caleba; na jego twarzy malowały się szok i niedowierzanie. Zatoczył się do tyłu i potknął o coś leżącego na ziemi.

***

Royd nie zwrócił dotąd uwagi na ciało martwego najemnika. Zanim w pełni zdał sobie sprawę, na co patrzy,

Dubois przetoczył się po ziemi, porwał pistolet trupa i poderwał się na nogi.

Royd zamarł, podobnie jak Caleb.

A także Robert i Declan, którzy wyłonili się z cieni po obu stronach.

Dubois wycelował obiema rękami w Caleba. Z wyraźnym trudem utrzymywał broń w dłoni. W nagłej ciszy rozległ się trzask odbezpieczanego kurka.

Royd podszedł i stanął kilka kroków od Caleba.

– To kogo wybierzesz? – spytał tonem pogawędki. – Jego czy mnie?

Dubois zamrugał i lufa pistoletu zadrżała. Tym razem mierzył w Royda.

– A może mnie? – Po drugiej stronie Caleba stanął nagle Robert.

Zaskoczony Dubois cofnął się, zamrugał kilkakrotnie. Był zlany potem.

– Albo choćby mnie. – Obok mężczyzn pojawił się Declan.

Teraz Dubois miał wybór między czterema podobnymi do siebie braćmi.

Zaczynał się coraz bardziej wahać. Celował to w jednego, to w drugiego Frobishera. Wreszcie z trudem wciągnął powietrze i znowu wycelował w Caleba.

– Ty – powiedział chrapliwie. – Ty ich tu sprowadziłeś. Ciebie wybieram.

– Odłóż broń, człowieku – poradził Robert. – To już koniec i dobrze o tym wiesz.

Dubois spróbował się uśmiechnąć, choć przyszło mu to z trudem.

– Może i tak, ale przynajmniej zabiorę jednego z was ze sobą – odparł.

– Na miłość boską, przecież to zupełny nonsens! – Słowa te zostały wypowiedziane z taką pogardą, na jaką stać tylko książęcą córkę.

Z cienia po lewej stronie Dubois, niczym postać wchodząca na teatralną scenę, wyszła Edwina.

Dubois poderwał się i lufa pistoletu podskoczyła w jej stronę.

Declan zaklął pod nosem.

Edwina zatrzymała się, oparła ręce na biodrach i zgromiła Dubois wzrokiem.

– Niech pan natychmiast odłoży ten pistolet!

Francuz wytrzeszczył oczy, lecz nie usłuchał.

– Dość tych wygłupów, ty potworze!

Wszyscy spojrzeli w drugą stronę, gdzie niespodziewanie zjawiła się Aileen Hopkins. Dubois wbił w nią wzrok.

– Co ci przyjdzie z tego, że kogoś zastrzelisz? Mógłbyś mieć dość przyzwoitości, żeby przynajmniej zginąć bez zamieszania.

Dubois gapił się na nią z otwartymi ustami.

Royd popatrzył na braci – wszyscy mieli tak samo ponure miny jak on. Co te pannice wyprawiają?

Wtedy z cienia wyłoniła się Katherine Fortescue. Dubois podskoczył i cofnął się o krok, żeby nadal mieć wszystkich na oku.

Katherine popatrzyła na niego zimno.

– Byle bydlę jest lepsze od ciebie. Świat będzie lepszym miejscem, kiedy zginiesz. Więc giń już. No dalej.

Dubois przez cały ten czas krwawił. Jego twarz była teraz biała jak kreda i wydawał się całkowicie skonsternowany.

W pewnej chwili jednak nabrał powietrza, zacisnął zęby i jeszcze raz wycelował lufę pistoletu w pierś Caleba.

– Na litość boską! – Za najemnikiem pojawił się nagle jakiś cień i Isobel trzasnęła Dubois w głowę żelazną patelnią.

Cios był potężny. Wszyscy usłyszeli odgłos pękającej czaszki.

Oczy Dubois uciekły do góry, dłoń z pistoletem opadła bezwładnie.

Isobel, szybka jak błyskawica, natychmiast wyjęła mu broń z ręki i znowu ją zabezpieczyła.

Dubois padł u jej stóp.

Royd rozejrzał się dookoła. Wszystkie panie uśmiechały się szeroko, wyraźnie gratulując sobie dobrze wykonanego zadania.

Wciągnął powietrze i poczuł, jak imadło ściskające mu piersi nagle puszcza. Jego bracia, uspokoiwszy się wreszcie, podeszli każdy do swojej towarzyszki.

Isobel spoglądała na leżącego Dubois z patelnią w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Przyglądała mu się niczym jakiemuś dziwnemu owadowi.

Royd podszedł do niej i się uśmiechnął.

– Dziękuję ci. – Wyciągnął rękę po pistolet.

Oddała mu go, po czym odparła spokojnie:

– Cała przyjemność po mojej stronie. Wszystkie uznałyśmy, że za długo się ociągacie z zakończeniem sprawy.

– Nie tylko Amazonka, ale w dodatku niecierpliwa Amazonka – mruknął Royd.

Isobel wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Bitwa była skończona. Odgłosy walki zastąpiły teraz dźwięki słabych kroków, jęków i cichych słów.

– Gdzie jest Ross-Courtney? – spytała Isobel, otrząsając się nagle. – Ślubowałam, że urwę mu jaja, jeśli dotknie tej dziewczyny, nie mówiąc już o Katherine.

Royd znał ją dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że nie była to metafora.

– Będziesz musiała zapanować nad swoim pragnieniem zemsty, przynajmniej dopóki Ross-Courtney i Neill nie podadzą nam nazwisk pozostałych sponsorów. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że i przetrzymywani tu ludzie, i my wszyscy pragnęlibyśmy, aby wszystkich winnych spotkała kara.

Isobel prychnęła, lecz nie zaprotestowała.

Zamiast tego wsunęła dłoń w jego rękę, a on uścisnął ją mocno i razem podążyli za resztą.

Dwanaście

Isobel wraz z Katherine poszły przyprowadzić z powrotem dzieci i położyć je do łóżek, Royd i Robert natomiast skierowali się do więźniów. Ross-Courtney zorientował się, że Royd jest tu głównodowodzącym, i natychmiast zaczął opowiadać, jak to on i Neill zostali porwani przez najemników, zapewne dla okupu, i pomimo świadectwa uprowadzonych do kopalni ludzi upierał się, że on sam, Neill oraz Satterly, a być może także Muldoon i Winton, są całkowicie niewinni.

– To my jesteśmy ofiarami! – stwierdził z patosem. Spojrzał gniewnie na Roberta, po czym zwrócił się wyniośle do Royda: – Mogę chyba wybaczyć pańskiemu bratu jego niepotrzebną brutalność. Bez wątpienia dał się ponieść bitewnemu szałowi.

Royd popatrzył na Roberta.

– Doprawdy nie przypominam sobie, kiedy ostatnio widziałem, abyś wpadł w bitewny szał.

Robert z namysłem uniósł brwi.

– Czy nie było to wtedy, gdy miałem dziewięć lat i urządziliśmy sobie tę bitwę w dokach z Dawesami?

Ross-Courtney spurpurowiał i szarpnął za więzy.

– Słuchajcie no! To absolutnie oburzające! Jestem Kawalerem Królewskiej Sypialni! Żądam, aby...

– No, no, lordzie Peterze – rzekła Edwina, przystając w drodze do baraku medycznego. – Bo jeszcze trafi pana apopleksja i nigdy już nie zobaczy pan Londynu.

Ross-Courtney wytrzeszczył na nią oczy, otworzył i zamknął usta, po czym z trudem wykrztusił:

– Lady Edwina?

Edwina uśmiechnęła się szeroko.

– Jak to miło, że mnie pan pamięta. Teraz nazywam się lady Edwina Frobisher. – Po czym dodała niewinnie: – Jeśli poda nam pan nazwiska pozostałych sponsorów, panowie kapitanowie z pewnością dadzą się przekonać, żeby zapewnić panu lepsze warunki.

Ross-Courtney zamrugał. Kiedy wreszcie przemówił po zbyt długim wahaniu, jego słowa nie zabrzmiały przekonująco.

– Jakich sponsorów? Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Jak pan woli – westchnęła Edwina, po czym rzuciła na odchodnym: – Ale jeśli wyobraża pan sobie, że jedyne zeznania w sprawie winy pana i pana towarzyszy będą pochodzić od przetrzymywanych tu więźniów, to zapewniam, że się pan myli.

Robert i Royd jeszcze kilkakrotnie próbowali na różne sposoby uzyskać jakieś informacje, lecz zarówno Ross-Courtney i Neill, jak i pozostali trzej uparcie milczeli – w każdym razie na temat, który interesował Frobisherów.

Wreszcie bracia zostawili całą piątkę pod opieką trzech ludzi Roberta, a sami poszli w stronę baraku szajki. Co prawda jego tylna ściana od strony wieży strażniczej zajęła

się ogniem, lecz nie było to nic poważnego i kilka wiader wody starczyło, żeby ugasić pożar. Royd posłał ludzi, żeby sprowadzili wszystkich dowódców – jego braci, kuzynów i oficerów statków, jak również tych, którzy przewodzili więźniom w kopalni. Musieli ustalić dalsze działania i podzielić się obowiązkami.

Siedząc na ganku i czekając na pozostałych, Royd układał listę rzeczy, które należało zrobić: zająć się rannymi, pogrzebać zmarłych, pozbierać broń, znowu zabezpieczyć obóz, poszukać w dokumentach Dubois dowodów świadczących o udziale piątki jeńców i innych sponsorów w niegodziwym przedsięwzięciu, przygotować się do ewakuacji na wybrzeże...

Wreszcie wszyscy wezwani się zgromadzili. Wśród nich była też Aileen ze swoim bratem Willem. Na jej twarzy widać było ogromną ulgę. Zanim Royd zdążył się odezwać, zobaczył Isobel i Katherine wraz z pozostałymi uwolnionymi kobietami oraz Babingtonem. Royd powierzył mu na czas bitwy opiekę nad wyzwoleńcami chroniącymi się nad jeziorem, co pozwoliło młodzieńcowi jak najszybciej spotkać się z ukochaną Mary. Teraz szedł z uśmiechem na twarzy, trzymając za rękę panienkę o pełnym słodyczy obliczu, która wyglądała tak, jakby właśnie ziściło się jej największe marzenie.

Isobel usiadła obok Royda.

– Dzieci są tak wyczerpane, że wszystkie śpią jak susły.

Usłyszeli lekkie kroki i u boku Declana stanęła Edwina.

– Chciałam posłuchać, co ustalicie, ale zaraz muszę wracać. Mamy do opatrzenia mnóstwo ran i trzeba założyć kilka szwów.

Royd nie spodziewał się, że Edwina podejmie się szycia ran, ale zapewne nie różniło się to zbytnio od zwykłej pracy z igłą, a nie wątpił, że bratowa ma do tego rękę.

– Pierwsza sprawa: czy mamy jakieś ofiary śmiertelne? – spytał.

– Dwie – odparł Caleb, który zdążył już okryć się znalezioną gdzieś koszulą. – Wśród nich jeden z pierwszych porwanych, członek marynarki, nazywał się Wattie Watson. Rzucił się na najemnika, który próbował wydostać się za bramę. Był uzbrojony tylko w szpadel.

– Czy temu najemnikowi udało się zbiec?

– Nie. – Tym razem odpowiedziała Kit.

– Kto jeszcze?

Caleb skrzywił się i odparł ze smutkiem:

– Jeden ze starszych chłopców, Simon. Cała czwórka nie usłuchała rozkazu, żeby pozostać w baraku, i rzuciła się do walki. Pozostali trzej mają trochę siniaków i rozcięć, nic poważnego. Ale Si dostał nożem w bok.

Royd pomyślał przez chwilę o tym młodym życiu, które tak niepotrzebnie zgasło.

– Mogło być o wiele gorzej – stwierdził w końcu.

Wszyscy pokiwali głowami – niechętnie, lecz wiedzieli, że to prawda.

– A czy wśród rannych mamy jakieś ciężkie przypadki?

Edwina pokręciła głową.

– Wszyscy się wyliżą. No, w każdym razie o ile starczy nam maści, ale chyba mamy jej spory zapas, więc damy radę. Lecz im szybciej przeniesiemy wszystkich do Freetown i zapewnimy lepsze warunki, tym lepiej.

– Na statkach mamy więcej sprzętu medycznego – przypomniał jej Declan.

– Druga sprawa – ciągnął Royd – trzeba zebrać ciała i pogrzebać zmarłych.

Hillsythe i Lascelle zgłosili się do nadzorowania tego zadania. Royd podejrzewał, że obaj mieli już do czynienia z tym nieprzyjemnym zajęciem, więc zgodził się chętnie i mężczyźni odeszli, żeby zebrać swoich ludzi.

Dalej poszło szybko. Fanshawe, Hopkins i Dixon wzięli na siebie zbieranie bezpańskiego uzbrojenia, podczas gdy Lachlan i Kit zgłosili się do pilnowania obozu.

Robert i Royd z pomocą Babingtona mieli się zająć przeglądaniem papierów Dubois, natomiast Declan i Gemma oraz Harriet zasugerowali, że wraz z załogą Declana doprowadzą do porządku kuchnię i przejrzą zapasy, aby sprawdzić, co da się wykorzystać na śniadanie i drogę powrotną przez dżunglę.

Wreszcie wszyscy się rozeszli.

Robert wskazał drzwi baraku.

– Bierzemy się do roboty?

– Zacznijcie z Babingtonem. Ja muszę zajrzeć do baraku medycznego – odpowiedział Royd.

Na pierwszy rzut oka panował tam całkowity chaos. Royd szybko jednak stwierdził, że jest to chaos zorganizowany.

Kiedy przechodził wzdłuż rzędu rannych, obdarzając ich słowami pokrzepienia i zachęty, jego wątpliwości co do udziału Edwiny i Aileen w ekspedycji wreszcie ostatecznie się rozwiały; teraz był im wdzięczny. Nie znał dwóch innych tak upartych i zdecydowanych kobiet – pod tym względem przewyższały nawet Isobel i Ionę – lecz w tej sytuacji te cechy okazały się prawdziwym darem. Edwina i Aileen wraz z Isobel i Katherine oraz trzema innymi kobietami doglądały rannych, okazując im współczucie i dyrygując nimi tak, że nawet najdumniejszy marynarz mógł przyjąć ich pomoc bez ujmy na honorze.

Uległość wobec pomocnej dłoni świadczy o mądrości, a nie słabości. Tego właśnie uczył się Caleb. Siedział na stołku, a Edwina i Katherine opatrywały jego rany. Royd wywnioskował z ich zachowania, że damy uważały założenie koszuli bezpośrednio na obrażenia za wielki grzech. Caleb siedział cicho, a one oglądały cięcia i smarowały je brązową maścią.

– Na pewno nie trzeba tego zszyć? – spytała Edwina.

– Z całą pewnością nie – odparł Caleb.

– Nie ciebie pytałam – skarciła go Edwina, nie podnosząc wzroku, po czym zwróciła się do Katherine: – Popatrz... tu rana jest głębsza.

Caleb spojrzał na Royda z rozpaczą, ten jednak uśmiechnął się tylko szeroko, pozdrowił go i pozostawił własnemu losowi.

W ciągu kolejnych dwudziestu minut zajrzał do wszystkich, którzy czekali jeszcze na opatrunek, oraz do

tych już opatrzonych, których położono do łóżek w jednym z dwóch dużych pomieszczeń. Część kobiet zajęta była opatrywaniem rannych, inne roznosiły herbatę.

Przy wyjściu zatrzymała go Isobel.

– Ty i pozostali na pewno macie jakieś zadrapania i drobne ranki. Katherine powiedziała mi, że w tym klimacie łatwo może się wdać zakażenie. Stąd takie zapasy maści. – Wcisnęła mu do ręki trzy małe słoiczki. – Mamy tu za dużo pracy, żeby uganiać się za resztą, więc sami możecie się posmarować. Ostrożności nigdy za wiele.

Royd pokiwał głową.

– Na pewno zbierzemy się wkrótce, kiedy reszta wróci złożyć raporty. Wspomnę o tym.

– Doskonale. – Isobel wspięła się na palce i pocałowała go, po czym zwróciła się do kolejnego rannego.

Royd doszedł do drzwi i zobaczył na stopniach ganku Caleba, który obejmował ramieniem jakiegoś chłopca. Dwaj inni w podobnym wieku stali obok z pochylonymi głowami. Royd zatrzymał się i oparł o ścianę, żeby nie przeszkadzać.

– Słuchaj, Gerry – mówił Caleb, przytulając chłopaczka – to, że Si zginął, to nie twoja wina. Ani niczyja inna.

– Trzeba było zostać w środku, tak jak mówił pan i pan Hillsythe. Gdybyśmy tak zrobili, Si by jeszcze żył.

– Owszem, i następnym razem będziecie wiedzieć, że takie polecenia trzeba wykonywać – powiedział Caleb. – To smutne, że Si zginął, ale sam podjął decyzję, żeby wyjść i walczyć. Wszyscy sami za siebie decydowaliście. To on był odpowiedzialny za wybory, które doprowadziły do jego

śmierci, a nie żaden z was. Ale teraz już wiecie, że walka to nie przelewki. Można zostać rannym i nawet zginąć. A to ważna lekcja. Jeśli przynajmniej tyle z tego wyniesiecie i dobrze to sobie zapamiętacie, to śmierć Simona nie będzie całkowicie bezsensowna.

Royd wiedział, że trudno jest rozmawiać z dziećmi o takich sprawach, i uważał, że Caleb dobrze sobie poradził. Pomyślał też o Duncanie i o tym wszystkim, czego jego syn musiał się jeszcze nauczyć.

– Chodźcie. – Caleb wstał. – Zaprowadzę was do baraku. Powinniście już od dawna spać. Jutro mamy dużo pracy.

Royd odczekał, aż odejdą, po czym skierował się do baraku, żeby pomóc Robertowi i Babingtonowi. Zdążyli już przejrzeć całkiem sporo dokumentów i ksiąg rachunkowych Dubois. Royd wziął jedną z lamp i poszedł na drugi koniec długiej, prostokątnej chaty. Pod przyczernioną przez ogień ścianą stało łóżko polowe. Odstawił lampę i zajrzał pod spód. Zobaczył tam małą książeczkę. Usiadł na łóżku i ją otworzył.

Po kilkunastu minutach wrócił do biurka i pokazał pozostałej dwójce, co znalazł. Tamci w tym czasie odkryli inne przydatne materiały. Schowali wszystko do teczki znalezionej przez Babingtona.

Wreszcie wyszli i skierowali się w stronę paleniska.

Wkrótce dołączyły do nich kobiety.

Isobel siadła ciężko i oparła się o Royda.

– Wszyscy ranni zostali opatrzeni. Skończyłyśmy pracę na dziś.

Royd pocałował ją lekko w czoło.

Czując rozchodzące się po ciele ciepło ognia i siedzącej przy nim Isobel, wreszcie zaczął się rozluźniać.

Do ogniska powoli ściągali inni. Po przeżyciach tego dnia wszyscy byli wyczerpani, ale wreszcie zaczynali się cieszyć zwycięstwem, zwłaszcza wtedy, gdy Royd oświadczył, że udało im się osiągnąć najważniejszy cel ze zdumiewającym powodzeniem.

Caleb doniósł, że ciała dwóch poległych owinięto w całuny i złożono w chacie przeznaczonej na czyszczenie rudy, gdzie miały oczekiwać na jutrzejszy pochówek. Hillsythe potwierdził, że wszyscy najemnicy zginęli w trakcie ataku. Ich ciała zebrano na stos za bramą i przykryto brezentem, żeby pogrzebać następnego dnia. Propozycja Hillsythe’a, żeby kopaniem grobów zajęli się Satterly, Muldoon i Winton, spotkała się z jednogłośnym poparciem.

Ludzie Kit i Lachlana zabezpieczyli bramę i zamknęli wyrwę za barakiem kobiet. Harriet doniosła, że mają dość pożywienia, by starczyło na kilka posiłków, a do tego suszone mięso i suchary na drogę powrotną. Dixon dodał, że odebraną najemnikom broń rozdano tym wyzwoleńcom, którzy potrafią się nią posługiwać.

Załogi Frobisherów odeszły już na nocleg do obozów rozbitych w dżungli, tylko kapitanowie i ich towarzyszki, jak również ranni i dawni więźniowie pozostali wewnątrz palisady.

Jako jeden z ostatnich dołączył do ogniska Lascelle. Wysłuchawszy wszystkich raportów, odezwał się:

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Spojrzał przez ogień na Caleba i się uśmiechnął. – Aż nazbyt dobrze poradziłeś sobie z zadaniem, mój przyjacielu. Dubois wciąż ledwie zipie. Umiera, ale powoli. Bardzo, bardzo wolno, w okrutnej agonii, i – wzruszył ramionami – nie sądzę, aby wyzionął ducha w ciągu najbliższych kilku godzin. Więc co z nim zrobimy?

Pytanie skierowane było do wyzwoleńców. To oni cierpieli z powodu Dubois. Royd czekał na ich decyzję.

Po kilku sugestiach Hillsythe spytał Lascelle’a, czy ma jakieś propozycje. Francuz uśmiechnął się zimno i zasugerował rozwiązanie, które wszyscy uznali za odpowiednie.

I tak oto Dubois, związany, niezakneblowany, został przeniesiony do kopalni. Rzucono go na ziemię na samym końcu drugiego korytarza.

Royd stał z boku i przyglądał się, jak Dixon z kamiennym wyrazem twarzy oblewa najemnika wodą z wiadra, żeby go ocucić.

Czekali i patrzyli, jak Dubois budzi się, rozgląda, zaczyna rozumieć, gdzie się znajduje...

– Nie! – Jego głos brzmiał słabo. Francuz rozejrzał się i zaczął w panice szarpać więzy. – Nie... nie możecie mnie tu zostawić.

– Owszem, możemy – odparł Hillsythe. – I właśnie to zrobimy.

Dubois zaczął coś niezrozumiale bełkotać.

Isobel pociągnęła Royda za rękę. Odwrócili się i wyszli z jaskini. Declan z Edwiną, Robert z Aileen, Caleb i Katherine oraz pozostali ruszyli w ślad za nimi. Słabe krzyki Dubois ścigały ich przez mrok.

Wyzwoleńcy położyli się spać w hamakach, w których spędzali dotąd noce. Czterech Frobisherów i ich towarzyszki postanowili natomiast przespać się na polowych łóżkach w baraku najemników.

Royd puścił wszystkich przodem, a potem powiedział do Isobel:

– Wybierz jakieś łóżko. Ja zrobię jeszcze obchód.

Poszedł do bramy i sprawdził ją, bardziej z przyzwyczajenia niż z obawy, że się przewróci. Potem obszedł obóz, wygaszając po drodze niepotrzebne lampy. Po chacie z zaopatrzeniem została tylko sterta dymiących polan. Royd przystanął w otwartych drzwiach baraku medycznego, lecz poza okazjonalnymi pociągnięciami nosem i pochrapywaniem panował tu spokój.

Dalej leżały sterty rudy, a między nimi siedzieli więźniowie oświetleni lampami, tak by strażnicy dobrze ich widzieli. Żaden z piątki nie spał. Kręcili się, nie mogąc się wygodnie ułożyć na kamieniach. Na widok Royda znieruchomieli.

Royd przyjrzał im się kolejno. Wintona najłatwiej będzie skłonić do mówienia. Muldoon także szybko się złamie. Satterly... Royd za mało o nim wiedział, żeby móc to osądzić.

Co do Rossa-Courtneya i Neilla nie miał wątpliwości: żaden z nich nie puści pary z ust. Na pewno obaj zdali już sobie sprawę, że jedyna nadzieja na uniknięcie kary leży w wyparciu się udziału w ohydnym interesie. Mimo to Royd spojrzał na Rossa-Courtneya i spytał:

– I jak? Zmieniłeś pan zdanie?

Lord zgromił go wzrokiem i ostentacyjnie się odwrócił.

Neill popatrzył na wspólnika i po chwili rzekł:

– Może i jesteśmy zmuszeni pozostać w pańskiej niewoli, ale rozmawiać będziemy tylko z odpowiednimi instancjami władzy.

Royd uśmiechnął się – ani Neill, ani Ross-Courtney nie mieli pojęcia o jego stosunkach z „odpowiednimi instancjami władzy".

– Doskonale – rzucił. – Rankiem się przekonamy, czy coś się zmieniło.

Kopanie mogił i grzebanie zmarłych – za których śmierć byli odpowiedzialni – zrobi na nich większe wrażenie niż słowa.

Royd kontynuował obchód. Przystanął na chwilę pod wejściem do kopalni. Ciche jęki dobiegające ze środka świadczyły, że pokuta Dubois nie dobiegła jeszcze końca.

Wreszcie wrócił do baraku. Panowała w nim cisza. Znalazł Isobel, która spała już mocno. Zastanawiał się, czy nie położyć się na sąsiednim łóżku, ale w końcu ułożył się obok niej.

Przymknął oczy i zapadł w sen.

***

Następnego dnia późnym rankiem otwarto wrota obozu i Caleb ruszył w kierunku jeziora, trzymając za rękę Kate. Obok nich szedł Gerry i pozostali dwaj chłopcy.

Przy śniadaniu uznano, że miejsce, gdzie kobiety i dzieci czekały na zakończenie walki, to najładniejszy zakątek na pochowanie Wattie'ego Watsona i Simona Finna.

Kiedy tam doszli, groby były już gotowe, a obok nich czekały ciała owinięte w prześcieradła zabrane z łóżek najemników.

Wyzwoleńcy znali się już nieco na obróbce kamienia i kilku z nich od rana pracowało nad nagrobkami. Wyryli na nich imiona i nazwiska zmarłych oraz datę śmierci.

Royd, jako najstarszy stopniem, poprowadził nabożeństwo, recytując z pamięci odpowiednie modlitwy. Dixon, Hillsythe, Fanshawe i Hopkins, a także – dość nieoczekiwanie – Kit, która była świadkiem śmierci Wattie'ego, dorzucili po kilka słów od siebie. Nikt nie widział, jak ginie mały Si. Ciała spuszczono do grobów. Wiele rąk zgłosiło się do zasypania mogił i wiele słów pożegnania wypowiedziano nad miejscem spoczynku poległych.

Większość pozostała, żeby zobaczyć, jak ustawiane są nagrobki. Było ich trzy. Poza Wattie'em i Simonem upamiętniono jeszcze jedną osobę. Napis na kamieniu głosił: „Daisy z Freetown. 13 lat. 1824. Aniołek zabrany przedwcześnie do nieba".

Caleb wraz z innymi pochylili głowy. Ktoś o niej pamiętał i żaden ze zgromadzonych nigdy jej nie zapomni.

***

Royd wrócił z Isobel do obozu.

Wchodząc przez bramę, zobaczyli jeńców przykutych do ganku, tego samego, do którego przywiązano wcześniej Caleba. Podczas przeszukiwania ruin baraku z zaopatrzeniem ktoś znalazł siedem kompletów oków, które nadal nadawały się do użytku. Wśród wyzwolonych było dwóch dawnych kowali, którzy bez trudu dopasowali kajdany, zwalniając tym samym strażników z obowiązku ciągłego pilnowania pojmanych.

Royd przystanął i zapatrzył się na grupkę jeńców.

– Zostawmy ich – mruknęła Isobel, jakby czytając mu w myślach. Wszyscy zbierali się właśnie na posiłek wokół paleniska. – Czas na jedzenie, a im nic nie będzie, jeśli trochę się przegłodzą. Nie mamy aż tyle prowiantu, żeby ich nakarmić. Poza tym ten widok to balsam na duszę porwanych, których trzymano w tym okropnym miejscu.

Royd kiwnięciem głowy przyznał jej rację.

Posiłek nie był nadmiernie obfity, lecz wyzwoleńcy, a zwłaszcza dzieci, rzucili się na niego z wilczym apetytem. Royd zdał sobie sprawę, że nawet jeśli ich nie głodzono, to na pewno też nie karmiono dostatecznie.

Caleb potwierdził jego domysły, mówiąc:

– To z grubsza dwa razy więcej, niż zwykle dostawaliśmy.

– Boże drogi... – szepnęła Isobel, patrząc na swoją porcję.

Fakt, że wreszcie byli w stanie napełnić żołądki, pomógł więźniom uzmysłowić sobie zmiany, jakie tu zaszły. Wreszcie byli wolni.

Royd widział to już kilka razy podczas akcji ratunkowych – osoby przetrzymywane w niewoli dłużej niż kilka tygodni potrzebowały czasu, aby przyswoić fakt, że odzyskały wolność.

Potwierdziły to słowa Dixona.

– Ciągle przyłapuję się na myśli, że powinienem sprawdzić, czy nie pora wracać już do kopalni.

Po skończonym posiłku Royd odłożył talerz i zwrócił się do przywódców wyzwoleńców:

– Musimy omówić powrót do Freetown. – Wszyscy zaczęli słuchać z uwagą. – Proponuję, żebyśmy wrócili na wybrzeże tą samą drogą, którą przybyły tu nasze załogi. Będzie tam czekać cała flota Frobisherów z wyjątkiem „Małżonki”, która nadal patroluje wody za blokadą, a do tego „Kruk” Lascelle’a. Łącznie pięć statków. Jeśli podzielimy się na grupy, nie powinno być zbytniego tłoku, a dopłynięcie do Freetown nie zajmie wiele czasu.

– Takie rozwiązanie będzie też najlepsze dla dzieci, kobiet i rannych – zgodził się Robert.

Nikt nie zaoponował. Royd pozwolił, żeby przez kilka minut wszyscy dali upust emocjom. Dzieci skakały z radości na myśl, że zobaczą statki i będą miały okazję wpłynąć do Freetown na pokładzie jednego z nich.

Wreszcie podniósł głos i zawołał:

– A teraz co do tego, kiedy mamy wyruszyć! Nawet jeśli się pospieszymy, spakowanie się i przygotowanie do drogi potrwa co najmniej do późnego popołudnia. Nie ma sensu ruszać w drogę, kiedy po godzinie będziemy musieli się

zatrzymać. Proponuję, abyśmy wyruszyli jutro o pierwszym brzasku.

– Hurra!

– Jutro!

Radosne krzyki dzieci odbijały się echem od otaczających skał, dorośli zaś rozglądali się tylko, sprawdzając, czy wszyscy się zgadzają.

Teraz należało się zająć przygotowaniami. Katherine, Edwina, Isobel i Aileen zgłosiły się do pakowania sprzętu medycznego. Harriet i pozostałe kobiety razem z okrętowymi kucharzami mieli zająć się wieczornym posiłkiem i prowiantem na drogę. Diccon dostał zadanie, żeby wraz z chętnymi dziećmi ruszyć do dżungli i pozbierać owoce i jagody, tak aby starczyło ich aż do czasu dotarcia na wybrzeże.

Wzmianka o owocach sprawiła, że Isobel pomyślała o Duncanie. Często go wspominała, zwłaszcza patrząc na wyzwolone dzieci. Jakże uprzywilejowane było w porównaniu z nimi jego życie – a tym bardziej, kiedy Royd uzna w nim syna i dziedzica.

Diccon wypiął się dumnie i kazał wszystkim ustawić się przy bramie, po czym posłał kilku chłopców do kuchni po kosze. Wreszcie para za parą wyprowadził pochód w las, w obstawie trzech ludzi z załogi „Korsarza”.

Isobel spojrzała na Royda. Przypatrywał się temu wszystkiemu nieco zamyślony. Kiedy zauważył jej wzrok, szepnął z uśmiechem:

– Już sobie wyobrażam, jak Duncan wiódłby tu prym.

Wcześniej przy śniadaniu Hillsythe poinformował go szeptem, że Dubois wyzionął w nocy ducha. Royd polecił dwóm swoim ludziom przynieść z kopalni ciało Francuza i złożyć je razem z pozostałymi najemnikami w czasie, gdy reszta zajęta była pogrzebem Wattie'ego i Simona.

Teraz Hillsythe i Lascelle ponownie się do niego zgłosili.

– Zgodnie z rozkazem twoi ludzie zapędzili tamtych trzech – tu Hillsythe wskazał głową Satterly'ego, Muldoona i Wintona – do kopania dołu przy ścieżce do obozu Kale'a. Może teraz byłaby dobra pora, żeby zająć się zwłokami, skoro dzieci są w lesie.

– A nasza trójka wypoczęła już chyba na tyle, by pomóc przy noszeniu ciał – dodał z zimnym uśmiechem Lascelle.

– Na pewno. – Royd spojrzał na trzech więźniów. Leżeli na piachu, starając się znaleźć jakąś pozycję, w której kajdany nie będą im przeszkadzać. – Poślij z nimi tylu ludzi, ilu uznasz za stosowne, i niech dobrze ich pilnują. Więźniowie nie mogą mieć najmniejszej szansy na ucieczkę.

***

Caleb siedział przy Kate i w milczeniu przyglądał się ludziom, z którymi przez ostatnie tygodnie zdążył się już zaprzyjaźnić. Zauważył w nich drobne zmiany – powoli zaczynali myśleć o powrocie do dawnego życia, z którym wielu pożegnało się już na dobre.

– Druga szansa to cenna i ulotna rzecz – szepnął, kiedy Kate nachyliła się do niego.

Uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń.

– Ty jesteś taką drugą szansą dla mnie. Drugą szansą na nowe życie. Ta pierwsza była średnio udana. Ewidentnie nie stworzono mnie do roli guwernantki.

– O nie. – Caleb pokręcił głową. – Ja jestem twoją pierwszą szansą. I popatrz na pozostałych. Oni też nie zamierzają zmarnować okazji.

Wskazał Annie i Jeba, Mary i Babingtona oraz Harriet i Dixona.

– No i jest jeszcze Edwina i Declan oraz Aileen i Robert – dodała Kate. Nagle jej wzrok spoczął na Roydzie i Isobel. – Ale z tym dwojgiem sytuacja ma się nieco inaczej.

– Owszem. – Caleb uścisnął jej dłoń. – Oni naprawdę dostali teraz swoją drugą szansę.

Nagle zauważył w pobliżu złotowłosą główkę.

– Ciekawe, dlaczego Amy nie poszła z resztą dzieci zbierać owoców.

Dziewczynka zmierzała właśnie w ich kierunku.

– Mnie szukasz? – spytała Kate.

Amy uśmiechnęła się i nie odrywając od niej wielkich błękitnych oczu, złożyła przed sobą ręce i spytała:

– Czy mogłabym pomóc ci przy maściach i lekach? Widziałam, jak opatrujesz z innymi paniami wszystkich rannych. Też chciałabym pomagać ludziom. Nauczyłabyś mnie?

– Oczywiście – powiedziała z uśmiechem Kate. – Za chwilę pójdziemy do baraku, ale na razie możesz posiedzieć tu przy mnie.

Po chwili do towarzystwa dołączyli Hillsythe z Pillipe’em, którzy posłali właśnie kilku ludzi za bramę, żeby wraz z jeńcami zajęli się trupami.

– Lascelle i ja mamy pewną propozycję – powiedział Hillsythe do Royda. – Nasi więźniowie nie dali ci żadnych odpowiedzi. Może byliby bardziej skłonni do współpracy, gdybyśmy my dwaj ich przepytali. W nasz nieco inny od twojego sposób.

Royd zastanawiał się przez chwilę, po czym uniósł czarną brew.

– Czemu nie...

– Doskonale – rzekł Lascelle. – Mamy jeszcze dwa dni, zanim wrócimy na statki. Moi ludzie przytrzymają więźniów na końcu kolumny. To Francuzi, nie Anglicy, więc nie będą mieli powodu dobrze ich traktować czy obawiać się ich wpływów. Może to rozwiąże języki naszym delikwentom.

– W każdym razie Satterly’emu, Muldoonowi i Wintonowi, bo co do dwóch pozostałych nie robię sobie wielkich nadziei – powiedział Hillsythe.

Royd pokiwał głową i rozejrzał się po pozostałych.

– Jakieś sprzeciwy?

Żadnych nie było.

– Skoro to już postanowione, ja również chciałbym coś zaproponować – odezwał się Dixon. – W drugim korytarzu pozostało trochę diamentów. Gdyby wszyscy ci, którzy potrafią się z nimi obchodzić, popracowali jeszcze godzinę, góra dwie, wydobylibyśmy je do końca, a nie wymagałyby wiele czyszczenia. Mamy też zapasy ukryte w kopalni

i stertach kamieni. Część nadal potrzebuje obróbki, ale jeśli podzielimy ładunek, powinniśmy być w stanie zabrać stąd wszystko tak, jak jest. Sądzę, że po tym, co tu przeżyliśmy, należy nam się jakaś rekompensata. Może władze kolonii będą miały coś do powiedzenia na ten temat, ale...

– Osoby odpowiadające za misję ratunkową również wypowiedzą się w tej sprawie – przerwał mu Royd. – I wierz mi, że zgodzą się z tobą. Ja również uważam, że zrekompensowanie strat diamentami, które wydobyliście własną niewolniczą pracą, to znakomity pomysł.

Po dalszej dyskusji Royd obiecał dołożyć starań, żeby wszelkie dochody Rossa-Courtneya z kopalni oraz ze sprzedaży diamentów zostały skonfiskowane. W wyniku głosowania przeprowadzonego wśród wyzwoleńców Dixon, Hillsythe i Babington zostali wyłonieni jako rada wykonawcza funduszu. Caleb odmówił tego zaszczytu z uwagi na konieczność powrotu do Anglii.

Hillsythe zapowiedział, że wróci z Frobisherami do Londynu, ale tylko po to, by złożyć raport. Potem spodziewano się jego powrotu do kolonii, gdzie przez kilka miesięcy miał sprawować nadzór nad kancelarią gubernatora. Zgodził się zająć diamentami i dopilnować, żeby uzyskano za nie dobrą cenę. Kontakty Babingtona gwarantowały, że fundusz odniesie sukces i prawdziwie wspomoże tych, którzy przez tyle miesięcy ciężko pracowali w kopalni.

Fanshawe i Hopkins razem z kilkoma innymi ludźmi podjęli się wydobycia reszty diamentów, podczas gdy reszta

miała przygotować kamienie, żeby Dixon mógł je skatalogować. Lascelle i Caleb (którzy zrzekli się udziału dla siebie i swoich załóg, uzasadniając to faktem, że nie byli więźniami w takim sensie jak pozostali) zaoferowali, że spiszą nazwiska wszystkich, którym powinna przypaść część funduszu.

Wreszcie wszyscy rozeszli się do swoich zadań. Ku swojemu zaskoczeniu Royd stwierdził, że nie bardzo ma co robić. Declan i Robert także.

– Może przekonamy się, o co było tyle zachodu? – zaproponował Declan, wskazując kopalnię.

Tak też zrobili. Światło latarni wskazało im drogę w głąb korytarza, gdzie Fanshawe i Hopkins opowiedzieli im, jak więźniowie opracowali plan spowolnienia prac kopalnianych, dopóki nie dotrze do nich ratunek. Bracia byli pod wrażeniem tego, jak bardzo porwani się ze sobą zżyli, jak konsekwentnie i sprytnie działali, żeby zapewnić sobie przetrwanie. Zaskoczeniem była też dla nich wiadomość, że Caleb ze swoim nieugiętym charakterem i niezwykłym talentem do inspirowania innych odegrał w tym kluczową wręcz rolę.

– Gdyby nie on – powiedział szczerze Hopkins – nie doczekalibyśmy ratunku.

Royd ukrył uśmiech. Mężczyznę definiuje to, jak zachowuje się pod presją. Wyzwania kształtują charakter. Sam wiedział o tym lepiej niż większość ludzi i od dawna czekał na to coś, co zmieni Caleba, co sprawi, że odrzuci on

młodzieńczy hedonizm i nieodpowiedzialność i ujawni swoje prawdziwe oblicze.

Każdy z czterech braci miał wyjątkowe talenty, ale Caleb był najbardziej podobny do niego. Dzieliła ich jednak różnica sześciu lat i Royd, jako najstarszy, zawsze zajmował pozycję przywódcy. Wszystko to sprawiło, że mieli za sobą zupełnie inne doświadczenia.

Caleb dopiero teraz wykonał wreszcie ostatni krok i pokazał, na co go stać. Oczywiście musiał się jeszcze wiele nauczyć, ale... gdyby Royd zdecydował się na to, co od jakiegoś czasu chodziło mu po głowie (zwłaszcza odkąd w jego życiu znowu pojawiła się Isobel), i ustąpił z pozycji głównego kapitana kompanii Frobisherów, wtedy Caleb musiałby zająć jego miejsce.

Royd nie sądził, aby Robert i Declan się temu sprzeciwili, tym bardziej teraz, kiedy sami mieli powody, żeby rzadziej wyruszać na ocean. Podobnie jak on będą chcieli zmienić swój tryb pracy, żeby dopasować go do życia małżeńskiego. Co prawda wyglądało na to, że i Caleb wkrótce się ożeni, lecz Royd uważał, że Katherine bardzo przypomina ich matkę i będzie chciała zawsze wypływać z mężem.

Wreszcie Declan rozejrzał się niepewnie i mruknął cicho, wyrażając to, o czym wszyscy myśleli:

– Nie wiem, jak Caleb tu wytrzymał... Nie widzę nieba. Nie czuję wiatru. – Wzdrygnął się i pokręcił głową. – Wynośmy się stąd.

Wyszli na słońce przeświecające przez drzewa. Nie mając nic lepszego do roboty, podeszli do Lascelle’a i Hillsythe’a,

którzy zajęci byli przepytywaniem Satterly’ego, Muldoona i Wintona. Trójka winnych chyba dopiero co skończyła grzebać ciała. Wyglądali jak siedem nieszczęść, byli całkowicie złamani. Siedzieli ze skutymi rękami z dala od Rossa-Courtneya i Neilla.

Kiedy trzej bracia podeszli bliżej, usłyszeli, jak Lascelle mówi:

– *Bon!* Rozumiecie więc, że się z tego nie wywiniecie.

– Dowody przeciwko wam są niepodważalne – dodał Hillsythe. – Pozycja społeczna nie ocali was od stryczka. A poza tym tamci dwaj już planują, jak zrobić z was kozły ofiarne. Wcześniej, kiedy rozmawiałem z Rossem-Courtneyem, powiedział, że nie ma pojęcia, co mogliście knuć, a Neill się z nim zgodził.

Winton spojrzał na Satterly’ego z wściekłością.

– Mówiłem, że rzucą nas na pożarcie!

– To chyba oczywiste. – Lascelle machnął pogardliwie dłonią, przedrzeźniając wyniosłe pozy Rossa-Courtneya. – Dla nich jesteście zwyczajnie mięsem armatnim. Obchodzi ich tylko własne życie.

Satterly, który przez cały czas siedział ze spuszczoną głową, spojrzał wreszcie na Lascelle’a i Hillsythe’a, oblizał usta i rzekł:

– Powiedzmy, że zaczniemy sypać. – Przeniósł wzrok na stojącego z tyłu Royda. – Ale jeśli powiemy wszystko, co wiemy... Jeśli będziemy zeznawać przeciwko nim, czy możecie nam zagwarantować, że sąd zmieni wyrok na zesłanie?

Royd postanowił odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Nie mogę nic obiecać, ale to niewykluczone. Mogę was jednak zapewnić, że z różnych politycznych i innych powodów Koronę bardziej obchodzi, żeby to tacy jak Ross-Courtney i Neill zostali ukarani sprawiedliwie. Publicznie. Rządowi nie zależy na was. Na waszym miejscu skorzystałbym więc z każdej okazji, aby współpracować. To najlepszy sposób, żeby zapewnić sobie przetrwanie.

– Moim zdaniem powinniśmy zacząć gadać – powiedział szorstko Muldoon po chwili zastanowienia. – On ma rację, nie mamy nic do stracenia.

– Ja zacznę – zaproponował Winton. – Ale niewiele wiem.

– Wiesz jednak, że Ross-Courtney i Neill to dwaj ze sponsorów całej operacji, prawda? – spytał Hillsythe.

Winton kiwnął głową i popatrzył na Satterly'ego.

– Arnold tak ich przedstawił i ewidentnie tak się zachowywali. Ale dopóki się tu nie zjawili, nie spotkałem ich ani nawet nie słyszałem ich nazwisk.

– A ty? – spytał Lascelle Muldoona.

Ten zacisnął usta.

– Nie wiem zbyt wiele, w każdym razie o sponsorach. Arnold wspomniał o lordzie Peterze, kiedy doszliśmy do wniosku, że potrzebujemy finansowego wsparcia, żeby rozkręcić kopalnię. Powiedział, że lord Peter to jego krewny w drugiej linii, który może być zainteresowany taką inwestycją i wciągnąć w nią innych. Ale nigdy nie poznałem żadnych nazwisk. Dopóki tu nie przybyłem, nie miałem

nawet pojęcia, czy Ross-Courtney naprawdę się zaangażował, a o Neillu nigdy nie słyszałem.

Wszyscy spojrzeli na Satterly'ego. Twarz miał bladą, zmęczoną. Lecz jeśli dotąd przeżywał rozterki związane z poczuciem lojalności wobec rodziny, ta walka dobiegła już końca.

– Lord Peter to mój kuzyn w drugiej linii – zaczął, nie patrząc na nikogo. – Wiedziałem z rodzinnych plotek, że maczał palce w różnych pokątnych przedsięwzięciach często jako główny organizator. – Wzruszył ramionami. – Któż lepiej by się nadawał, zwłaszcza mając jego pozycję i koneksje z innymi bogaczami? Podczas ostatniego urlopu pojechałem do Londynu i opowiedziałem mu o naszym planie. Natychmiast dostrzegł korzyści. Był pełen entuzjazmu i wziął na siebie finansowanie projektu. Sam zebrał innych inwestorów i wszystko jakoś się potoczyło.

Kiedy zamilkł, Hillsythe podsumował:

– A więc to lord Peter Ross-Courtney jest postacią kluczową i to on zwerbował pozostałych sponsorów, w tym Neilla. Kogo jeszcze?

– Nie mam pojęcia – odparł Satterly. – Peter uparł się, że lepiej, abyśmy tego nie wiedzieli.

Muldoon prychnął.

– Chcesz chyba powiedzieć, że twierdził, iż to dla nas zbyt „niebezpieczne".

– Dokładnie tak mówił. Nigdy nie wymienił innych z nazwiska. O Neillu dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy przybył ze świtą Petera do Freetown.

– Więc nie macie pojęcia, kim są pozostali? – upewnił się Robert.

Wszyscy trzej pokręcili głowami. Ich miny świadczyły wyraźnie, że teraz, kiedy już postanowili mówić, nie zatailiby żadnej informacji.

– Nie znacie nazwisk – powiedział Royd – ale czy przynajmniej wiecie, ilu ich jest? Mamy dwóch. Ilu jeszcze zostało?

Satterly pokręcił głową.

– Nie powiedział.

– Czterech. – Muldoon popatrzył na Satterly'ego. – Pamiętasz, jak wtedy pod wiatą pokazywaliśmy im błękitne diamenty? Ross-Courtney strasznie się nadął. Powiedział: „Gdyby pozostała czwórka mogła to zobaczyć, padłaby z wrażenia".

– Faktycznie, teraz sobie przypominam – zreflektował się Satterly. – Rzeczywiście wspomniał jeszcze o czterech.

– Nadal jesteście więźniami – podsumował Royd. – Pozostaniecie w kajdanach. Przetransportujemy was na statki, gdzie będziecie zamknięci pod pokładem, a potem zostaniecie zabrani do Londynu, gdzie staniecie przed sądem. Jeśli chcecie, do czasu dotarcia na statki możemy trzymać was osobno od pozostałych dwóch. Możecie też pozostać razem z nimi i sprawdzić, czy nie zdołacie się jeszcze czegoś dowiedzieć. Im więcej informacji z nich wydobędziecie, tym lepiej dla was. Wasz wybór.

Muldoon popatrzył na Satterly'ego.

– Pomysł był nasz, ale bez nich nigdy nie wprowadzilibyśmy go w życie. A mimo to oni wyprą się swojego udziału i zasłonią pozycją społeczną, podczas gdy cała wina spadnie na nas. Moim zdaniem powinniśmy skorzystać z tego, że nadarza się okazja, i zobaczyć, czy nie dowiemy się czegoś więcej.

– Zgadzam się – przytaknął Winton. – Nie jesteśmy im nic winni.

Satterly popatrzył na nich, a potem na Royda, i pokiwał głową.

– Wolimy zostać z nimi i sprawdzić, czego jeszcze możemy się dowiedzieć.

Royd, Declan i Robert naradzili się z Hillsythe’em i Lascelle’em, po czym zostawili trójkę więźniów i podeszli do ganku, gdzie Ross-Courtney i Neill próbowali schronić się przed słońcem w niewielkiej plamie cienia.

Niewola im nie służyła. Obaj mieli brudne ubrania i potargane włosy.

Pojawił się Caleb, który pomagał Dixonowi spisywać nazwiska na potrzeby funduszu odszkodowawczego.

– I jak? – spytał, widząc, skąd przychodzą.

– Później ci powiem. – Royd skinął głową na obu sponsorów. – Przyszliśmy sprawdzić, czy ci dwaj mają coś do dodania.

Lecz gdy tylko przed nimi stanęli, Ross-Courtney żachnął się z wściekłością:

– Nie mamy nic do powiedzenia poza tym, co powinno być oczywiste nawet dla kogoś obdarzonego najmierniejszym

intelektem. Nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy zaangażowani w ten proceder. Nie macie najmniejszych dowodów, które by na nas wskazywały, a gdy tylko będę miał okazję rozmówić się z odpowiednimi osobami, dopilnuję, żebyście pożałowali tego, jak nas teraz traktujecie. Ręka sprawiedliwości i opinia społeczna ukarzą was za tę żałosną próbę szargania mojego imienia. Oraz mojego wspólnika – dodał po chwili.

– Wspólnika? – spytał Royd. – A jakież to sprawy was łączą?

– Nie twoja rzecz – odparł buńczucznie Ross-Courtney.

– Interesy – wyjaśnił Neill, patrząc bez strachu na Royda. – Tłumaczyliśmy to już gubernatorowi. Jesteśmy tu wyłącznie po to, by zrealizować pewne przedsięwzięcie, nic więcej.

– A ilu jeszcze „wspólników” zaangażowało się w owo przedsięwzięcie? – spytał Robert.

Twarz Neilla stężała.

– To sprawa prywatna, która nie powinna was obchodzić.

– Przekonacie się, że jest wręcz odwrotnie – stwierdził spokojnie Declan.

Neill spuścił głowę, a Ross-Courtney ostentacyjnie odwrócił wzrok.

– Wygląda na to, że nie mają do powiedzenia nic, czego warto słuchać. – Royd odwrócił się na pięcie i odszedł. Bracia podążyli za nim.

Stanęli w cieniu pod wiatą do czyszczenia kamieni.

– Postanowili iść w zaparte – rzekł Royd. – Sądzą, że w Londynie czeka ich uprzejme przesłuchanie i wywiną się od zarzutów pustosłowiem i koneksjami. Niestety jestem przekonany, że kiedy przyjdzie co do czego, Melville i jemu podobni zmiękną i ci dwaj wyjdą na wolność. A wtedy...

– Wszelkie dokumenty dowodzące ich udziału trafią do ognia – dokończył Robert.

– Podobnie jak wszystko, co wskazywałoby na ich koneksje z pozostałą czwórką – rzekł Declan i wytłumaczył Calebowi: – Bo wiemy, że jest jeszcze czterech sponsorów.

Caleb skrzywił się.

– A bez dowodów trzeba będzie zrezygnować z zarzutów...

– Nawet jeśli Wolverstone i jego ludzie znajdą dość tropów, aby wskazać na związek wszystkich sponsorów ze sprawą, do tego czasu tamci wyjadą już na kontynent.

– Na długie wakacje – dodał Declan.

– Opłacone z pieniędzy zdobytych kosztem potu, krwi i łez tych wszystkich, których tu przetrzymywano. – Caleb zacisnął zęby. – Nie możemy do tego dopuścić.

***

Godzinę później byli niewolnicy i ich wyzwoliciele zebrali się przy herbacie i świeżych ciasteczkach upieczonych przez armię kucharzy pracujących nad wieczorną uroczystą kolacją.

– Wszyscy gotowi do wymarszu o świcie? – spytał Royd, rozglądając się dokoła.

– Tak!

Okrzyk był ogłuszający. Wszyscy uśmiechali się szeroko.

Atmosfera napięcia i przygnębienia wreszcie zniknęła.

Nastroje polepszyły się jeszcze bardziej, kiedy w barakach odkryto kilka butelek wyśmienitej brandy sprowadzonej do obozu przez wzgląd na Rossa-Courtneya i Neilla. Drogą głosowania ustalono, że trunek ten zostanie przeznaczony na poncz, który podadzą wieczorem do kolacji.

Wzmianka o Rossie-Courtneyu i Neillu pozwoliła Roydowi na przejście do tematu, który tak naprawdę chciał poruszyć.

– Jest jeszcze jedna kwestia, w której pragnąłbym zasięgnąć waszej opinii – powiedział, przekrzykując radosny hałas.

Wszyscy ucichli i popatrzyli na niego z ciekawością. Royd uśmiechnął się lekko.

– Jako dowódcy tej misji przypadł mi obowiązek przetransportowania naszych więźniów z powrotem do Londynu i przekazania ich w ręce władz. W tej chwili mamy dość dowodów, żeby uzyskać wyroki dla trzech członków szajki, którzy działali lokalnie, czyli dla Satterly’ego, Muldoona i Wintona. Jednak w przypadku reszty, bez której cały plan nigdy nie doszedłby do skutku... – Royd nakreślił pokrótce przeszkody stojące na drodze do skazania Rossa-Courtneya, Neilla i pozostałych czterech sponsorów, jak dotąd jeszcze nieznanych.

Rozległy się pomruki niezadowolenia. Royd podniósł rękę, żeby je uciszyć.

– Nie oznacza to, że umkną przed sprawiedliwością. Wiele osób w Londynie pragnie, aby sponsorzy zapłacili za swoje przestępstwa. Istnieją sposoby, żeby zdobyć konieczne dowody, ale w tym celu kilka wysoko postawionych osób będzie musiało mocno zaryzykować i nagiąć przepisy. – Royd kolejno popatrzył wszystkim w oczy. – Jestem gotów przekonać ich, że tak właśnie należy postąpić, żeby sponsorzy tej potwornej zbrodni ponieśli sprawiedliwą karę.

Zewsząd rozległy się głosy poparcia.

– O co więc chcesz nas prosić? – spytał Hillsythe. – Jak możemy pomóc?

– Potrzebna mi jednoznaczna informacja od wszystkich, którzy padli ofiarą tych ludzi, że pragniecie, a jako wolni obywatele i obywatelki Anglii wręcz żądacie, żeby cała szóstka chciwców poniosła karę.

Rozległy się zgodne okrzyki.

– Może napiszmy więc petycję? – zaproponował Will Hopkins. – Wszyscy porwani mogliby ją podpisać.

– Znakomity pomysł – zgodził się Royd.

– Powiedzcie tylko, co ma się w niej znaleźć – rzekła Isobel, wstając z miejsca – a wszystko przygotuję. Będzie czekać na wasze podpisy na ganku baraku, zanim zbierzemy się na wieczorny posiłek.

Wszyscy krzyknęli z radością.

Kątem oka Royd dostrzegł grymas wściekłości na twarzach Rossa-Courtneya i Neilla. Z uśmiechem napił się herbaty.

***

Ostatniego wieczoru w obozie zapanowała świąteczna atmosfera. Kucharze ciężko pracowali, żeby posiłek przypominał ucztę, a alkoholu było tyle, że wszystkim uderzył do głów i sprowadził na twarze uśmiechy.

Wyzwoleńcy nareszcie uwierzyli, że naprawdę wracają do domu, że rankiem wymaszerują z miejsca swojej niewoli, a ich nogi nigdy już tu nie postaną.

Ludzie rozmawiali i śmiali się, aż wreszcie pięciu marynarzy chwyciło za piszczałki i całe towarzystwo ruszyło w tan. Starsi i młodsi, dorośli i dzieci, wszyscy wirowali w radosnych podskokach.

W którymś momencie Royd wysunął się spośród tancerzy i stanął z boku ze szklanką ponczu. Wychodząc z założenia, że nikt nie ma ochoty patrzeć na twarze więźniów, kazał przenieść całą piątkę na noc do kopalni. Isobel, biegła w kreśleniu i opisywaniu swoich projektów, za pomocą znalezionych w biurku Dubois materiałów przepięknie wykaligrafowała petycję, którą wszyscy wyzwoleńcy ochoczo i z dumą podpisali, nie wyłączając dzieci. Isobel wraz z Katherine, Edwiną i Aileen ćwiczyły z nimi, aby każde potrafiło nagryzmolić na pergaminie swoje imię. Maluchy miały z tego taką satysfakcję, że wysiłek był wart zachodu. Podpisana i owinięta w olejniak petycja leżała teraz bezpiecznie w teczce Isobel.

Zrobili tu wszystko, co mogli.

Royd sączył poncz, zastanawiając się nad przyszłością.

Po drugiej stronie paleniska Declan pękał z dumy, patrząc na stojącą u swego boku Edwinę, która gawędziła wesoło z Harriet i Dixonem.

Robert przysłuchiwał się ożywionej rozmowie Aileen z Willem i Fanshawe'em.

Caleb i Kate siedzieli w otoczeniu dzieci. Całe grono śmiało się, słuchając jakiejś opowieści Caleba. Annie Mellows i Jed Mathers przypatrywali się temu z uśmiechem, stojąc pod ramię, a Babington obejmował swoją Mary – tych dwoje praktycznie nie było w stanie oderwać od siebie oczu.

Royd właśnie miał się rozejrzeć za Isobel, kiedy poczuł, że ta bierze go pod ramię.

– O czym tak rozmyślasz? – spytała, patrząc na niego badawczo.

– Myślałem o tym, ile hartu ducha ludzie mają w sobie. Sami nie zdają sobie sprawy, jak wiele.

Isobel przekrzywiła głowę i patrzyła, jak Royd pije poncz. Miała przeczucie, że nie mówił o wyzwolonych niewolnikach, lecz o sobie i o niej.

Uśmiechnęła się i spojrzała na pozostałych, lecz jej myśli skierowały się na te same tory. Royd miał rację. Więź, która połączyła ich w dawnych latach, nie zerwała się po rozstaniu. Może uległa zmianie, ale na pewno nie osłabła. Ani on, ani ona nie zdawali sobie sprawy z jej siły.

Aż do teraz.

Poczuła na sobie wzrok Royda, lecz nie była jeszcze gotowa, żeby mu odpowiedzieć.

Nagle zobaczyła idącą w ich stronę delegację składającą się z Harriet, Annie, Gemmy, Ellen i Mary. Annie niosła paczkę owiniętą w brązowy papier.

– Zastanawiałyśmy się nad tym, co wcześniej mówiłeś – powiedziała Harriet do Royda. – O tym, jak trudno będzie odkryć pozostałych sponsorów, i że jeśli nie zdołamy tego zrobić, a Ross-Courtney i Neill nadal będą milczeć, cała sprawa spełznie na niczym.

Isobel i Royd czekali cierpliwie na ciąg dalszy.

Po krótkiej pauzie Harriet mówiła dalej:

– Kiedy Muldoon pokazywał tym dwóm błękitne diamenty, oznajmił, że wysłał list do handlarza diamentami w Amsterdamie i kazał mu przekazać informację o nich do jakiegoś bankiera.

– Bankiera? – Royd zmarszczył brwi. – Więc Ross-Courtney nie zawiaduje ich finansami...

– Nie – potwierdziła Ellen. – Bo kiedy Muldoon to powiedział, lord Peter stwierdził, że ten bankier przekaże informację pozostałym.

– Pomyślałyśmy więc – ciągnęła Harriet – że moglibyście zabrać kilka błękitnych diamentów do Londynu i pokazać je w towarzystwie. Skoro są tak rzadkie, to może pozostali sponsorzy zaczną wypytywać, skąd je macie.

– Może pomyślą, że Ross-Courtney i Neill próbują ich wykiwać – dodała Mary. – Na pewno będą wtedy próbowali się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja, prawda?

Royd przez kilka sekund przypatrywał się kobietom.

– Genialna myśl – stwierdził wreszcie.

Wszystkie uśmiechnęły się promiennie, a Annie wystąpiła naprzód i podała zawiniątko Isobel.

– To najlepszy zestaw, jaki udało nam się złożyć. Starczy na porządny, duży, przyciągający uwagę naszyjnik.

– Dlaczego dajecie to mnie? – spytała Isobel.

– Przecież wracacie razem do Londynu.

– To prawda. Cokolwiek by się działo, zamierzam doprowadzić tę sprawę do końca.

– Świetnie. – Gemma skinęła głową na zawiniątko. – Te klejnoty wywabią szczury spod podłogi. Pomyślałyśmy, że najlepiej się nadajesz do noszenia takiego naszyjnika. Masz tak uderzającą urodę, że jak tylko wejdziesz do pokoju, każdy mężczyzna będzie się za tobą oglądał.

– A gdy kobiety zobaczą te diamenty, usłyszy o nich całe miasto – dodała Mary.

– I nasza czwórka nie będzie mogła się oprzeć – podsumowała Harriet. – Na pewno podejdą i spytają, skąd masz takie klejnoty.

Royd widział to wszystko oczami wyobraźni. Mogło się udać. Oczywiście był w tym pewien element niebezpieczeństwa, ale znał przecież Isobel.

Spojrzał na nią i zapytał:

– Piszesz się na to?

– Jak najbardziej – odparła i zwróciła się do pozostałych kobiet: – Jestem zaszczycona, że powierzyłyście mi tę misję. Ale mam jeden warunek. Kiedy naszyjnik spełni swoje zadanie, a my zdemaskujemy i poślemy na szubienicę wszystkich sponsorów, sprzedamy go, dochód zaś trafi do

waszego funduszu. Nikt poza ludźmi, którzy pracowali tu niewolniczo, nie powinien czerpać korzyści z tych kamieni.

Panie były nieco zmieszane i próbowały ją przekonać, żeby zachowała naszyjnik „za fatygę”, lecz wreszcie zmuszone były zaakceptować jej warunek.

Dziękując im, Royd zasugerował, że tymczasem najlepiej będzie zachować fakt istnienia kamieni i historię z naszyjnikiem w tajemnicy. Nigdy nie wiadomo, kto we Freetown może o tym usłyszeć i napisać do jakiegoś krewnego, który przypadkiem ma powiązania ze sponsorami.

– Im mniej osób o tym wie, tym lepiej – zakończył.

Isobel uścisnęła dłonie kobiet, a one wróciły do towarzystwa. Potem zaczęła przyglądać się paczce, obracając ją w rękach.

– Nabrałaś wątpliwości? – spytał Royd.

– O nie. Myślałam tylko, że skoro nie mogę się zabrać za Rossa-Courtneya, przynajmniej będę miała inne zajęcie.

Trzynaście

Wyruszyli jeszcze przed świtem. Wymaszerowali długą kolumną z terenu kopalni i obrali północną ścieżkę, która prowadziła na wybrzeże i do czekających tam statków.

Jedna grupa żeglarzy szła przodem, poszerzając maczetami drogę, żeby kobietom i dzieciom łatwiej było ją pokonać, druga maszerowała między grupami wyzwoleńców, na wypadek gdyby ktoś potrzebował pomocy.

Długość kolumny wynosiła niemal pół mili. Zamykali ją Hillsythe i Lascelle ze swoimi ludźmi, którzy prowadzili więźniów.

Z początku Ross-Courtney i Neill protestowali, odmawiając marszu w kajdanach, ale wkrótce się poddali. Trzej młodsi radzili sobie dość dobrze, lecz obu sponsorom było coraz ciężej, a francuska załoga Lascelle’a nie miała najmniejszego zamiaru podawać im pomocnej dłoni.

Bracia Frobisherowie i ich damy wraz z Dixonem, Fanshawe’em i Willem Hopkinsem opuścili obóz jako ostatni. Stojąc po wewnętrznej stronie obalonej bramy, po raz ostatni rozejrzeli się dookoła.

Dixon zapatrzył się na ziejące czernią wejście do kopalni. Fanshawe klepnął go w plecy, a wtedy inżynier odwrócił się i wraz z pozostałymi wyszedł za palisadę.

Wkrótce dogonili pochód i zaczęli kolejno rozmawiać to z jedną, to z drugą grupą wyzwoleńców.

Rozmowy dotyczyły tego, co ich czeka po powrocie do kolonii. Doświadczenie w kopalni zmieniło ich poglądy na życie i większość z nich pragnęła teraz czegoś więcej niż do tej pory.

Wreszcie kolumna zatrzymała się na dwudziestominutową przerwę. Kiedy znowu ruszyli w drogę, Royd znajdował się na jej czele. Isobel szła obok niego, rozmyślając o przyszłości.

Po godzinie zwolniła i poczekała na Caleba i Katherine (idąc w ślady Caleba, zaczęła teraz nazywać kuzynkę Kate, co zresztą bardziej do niej pasowało i bardziej jej się podobało). Wkrótce rozmowa zeszła na temat rodziny. Kiedy po dziesięciu minutach Caleb zostawił je, żeby porozmawiać z Lascelle'em, Isobel z uśmiechem zapytała Katherine o ich zamiary względem siebie. Nie zdziwiła się, słysząc, że natychmiast po powrocie do Aberdeen planują ślub. Najpierw jednak chcieli dokończyć sprawę ze sponsorami.

W tym momencie podeszły do nich Edwina i Aileen.

Kate, która wiedziała o dawnych zaręczynach Isobel, spytała:

– A co z tobą i Roydem? Przecież musicie w końcu sformalizować jakoś swój związek, prawda?

Oczywiście Edwina i Aileen natychmiast nadstawiły uszu.

Isobel odparła zgodnie z prawdą:

– Nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby o tym porozmawiać.

– Ale w końcu się pobierzecie, prawda? – drążyła Edwina.

Przez ostatnie kilka dni Isobel nabrała do pozostałych trzech kobiet szacunku i teraz nie chciała zbyć ich byle czym. Zresztą jeśli poślubiłaby Royda, stałyby się jej szwagierkami.

– Nie rozmawialiśmy o tym – oznajmiła z westchnieniem, po czym, ku własnemu zdziwieniu, dodała: – Ale spodziewam się, że pewnie tak.

Sama się zdumiała, że to mówi. Czyżby naprawdę podjęła już decyzję? Czy zrobiła to podświadomie w ciągu ostatnich dni?

Pozostała trójka rozprawiała dalej o weselach, a ona szła obok oszołomiona. Kiedy zastanawiała się nad tym, co z Roydem przeżyli w ostatnich tygodniach, naprawdę nie mogła znaleźć żadnego powodu, by nie sformalizować ich związku. Dlaczego więc się wahała?

Znała odpowiedź.

Chodziło o strach, zwyczajnie i po prostu – strach, który nadal nie do końca ją opuścił mimo niedawnych dramatycznych wydarzeń, a także bliskości i wzajemnego oparcia, jakie sobie dawali. Pracowali jak zespół. I to znakomity. Razem byli silniejsi niż każde z nich z osobna.

Przez lata oboje się zmienili – dojrzeli i zmądrzeli, ale też nabrali sporo pewności siebie.

Czy mogła zapomnieć o dawnych obawach? Czy mogła uwierzyć w miłość Royda, w jej stałość, na tyle, by znowu oddać mu serce?

Czy wierzyła, że Royd ją kocha, do tego stopnia, by z nim zaryzykować?

Wtedy Edwina zadała jakieś pytanie o Ionę i klan Carmodych. Isobel odetchnęła z ulgą i wróciła do rozmowy, która w końcu w nieunikniony sposób zeszła na temat dziecka Edwiny – rzekomo pierwszego z kolejnego pokolenia Frobisherów.

Nie licząc...

Późnym popołudniem, kiedy Royd zarządził postój i rozbili obóz, Isobel doszła do wniosku, że muszą wyznać prawdę rodzinie i przyjaciołom. Pomagała pozostałym kobietom zająć się dziećmi, co jak zwykle przywiodło jej na myśl Duncana. Znając syna, po dotarciu na wybrzeże nie zdołają ukryć jego obecności, a jedno spojrzenie na chłopca rozwieje wszelkie wątpliwości na temat jego pochodzenia.

Maszerowali przez cały dzień i udało im się przebyć dwie trzecie odległości. Wszyscy byli zmęczeni i po posiłku natychmiast ułożyli się do snu.

W obozie zapadła cisza i rozmowy zamarły, a zamiast nich rozległy się odgłosy pochrapywania.

Royd wyznaczył wachty na noc i jako jeden z ostatnich udał się na spoczynek. Wyciągnął się przy Isobel, nachylił nad nią i pocałował ją w czoło.

– Myślałem, że już śpisz.

Uśmiechnęła się.

– Prawie. – Czekała, żeby z nim porozmawiać. – Jutro rano zamierzam powiedzieć Edwinie, Aileen i Kate o Duncanie. Ty chyba też powinieneś wspomnieć o tym braciom.

Nie widziała jego twarzy, ale czuła, że Royd zastanawia się, co pchnęło ją do tej decyzji. Sama nie była tego pewna,

wiedziała tylko, że muszą to zrobić.

Wreszcie szepnął cicho:

– Powiem im. – I położył się, obejmując ją w pasie ciężkim ramieniem.

Isobel uśmiechnęła się i zasnęła.

***

Wstali przed świtem i po lekkim śniadaniu ruszyli w dalszą drogę.

Dzieci nie mogły się już doczekać widoku statków i ta myśl dodawała im skrzydeł. Podskakiwały wesoło za Roydem i jego braćmi, którzy szli za marynarzami na początku kolumny.

W miarę jak kopalnia zostawała coraz dalej w tyle, także dorośli zdawali się nabierać energii.

Isobel zaproponowała, żeby Edwina, Aileen i Kate popilnowały z nią przez chwilę dzieci, tak żeby pozostałe kobiety mogły odpocząć. Kiedy zdecydowanym głosem przywołała czterech chłopców do porządku, Edwina zauważyła:

– Widać, że masz doświadczenie w pilnowaniu tej zgrai w Carmody Place.

– Tak i nie – odparła po krótkim wahaniu Isobel. – Jest coś, o czym muszę wam powiedzieć.

Trzy pary oczu skierowały się na nią z ciekawością.

Isobel krótko opowiedziała im o Duncanie.

– Boże w niebiesiech! – zawołała Kate. – Nie miałam pojęcia, że urodziłaś dziecko.

– To było już ponad siedem lat temu. Duncan ma prawie osiem lat.

– I jest na pokładzie „Korsarza”, więc wkrótce go poznamy! – wtrąciła radośnie Edwina.

Aileen była dziwnie milcząca, jakby wciąż nie mogła się otrząsnąć ze zdumienia. Wreszcie kiedy Isobel popatrzyła na nią wymownie, powiedziała:

– Nadal trudno mi uwierzyć, że Royd nic nie wiedział. Jak on to przyjął?

– Właściwie całkiem nieźle. To ja zemdlałam.

To oczywiście spowodowało kolejne pytania i Isobel przyłapała się na tym, że odpowiada o wiele bardziej obszernie, niż planowała. Było to dziwnie oczyszczające doświadczenie.

Te kobiety były dla niej jak siostry. Przywykła do żeńskiego towarzystwa, lecz one... bardziej przypominały ją samą.

Wreszcie Kate stwierdziła:

– W takim razie to rozwiązuje kwestię waszego małżeństwa. – Widząc zdziwione spojrzenia Edwiny i Aileen, wyjaśniła: – Jeśli po zaręczynach urodzi się dziecko, rodzice muszą się pobrać albo matka musi oddać dziecko ojcu. A to oczywiście wykluczone.

Oczywiście. Isobel skinęła głową i rozmowa zeszła z powrotem na trzy nadchodzące śluby w klanie Frobisherów.

Myśl, że po tych wszystkich latach miałaby w końcu wyjść za Royda, pójść do ołtarza, przy którym będzie na nią

czekał... Osiem lat temu pobiegłaby ku niemu z radością.

Teraz...

Po ostatnich kilku tygodniach miała o wiele lepsze pojęcie, czego oczekuje od Royda i co sama musi z siebie dać, żeby ten związek był udany.

Pół godziny później zobaczyła, jak Caleb klepie Royda po plecach, a Declan i Robert obracają się i patrzą na nią ponad głowami idących między nimi dzieci. Odpowiedziała niewzruszonym spojrzeniem. Bracia odwrócili się z powrotem i pospieszyli za pozostałymi.

Kiedy późnym rankiem Royd zarządził odpoczynek, w powietrzu czuć już było zapach morza. Zatrzymali się tylko na dziesięć minut, bo wszyscy chcieli iść dalej.

Aż w końcu zupełnie niespodziewanie wyszli z dżungli na piasek.

Dzieci zaczęły krzyczeć i popędziły do wody, lecz nagle zamilkły, stanęły jak wryte i z otwartymi ustami wpatrywały się w sześć statków kołyszących się na kotwicy.

Najbliżej brzegu stały „Korsarz” i „Kruk”, a za nimi „Morski Smok”, „Trójząb”, „Kormoran” i „Książę”. Dalej majaczyły dwie jednostki marynarki, które miały zapewne eskortować flotę do Freetown, choć trudno było sobie wyobrazić, jak ktokolwiek, kto zna te statki i ich kapitanów, może sądzić, że będą wymagać ochrony.

Na widok „Księcia” Caleb krzyknął z radości i pobiegł do brzegu, machając rękami. Kate roześmiała się i podążyła za nim nieco bardziej statecznym krokiem.

Ludzie wylali się na plażę. Wiele osób usiadło na piasku, przymknęło powieki, odchyliło twarze do słońca i zwyczajnie głęboko oddychało.

Isobel również zamknęła oczy i cieszyła się świeżą słoną bryzą. Wraz z wilgotną duchotą dżungli zniknął ciężar, który przygniatał jej ramiona.

Otworzyła oczy i zobaczyła małą ciemnowłosą figurkę podskakującą na dziobie „Korsarza” i wymachującą dziko rękami. Ten widok wywołał uśmiech na jej twarzy. Odmachała, zauważając, że i Royd uniósł dłoń, po czym odwróciła się do Edwiny i Aileen i w przypływie matczynej dumy pokazała im Duncana.

Obie popatrzyły z nieukrywanym zainteresowaniem i Aileen stwierdziła, że chłopiec wydaje się bardzo wysoki jak na swój wiek.

– I pełen energii – dodała Edwina.

– To prawdziwy Frobisher – odparła Isobel z udawaną powagą. – Nie znam żadnego mężczyzny z tej rodziny, który nie miałby tej cechy.

Wszystkie roześmiały się głośno.

Rozległ się chrzęst piasku i dziób szalupy z „Księcia” zarył w plażę. Wszyscy znowu się roześmiali, gdy Caleb chwycił Kate w ramiona i zaniósł do łódki. Sam również wsiadł do środka, lecz nie pozwolił załodze wypchnąć czółna z powrotem na wodę. Zawołał do Royda, a ten zebrał pozostałych kapitanów, a także Dixona, Hillsythe’a, Fanshawe’a i Hopkinsa, aby podzielili wszystkich między poszczególne statki i nadzorowali ich przewóz. Jako

pierwsze podniosły kotwicę „Morski Smok”, „Kruk” i „Książę”. Wysunęły się na zatokę, rozwijając żagle. Okręty marynarki ruszyły na ich flankach.

Trzy panie patrzyły, jak ostatnie dwie szalupy zabierają więźniów.

– Ross-Courtney i Neill mają płynąć z Robertem, a pozostali trzej z Declanem – zauważyła Isobel. – Ciekawe, dlaczego nie na pokładzie „Korsarza”.

Gdy tylko Declan przyszedł po Edwinę, nie omieszkała go o to spytać.

– „Korsarz” jest najszybszy, a Royd musi dostać się do Londynu i złożyć raport. Popłynie do Southampton i stamtąd pojedzie powozem. W ten sposób oszczędzi na czasie. Robert i ja dotrzemy co najmniej o dzień później, jeśli nie więcej. Popłyniemy do Londynu, żeby przekazać więźniów prosto w ręce władz. Przy odrobinie szczęścia do tego czasu Royd i Wolverstone wymyślą, gdzie ich najlepiej zamknąć.

Isobel pokiwała głową.

Edwina popłynęła z Declanem na „Kormorana”, a Robert przyszedł po Aileen i ruszyli do czółna z „Trójzębu”.

Isobel patrzyła, jak Royd idzie w jej stronę. Wraz z kilkoma żeglarzami byli ostatnimi ludźmi na plaży. Czółno, które przewiozło właśnie grupę wyzwoleńców, wracało już na lekkiej fali i tym razem na dziobie widać było małą figurkę.

Isobel podeszła do Royda i kiwnęła głową w stronę łodzi.

– A już się zastanawiałam, czy przekona ich, żeby go puścili.

– Oczywiście, że tak – zachichotał Royd. – Ty byś to zrobiła i ja też... To oczywiste, że on także.

Isobel czuła na sobie jego spojrzenie, ale nie odrywała wzroku od chłopca.

– Gotowa?

W tym prostym pytaniu kryło się wiele znaczeń.

Odetchnęła i popatrzyła Roydowi w oczy. Ojciec i syn: dwaj najważniejsi ludzie w jej życiu.

W którymś momencie wędrówki przez dżunglę wreszcie dotarła do niej prawda. Przez wszystkie te lata Isobel zadawała sobie niewłaściwe pytanie. Nie chodziło o to, czy Royd kochał ją na tyle mocno, by mogła mu znowu zaufać, tylko o to, czy ona kocha go wystarczająco, aby zaryzykować.

Ta nowa perspektywa wszystko zmieniła. Isobel wreszcie zrozumiała strach, który poczuła, kiedy ujrzała Royda pod lufą pistoletu Dubois. Nie potrafiła go z niczym porównać. Nawet gdyby to w nią samą celowano, nie byłaby tak przerażona.

Jeśli ten czas w dżungli czegoś ją nauczył, to tego, że nic w życiu nie jest pewne.

– Tak – odpowiedziała krótko.

Royd spojrzał na nią czujnie, ale wiedział, że lepiej o nic nie dopytywać. Kiedy wyciągnął rękę, podała mu dłoń.

Razem ruszyli na spotkanie syna i wspólnej przyszłości.

***

Powrót porwanych do Freetown wzbudził prawdziwą sensację. Już sam widok majestatycznych, pełnych gracji statków, które dobijały do kei, wywołał zainteresowanie, ale kiedy z ich pokładów zeszli wszyscy zaginieni i rozniosła się wieść, co się z nimi działo, ze slumsów i nawet z Tower Hill napłynęły prawdziwe tłumy, żądne dowiedzieć się więcej.

Isobel uznała, że cała ta historia oraz wizyta w kolonii mogą stanowić cenną lekcję, więc przy poparciu Royda zabrała Duncana na brzeg w obstawie Williamsa i innych. Na nabrzeżu dołączyły do nich Edwina i Aileen. Podobnie jak Isobel, one również zamieniły spodnie na spacerowe suknie i miały ze sobą ludzi do ochrony. Isobel przedstawiła im syna, który ukłonił się i potrząsnął dłonie przyszłych ciotek.

Zeszli z kei. Kate wraz z innymi kobietami zaprowadziły już wszystkie dzieci na wschodni kraniec nabrzeża. W drodze uzgodniły, że każdy maluch zostanie odprowadzony do domu przez kogoś dorosłego, kto wyjaśni sytuację i sprawę z funduszem odszkodowawczym – a także dopilnuje, żeby dziecko spotkało się z serdecznym powitaniem, nie zaś z wyrzutami. Kilku marynarzy z załóg Frobisherów zgłosiło się do zadania jako dodatkowa obstawa.

Dzieci podzielono na grupy, lecz zanim ruszyli w drogę, wieści zdążyły się rozejść i co chwila w tłumie rozlegały się radosne okrzyki rodziców i rodzeństwa przepychających się do swoich zaginionych.

Isobel z zadowoleniem zauważyła, że wszystkie maluchy witano z radością i miłością. Bardzo szybko stało się jasne, że nie trzeba będzie iść z dziećmi dalej.

Słońce zeszło nad horyzont, barwiąc niebo wspaniałą paletą czerwieni, karmazynu i fuksji. Isobel wraz z innymi kobietami tłumaczyły roztrzęsionym rodzicom, że poza przymusową pracą ich pociech nie spotkało w kopalni nic gorszego i że kapitan Dixon z fortu wkrótce odwiedzi ich z informacją o odszkodowaniu. Kończyły radą, aby trzymać maluchy przy sobie, lecz wyglądało na to, że było to zupełnie zbędne upomnienie; żaden rodzic nie zamierzał spuścić dziecka z oka choć na chwilę.

Wszędzie było widać wzruszające obrazki: Kate ze łzami w oczach oddawała Diccona w ręce szalejącej z radości matki i rodzeństwa; Diccon puchł z dumy i chwalił się, że przekazywał wiadomości do obozu. Aileen przypatrywała się, jak matka Tilly tuli dziewczynkę w ramionach. Jej dłoń mimowolnie uniosła się do brzucha. Edwina, jak to ona, spokojnie rozmawiała z rodzicami starszych chłopców, a kiedy podeszła do niej matka Simona, wypytując ze strachem o syna, zabrała ją na bok i łagodnie powiedziała prawdę, po czym bez wahania objęła płaczącą kobietę, tuląc ją i pocieszając w cierpieniu.

Rodzice małej Amy przybiegli jako jedni z ostatnich. Gdy tylko zobaczyli córkę, matka rozpłakała się ze szczęścia, a ojciec padł na kolana i przygarnął małą do siebie. Amy była jedynaczką i widać było, że jej powrót znaczy dla nich więcej niż wszystkie skarby świata.

Patrząc, jak niewielka rodzina odchodzi nabrzeżem, Isobel ścisnęła rączkę Duncana i podeszła do Kate.

– Sama wkrótce będziesz miała dzieci. – Spojrzała w dół i uśmiechnęła się do syna. – Pomimo wszystkich dramatów warto.

Kate pokiwała głową i rozejrzała się po nabrzeżu.

– Nie mogę uwierzyć, że już ich nie ma i pewnie nigdy ich nie zobaczę.

Wreszcie wszyscy pożegnali się, obiecując, że będą do siebie pisać.

Zapadła noc i we wciąż zatłoczonym porcie zapłonęły pochodnie. Isobel z Duncanem, Edwina, Aileen i Kate ruszyli wzdłuż nabrzeża. Długa keja wybiegająca daleko na wody portowe nosiła nazwę Kei Rządowej. Były przy niej zacumowane „Korsarz”, „Kormoran” i „Trójząb”, podczas gdy „Książę” i „Kruk” podpłynęły do samego nabrzeża. „Smok Morski” nadal stał daleko na wodach portu, a przybyła niedawno „Małżonka” rzuciła kotwicę obok niego.

– Nasi kapitanowie zapewne zajęci są rozmowami z władzami i przygotowaniami do rejsu – zauważyła Aileen.

– Royd chce wypłynąć jak najszybciej – potwierdziła Isobel. – Ale musimy uzupełnić tyle zapasów, że wątpię, czy uda nam się wyruszyć już jutro.

– Powinnyśmy odwiedzić dziś państwa Hardwicke’ów – powiedziała Edwina, spoglądając na Aileen, po czym wytłumaczyła pozostałej dwójce: – Tydzień temu zajrzałyśmy do nich na chwilę przed wyruszeniem do

dżungli. Byli jednymi z niewielu osób, którym Robert i Declan wspomnieli o misji ratunkowej. Ktoś przecież musiał wiedzieć, dokąd się wybieramy. Uprzejmość wymaga, żeby osobiście ich powiadomić, jak się wszystko potoczyło, zamiast skazywać na plotki.

– No i to dzięki pani Hardwicke zdobyliśmy listę zaginionych – dodała Isobel. – Kate, ty też na niej byłaś. A wielebny Hardwicke może nie zdołał przekonać Holbrooka do działania, ale przynajmniej próbował.

– Chodźmy tędy – powiedziała Aileen, wskazując jakąś uliczkę.

Na głównej ulicy najęły dwa powozy, po czym pojechały na Tower Hill, gdzie spędziły miłą godzinkę, opowiadając wszystko pastorostwu przy pierwszej od kilku tygodni porządnej herbacie.

Pożegnawszy się, wróciły powozami na główną ulicę. Idąc w kierunku portu, dotarły do tawerny, gdzie znalazły sporą grupę uratowanych z kopalni mężczyzn, a także Dixona, Harriet, Fanshawe'a, Hopkinsa, Hillsythe'a i Lascelle'a.

Przyłączyły się do towarzystwa. Isobel wzięła Duncana na kolana – chłopiec wciąż nie zdradzał śladów senności – i przysłuchiwała się rozmowom. Hillsythe już wcześniej zapowiadał, że musi popłynąć do Londynu, żeby złożyć raport. Teraz dowiedziała się, że postanowił zabrać się na „Trójzębie".

– Żeby pomóc w pilnowaniu więźniów. Kto wie, może uda mi się przekonać Neilla, żeby zaczął sypać. Z nich dwóch wygląda na sprytniejszego i mniej aroganckiego.

Satterly, Muldoon i Winton umieszczeni zostali na „Kormoranie” i nie pozwolono im zejść na ląd.

Lascelle potwierdził, że „Kruk” wypłynie z Freetown wraz z flotą Frobisherów, ale tylko do Wysp Kanaryjskich.

– Tam właśnie byłem, kiedy Caleb poprosił, żebym się do niego przyłączył – wyjaśnił. – Mam tam sprawy, które muszę dokończyć.

Fanshawe i Hopkins spodziewali się, że po powrocie Eskadry Zachodnioafrykańskiej do portu powrócą do swoich obowiązków. Will obiecał zajrzeć następnego dnia do Aileen – siostra wciąż nie była gotowa się z nim rozstać, on zaś nadal nie potrafił otrząsnąć się ze zdumienia, że przybyła do kolonii, żeby go odnaleźć, i w tak znaczący sposób przyczyniła się do sukcesu misji ratunkowej.

Okazało się, że nie docenił jej determinacji. Aileen zamierzała bowiem dopilnować, aby mógł wrócić do Anglii na jej ślub z Robertem. Słysząc jej zacietrzewienie, Isobel stłumiła uśmiech. Spojrzała na Dixona, a kiedy do niej podszedł, zaczęli rozmawiać o zmarłej Daisy, której rodziny nikt nie znał.

– A jakie są twoje plany? – spytała akurat w momencie, gdy zbliżyła się do nich Harriet. – Wracasz do fortu?

Twarz inżyniera stężała. Wziął narzeczoną pod ramię.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy, kiedy weszłyście do gospody. Nie mam ochoty wracać pod rozkazy dowódcy, który nawet nie ruszył palcem, kiedy zaginąłem. – Skinął głową na grupę wyzwoleńców. – Pozostali mieli domy i pracę, do której mogą wrócić, ale ci tutaj to włóczędzy.

W kopalni pracowali pod moim kierunkiem. Sporo się nauczyli i wiem, na co ich stać. Ross-Courtney i Neill może kłamali, twierdząc, że przybyli tu w związku z nową inwestycją, ale to prawda, że w kolonii rozpaczliwie potrzebne są nowe domy. Zastanawiam się więc, czy nie sprzedać patentu oficerskiego i nie założyć firmy budowlanej. Freetown się rozrasta, ja zaś dysponuję sporą siłą roboczą.

– A ja go do tego zachęcam – powiedziała Harriet. – Jeb i dwóch czeladników kowalskich też chcą się przyłączyć. – Popatrzyła na Dixona z dumą. – Myślę, że wspólnym wysiłkiem damy radę.

– Na pewno tak – odparła z uśmiechem Isobel.

Kiedy tamci odeszli, Duncan spytał:

– Wracamy niedługo na kolację?

Żadne z nich nic nie jadło od obiadu, a Edwina i Aileen były przecież przy nadziei.

– Masz rację – stwierdziła Isobel, kładąc rękę na ramieniu chłopca. – Pora wracać na statki.

Zebrała pozostałe panie i pożegnały się z resztą towarzystwa. Ledwo wyruszyli w drogę, podbiegł do nich jakiś siwy starzec.

– Panno Hopkins! Wróciła panienka!

Aileen odwróciła się i uśmiechnęła szeroko.

– Dave! Faktycznie, wróciłam, i pan kapitan także.

Nie zwracając uwagi na Duncana, który szarpał ją za rękę i szeptał: „Chcę jeść!”, Isobel czekała cierpliwie, kiedy Aileen umawiała się z woźnicą na szybką wizytę na

pokładzie „Trójzębu” i spotkanie z Robertem następnego dnia. Spytała też Dave’a, czy nie zabrałby jej i pozostałych pań na wycieczkę powozem po mieście.

Dave uśmiechnął się promiennie i zapewnił, że byłby zaszczycony. Pożegnał się, a one pospieszyły na nabrzeże, gdzie Royd, Robert i Declan czekali na nie przy trapie „Księcia”. Najwyraźniej wszyscy już zgłodnieli, a „Książę” dysponował na tyle dużą jadalnią, żeby pomieścić tak liczne grono.

Posiłek okazał się prawdziwą ucztą.

– Kucharze musieli popędzić na zakupy, gdy tylko dobiliśmy do brzegu – rzekła Isobel, patrząc na wybór dań.

– To prawda – potwierdził Declan, pochłaniając udko perliczki. – I wszystkie załogi też korzystają z ich zapału.

Kiedy wreszcie zaspokoili apetyt i uprzątnięto zastawę, zaczęli się zastanawiać nad kolejnymi działaniami.

Royd powiódł wzrokiem po siedzących wokół stołu i zatrzymał się na Isobel i Duncanie, który – teraz już najedzony – opierał się sennie o matkę. Przez kilka sekund chłonął ten widok, po czym oświadczył:

– Rozpoczynając tę misję, wyznaczyliśmy sobie trzy cele. Udało nam się zrealizować pierwszy, czyli uratować porwanych z minimalnymi stratami i zwrócić ich rodzinom. Drugim celem było dopilnowanie, żeby sprawa została na dobre zamknięta, i chyba zrobiliśmy w tej kwestii wszystko, co mogliśmy. W kopalni nie ma już żadnych diamentów, Dubois i jego ludzie zostali rozgromieni, podobnie Kyle i jego gang, a trzech mężczyzn, którzy zainicjowali cały

plan, schwytaliśmy i przekażemy władzom w Londynie. Trzeba się jeszcze zająć tym diamentowym kupcem w Amsterdamie i naszym tajemniczym bankierem, ale tego mogą dopilnować Wolverstone i inni. Mają w tym zakresie większe możliwości.

Bracia potwierdzili, a panie czekały na ciąg dalszy.

– Pozostała nam ostatnia kwestia: zebranie dowodów, żeby skazać sponsorów. Dwóch z nich już złapaliśmy, ale nie chcą zeznawać. Co więcej, po powrocie do Anglii skorzystają ze swoich koneksji i pieniędzy, żeby wyjść na wolność. Co więc możemy zrobić, aby temu zapobiec?

– Mamy petycję – powiedziała Isobel. – Jestem za tym, żeby pokazać ją kilku wysoko postawionym i wpływowym osobom, zanim złożymy ją w ręce adresatów.

– Dobry pomysł – zgodził się Declan. – Lepiej nie ryzykować, że gdzieś się „zapodzieje”.

– Chcecie więc wykorzystać tę petycję, by dopilnować, żeby Ross-Courtney i Neill nie zostali wypuszczeni przed rozprawą na wolność – upewnił się Caleb. – Choć oczywiście gdyby sprawy miały się potoczyć zwykłym trybem, do tej rozprawy nigdy by nie doszło.

Robert przytaknął.

– Petycja uniemożliwi władzom wypuszczenie więźniów od ręki i pomoże Wolverstone’owi w naciskach, by zachować ich aresztowanie w sekrecie.

– To kwestia kluczowa, jeśli w ogóle mamy schwytać pozostałych czterech sponsorów – dodał Royd. – Ross-Courtney i Neill nie mogą ich ostrzec.

– Przynajmniej znamy ich liczbę – powiedziała Edwina, opierając brodę na dłoni. – A biorąc pod uwagę pozycję tych dwóch, sądzę, że możemy uznać za pewnik, iż reszta należy do arystokracji.

– Co z kolei spowoduje jeszcze większy nacisk na Melville’a
i innych, żeby dołożyć wszelkich starań w tej sprawie z uwagi na możliwe polityczne następstwa.

Kiedy wszyscy zamilkli, Isobel stwierdziła:

– Cała nadzieja w tych diamentach. – Popatrzyła Roydowi w oczy. Zdążyli już poinformować resztę o planie, który wymyśliły kobiety w kopalni. – Jeśli zdołamy zachować aresztowanie Rossa-Courtneya i Neilla w tajemnicy, widok naszyjnika z błękitnych diamentów, obnoszonego dumnie na salonach, na pewno sprowokuje pozostałych czterech do pytań.

– Zwłaszcza jeśli nosić go będzie nieznana w towarzystwie dama – dodała Edwina. – Nawet kiedy poznają twoje nazwisko, nie będą mieli pojęcia, skąd mogłaś wziąć te diamenty. Będą musieli zwrócić się bezpośrednio do ciebie. Nie zdołają się oprzeć. Świetnie się składa, że wracamy akurat na jesienny sezon. Sponsorzy niemal na pewno zjadą do Londynu i pojawią się na najważniejszych towarzyskich wydarzeniach.

– Ale przecież Wolverstone i jego ludzie z pewnością mogą wytropić ich przez tego handlarza w Amsterdamie i bankiera – wtrącił Declan.

– Bez wątpienia, o ile dysponowaliby nieograniczonym czasem. Ale w tym przypadku... – Royd pokręcił głową. – Moim zdaniem władze nie zdołają oprzeć się groźbom Rossa-Courtneya i Neilla i przetrzymać ich w zamknięciu tak długo, aby dało się to zrobić. Byłoby łatwiej, gdyby Muldoon znał przynajmniej nazwisko albo adres tego kupca, ale kontaktował się z nim tylko przez współpracujących z nim kapitanów, a ich nazwisk też nie zna. Zresztą idę o zakład, że oni także nie wiedzą, komu dokładnie przekazują przesyłki.

– Kimkolwiek jest ten kupiec – stwierdził Robert, kręcąc głową – dopilnował, żeby zatrzeć po sobie ślady. Odnalezienie go zajmie sporo czasu.

– A tymczasem gdy tylko Ross-Courtney lub Neill zdołają się spotkać z którymkolwiek ze swoich ludzi, czy to adwokatem, czy sługą, pozostali sponsorzy łącznie z kupcem i bankierem natychmiast zostaną powiadomieni i wszystkie dowody ich udziału w przedsięwzięciu znikną jak za sprawą czarów – powiedział ponuro Caleb.

Robert złożył ramiona na blacie.

– Bez względu na petycję i polityczną presję, gdy tylko stopy Rossa-Courtneya i Neilla dotkną angielskiej ziemi, grunt zacznie nam się palić pod nogami. Ja też się zgadzam, że nie możemy zostawić sprawy w nadziei, iż Wolverstone i jego ludzie wyśledzą tego kupca, a przez niego bankiera i resztę.

– Co prowadzi nas z powrotem do sprawy naszyjnika z błękitnych diamentów – rzekł Royd. – Musimy

wykorzystać go jako przynętę.

Pukanie do drzwi zapowiedziało wejście Jolleya.

– Pan Stewart przesyła pozdrowienia i każe przekazać, że przybył Jego Ekscelencja pan gubernator oraz wiceadmirał Decker. Zgodnie z rozkazami są na głównym pokładzie.

Royd skinął głową.

– Powiedz panu Stewartowi, że już idę.

Jolley zasalutował i wyszedł.

Royd rozejrzał się dookoła.

– Jak dotąd nieźle sobie poradziliśmy i wiemy, co czeka nas dalej. To był długi dzień. Myślę, że możemy zakończyć na tym rozmowę. Jutro rano zwołam naradę kapitanów, żeby potwierdzić plan żeglugi. A na razie lepiej pójdę rozmówić się z Holbrookiem i Deckerem.

A potem odsunął krzesło i wstał.

– Potrzebne ci jakieś wsparcie? – spytał Robert.

– Biorąc pod uwagę to, co mam im do powiedzenia, im mniej będziemy mieli świadków, tym lepiej – odparł po krótkim namyśle Royd.

Isobel tymczasem rozbudziła przysypiającego Duncana i także wstała.

Wyszli we trójkę i ruszyli do Kei Rządowej, gdzie stał „Korsarz”.

– Domyślam się, że miałeś powody, by wezwać Holbrooka i Deckera do siebie, zamiast umawiać się z nimi gdzieś w kolonii – powiedziała Isobel.

– To mój teren, a poza tym chodzi też o autorytet. – Royd wzruszył lekko ramionami. – Z ludźmi ich pokroju takie

detale nie są bez znaczenia.

Doszli do trapu. Isobel popatrzyła na Duncana, który nie przestawał ziewać.

– Pomogłabym ci ustawić Ralpha do pionu, ale chyba nie potrzebujesz niczyjej pomocy, a obecność kobiety w tej sytuacji nie jest wskazana. Położę Duncana do łóżka.

Royd uśmiechnął się do niej. Kiedy weszli na pokład, Isobel chłodno skinęła głową Holbrookowi i Deckerowi. Obaj ukłonili się w odpowiedzi.

– Zostawię panów samych – rzekła i pociągnęła Duncana w stronę zejściówki.

Decker wlepił spojrzenie w chłopca.

Royd odczekał chwilę, żeby Isobel z Duncanem zdążyli dojść do kajuty, po czym odezwał się:

– Witam na pokładzie „Korsarza”, obecnie w służbie Jego Królewskiej Mości. Dziękuję, że raczyli panowie przybyć na spotkanie. – Nie czekając na odpowiedź, ruszył pod pokład. – Na dole będziemy mogli porozmawiać bez świadków.

Poprowadził ich do kajuty na rufie. Zajął fotel za biurkiem i wskazał gościom dwa proste krzesła stojące z przodu.

– Siadajcie, panowie.

Było to jedyne ustępstwo, na jakie gotów był się zgodzić – pozwoli im słuchać o ich niekompetencji na siedząco.

Holbrook i Decker wymienili spojrzenia. Wyraźnie im się nie podobało, że Royd przejął inicjatywę.

Kiedy Bellamy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Royd złożył ręce na stole i popatrzył na obu mężczyzn.

– Pozwolą panowie, że opowiem, co się tu działo przez ostatnich kilka miesięcy tuż pod waszymi nosami.

Opisał pokrótce plan Satterly'ego, Muldoona i Wintona, zrealizowany przy finansowym wsparciu Rossa-Courtneya, Neilla i czterech innych, dobitnie informując o niedociągnięciach w zarządzaniu kolonią, które szajka postanowiła wykorzystać. Nie szczędził im żadnych szczegółów, jeśli chodzi o życie więźniów, o groźby, jakimi posłużył się Dubois w stosunku do kobiet i dzieci, o los Daisy i warunki w obozie. Opowiedział również o próbach porwania Edwiny oraz Aileen i że za pierwszą z nich odpowiada nieobecna w tej chwili żona Holbrooka.

– Wszystko to, panowie, wydarzyło się na waszej wachcie. To wy ponosicie za to odpowiedzialność i ignorancja nie stanowi tu żadnego usprawiedliwienia.

Decker pozieleniał na twarzy.

Holbrook z kolei zrobił się niemal fioletowy.

– Zapewniam, że teraz, kiedy znamy już sytuację, rozprawimy się z winnymi... – zaczął.

– O nie. – Royd rozparł się na fotelu. – Więźniowie pozostaną na pokładzie naszych statków. Przekażemy ich bezpośrednio do Londynu.

Decker pojął wreszcie powagę sytuacji i rozumiejąc swoją winę, aż nazbyt chętnie odstąpił Roydowi wątpliwą przyjemność opieki nad Rossem-Courtneyem i Neillem.

Jednak Holbrook, choć ponosił o wiele większą odpowiedzialność niż wiceadmirał, wciąż nie rozumiał, w jak trudnym położeniu się znalazł.

– Proszę posłuchać, panie... to znaczy kapitanie. Ross-Courtney to ważna figura. Neill również. Ich inwestycja w tej kolonii miałaby ogromne znaczenie...

– Ta kolonia w ogóle ich nie interesuje – wycedził Royd. – Jedyne, co ich obchodziło, to kopalnia diamentów. Tylko to chcieli obejrzeć. Bajka, którą panu opowiadali, była obliczona na to, by pana zwieść, co ewidentnie się udało.

Holbrook wyglądał, jakby uszło z niego powietrze. Już miał zaproponować, aby przekazano w jego ręce przynajmniej trzech głównych odpowiedzialnych, żeby mógł ich ukarać. Chciał w ten sposób ułagodzić rodziny porwanych osób, które opłakiwały swoich bliskich, podczas gdy on upierał się, że wszyscy ci mężczyźni, kobiety i dzieci zwyczajnie odeszli do dżungli w poszukiwaniu szczęścia.

Royd jednak stwierdził tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Rozkazano mi zabrać wszystkich więźniów do Londynu. Nasze statki uzupełniają właśnie zapasy i pojutrze ruszymy w drogę. Blokada musi pozostać na miejscu aż do końca dnia, kiedy podniesiemy kotwice – dodał w stronę Deckera.

– Zapewne chodzi o to, by żadna informacja o więźniach nie dotarła przed nimi do Anglii? – zapytał wiceadmirał.

– Właśnie. Wszyscy, których uratowaliśmy, wiedzą, jakie to ważne, aby nikomu nie mówili o Rossie-Courtneyu i Neillu. Poza nimi i członkami ekipy ratunkowej tylko panowie znają tożsamość naszych więźniów. – Zniżył głos. – Jeśli przed rozprawą do Anglii dotrze jakakolwiek wiadomość albo list przesłany do najbardziej nawet dyskretnego korespondenta, zapewniam, że poniosą

panowie poważne konsekwencje. Lepiej nie sprawdzajcie determinacji osób, którym zależy na sprawiedliwej karze dla winnych.

Po kilku sekundach kiwnął głową i się podniósł.

– Życzę miłego wieczoru. Jeśli przed wyjazdem będę potrzebował jeszcze panów pomocy, na pewno o tym zawiadomię.

Otworzył drzwi, po czym wyszedł za gośćmi i patrzył, jak schodzą z jego statku.

Podszedł do niego Liam Stewart i razem obserwowali, jak Holbrook kieruje się na nabrzeże, gdzie zapewne czekał jego powóz. Decker ruszył w drugą stronę, przypuszczalnie do szalupy, która miała go przewieźć z powrotem na jego okręt.

– Chyba dobrze poszło? – spytał Liam. – Albo przynajmniej wystarczająco dobrze?

– To drugie. – Royd skrzywił się. – Pomimo swoich wad Decker nie jest głupcem. Holbrook jednak... – Pokręcił głową i zawrócił w kierunku zejściówki, lecz nagle coś sobie przypomniał.

– Prześlij wiadomość: jutro o dziesiątej zarządzam spotkanie kapitanów. Na pokładzie „Małżonki”.

– Tak jest, kapitanie. – Liam zasalutował i odszedł, żeby wykonać zadanie.

Royd wrócił do kajuty. Otworzył cicho boczne drzwi prowadzące do kabiny Duncana.

Isobel siedziała na skraju łóżka.

Royd spojrzał na lekko zarumienioną buzię chłopca. Nawet we śnie promieniała niewinnością i radością życia.

Wiedział, że zrobi wszystko, zapłaci każdą cenę, byle tylko móc patrzeć, jak jego syn dorasta. Pragnął chronić go i prowadzić przez życie, przyglądać się, na jakiego człowieka wyrośnie.

Przeniósł spojrzenie na Isobel. Patrzyła na Duncana i jej twarz rozjaśniała głęboka matczyna miłość. Royd wiedział, że ona również zawsze będzie stać u boku ich syna, żeby go chronić. Prawdziwa Amazonka.

Po chwili wyciągnął do niej rękę i zaprowadził do głównej kajuty.

Kiedy weszli, obrócił ją i oparł o drzwi. Przysunął się bliżej, a ona położyła ręce na jego piersi, spojrzała mu w oczy i uniosła pytająco brew.

Royd nachylił głowę i ją pocałował. Odpowiedziała tym samym.

Kiedy zaczęli się rozpalać, objęła go ramionami i przywarła do niego. Nacisk jej ciała, dotyk długich szczupłych ramion i bujnych krągłości był niczym prowokacja.

Zapłonęło w nich pożądanie.

Zawirowali jak w walcu, sięgając chciwymi palcami po tasiemki i guziki.

Zanim dotarli do łóżka, zdążyli już zedrzeć z siebie wszystko. Padli na jedwabną narzutę.

Isobel westchnęła i pociągnęła Royda na siebie, wpijając palce w jego ramiona.

Royd chciał jej przekazać pewne rzeczy, podzielić się uczuciami, kiedy jednak zawiodły go słowa, odwołał się do języka kochanków.

Do dotyku i pieszczot, muśnięć warg i nieznośnie delikatnego nacisku opuszek palców.

Do gorących pocałunków.

Do głaskania, pieszczenia, rozpalania.

Kochał ją z troską, oddaniem i szacunkiem.

Isobel nie mogła już wytrzymać, lecz on wciąż ją powstrzymywał, zwiększając tylko pożądanie.

Chciał, by wiła się z rozkoszy, by smakowała to wszystko, by poczuła i zrozumiała, że jest jej w pełni oddany.

Bo tak też było i Royd wiedział – nawet wtedy, osiem lat temu – że to właśnie ona jest jedyną kobietą, z jaką mógłby się związać, że tylko w jej ramionach znajdzie prawdziwe ukojenie.

Kiedy wreszcie wsunął się w jej miękkie wnętrze, przymknął oczy, starając się zapanować nad rozbudzonymi popędami, lecz ona wygięła się pod nim w łuk i pociągnęła za sobą, aż wreszcie wszelkie tamy pękły i oboje stracili poczucie rzeczywistości.

Porwała ich fala i znaleźli się w znajomej czarownej krainie, gdzie nie istniało nic poza nimi.

Mknęli przed siebie w nieprzerwanym rytmie...

Aż unieśli się w niebo.

Westchnęli i przywarli do siebie w cudownej ekstazie.

Rozkosz powoli wygasała, aż wreszcie wrócili z powrotem na ziemię, do tu i teraz, w swoje objęcia.

Royd przewrócił się na plecy, a Isobel ułożyła się jak zwykle z głową na jego piersi.

Po kilku minutach przypomniał sobie, gdzie są i dokąd zmierzają, i o tych wszystkich pytaniach, które go dręczyły.

Nawinął na palec pukiel długich włosów Isobel.

– Wracamy do domu. Postanowiłaś coś zatem?

Minęło kilka sekund, zanim odpowiedziała. Royd czuł jej oddech na rozgrzanej skórze.

– Moim zdaniem powinniśmy dalej podążać w tym samym kierunku i zobaczyć, dokąd nas to zawiedzie.

– Do ołtarza. Czy to znaczy, że za mnie wyjdziesz?

– Tak.

I to wszystko?

– Więc wierzysz, że cię kocham?

Isobel uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo przez to właśnie się kiedyś rozstaliśmy, prawda? – Kiedy nie odpowiedziała, mówił dalej: – Myślałaś, że moje zniknięcie oznacza, że cię nie kocham, że zaręczyłem się z tobą z innych powodów i tak naprawdę wcale mi na tobie nie zależy. Prawda, że o to chodziło?

Isobel zmarszczyła brwi.

– No tak, ale wtedy było wtedy, a teraz jest teraz.

– Czy to znaczy, że wreszcie rozumiesz, że naprawdę cię kocham?

Nagle stało się dla niego sprawą kluczową, żeby odpowiedziała „tak”.

Isobel patrzyła na niego, jakby czepiał się szczegółów.

– Skoro już musisz wiedzieć, to kiedy doszliśmy wreszcie na plażę, doznałam swego rodzaju objawienia. Zdałam sobie sprawę, że nie ma znaczenia, jak bardzo mnie kochasz, to było z mojej strony zupełnie niewłaściwe pytanie. Liczy się to, co ja czuję do ciebie. I dlatego właśnie postanowiłam z tobą zostać i cię poślubić.

To powinno Roydowi wystarczyć.

Ale nie wystarczyło.

– Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Muszę wiedzieć, że mi wierzysz.

Do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebuje.

Isobel westchnęła, podparła się na łokciu i spojrzała na niego.

– Wiem, że mnie kochasz albo przynajmniej głęboko w to wierzysz. Nie wiem tylko, czy słowo „miłość” znaczy dla ciebie to samo co dla mnie. Ale chyba jedyny sposób, żeby się tego dowiedzieć, to zwyczajnie spróbować. To ryzyko, które muszę podjąć... które oboje musimy podjąć. Odpowiedź da nam tylko wspólne życie.

Royd nie bardzo mógł się z tym spierać. Pragnął wymusić na Isobel uznanie faktu, że jego miłość dorównuje jej uczuciu, że jest tak samo silna i wierna. Znał jednak swoją towarzyszkę i wiedział, że nigdy nie wygra w tej dyskusji.

Zapatrzył się w baldachim nad ich głowami, aż wreszcie objął Isobel i pocałował jej jedwabiste włosy.

– O ile tylko zaakceptujesz tu i teraz, że nigdy nie dam ci odejść – powiedział stanowczo.

Isobel poklepała go po piersi.

– Wiem o tym. I dla jasności: ja też nigdy nie zrezygnuję z ciebie. Ani z Duncana.

Czternaście

Postawili żagle i odpłynęli na porannej fali. Isobel siedziała z Duncanem na dziobie. Wiatr szarpał jej upięte włosy, a morska piana pryskała na twarz, kiedy „Korsarz” wyszedł z portu, wiodąc za sobą flotę Frobisherów.

Isobel popatrzyła na syna. Na widok radości i zachwytu na jego twarzy jej serce wezbrało dumą.

Obejrzała się na Royda, który stał na szeroko rozstawionych nogach za sterem. Wzrok miał utkwiony daleko przed sobie, obserwował siłę prądu i wiatru.

– Mamo! Spójrz! – Duncan szarpnął ją za rękaw.

Isobel spojrzał w górę na trzy maszty, na których rozwijały się właśnie trumsle.

Żagle załopotały, po czym wypełniły się bryzą i szarpnęły.

Statek przyspieszył.

Isobel wychyliła się za burtę i popatrzyła do tyłu. Pozostałe jednostki podążały za nimi w nierównym szeregu.

– Co za widok – westchnęła niemal z nabożnością.

Pracowała przy wszystkich tych statkach, wprowadzając na nich zmiany obmyślone przez Royda. Widząc je teraz pod żaglami, piękne i sunące majestatycznie po falach niczym pełne gracji damy, uśmiechnęła się z dumą.

W dali za statkami majaczyły port i miasto Freetown. Jako ostatnie zniknęło w morskiej mgiełce Tower Hill.

Opuszczali kolonię i jej mieszkańców w lepszym stanie, niż ich zastali. Uratowali porwanych i położyli kres strasznemu przedsięwzięciu. Świadomość tego, co osiągnęli, dawała im satysfakcję, lecz musieli pogodzić się z faktem, że misja nie dobiegła jeszcze końca.

Isobel wiedziała, że postawa Melville'a i innych w rządzie była nieco cyniczna, lecz zgadzała się z nimi co do działań, jakie należało podjąć. Sprawiedliwości musiało stać się zadość, i to w sposób przejrzysty i bezstronny.

„Korsarz" dopłynął do szerokiego ujścia delty i reje zaskrzypiały, kiedy Royd zmienił kurs i skierował dziób na północ.

Do domu.

A w każdym razie do Londynu – był to przedostatni etap ich podróży. Wszystko, co należało zrobić po powrocie do Aberdeen – ustalenia, decyzje i dyskusje dotyczące ich przyszłego życia – mogło poczekać.

Myśli Isobel pobiegły ku doświadczeniom ostatnich kilku tygodni. Przywykła do towarzystwa kobiet, ale współpraca z Edwiną, Aileen i Kate, aby zapewnić przedsięwzięciu sukces – to było zupełnie nowe wyzwanie. Bardziej wymagające, bardziej podniecające – może nawet bardziej niebezpieczne – ale także nieporównanie bardziej satysfakcjonujące.

Nie spodziewała się, że te trzy kobiety staną się dla niej siostrami, ale przecież wszystkie związały swój los z mężczyznami z rodu Frobisherów, więc może jednak nie było w tym nic dziwnego.

Usłyszała za sobą kroki Royda i poczuła na ramieniu jego dłoń. Podniosła wzrok i zobaczyła, że spogląda na Duncana. Chłopiec z kolei wpatrywał się w niego z wyrazem oczekiwania i gotowości, żeby rzucić się w każdą przygodę, na jaką zabierze go ojciec.

Ta pewność siebie i głód życia były typowe dla wszystkich Frobisherów, lecz w Roydzie znalazły szczególny wyraz.

Ona również miała te cechy. Może nie czuła potrzeby, żeby szukać emocji w odległych krainach – w domu czekało na nią dość wyzwań – lecz dzikie i egzotyczne lądy nie były jej straszne. Ze wszystkim potrafiła sobie poradzić.

Powrót do Royda przypomniał jej o tym. Ta misja znowu otworzyła drzwi, które Isobel dawno zatrzasnęła, i wyzwoliła coś, co przez ostatnich osiem lat czekało w uśpieniu.

Znowu była całością.

Przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez Ionę, kiedy ta dowiedziała się, że Royd zgodził się zabrać Isobel w rejs. „Nie możecie dłużej żyć w tym permanentnym stanie zawieszenia. Musicie rozwiązać tę sytuację”. Czyżby jej babka wiedziała, jak to się skończy?

Zastanawiała się nad tym, patrząc na twarz Royda i myśląc o tym, co powiedział jej ostatniej nocy.

Royd z uśmiechem zmierzwił włosy Duncana, po czym spojrzał na Isobel. To, co zobaczył w jej oczach, chyba w zupełności go usatysfakcjonowało. Tego ranka, zanim zostawił ją śpiącą w łóżku, przyjrzał się jej twarzy i stwierdził, że miała rację: tylko czas i doświadczenie

przekonają ją, że jego miłość do niej jest tak samo silna jak jej miłość do niego.

Miał na to całe życie.

Co prawda wolałby, żeby sprawy potoczyły się nieco szybciej, lecz w przypadku Isobel więcej można było zdziałać cierpliwością i stałością niż naciskami. Był gotów zaczekać, aż wreszcie przełamie wszelkie opory i pokocha go jak kiedyś, z zapamiętaniem, które tak go urzekło.

Fala uderzyła w dziób i Isobel odwróciła się w tę stronę. Royd również.

Błękitna tafla wody sięgała aż po horyzont. Słońce migotało na falach, bryza omiatała im twarze.

Płynęli pod pełnymi żaglami, a przed nimi rozciągała się przyszłość.

– Naprzód – rzekł Royd.

– Do Londynu. – Isobel nakryła jego rękę dłonią.

– A ja też mogę pojechać? – spytał Duncan.

– Czemu nie? – Royd popatrzył pytająco w oczy Isobel.

– Będę grzeczny – powiedział chłopiec błagalnie, wpatrując się w matkę.

– No dobrze – odparła po chwili wahania. – Ale musimy ustalić pewne zasady.

***

Wiatry i pogoda im dopisały, więc po jedenastu dniach wpłynęli na wody Southampton. Poranna mgła już się rozwiała i słońce lśniło blado na szaroniebieskiej powierzchni morza.

Isobel stała na pokładzie rufowym, ze zdumieniem uświadamiając sobie, jak bardzo barwy i zapachy Anglii różnią się od tych, które zostawili za sobą.

Royd zakręcił kołem i poprowadził „Korsarza” na keję Frobisherów. Duncan trzymał się relingu obok niego i obserwował każdy ruch ojca, nasłuchiwał rozkazów i przyglądał się, co dzieje się potem na statku i jak zmienia się ich kurs.

Isobel przez cały rejs uczyła się życia z Roydem – takim, jaki teraz był. Oboje uczyli się siebie nawzajem. Musieli wypracować jakieś zasady współżycia i morska podróż z dala od wszystkich krewnych była ku temu znakomitą okazją.

Royd okazał się wspaniałym ojcem. Jego więź z Duncanem, choć wciąż jeszcze musiała okrzepnąć, była już bardzo silna. Chłopiec wciąż odruchowo szukał pociechy u matki, lecz to do Royda zwracał się po nauki w dziedzinie tego, co znaczy być mężczyzną.

I Frobisherem.

We trójkę spędzali czas na rozmowach i układaniu planów, lecz kwestie związane z weselem odłożono do czasu powrotu do Aberdeen. Najpierw musieli zakończyć swoją misję.

Kiedy Royd podprowadził statek pod keję i żeglarze zeskoczyli, żeby go przycumować, Isobel podeszła do drabinki.

– Przed wyjazdem muszę oddać do stoczni piłę. Pójdę tam, kiedy ty będziesz załatwiał sprawy w biurze. W ten

sposób nie zmarnujemy czasu.

Royd pokręcił głową.

– Musimy wyruszyć najszybciej, jak tylko się da. Ktoś z biura może to oddać i przekazać wyrazy wdzięczności.

– No dobrze.

Przynajmniej Duncan nie będzie musiał wybierać, czy woli iść z matką do stoczni, czy z ojcem do biura kompanii. Ku niejakiemu zdziwieniu Isobel Royd wyjaśnił chłopcu, na czym dokładnie polega jej praca, w związku z czym Duncan uparł się, że następnym razem koniecznie musi się z nią wybrać do stoczni. Cieszyła się z zainteresowania syna – to jeszcze mocniej ich ze sobą zwiąże.

Gdy tylko statek przycumowano, Royd przekazał dowodzenie Liamowi.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, ile czasu będziemy musieli pozostać w Londynie. Uzupełnijcie tu spokojnie zapasy, a potem tam przepłyńcie. Daj mi znać, kiedy dotrzecie na miejsce, a potem wszyscy mogą zejść na ląd i zrobić sobie urlop. Dołączymy do was, gdy tylko zakończymy nasze sprawy.

– Mam nadzieję, że ich złapiecie – powiedział Liam, salutując.

– My też – zgodził się Royd, patrząc w oczy Isobel.

Polecił Bellamy’emu, żeby przesłał spakowane już torby i kufry do gospody, skąd mieli nająć powóz, a sam zszedł z Isobel i Duncanem po trapie. Razem przeszli szybko do biura Kompanii Transportowej Frobisher i Synowie.

Higginson, kierownik biura, poznał Isobel i Duncana podczas poprzedniej wizyty w Southampton. Teraz zaczął wypytywać chłopca o Freetown, podczas gdy Royd uzupełniał wpisy w księdze i zlecał wypłatę pensji dla swoich oficerów i załogi.

– Po uzupełnieniu zapasów pan Stewart przeprowadzi statek do Londynu. Stamtąd popłyniemy do domu – powiedział, oddając Higginsonowi księgę.

– Oczywiście, kapitanie Frobisher. Miło było znowu panią zobaczyć, panno Carmichael. – Starzec kiwnął głową w kierunku Isobel, a ona uśmiechnęła się łaskawie.

– Do następnego razu, panie Higginson.

Potem Royd zaprowadził Isobel i Duncana do gospody.

Piętnaście minut później byli już w drodze do Londynu.

***

Wczesnym wieczorem spotkali się z Wolverstone'em i Melville'em. Royd przesłał wcześniej zwięzłą wiadomość, dlatego wchodząc wieczorem do salonu Wolverstone'a, nie zdziwił się, widząc towarzystwo zaproszone przez księcia po to, by wysłuchać jego sprawozdania.

Minerva wstała, żeby ich przywitać, i dokonała prezentacji. Royd znał już niektórych z obecnych; podobnie jak on, wszyscy pracowali kiedyś z Wolverstone'em. Christiana Allardyce'a, markiza Dearne, który był niegdyś jednym z najbardziej zaufanych agentów księcia, widywał już dawniej, a Jacka, lorda Hendon, właściciela Kompanii Transportowej Hendon, znał z kręgów zawodowych.

– Tylko nie mów mi, że wy również wykonujecie na boku rządowe zlecenia – powiedział do niego.

– Niestety nie – odparł tamten, prychając. – Tylko jedna firma ma listy kaperskie i jest nią wasza kompania. Ja znajduję się tu z uwagi na moją wojskową przeszłość. – Po tych słowach przedstawił mu majora Rafe'a Carstairsa.

Royd przypominał sobie to nazwisko.

– Był pan zaangażowany w sprawę Czarnej Kobry – powiedział.

– To prawda, dlatego właśnie ta misja tak mnie interesuje. Nadal pracuję w zawodzie, ale teraz działam stąd, ze sztabu głównego. Przywozicie więźniów, więc zapewne będę miał do odegrania jakąś rolę. – Wydawał się z tego zadowolony.

W tym momencie Isobel wręczyła Wolverstone'owi petycję wyzwoleńców. Minerva i Dearne stanęli po obu stronach księcia i wraz z nim przejrzeli jej treść i podpisy. Minerva zwróciła uwagę na nabazgrane podpisy dzieci.

Wolverstone podał petycję Carstairsowi i Hendonowi, po czym pokiwał głową.

– To na pewno pomoże. Dam to do obejrzenia jeszcze kilku osobom i osobiście przekażę premierowi. Nie ma potrzeby jeszcze bardziej denerwować w tej chwili Melville'a.

Jakby na sygnał rozległo się pukanie do drzwi, po czym wszedł kamerdyner i zaanonsował Pierwszego Lorda Admiralicji.

– Chyba wszystkich już tutaj znasz – zwrócił się do niego Wolverstone.

Melville rozejrzał się i przytaknął.

– Wyśmienicie. – Wolverstone poprosił gości o zajęcie miejsc. – W takim razie zaczynajmy. Z liściku Royda wynika, że mamy mało czasu.

Royd usiadł obok Isobel na długiej sofie i opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło, od kiedy dopłynęli do Freetown.

Isobel opisała warunki, w jakich przebywały kobiety i dzieci, a także śmierć Daisy. Przypuszczała, że ta zbrodnia zrobi większe wrażenie, jeśli to ona o niej opowie, i sądząc po twarzach zgromadzonych, miała rację.

Potem Royd znowu zabrał głos. Melville zaniepokoił się, usłyszawszy o udziale Satterly'ego, Muldoona i Wintona, lecz na wiadomość, że zostali już schwytani i znajdują się w drodze do Londynu, poczuł pewną ulgę.

Kiedy Royd ujawnił, że podczas pacyfikacji obozu udało im się również pochwycić dwóch sponsorów i potwierdzić, że zostało jeszcze czterech, wszyscy nadstawili uszu.

– Rozumiem, że ci dwaj też są w drodze do Londynu? – upewnił się Wolverstone.

– Zgadza się. Trzymamy ich osobno od pozostałych trzech. – Royd opisał, czego się dowiedzieli o całym przedsięwzięciu od Satterly'ego, Muldoona i Wintona.

Wolverstone pokiwał głową.

– Doskonale. Więc kim są ci dwaj, których schwytaliście?

Royd wyjawił nazwiska.

Melville zbladł. Otworzył usta, zamknął je, znowu otworzył i wreszcie zdołał wydusić:

– Dobry Boże...

– No tak. – Wolverstone złożył palce w piramidkę i zmarszczył brwi. – To rzeczywiście nieco komplikuje sprawę.

Dearne, który przyglądał się Pierwszemu Lordowi, teraz przeniósł spojrzenie na Wolverstone’a.

– Jeśli Ross-Courtney wciągnął w swój plan kogoś pokroju Neilla, to możemy być pewni, że i pozostali należą do wyższych sfer.

Melville zamachał pulchnymi rękami z wyraźnym poruszeniem.

– Ależ to okropne wieści! Nie dość, że koniecznie musimy złapać tych sponsorów i publicznie ich ukarać, to jeszcze mamy ich szukać w takim środowisku, a przecież nie mamy nawet dostatecznych dowodów!

– Zdobędziemy je – odparł Wolverstone z pozoru łagodnym tonem, któremu kłam zadawał twardy wyraz jego oczu.

Melville zerwał się na nogi i zaczął krążyć po pokoju, obgryzając paznokieć.

– Mówię wam, że rząd nie odpuści, dopóki nie rozwiążemy tej sprawy. Zwłaszcza po incydencie z Czarną Kobrą i wszystkich niedawnych niepokojach.

– Dwóch sponsorów mamy już w swoich rękach – odpowiedział Dearne. – Nawet jeśli nadal będą się wypierać swojego udziału, możesz być pewien, że znajdziemy jakieś tropy.

– I ty, i rząd wiedzieliście, że będzie w to zaangażowany ktoś o wysokiej pozycji – powiedział Rafe Carstairs, patrząc na krążącego w kółko Melville’a. – Dlatego tak wam zależy, żeby postawić przed sąd wszystkich winnych. Bo wiecie, że na szali leżą wasze polityczne kariery. Ale – tu podniósł dłoń, aby powstrzymać gniew Melville’a – zgadzam się, że bez tego może dojść do... niepożądanych sytuacji.

– Melville – rzekł Wolverstone. – Proponuję, żebyś przygotował swoich kolegów w rządzie. Niezależnie od ich zapatrywań nie mamy innego wyboru. Nie możemy zamieść tego wszystkiego pod dywan i liczyć, że nikt nie zauważy. Zbyt wiele osób już wie o udziale Rossa-Courtneya i Neilla. Sponsorzy mogą się zapierać, ale muszą stanąć przed trybunałem i zostać osądzeni tak samo jak każdy inny człowiek. Nie można okazać im pobłażliwości.

Melville skrzywił się, lecz pokiwał głową.

– Wiem o tym i zgadzam się, ale jak bez dostatecznych dowodów dopilnujemy, żeby nie wyszli na wolność?

– Zostaw to nam. – Wolverstone uśmiechnął się lodowato. – Zdobędziemy dowody i utrzymamy sprawę w sekrecie. Rząd nawet nie będzie wiedział, że winni dopłynęli już do Anglii. A my w tym czasie podążymy za tropem i spróbujemy wyśledzić tego diamentowego kupca w Amsterdamie, a przez niego również naszego bankiera i pozostałą czwórkę.

– Jest też kwestia koneksji Rossa-Courtneya z Neillem – odezwała się po raz pierwszy Minerva. – Nie są przecież

przyjaciółmi. Może znali się ze słyszenia, lecz nie poruszają się w tych samych kręgach.

Dearne pokiwał głową.

– A zatem musieli się gdzieś spotkać, i to niejednokrotnie. To samo dotyczy pewnie pozostałych. Bardzo prawdopodobne, że poznali się w jakimś klubie, co mogłoby pomóc nam w namierzeniu pozostałych czterech.

Wolverstone popatrzył na Melville’a.

– Zdobędziemy dowody – powiedział. – Możesz być pewien.

– Ale to potrwa, prawda? – skrzywił się Melville. – Nie wątpię, że jesteście w stanie dopilnować, aby Ross-Courtney i Neill z nikim się nie kontaktowali, ale jak długo? Wystarczy mały błąd, a cała sprawa się posypie i rząd może upaść. Przecież Ross-
-Courtney to jeden z najbliższych przyjaciół króla!

– Jeśli o to chodzi – wtrącił Royd – to chyba znaleźliśmy sposób.

Umówili się z Isobel, że nie wspomną o planie z diamentami, dopóki nie zorientują się lepiej w sytuacji. Teraz jednak Royd usłyszał dość, by wiedzieć, że koniecznie muszą zrealizować ten pomysł. Mimo wszystkich swoich wad Melville nie był głupcem; nie denerwowałby się tak bardzo bez dobrego powodu.

– Sposób, dzięki któremu przy odrobinie szczęścia dowiemy się, kto jeszcze jest w to uwikłany, i skłonimy te osoby do złożenia zeznań, co zapewni nam dowody, żeby wymierzyć sprawiedliwość wszystkim sponsorom.

– Rzeczywiście, jeśli są z tych samych sfer co Ross-Courtney i Neill, to najlepszym dowodem byłoby zeznanie jednego z nich – przyznał Wolverstone.

Melville odetchnął z trudem i pokiwał głową.

– No dobrze. I mówicie, że Ross-Courtney i Neill nie dotarli jeszcze do Anglii, zgadza się?

– Owszem – potwierdził Royd. – W tej chwili są w drodze z Freetown.

– Doskonale. – Melville nieco się uspokoił. – Więc na czym polega ten plan?

Royd popatrzył na niego uważnie. I on, i Isobel uważali, żeby nie wspomnieć nikomu o błękitnych diamentach.

– Z całym szacunkiem, milordzie, ale sądzę, że lepiej, aby pan tego nie wiedział.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o nic nielegalnego?

– Skąd – odparł z uśmiechem Royd. – Ale jeśli będziemy zmuszeni... nagiąć kilka zasad, to może...?

– Ach, oczywiście. – Melville podniósł ręce obronnym gestem. – Masz całkowitą rację, nie muszę o tym wiedzieć. – Rozejrzał się i obciągnął kamizelkę. – Dobrze wiem, że tego rodzaju sprawy to nie mój mocny punkt. Rozumiem, że w tej kwestii muszę wam zaufać. Wam wszystkim. – Ukłonił się z niespodziewaną godnością i oświadczył: – W związku z tym pożegnam się już i pozwolę wam kontynuować. Panie, panowie...

Wszyscy wstali i Minerva pociągnęła za sznur dzwonka, po czym odprowadziła Pierwszego Lorda do drzwi i oddała

go pod opiekę kamerdynera. Gdy wróciła, wszyscy z powrotem usiedli.

– No więc? – Wolverstone popatrzył na Royda i uniósł brew. – Dość już czekaliśmy. Co to za plan?

Isobel zauważyła, że kiedy Royd skończył mówić, Wolverstone w pierwszej kolejności popatrzył na swoją żonę.

Minerva entuzjastycznie pokiwała głową.

– To się uda. Naszyjnik z błękitnych diamentów? Cała śmietanka towarzyska będzie o nim opowiadać. – Po zastanowieniu dodała: – Najtrudniejsza część to dopilnować, aby naszyjnik powstał na czas, ale sadzę, że przy odpowiedniej zachęcie da się to załatwić.

– A zatem... – Wolverstone przeniósł spojrzenie z Minervy na Isobel – zaczynamy bitwę na gruncie towarzyskim. Jak to rozegracie?

Księżna stanowczo stwierdziła, że naszyjnik należy zaprezentować na jakimś ważnym balu, tak aby całe towarzystwo mogło go zobaczyć. Natychmiast też zaproponowała, że sama wyda taki bal za dziesięć dni i przekona swoją przyjaciółkę, Honorię, księżnę St. Ives, aby kilka dni później również zorganizowała coś podobnego.

– Musimy zaplanować dwa wydarzenia, bo niewykluczone, że nie wszyscy z tej czwórki pokażą się na moim balu. Lecz gdy tylko usłyszą o naszyjniku, na pewno pojawią się u Honorii. Jestem przekonana, że zechcą obejrzeć go na własne oczy.

– A skąd będziesz miała pewność, że wszyscy oni będą wśród zaproszonych? – spytał Jack Hendon.

Minerva uśmiechnęła się.

– Tym nie musimy sobie zaprzątać głów. Jeśli nasza nieuchwytna czwórka to ludzie pokroju Rossa-Courtneya i Neilla, na pewno się pojawią, gdy usłyszą o naszyjniku, z zaproszeniem czy bez niego. Co najwyżej wślizgną się nieco później, kiedy zakończą się oficjalne powitania.

Dearne spytał z kolei, komu powinien przypaść zaszczyt zaprezentowania naszyjnika na balach. Minerva zamrugała i wskazała Isobel, jakby odpowiedź była oczywista.

– Nikt nie nadaje się do tego lepiej niż panna Carmichael. Potrzebna nam dama, która przyciąga uwagę i emanuje taką siłą charakteru, żeby tak wyrazisty naszyjnik do niej pasował. Wysoki wzrost Isobel będzie tu dodatkową zaletą. Co więcej, ta osoba nie może być powszechnie znana w Londynie, a zarazem musi się nosić dystyngowanie, aby nie było wątpliwości, że pochodzi z wyższych sfer.

Kiedy mężczyźni popatrzyli na nią ze zdziwieniem, Minerva westchnęła i wyjaśniła:

– To doprawdy niezwykle proste. Jeśli dama nosząca naszyjnik będzie znana naszym czterem panom, wtedy postarają się ją wybadać w bardziej prywatnych okolicznościach. Przynależność do odpowiednich sfer jest warunkiem, żeby nie nabrali podejrzeń i w ogóle się do niej zbliżyli, a nie tylko obserwowali z daleka. – Tu księżna wbiła badawcze spojrzenie w męża. – Bo chyba nie mylę się, sądząc, że jeśli ktoś zacznie wypytywać o naszyjnik,

wolałbyś mieć na to świadków, aby nie doszło do sytuacji, w której będziemy mieli tylko jego słowo przeciwko słowu Isobel?

Wolverstone pokiwał głową.

– Na twoich i Honorii balach panuje zazwyczaj taki ścisk, że rozmowę usłyszy co najmniej jedna osoba, o ile nie więcej.

Rafe Carstairs podniósł rękę.

– Nie chcę się czepiać szczegółów, ale przecież wszystkie kobiety na balu będą chciały wiedzieć, skąd Isobel ma tak wspaniały naszyjnik. A kiedy ją o to spytają i udzieli odpowiedzi, tamci czterej nie będą musieli już pytać osobiście, prawda?

– Doprawdy, Rafe... – Minerva popatrzyła na niego z politowaniem. – Przecież bywasz w towarzystwie nie od dziś. Gwarantuję ci, że żadna kobieta, a w każdym razie żadna z tych, które pojawią się u mnie lub u Honorii, nigdy nie zniżyłaby się do pytania Isobel, skąd ma naszyjnik. Masz rację, że wszystkie będą chciały to wiedzieć, ale żadna nie zapyta. Będą tylko szeptać po kątach. I właśnie na tym nam zależy.

Isobel rozejrzała się. Mężczyźni nadal wydawali się nad tym wszystkim rozmyślać, ale rozmowa była chyba skończona.

– No dobrze – podsumował Wolverstone. – Mamy więc trzy tropy, które musimy zbadać. Pierwszy to kupiec diamentów, a po nim bankier. Tym zajmę się ja, ty zaś – tu skinął na Hendona – mógłbyś mi w tym pomóc, wypytując

wśród swoich znajomych w Amsterdamie. Ktoś musi coś wiedzieć o diamentach z Freetown.

– Roześlę wici – powiedział Jack.

– Druga kwestia to odkrycie, gdzie poznali się Ross-Courtney i Neill oraz kto jeszcze mógł być przy tym obecny... – Z tymi słowami Wolverstone zwrócił się w stronę Dearne'a.

Markiz skinął głową.

– Biorę to na siebie. Poproszę też o pomoc kilku innych członków klubu.

Isobel zaciekawiło, o jakim klubie mowa, lecz książę wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Trzecią kwestię, czyli przynętę w postaci naszyjnika, pozostawimy paniom. Nie wątpię, że dacie nam znać, gdzie i kiedy mamy się stawić jako asysta.

– Nie będziemy potrzebować waszej pomocy aż do czasu samych balów, choć może skontaktuję się z waszymi żonami, jeśli dojdę do wniosku, że przydałoby się wsparcie pod względem towarzyskim.

Wolverstone uśmiechnął się lekko, po czym spoważniał i skierował spojrzenie na Royda.

– I jeszcze najpilniejsza sprawa. Kiedy Ross-Courtney i Neill tu dotrą?

– Są na statku Roberta. Pozostali trzej płyną z Declanem na pokładzie „Kormorana". Oba statki powinny dopłynąć do Londynu najwcześniej za trzy, a może nawet cztery lub pięć dni – odparł Royd.

– Doskonale. – Wolverstone popatrzył na Carstairsa. – To da ci czas, żeby przygotować odpowiednie zakwaterowanie. Rafe ma dostęp do kwater i personelu wojskowego – wyjaśnił Isobel i Roydowi.

Royd przytaknął na znak, że doskonale rozumie, o co chodzi.

– Teoretycznie Satterly, Muldoon i Winton powinni trafić do zwykłego więzienia na czas oczekiwania na rozprawę – zauważył. – Sądzę jednak, że lepiej nie dawać im szansy na zmianę zdania i próbę przypodobania się Rossowi-Courtneyowi, Neillowi i ich wpływowym przyjaciołom. Mogliby wysłać wiadomość do pełnomocnika Rossa-Courtneya z informacją, co się stało.

– To prawda. – Wolverstone znowu popatrzył na Carstaira. – Masz jakieś sugestie?

– Powiedziałbym, że lepiej nie trzymać ich w Londynie. Nigdy nie wiadomo, czy nie napatoczy się tu jakiś ich znajomy. Ale w Cardiff są cele, które powinny się nadać. Nasi winni będą tam na uboczu i mało prawdopodobne, że wpadną na jakichś przyjaciół.

Royd pokiwał głową.

– Pewnie najlepiej byłoby przewieźć ich tam statkiem – zauważył.

– Co do sponsorów... – ciągnął Carstairs – ich też powinniśmy trzymać poza Londynem, ale niezbyt daleko. W Essex Forest znajduje się stary garnizon ze szczątkową załogą. Są tam też cele. Mógłbym posłać obsadę garnizonu na urlop i zastąpić ją doborowym oddziałem, który

strzegłby więźniów, dopóki nie postawimy im zarzutów i nie przewieziemy do cywilnego aresztu.

Propozycja ta wszystkim się spodobała. Mężczyźni zaczęli omawiać sprawę transportu pojmanych, a wtedy Minerva popatrzyła na Isobel i zaproponowała:

– Zostawmy ich i chodźmy do mojego buduaru omówić kwestię naszyjnika.

Poinformowała panów, dokąd idą, po czym wzięła Isobel pod ramię i wyprowadziła z pokoju.

– Muszę przyznać – powiedziała, kiedy wchodziły po schodach – że wizja następnych kilku tygodni budziła we mnie obawę. Imprezy towarzyskie potrafią być śmiertelnie nudne, ale wszyscy oczekują, że przynajmniej raz w sezonie wydam bal. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tym razem moje przyjęcie posłuży przynajmniej szlachetnej sprawie. No i oczywiście chętnie obejrzę te diamenty... – dodała, unosząc żartobliwie brew.

Isobel wybuchła śmiechem.

Piętnaście

Spędziwszy poranek w Wolverstone House na wypisywaniu zaproszeń, Isobel udała się następnie do siedziby spółki Rundell, Bridge i Rundell, ulubionego zakładu jubilerskiego królewskiej rodziny i wyższych sfer. Sklep znajdował się na Ludgate Hill w pobliżu katedry Świętego Pawła i słynął jako oaza spokoju, pełna łagodnego światła, przyciszonych szeptów oraz gablot z iskrzącymi się klejnotami, z których każdy godzien był znaleźć się na szyi, nadgarstku czy też palcu królowej.

Isobel weszła bez wahania z wysoko uniesioną głową. Tuż za nią szła Minerva i jej przyjaciółka Honoria, księżna St. Ives. W tak znamienitym towarzystwie Isobel nie potrzebowała żadnego uwiarygodnienia. Zanim doszły do szerokiego kontuaru w głębi sklepu, zauważył je jeden z młodszych sprzedawców. Wytrzeszczył oczy, po czym odwrócił się i zniknął za długą czarną zasłoną.

Isobel dotarła do kontuaru dokładnie w momencie, gdy zza zasłony wyłonił się dżentelmen w średnim wieku, odziany z dyskretną elegancją. Ukłonił się nisko obu księżnym.

– Wasze Książęce Mości, cieszymy się, że zechciały nas panie łaskawie odwiedzić. – Jego uśmiech obejmował także Isobel. – W czym możemy służyć? Jak zawsze jesteśmy do usług ich wielmożności.

– Dzień dobry, panie Bridge. – Minerva stanęła bliżej Isobel i rozejrzała się dyskretnie, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym pochyliła się i zniżyła głos. – Moja przyjaciółka, panna Carmichael, ma wyjątkowe zlecenie. Może moglibyśmy omówić tę sprawę na osobności?

– Oczywiście, Wasza Książęca Mość – odparł zaintrygowany Bridge. – Będą panie łaskawe pójść za mną. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Poprowadził je przez sklep i otworzył drzwi zamaskowane panelami. Za nimi znajdował się drugi, zbytkowny i duży pokój.

– Zaledwie w zeszłym tygodniu gościliśmy tu Jego Królewską Mość. Nowa tabakiera – dodał, przytrzymując drzwi.

– Bardzo je lubi – przyznała Honoria, po czym dodała od progu: – Może mógłby pan zawołać także pana Rundella. To zlecenie wymagać będzie jego talentów.

– Oczywiście, Wasza Książęca Mość – odparł z ukłonem Bridge. – Proszę się rozgościć, a ja zaraz go wezwę. – I z kolejnym ukłonem wyszedł drugimi drzwiami.

Na środku pokoju stał wypolerowany na błysk owalny stolik, a wokół niego sześć prostych krzeseł obitych różowym aksamitem. W pomieszczeniu nie było okien. Na stół padało światło z eleganckiego żyrandola ze złota i z kryształu.

Gdy tylko panie zajęły miejsca, w drzwiach, którymi wyszedł Bridge, pojawił się mężczyzna o ociężałej sylwetce

i skwaśniałym obliczu. Ukłonił się, lecz w jego zachowaniu nie było ani śladu służalczości.

– Wasze Książęce Mości, panno Carmichael... Pan Bridge został niestety odwołany do kontuaru. Przybyły markiza Dearne oraz lady Clarice Warnfleet i żądają, aby osobiście je obsłużył.

– Mniejsza o to – odparła Minerva. – Panna Carmichael ma coś, co chciałaby panu pokazać.

Rundell złożył duże dłonie na blacie i czekał. Nie należał do gadatliwych osób.

Isobel wyjęła z torebki zapakowaną w brązowy papier paczuszkę, którą przekazały jej kobiety w kopalni, i położyła ją na stole. Do tej pory nawet jej nie otwierała.

– W środku znajdują się dopiero co wydobyte nieoszlifowane klejnoty. Nie wiem, w jakim są stanie.

Rundell wziął paczuszkę, marszcząc brwi. Obrócił ją w rękach, po czym z jednej z licznych obszernych kieszeni wyciągnął scyzoryk.

– Mogę? – zapytał.

– Ależ proszę.

Rundell przeciął cienki sznurek, po czym ostrożnie rozwinął papier.

Oczom zebranych ukazało się mniej więcej dwadzieścia pięć niewielkich kamieni w szare, brązowe i czarne paski. Wszystkie były kanciaste i pełne odprysków. Wyglądałyby prawie jak zwykły żwir, gdyby nie to, że tu i tam światło żyrandola wydobywało z nich błyski intensywnego błękitu.

Rundell, uznawany za największego znawcę klejnotów w całej Anglii, wbił spojrzenie w paczuszkę, po czym głośno wciągnął powietrze. Popatrzył świdrującym wzrokiem na Isobel.

– Skąd pani to ma?

– Z kopalni w Afryce.

Rundell jeszcze przez chwilę przyglądał się diamentom, a potem wyjął z kieszeni szkło powiększające. Przysunął soczewkę do oka, podniósł największy kamień i zbadał go uważnie, po czym powtórzył to samo jeszcze z trzema i wreszcie odłożył lupę.

Isobel nie potrafiła odczytać wyrazu jego pomarszczonej twarzy.

– Czy one są na sprzedaż? – zapytał w końcu.

– Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Mają jednak zostać sprzedane, kiedy spełnią swoje zadanie.

– Zadanie?

– Może najpierw powiemy panu, o co nam chodzi – przerwała Minerva – pan zaś odpowie, czy jest w stanie podjąć się takiego zlecenia.

Rundell przytaknął.

We trzy opisały, jak ma wyglądać naszyjnik, wspominając też o ograniczeniach czasowych.

– Ponadto – dodała Isobel – potrzebna nam gwarancja, że utrzyma to pan w sekrecie. Sprawa dotyczy całego kraju, rządu i króla.

Rundell utkwił w niej przenikliwe spojrzenie, po czym wydał z siebie krótkie: „Hm!”. Znowu popatrzył na

diamenty, wreszcie stwierdził:

– Jak mógłbym odrzucić takie zlecenie? I takie kamienie? – Rzucił Minervie i Honorii spojrzenie spod krzaczastych brwi. – Ale Wasze Książęce Mości na pewno wiedziały, że będę musiał się zgodzić.

Minerva i Honoria zrobiły niewinne minki.

– No dobrze. – Rundell odsunął się od stołu. – Zajmiemy się tym. Mówiły panie, że na kiedy muszą to mieć?

– Na mój bal – odparła Minerva, wstając. – Środa dwudziestego dziewiątego.

Rundell zmarszczył brwi i także wstał.

– Będziemy musieli pracować całą dobę, ale damy radę. Ostrzegam jednak, że naszyjnik będzie gotowy dopiero na popołudnie ostatniego dnia.

– To w zupełności wystarczy – stwierdziła Honoria. – Proszę się zabierać do pracy. Same trafimy do wyjścia.

Rundell mruknął coś i odwrócił się z powrotem do stołu. Wychodząc w ślad za obiema księżnymi, Isobel zobaczyła, jak z nabożnym szacunkiem znowu zawija kamienie w brązowy papier.

***

Sześć dni później czterej bracia Frobisherowie i ich panie weszli do salonu na Stanhope Street, który stał się ich kwaterą główną. Mieli za sobą obfitą kolację i teraz zamierzali wymienić się najnowszymi informacjami.

Declan i Edwina zawinęli do Londynu trzy dni po tym, jak Royd i Isobel złożyli sprawozdanie Wolverstone’owi. Royd

przesłał księciu oraz Carstairsowi wiadomość o ich przybyciu i Carstairs w towarzystwie oddziału doświadczonych żołnierzy udał się do portu, żeby przejąć od Declana więźniów.

– Podobno zabierają ich do Cardiff – rzekła Edwina, rozsiadając się na sofie obok Isobel.

Duncan, który nie chciał niczego przegapić, wdrapał się między obie kobiety. Edwina uśmiechnęła się i poklepała go po ręce.

– Uznaliśmy, że choć transport drogą morską byłby łatwiejszy, mniej osób będzie w stanie poznać cel podróży, jeśli przewieziemy więźniów powozem. Carstairs był pewien, że zdoła przemycić ich niepostrzeżenie z Londynu – powiedział Royd, podsuwając sobie krzesło.

– A gdzie stoi teraz „Trójząb”? – spytał Declan Roberta, który dopłynął do Londynu trzydzieści sześć godzin po nim.

– Obok „Kormorana”, ale zgodnie z ustaleniami najpierw rzuciłem kotwicę przy Limehouse. Wysadziliśmy tam więźniów i Carstairs przejął ich z oddziałem żołnierzy. Mieli ich zabrać gdzieś do Essex.

– Czy Ross-Courtney i Neill sprawiali wam jakieś problemy? – spytała Isobel.

– Po pierwszym dniu dali sobie spokój z krzykami i próbami przekupienia załogi – oznajmiła Aileen i się wzdrygnęła. – Okropni ludzie.

Robert uścisnął jej rękę i dodał:

– Przed zabraniem z pokładu Carstairs związał im ręce i zakneblował. Trzeba ich było ściągnąć ze statku siłą.

Domyślam się, że rozwiązano ich dopiero wtedy, gdy znaleźli się bezpiecznie w Essex.

Royd wyjaśnił, skąd takie decyzje co do rozlokowania więźniów, i wszyscy zwrócili się ku Kate i Calebowi, którzy przybyli dopiero tego dnia rano.

– Nie mieliśmy powodu, żeby się spieszyć – powiedział z szerokim uśmiechem Caleb. – Przecież wy trzej wszystkim się już zajęliście. Zrobiliśmy więc sobie jednodniową przerwę z Phillipe'em w Las Palmas, podczas gdy Kit i Lachlan popłynęli dalej do Bristolu. A potem zawinęliśmy do Southampton. – Tu zwrócił się do Royda. – „Korsarz" wciąż tam stał, ale Stewart mówił, że następnego dnia rusza do Londynu. A co z „Księciem"? Wolisz, żeby tam został, czy ma przypłynąć do Londynu?

– Prześlij rozkazy, żeby uzupełnił zaopatrzenie, a potem niech przypłynie tutaj. Podejrzewam, że kiedy sprawa dobiegnie końca, wszyscy wrócimy do Aberdeen.

Declan spojrzał na Edwinę, a ta stwierdziła pogodnie:

– No cóż, faktycznie trzeba będzie się tam zająć organizacją wesela. I to niejednego.

Declan zaśmiał się cicho i spojrzał na pozostałe pary.

– Więc kiedy wielki finał?

Isobel zwięźle wytłumaczyła cały plan.

Robert popatrzył na Royda.

– Czyli operacja zostanie przeprowadzona w zatłoczonej sali balowej. Jak to sobie wyobrażasz?

Royd niespecjalnie miał ochotę się nad tym zastanawiać: ich strategia była pełna luk, w salonie Minervy nie można

było zagwarantować Isobel ochrony i wcale mu się to nie podobało. Był to jednak jedyny sposób, żeby szybko wykurzyć pozostałych czterech sponsorów, dlatego odłożył swoje obawy na bok i zaczął tłumaczyć, że Isobel cały czas będzie otoczona przyjaciółmi, którzy mają jej pilnować.

– A jeśli po pierwszym balu nadal nie będziemy mieli czterech nazwisk, wtedy piątkowy bal u księżnej St. Ives da nam jeszcze jedną szansę – powiedziała Isobel, patrząc na Duncana. Rozmowa o więźniach, żołnierzach i statkach przykuła uwagę chłopca, lecz przy naszyjnikach i balach głowa zaczęła mu opadać. – Chodź, czas spać. – Wzięła go na ręce.

Royd również się podniósł.

– Do środy nie mamy już nic do zrobienia. Wszystko jest przygotowane, więc czeka nas kilka dni wolnego.

***

Może i chwilowo nie musieli zajmować się misją, ale były inne sprawy, które zaniedbali.

Następnego popołudnia Edwina, Isobel, Aileen, Kate i Duncan siedzieli w salonie, grając wesoło w bierki, gdy nagle usłyszeli przed domem ciężkie koła powozu.

Edwina wstała i wyjrzała za okno.

– Bardzo dziwne – rzekła, marszcząc brwi.

– Co takiego? – spytała Isobel, podchodząc do niej. Spojrzała na ciężki podróżny powóz; zdążyła jeszcze zauważyć wchodzącego na stopnie domu sługę. – Rozumiem, że nie spodziewasz się gości?

– Nie – potwierdziła Edwina. – I nie rozpoznaję ani powozu, ani woźnicy.

Reszta także podeszła, żeby spojrzeć.

– To powóz prababci – powiedział Duncan, przepychając się do okna.

– Iony?! – spytała z niedowierzaniem Kate.

– Wielkie nieba. On ma rację – stwierdziła Isobel. – Na koźle siedzi John Coachman.

Duncan krzyknął radośnie i popędził do drzwi.

Panie pospieszyły za nim, szeleszcząc sukniami. Dotarłszy do holu, wszystkie w tym samym momencie wygładziły spódnice i się wyprostowały.

Duncan wybiegł już na dwór, poprzedzając idącego dostojnym krokiem Humphreya.

Royd, zaalarmowany tupotem, wyjrzał z biblioteki, gdzie zaszył się z braćmi.

– Co się dzieje?

– Jest tu Iona – rzekła Isobel i natychmiast dodała: – Powiedz Calebowi, że nie zdąży się ukryć.

Kiedy jednak doszła razem z Edwiną do uchylonych drzwi, przekonała się, że jej babka to nie jedyny nieoczekiwany gość.

Edwina odwróciła się w stronę holu.

– Frobisherowie! Przyjechali wasi rodzice! – krzyknęła.

Tymczasem Duncan przywitał się już z prababcią i teraz zapoznawał się z dziadkiem ze strony ojca.

Fergus podał mu z uśmiechem rękę, a Duncan ukłonił się i ją ujął. Był jak zwykle pogodny i rezolutny. Z uśmiechu

Fergusa przebijały radość, zadowolenie i duma.

– Iona powiedziała im już o Duncanie – szepnęła Isobel.

Kiedy z powozu wysiadła matka Royda, Elaine, po raz pierwszy w życiu nie skierowała wzroku najpierw na synów, lecz na wnuka.

Iona weszła po schodach, opierając się na ramieniu Humphreya. Przystanęła na ganku i przyjrzała się kolejno czterem parom – Roydowi i Isobel, Declanowi i Edwinie, Robertowi i Aileen, a na końcu Kate i Calebowi.

– Cóż – rzekła. – Wygląda na to, że powinniście mieć dla mnie ciekawe informacje.

Isobel wystąpiła naprzód i nachyliła się, żeby ucałować staruszkę w policzek.

– Witaj, babciu. Nie spodziewaliśmy się ciebie.

Jedyną odpowiedzią Iony było prychnięcie.

Otrząsnąwszy się wreszcie z szoku, Kate również podeszła, żeby się przywitać.

– Babciu Iono...

Isobel wzięła sprawy w swoje ręce, zanim Iona zdążyła to zrobić, i ujęła babkę pod ramię.

– Wejdźmy do środka. Znasz już wszystkich Frobisherów. To jest lady Edwina, żona Declana, a to panna Aileen Hopkins, narzeczona Roberta.

Razem z Kate zaprowadziły Ionę do salonu, pozostawiając Royda, żeby zajął się swoimi rodzicami. On przynajmniej miał do pomocy braci, Edwinę i Aileen, a przede wszystkim Duncana.

Iona pozwoliła posadzić się w fotelu. Na pytanie Isobel wyjaśniła, że dowiedziawszy się, iż Duncan zakradł się na statek, domyśliła się, do czego to doprowadzi, i postanowiła rozmówić się z Frobisherami i przekazać im radosną nowinę, że mianowicie mają ośmioletniego wnuka, o którym nic dotąd nie słyszeli.

– Muszę przyznać, że dobrze to znieśli.

Kiedy jednak powiedziała im, że Isobel ruszyła na poszukiwanie Kate, Fergus wyjawił, że Royd popłynął do Freetown, żeby dokończyć jakąś misję.

– Nie zdołaliśmy się dowiedzieć, o co chodzi, więc postanowiliśmy zbadać sprawę dokładniej. Kiedy Fergus usłyszał w londyńskim biurze, ile statków rodzinnej floty zostało wysłanych do Freetown, postanowiliśmy sami tu przyjechać, aby sprawdzić, co się dzieje.

W tym momencie do salonu weszła Elaine Frobisher wsparta na ramieniu Royda.

Była przeciętnego wzrostu i miała gęste rude włosy, które z wiekiem ściemniały do miedzianego brązu, oraz łagodne brązowe oczy. Jej oblicze rozjaśniała radość i widać było, że pomimo okoliczności poznanie wnuka sprawiło jej ogromną przyjemność.

Podeszła do Isobel, wyciągając do niej obie dłonie.

Isobel uścisnęła je, odczytując niewypowiedzianą prośbę w oczach pani Frobisher. Royd jako pierworodny był bardzo bliski sercu matki i Elaine pragnęła, żeby połączyła je przyjaźń. Isobel też miała taką nadzieję. Nachyliła się i musnęła wargami policzek starszej kobiety.

– Przepraszam, że nic państwu nie powiedziałam – szepnęła – ale nie mogłam... nie wtedy.

Elaine odsunęła się i spojrzała na nią badawczo.

– A teraz?

Isobel uśmiechnęła się.

– Teraz myślę, że wszystko się ułoży.

– Cudownie! – Elaine rozpromieniła się i ścisnęła jej dłonie, po czym odsunęła się, żeby i Fergus mógł się przywitać.

Przez te wszystkie lata Isobel częściej miała do czynienia z Fergusem niż z Elaine. Jego pozorna serdeczność zdawała się skrywać pewną urazę, lecz dotyczyło to chyba w równym stopniu Royda co Isobel. Kiedy dziewczyna ucałowała jego wąsaty policzek, mruknął coś jak zwykle i poklepał ją lekko w ramię.

– No, pannico. Daj mi tylko jeszcze jednego wnuka i zapomnimy o całej sprawie.

Isobel wybuchła śmiechem i atmosfera wreszcie się rozluźniła.

Duncan był najwyraźniej zachwycony faktem, że może dołączyć dwoje nowych dziadków do grona swoich wielbicieli. Wsunął się na skraj szezlongu między Elaine a siedzącą na fotelu Ionę. Fergus usiadł obok żony. Kiedy cztery młodsze damy również zajęły miejsca, przeszył synów świdrującym wzrokiem.

– Przejechaliśmy kawał drogi z Aberdeen i chcemy poznać prawdę. Mówcie, co knuliście.

– Nie tylko my czterej. – Royd wziął od lokaja krzesło i postawił je między dwiema sofami, po czym wskazał panie. – Wszyscy mieliśmy w tym swój udział.

Fergus i Iona wymienili spojrzenia.

– Mówcie więc – powiedział starszy Frobisher.

– Tylko od samego początku – upomniała Iona. – Niczego nie pomijajcie.

Royd westchnął w duchu i rozpoczął opowieść, podczas gdy jego bracia zajmowali miejsca. Wiedział, że się nie wywinie, ale nie miał zamiaru sam kłaść głowy pod topór, dlatego w końcu przekazał pałeczkę Declanowi, któremu znacząco pomogła Edwina. Potem wątek podjęli Robert i Aileen. Caleb zaczął swoją część opowieści nieśmiało, wyznając, że samorzutnie wziął na siebie zadanie, zanim zdążył się go podjąć ktoś inny – chciał wreszcie pokazać, na co go stać. Royd natychmiast wtrącił, że udało mu się to aż nadto.

Caleb zaczerwienił się i mówił dalej, tłumacząc, co zdziałał po dotarciu do kolonii. Później oddał głos Kate. Ta zaczęła z wahaniem, lecz potem opowiadała z coraz większą śmiałością. Opisała, jak wyglądało życie więźniów w kopalni. Zakończyła pojmaniem Caleba i jego ludzi, za co wyraźnie się obwiniała.

Caleb ujął jej dłoń i stwierdził, że gdyby nie dołączył wraz z załogą do robotników kopalni, nie mieliby takiej przewagi nad najemnikami, kiedy ekipa ratunkowa dotarła wreszcie na miejsce.

Historię dokończył Royd, pomijając przez wzgląd na syna szczegóły bitwy, których państwo Frobisher i Iona mogli się sami domyślić. Powiedział też, jakie działania prowadzą teraz, żeby zebrać dowody przeciwko sponsorom.

– Ross-Courney, co? – prychnęła Iona. – Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to dziwiło. Podła mała gadzina, zawsze zadzierał nosa.

– A ja miałem okazję poznać Neilla – dodał Fergus. – Nie jest to osobnik, z którym chciałbym robić interesy.

– Ale jeśli nie macie mocnych dowodów, to nie będziecie w stanie zatrzymać ich w areszcie, prawda? – spytała Elaine, marszcząc brwi.

Royd popatrzył na Isobel. Jak dotąd nie wspominali o naszyjniku.

– Dlatego właśnie – powiedziała Isobel – postanowiliśmy zastawić swego rodzaju pułapkę w nadziei, że uda nam się wyciągnąć z ukrycia pozostałych sponsorów i może któryś z nich dostarczy nam konkretnych dowodów.

– Jaką znowu zasadzkę? – spytała Iona.

Isobel wyjaśniła, na czym polega plan. Ku niejakiemu zdziwieniu Royda Iona i jego rodzice uważali chyba, że przedsięwzięcie ma duże szanse na powodzenie.

W tym momencie zegar wybił godzinę i Edwina podźwignęła się z fotela. Jej ciąża z dnia na dzień stawała się coraz bardziej widoczna.

– Poprosiłam, żeby kolację podano nieco wcześniej. Na pewno są państwo zmęczeni długą podróżą po wyboistych

drogach i chętnie się położą. Jutro możemy dokończyć rozmowę.

Wszyscy wstali i skierowali się na górę, żeby przebrać się do kolacji. Isobel zaproponowała Duncanowi, żeby zaprowadził Fergusa do jego pokoju. Sama zaś wyszła z salonu razem z Elaine. Widząc, że Royd został na końcu sam na sam z Ioną, już miała zawrócić, kiedy Elaine położyła jej rękę na ramieniu.

– Moja droga, zastanawiałam się, czy mogłybyśmy zamienić słowo – powiedziała z uśmiechem. – Może pokazałabyś mi ogród? Z chęcią rozprostuję nogi i odetchnę świeżym powietrzem... a w każdym razie tym, co za takie uchodzi w tych okolicach.

– Oczywiście – odparła Isobel.

Wrześniowy wieczór był chłodny i dziwnie spokojny. Isobel i pani Frobisher ruszyły dróżką.

Wkrótce Elaine zaczęła mówić.

– Wiem, że Fergus zgodziłby się z tym, co teraz powiem... Chcemy, abyś wiedziała, że pomimo tego, co się stało w przeszłości, i mimo upływu lat nigdy sobie nie wyobrażaliśmy, żeby Royd mógł się ożenić z kimś innym. Zawsze istniałaś dla niego tylko ty. W jego głowie, a tym bardziej w sercu, nigdy nie było innej kobiety... Nie żebyśmy go do tego nie zachęcali – dodała z uśmiechem – ale na pewno sama wiesz, że odwieść Royda od czegoś, co wbije sobie do głowy, to praktycznie niemożliwe.

Isobel parsknęła cicho.

– To jednak nie koniec tego, co chciałam powiedzieć – ciągnęła Elaine. – Wszyscy popełniliśmy wtedy błędy, nie wyłączając Fergusa i mnie. Kiedy Royd nie wracał, wiedziałam, że Fergus powinien ci powiedzieć, co się z nim dzieje.

– Więc on o wszystkim wiedział?

To była dla Isobel nowość. Nie wyobrażała sobie, że Fergus mógł ją okłamać.

– Nie wiedział, dokąd Royd się udał, lecz zdawał sobie sprawę... ja zresztą także... że wyruszył z misją zleconą przez Koronę. Wiem, że byłaś wtedy w biurze i próbowałaś skontaktować się z Roydem. Wiem, w jakim wieku jest Duncan. Byłaś przy nadziei i usiłowałaś zawiadomić o tym Royda. My jednak nie złamaliśmy zasad, żeby ci pomóc. To był nasz błąd. To, co się wydarzyło po jego powrocie... to był błąd twój i jego. Co zaś do Iony... Gdyby nie uparła się na te zaręczyny... Chcę powiedzieć, że wszyscy przyczyniliśmy się do tamtej sytuacji. Wszyscy jesteśmy sobie winni przeprosiny i wybaczenie. – Spojrzała Isobel w oczy. – Ale to już przeszłość. Najlepiej o niej zapomnieć i zacząć wszystko od nowa.

Isobel przystanęła. Czuła, jakby zdjęto jej z pleców ciężar, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Uśmiechnęła się do Elaine.

– Dziękuję, że mi to pani powiedziała. I zgadzam się: najlepiej zapomnijmy o przeszłości.

Twarz Elaine rozjaśnił promienny uśmiech, z którego słynęła.

– Doskonale. Jeśli wolno mi spytać... Zamierzacie się z Roydem pobrać, prawda?

– O tak – roześmiała się Isobel. – Gdy tylko wrócimy do Aberdeen po zakończeniu misji.

– To wspaniale! – ucieszyła się Elaine i zawróciła w kierunku domu. – Lepiej chodźmy się przebrać.

– Faktycznie – zgodziła się Isobel i ruszyła lżejszym niż dotąd krokiem. – Edwina to prawdziwa tyranka. Będzie bardzo niezadowolona, jeśli się spóźnimy!

***

Royd celowo ociągał się z wyjściem z salonu, żeby mieć pewność, że to jemu przypadnie zadanie odeskortowania Iony na górę.

Staruszka nie spieszyła się jednak ze wstaniem z fotela. Gdy tylko Caleb zniknął w holu, wycelowała w Royda laską.

– Na litość boską, zamknij te przeklęte drzwi i siadaj tu przy mnie.

Royd powściągnął uśmiech – wiedział z doświadczenia, że tylko rozdrażniłby tym Ionę – i poszedł wykonać polecenie.

– Nie mam zamiaru gromić cię wzrokiem. Jedyne, co bym z tego miała, to skurcz szyi od zadzierania głowy.

Czyżby właśnie przyznała, że zdaje sobie sprawę, iż nie jest w stanie na niego wpłynąć? Royd wrócił i usiadł na sofie naprzeciwko niej.

– No więc tak to się wszystko kończy... Każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, byłby w stanie to przewidzieć. – Widząc zdziwienie na jego twarzy, machnęła ręką

i powiedziała obojętnie: – Żadne z was nigdy nie zmieniło zdania, kiedy coś sobie postanowiło. Tak czy inaczej... – Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Royd znosił to z niewzruszonym spokojem. – Nigdy nie ukrywałam, że moim zdaniem nie jesteś jej godny. Nadal tak sądzę. Ale jednocześnie zawsze uważałam, że w ogóle żaden mężczyzna na nią nie zasługuje. Isobel to skomplikowana młoda dama.

– Wiem o tym.

– Hm... Może i tak. Teraz. – Iona oparła się na lasce. – Ponieważ jednak sama cię wybrała, i to po raz kolejny, a do tego trzeba też pomyśleć o Duncanie, nie będę się sprzeciwiać waszemu małżeństwu. Zakładając oczywiście, że planujecie się pobrać? – upewniła się, świdrując go wzrokiem.

– Jak najbardziej – potwierdził Royd, kiwając głową. – Weźmiemy ślub, gdy tylko doprowadzimy tę sprawę do końca i wrócimy do Aberdeen.

– Doskonale. Ale zapamiętaj coś sobie. – Wbiła w niego spojrzenie. – Jeśli jeszcze raz ją zranisz, przerobię twoje flaki na podwiązki. Nie myśl, że żartuję.

Royd zawsze wiedział, po kim Isobel odziedziczyła swoje gwałtowne skłonności. Niezależnie jednak od tego, czy wierzył w deklarację Iony, czy też nie...

– Ma pani moje słowo, że nigdy nie dam powodu, by pożałowała pani swojej zgody na nasz ślub. I wiem, że pani zgoda wiele znaczy dla Isobel.

– Tak, no cóż... – Iona podźwignęła się z fotela. – Ale ona zawsze była uparta jak osioł. W każdym razie jeśli chodzi o ciebie.

Royd również wstał i pozwolił sobie na uśmiech, który Iona wcale nieźle zniosła. Skinęła, żeby podał jej ramię, co też posłusznie uczynił, i razem weszli po schodach w większej harmonii, niż Royd kiedykolwiek się spodziewał.

Szesnaście

Royd wprowadził Isobel do zdobnej sali balowej Wolverstone House. Pora była dość wczesna, lecz w środku panował już tłok, a na schodach domu i w holu co chwila nowi goście ustawiali się w kolejkę, żeby przywitać się z gospodarzami.

Sunąca u boku Frobishera kobieta przyciągała wszystkie oczy. Już czworo ludzi na jej widok potknęło się i niemal spadło ze schodów. Royd zacisnął zęby i udawał, że nie dostrzega pytających spojrzeń i nie słyszy szeptów.

Kobiety w kopalni nie miały co prawda styczności z londyńskim towarzystwem, lecz wybierając Isobel, podjęły słuszną decyzję. Jej suknia zaprojektowana została tak, aby stanowić godną oprawę dla najwspanialszego dzieła spółki Rundell, Bridge i Rundell. To Iona uparła się, że na tę okazję jej wnuczce potrzebna jest odpowiednia kreacja. Cała grupa pań ze Stanhope Street pojechała więc plądrować sklepy i namawiać się ze szwaczkami.

Royd nigdy się nie spodziewał, że te działania mogą przynieść taki efekt. Kiedy wieczorem Isobel zeszła po schodach, dosłownie odebrało mu mowę. Nawet Duncan, który biegał dokoła i przyglądał się wszystkim wystrojonym panom i damom, zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

Royd znał Isobel przez większość swojego życia i przyzwyczaił się do jej obecności u swojego boku. Już

zapomniał, jak niezwykłe wrażenie potrafiła robić... jego Amazonka.

Bo też naprawdę wyglądała dziś w każdym calu jak prawdziwa królowa wojowniczek. Odziana była w suknię z gładkiego jedwabiu barwy wieczornego nieba na chwilę przed tym, zanim stanie się czarne. Na jej alabastrowej szyi lśniły błękitne diamenty osadzone w prostej złotej oprawie, tak aby nic nie odwracało od nich uwagi. Rezultat był surowy, lecz olśniewająco piękny – kamienie płonęły zimnym blaskiem, który wręcz hipnotyzował.

Kto ujrzał Isobel, ten z trudem odrywał od niej wzrok, i nie była to wyłącznie kwestia kosztownego jedwabiu i klejnotów. Chodziło o nią samą: była pełna gracji i niewysłowionej pewności siebie, co podkreślało tylko urodę sukni i naszyjnika. Większość kobiet ubranych w te same rzeczy nie robiłaby tak wielkiego, wręcz porażającego wrażenia.

Rozmowy wokół nich cichły nagle, po czym wybuchały jeszcze głośniej.

Wreszcie dotarli do Minervy, której twarz rozjaśniła się na ich widok.

Isobel dygnęła, Royd zaś pokłonił się nisko i oboje wyrecytowali typowe uprzejmości.

– Wyśmienicie! – rzekła Minerva.

Stojący obok niej Wolverstone uniósł brwi. Z nim również przywitali się tak, jak tego wymagała etykieta, lecz kiedy książę pochylił się nad dłonią Isobel, pozwolił sobie szepnąć:

– Jeśli to ich nie przywabi, nic nie zdoła tego dokonać.

Royd z trudem powstrzymał się przed zazdrosnym mruknięciem.

Jak ustalili wcześniej, zaprowadził Isobel do grupy znajomych. Wszyscy zaangażowani w przedsięwzięcie spotkali się w rezydencji księstwa St. Ives o dziesiątej rano – nieprzyzwoicie wczesnej porze jak dla śmietanki towarzyskiej. Była to swego rodzaju odprawa wojskowa, a zarazem okazja, by Isobel i ochotnicy biorący udział w akcji mogli się nawzajem poznać. Poza księciem St. Ives i jego żoną Honorią zgromadzili się tam trzej jego kuzyni z małżonkami oraz kilka innych par zwerbowanych przez Dearne’a i jego żonę Letitię. Był również Carstairs z żoną Lorettą i trzy inne małżeństwa, które miały udział w obaleniu niesławnej Czarnej Kobry. Poza tym przybyli oczywiście Wolverstone i Minerva, Jack Hendon i jego żona Katherine oraz Frobisherowie wraz z partnerkami i Iona, która – jak się okazało – była dobrze znana obu księżnym i kilku innym paniom.

Wolverstone wyjaśnił, jaką taktykę zamierzają zastosować. Z uwagi na ogromną liczbę gości niezaangażowanych w akcję musieli działać bardzo elastycznie. Najważniejszą rzeczą było dopilnowanie, żeby Isobel przez cały czas znajdowała się w zasięgu wzroku co najmniej dwóch osób z ich grona, a jeśli ktokolwiek podejdzie zapytać ją o naszyjnik, powinny one zbliżyć się tak, by móc słyszeć rozmowę. Isobel miała dać sygnał, że ktoś wypytuje ją o klejnoty.

Teraz wszyscy byli na miejscu, gotowi do realizacji planu.

Royd i Isobel gawędzili i uśmiechali się, nieustannie się przemieszczając. Okrążyli salę, dając gościom balu możliwość przyjrzenia się diamentom – z której też wszyscy ochoczo skorzystali. Royd nie do końca wierzył, że żadna z dam nie podejdzie i nie spyta wprost, skąd Isobel ma te klejnoty, lecz okazało się, że Minerva miała rację. Wszystkie kobiety przypatrywały się naszyjnikowi, lecz żadna o niego nie wypytywała.

Na pewno pomagał w tym fakt, że Isobel nie była powszechnie znana w londyńskim towarzystwie. Ponieważ jednak wyraźnie łączyła ją znajomość z doborową grupką osób zaliczających się do elity, nikt nie odważył się traktować jej z góry.

– Wszyscy, dosłownie wszyscy mówią o tych diamentach – szepnęła triumfalnie Edwina, przemykając obok pod ramię z Declanem.

Zaczęły się tańce i Royd poprosił Isobel do pierwszego walca. Był to jedyny taniec z nią, na jaki mu tego wieczoru pozwolono, i zamierzał wykorzystać go jak najlepiej.

Wchodząc na parkiet, zdał sobie sprawę, od jak dawna razem nie tańczyli, a już na pewno nie walca. Mimo to Isobel instynktownie się do niego dopasowała i popłynęli swobodnie.

– Jeśli do tej pory nie udało mi się zwrócić na siebie powszechnej uwagi, to teraz na pewno zdołałam to zrobić – oznajmiła ze śmiechem, patrząc mu w oczy.

Royd nachylił głowę i szepnął:

– Cieszę się, że mogłem ci w tym pomóc.

Zatonęli w swoich oczach, sunąc gładko po zatłoczonym parkiecie.

Niestety wkrótce muzyka ucichła.

Zawirowali po raz ostatni i stanęli. Jakby wyczuwając opór, z jakim Roydowi przychodziło wypuszczenie jej z ramion, Isobel szepnęła:

– To się uda... Wiesz, że tak.

– Oby.

Wiedziała, że miał na myśli bardziej jej bezpieczeństwo niż wywabienie sponsorów z ukrycia. Kiedy sprowadził ją z parkietu, podszedł do niej Caleb i z beztroskim uśmiechem ujął za rękę, tak jak ustalili. Był pierwszym z długiej kolejki dżentelmenów, którzy mieli ją chronić. Royd cieszył się, że na pierwszy ogień poszedł jego brat – inaczej wcale nie byłby pewien, czy zdoła odegrać swoją rolę i pozwolić Isobel odejść.

Zacisnął zęby, zdając sobie sprawę, że będzie to dla niego bardzo trudne przyjęcie.

***

Isobel uśmiechała się i żartowała z Calebem, który próbował wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji na temat Kate i jej rodziny. Potem zastąpił go Dearne, który uśmiechał się życzliwie, doskonale tańczył i – jak się dowiedziała – w czasie ostatniej wojny był jednym z głównych agentów Wolverstone’a we Francji.

Po zakończonym walcu zaprowadził ją do grupki składającej się z jego żony i kilku innych par. Rozmawiali, czekając, czy nie zbliży się do nich jakiś obcy dżentelmen, lecz nic takiego nie nastąpiło.

Tak też upłynął cały wieczór: Isobel na przemian tańczyła ze swoimi obrońcami i gawędziła z ich żonami, na próżno licząc, że wreszcie podejdzie do niej któryś ze sponsorów.

Przygotowali się jednak również na to, że tamci nie będą chcieli zbliżyć się do niej otwarcie, na oczach całego towarzystwa. Dlatego też przed kolacją, po odtańczeniu ostatniego walca z Rupertem Cynsterem, jednym z kuzynów księcia, Isobel uprzejmie odmówiła jego propozycji, że odprowadzi ją do jadalni. Odesłała go do żony, odwróciła się i niespiesznie skierowała w stronę krótkiego korytarza po drugiej stronie sali balowej, który prowadził do palmiarni.

Zamknęła za sobą drzwi, przystanęła na chwilę, nasłuchując, i podążyła środkową ścieżką w cień pod gęstymi paprociami i palmami.

Gdyby ktoś ją obserwował, pomyślałby, że przyszła tu na schadzkę z jakimś mężczyzną. Nie odbiegało to zbytnio od prawdy: Isobel czekała, czy ktoś nie podąży za nią, żeby zamienić słowo na osobności, lecz zgodnie z planem wśród gęstej roślinności ukryło się kilka osób, w tym Royd.

Przez szklany dach palmiarni wpadała do środka poświata księżyca, pokrywając liście i terakotową podłogę srebrzystym blaskiem. Na drugim końcu trzy ścieżki zbiegały się przy niewielkiej fontannie. Szmer wody, zapach

żyznej gleby i woń roślin sprawiły, że Isobel przeniosła się myślami do dżungli, skąd pochodziły diamenty.

Nagle usłyszała cichy trzask drzwi i na ścieżce za jej plecami rozległy się ciężkie kroki. Ktokolwiek to był, najwyraźniej nie starał się maskować. Isobel dotarła do fontanny i odwróciła się, żeby sprawdzić, kto taki wpadł w ich zasadzkę.

Ścieżką szedł zamaszyście rosły dżentelmen o czerwonym obliczu, wyższy od Isobel może o cal, za to trzy razy szerszy. Wyciągnął białą chusteczkę i zaczął ocierać sobie czoło.

– Strasznie tu ciepło – oświadczył tonem skargi.

– Faktycznie, i dość wilgotno – zgodziła się Isobel, przyglądając mu się uważnie.

Nieznajomy wepchnął chustkę do kieszeni i ukłonił się niedbale.

– Jestem sir Reginald Cummins. Panna Carmichael, czy tak?

Isobel ledwo skinęła głową.

– Zgadza się, proszę pana. – W przeciwieństwie do powietrza w palmiarni jej ton był lodowaty.

Sir Reginald jednak nie zwrócił na to uwagi. Jego spojrzenie utkwione było w naszyjniku.

Zwilżył usta i powiedział:

– Zastanawiałem się, droga pani, skąd ma pani ten naszyjnik.

– Ten? – Isobel uniosła palce do diamentów i odparła: – Dostałam go niedawno od wielbiciela. Pierwszy raz go dziś włożyłam.

Sir Reginald zmusił się, żeby oderwać spojrzenie od klejnotów i przenieść je na twarz Isobel. Nie wydawało się już w najmniejszym stopniu przyjazne.

– Od Frobishera? – spytał tonem domagającym się odpowiedzi.

Isobel uniosła brwi i na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Niestety nie. Od kogoś innego.

Dłoń sir Reginalda błyskawicznie zacisnęła się na jej nadgarstku.

– Od kogo?

– Ależ, proszę pana...

– Do diaska, kobieto, nie żartuj sobie ze mnie! To są błękitne diamenty i jest ich tyle, że mogą pochodzić tylko z jednego miejsca: z kopalni, w której rzekomo mam udziały. A mimo to do moich uszu nie doszła żadna informacja o tym przeklętym naszyjniku. Mów więc, lisico: kto ci je dał?!

Spomiędzy liści wyłonili się trzej rośli mężczyźni i otoczyli sir Reginalda. Obok Isobel pojawił się Royd, który chwycił mężczyznę za ramię, zanim ten zdążył choćby zamknąć usta.

Sir Reginald wytrzeszczył oczy, krzyknął z bólu i puścił Isobel, jakby jej skóra go parzyła.

– Hola! – Nawet w świetle księżyca widać było, jak poczerwieniał na twarzy. – Co to ma znaczyć?

Jeden ze skrytych w cieniu mężczyzn podszedł bliżej. Był to Dearne.

– Proszę ze mną, sir Reginaldzie. Kilka osób chciałoby z panem porozmawiać, wśród nich książę Wolverstone.

– Co? – W głosie i twarzy Cumminsa pojawiła się panika.

Przy drzwiach rozległ się jakiś dźwięk.

Dearne chwycił i związał nadgarstki sir Reginalda, drugi z mężczyzn wepchnął chusteczkę w jego usta, które otworzyły się do krzyku, a trzeci owinął mu głowę szalem, całkowicie go kneblując.

We trzech podźwignęli osłupionego baroneta i przenieśli go w głębszy cień. Isobel nie wiedziała, w jaki sposób zamierzają go unieruchomić, lecz nie wątpiła, że zdołają tego dokonać.

Royd zaś zniknął z powrotem wśród roślinności, z której się wyłonił.

Na jednej z bocznych ścieżek rozległy się kroki. Tym razem były ciche – ten, kto nadchodził, zachowywał ostrożność.

Isobel odwróciła się do fontanny, tak aby móc dyskretnie obserwować ścieżkę. Rozłożyła zawieszony na nadgarstku wachlarz i zaczęła się nim swobodnie wachlować.

Z cienia wyłonił się wysoki, dość wychudły jegomość, ubrany z wyjątkową elegancją. Jego mina świadczyła o znudzeniu i zepsuciu.

– Tu jesteś, moja droga. Właśnie cię szukałem.

Isobel zaprzestała wachlowania i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Doprawdy? Wydaje mi się, że nie miałam przyjemności pana poznać.

– Lord Hugh Deveny. – Mężczyzna skinął głową, zamiast się ukłonić. – Szukałem cię, żeby odebrać swoją własność. Ten śliczny naszyjnik należy do mnie. Będziesz łaskawa go zwrócić?

Isobel o mało co nie wybuchła śmiechem, lecz nawet po kilkusekundowej rozmowie była w stanie się zorientować, że lord Hugh naprawdę wierzy, iż wykona jego polecenie.

– Do pana, milordzie? – spytała z udawanym zdziwieniem. – To chyba jakaś pomyłka. Dostałam ten naszyjnik od swojego papy, a on z kolei od znajomego z Afryki. Dopiero niedawno sprowadzono go do Anglii. Nie rozumiem, jak mógłby należeć do pana.

Twarz lorda Hugh poczerwieniała z gniewu. Zacisnął wargi, po czym rzekł pogardliwie:

– To proste, głupia dziewczyno! Ten znajomy z Afryki to jakiś typ, który sprzedał twojemu ojcu kradzione dobra. Te błękitne diamenty pochodzą z kopalni, w którą zainwestowałem, więc należą do mnie i sugerowałbym, żebyś natychmiast je oddała!

Lord Hugh sięgnął po naszyjnik.

I wtedy Royd złapał go za rękę.

Arystokrata poderwał się i spojrzał na niego, mrugając ze zdumienia.

Z cieni wyłonił się Wolverstone.

– Dobry wieczór, Deveny. Na wypadek gdybyś się nad tym zastanawiał: owszem, byłem tu przez cały czas i słyszałem każde słowo twojej fascynującej opowieści.

Lord Hugh Deveny kilkakrotnie bezgłośnie otworzył i zamknął usta.

– Nie mam... – zaczął, po czym z widocznym trudem wziął się w garść i dokończył: – Słuchaj, Wolverstone. Nie mam pojęcia, jaką prowadzisz tu gierkę...

– Ważniejsze, Deveny, w jaką grę byłeś zaangażowany ty... oraz obecny tu sir Reginald – oznajmił Wolverstone, przywołując trzech mężczyzn ze spętanym i zakneblowanym Cummingiem.

Na jego widok z twarzy lorda Hugh odpłynęła cała krew.

– Zapomniałeś języka w gębie?

Kiedy lord Hugh nie odpowiedział, Wolverstone spojrzał na sir Reginalda.

– Wyjmijcie mu knebel.

Wykonano polecenie i sir Reginald oblizał usta.

– To dobry moment, żebyście zaczęli mówić, panowie – oświadczył Wolverstone. – Tylko współpracując z nami, możecie liczyć na pobłażliwość. Wystarczy jeden z was, aby pomóc nam w zamknięciu dochodzenia.

Lord Hugh spojrzał bezradnie na sir Reginalda, ten zaś krzyknął z zacietrzewieniem:

– Ode mnie nic nie usłyszysz, mój panie! Nie wiem, jakie zmyślone zarzuty i bezprawne oskarżenia macie w zanadrzu, ale nie ma żadnych dowodów, że byliśmy uwikłani w jakiekolwiek nielegalne działania! Nic nie zrobiliśmy! Musicie nas puścić!

Wolverstone uniósł ciemną brew i rzekł cicho:

– Nie tak od razu, Cummins. Nie tak od razu.

Lord Hugh szarpnął ręką, chcąc wyrwać się Roydowi, lecz ten tylko chwycił go mocniej.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, Wolverstone – powiedział. – Wasza Książęca Mość będzie łaskaw poinstruować tego dżentelmena, aby mnie puścił. Chciałbym wrócić na bal.

Zęby Wolverstone'a zabłysły w uśmiechu.

– Niestety tego nie uczynię. Zabierzcie ich! Wiecie dokąd – zwrócił się do pozostałych.

Jeden z trójki – był to lord Trentham – podszedł do Deveny'ego i chwycił go mocno za ramię.

Wolverstone zmierzył wzrokiem obu pojmanych.

– Przekonajmy się, czy znajdziemy jakieś argumenty, które skłonią ich do współpracy.

***

Tak więc już pierwsza próba pozwoliła im złapać dwóch sponsorów.

– Niestety jednak – doniósł Carstairs – żaden z nich nie chce mówić, choć trzymamy ich osobno.

Było wczesne popołudnie następnego dnia i wszyscy zgromadzili się w Wolverstone House, żeby dowiedzieć się, czy sprawa posunęła się dalej.

– Złodziejski honor – stwierdził ironicznie Wolverstone.

Jack Hendon, który wraz z Carstairsem zaangażowany był w przesłuchania, parsknął.

– Honoru to oni nie mają za grosz. Widać po oczach, że są winni. Cummins i Deveny nawet nie próbowali się

wypierać. Po prostu milczą jak grób.

– Odnoszę wrażenie, że wcześniej ustalili strategię postępowania, na wypadek gdyby zainteresowały się nimi władze – stwierdził hrabia Lostwithiel.

– To prawdopodobne – zgodził się Wolverstone.

– Oni są zwyczajnie przekonani, że stoją poza prawem, że są nietykalni – dodał sfrustrowany Carstairs. – Myślą, że jeśli tylko będą trzymać usta na kłódkę, w końcu ich wypuścimy.

Zapadła cisza. Wreszcie odezwał się Dearne.

– Z lepszych wieści: wpadliśmy na trop, gdzie cała szóstka mogła się spotkać. Podobno Ross-Courtney lubi omawiać prywatne interesy w klubie Albany. Pracujemy właśnie nad zdobyciem jakichś informacji od pracowników. Znajomość czterech z sześciu nazwisk na pewno przyspieszy sprawę. Niemniej w ten sposób możemy co najwyżej zdobyć ostatnie dwa nazwiska i potwierdzić, że wszyscy czterej spotykali się na osobności. Nie dowodzi to jeszcze ich zaangażowania w sprawę kopalni.

– W tym pomogła nasza zasadzka – powiedział Wolverstone. – Cummins i Deveny osobiście przyznali się do udziału w przedsięwzięciu związanym z błękitnymi diamentami, a zatem z kopalnią.

– A udziału Rossa-Courtneya i Neilla dowodzi ich obecność i zachowanie w kopalni – dodał Caleb.

– Owszem – przyznał Wolverstone – lecz niestety nie sądzę, żeby to wystarczyło do skazania Rossa-Courtneya. Nie przy jego koneksjach. Wymyśli jakąś absurdalną bajkę,

że porwano go dla okupu, i wiele osób uwierzy mu tylko dlatego, że tak będzie wygodniej.

– A jeśli Ross-Courtney wyjdzie na wolność, pozostali także – stwierdził Robert.

– Więc ile mamy czasu, zanim najsłabsze ogniwo pęknie? – spytał Royd.

– Masz na myśli Melville'a – stwierdził Wolverstone z cichym parsknięciem. – Ross-Courtney i Neill byli dla niego dostatecznie trudni do przełknięcia. Teraz, kiedy dorzucimy lorda Hugh i Cumminga, dostanie palpitacji serca. Ojciec lorda Hugh jest poplecznikiem rządu. A my praktycznie uprowadziliśmy jego syna, i to właściwie pod egidą Melville'a. Niestety nie mogę mu rozkazać, żeby pod żadnym pozorem nikomu nie wspominał, że zamknęliśmy tych czterech, ale ostrzegłem go, że byłoby to wielce niekorzystne, i poprosiłem, żeby najpierw poinformował mnie o takim zamiarze. – Wolverstone wzruszył ramionami. – Zobaczymy, co z tego będzie.

– Innymi słowy – stwierdził sucho Trentham – pomimo rozpaczliwego pragnienia rządu, żeby skazać winnych, wcale nie mamy wiele czasu. Nasi ludzie sprawdzają właśnie amsterdamskich kupców, ale wolno to idzie, a jak dotąd nie trafili nawet na najmniejszy trop.

– My zaś zaczęliśmy szukać po bankach – powiedział Rupert Cynster. – Próbujemy namierzyć naszego tajemniczego bankiera po przekazach na konta Rossa-Courtneya i Neilla. Teraz, kiedy mamy jeszcze Deveny'ego i Cumminga, może pójdzie szybciej. Ale będzie to niewielkie

przyspieszenie. Musimy być bardzo dyskretni, żeby nie zaalarmować ich pełnomocników, więc zajmie to co najmniej tydzień, a niewykluczone, że dłużej.

– Możliwe, że nie mamy tyle czasu – rzekł Devil Cynster.

Wolverstone nie odpowiedział, za to Lostwithiel stwierdził:

– Niechętnie to proponuję, ale może w takiej sytuacji należy odwołać się do bardziej przekonujących środków perswazji niż słowa.

Wolverstone zawahał się, lecz w końcu pokręcił głową.

– Podczas wojny takie działania byłyby usprawiedliwione. Ale to nie jest wojna, a tego typu praktyki sprowadziłyby nas tylko do ich poziomu. – Przerwał, po czym mówił z większym zdecydowaniem: – Co do naszych czterech sponsorów, najlepsza taktyka to kontynuować przesłuchania, starając się jednocześnie wzbudzić w nich wątpliwości. Musimy ich przekonać, że możemy trzymać ich w izolacji tak długo, dopóki nie zdobędziemy dowodów.

– Powiedzmy im więc o naszych działaniach – zaproponował Dearne – i może też zasugerujmy, że pracownicy Albany słyszeli więcej, niż Ross-Courtney się domyślał.

Trentham przytaknął.

– I że gildia diamentowych kupców w Amsterdamie udziela nam dużego wsparcia – dorzucił. – Co prawda jest wręcz przeciwnie, ale oni o tym nie wiedzą.

– Najsłabszym punktem jest ten bankier – rzekł Rupert Cynster. – Musi znać wszystkie nazwiska i wiedzieć, od

którego handlarza pochodzą przesyłane pieniądze. Może wspomnijmy, że jego też już namierzyliśmy.

Lostwithiel pokiwał głową, lecz potem popatrzył na Wolverstone'a.

– Jedyne, czego się obawiam, to co się stanie, jeśli uda im się wyjść na wolność, choćby na krótko. Pierwsze, co wtedy zrobią, to zniszczą wszystkie dowody. A przecież wiemy, że należą do ludzi, którzy bez wahania zlecą nawet zabójstwo.

Wolverstone skrzywił się przelotnie. Znowu zapadła cisza. Wszyscy zastanawiali się, co jeszcze można zrobić, żeby przyspieszyć sprawę.

Wreszcie odezwał się Wolverstone.

– No dobrze, mamy więc czterech z sześciu sponsorów i szansę na zdobycie dostatecznych dowodów, jeśli dostaniemy jeszcze kilka tygodni. To zaś zależy od tego, czy rodziny lub pełnomocnicy pojmanych o niczym się nie dowiedzą i nie zaczną zadawać pytań. – Popatrzył na żonę. – Neill i Cummins są żonaci. Czy ich małżonki nie będą się niepokoić ich zniknięciem?

Minerva pokręciła głową.

– Nie sądzę.

– Żona Neilla mieszka na prowincji – dodała Honoria – i jest przekonana, że Neill nadal przebywa w Afryce.

– Co do Cumminsa – powiedziała Minerva – to jego żona nie przyjechała na sezon do Londynu, a on nie ma tu domu, tylko najmuje pokoje. Tak więc wyłącznie jego służba będzie wiedziała, że nie wrócił. Moim zdaniem minie kilka dni, może nawet tydzień, zanim jego pokojowy zdecyduje

się zawiadomić swoją panią. W skrócie, mało prawdopodobne, żeby ktoś zaczął go szukać wcześniej niż przed upływem kilku tygodni.

– Sądzę – stwierdził dość ponuro Devil Cynster – że największe niebezpieczeństwo grozi nam ze strony dwóch ostatnich sponsorów. Nie mogą wiedzieć, że Ross-Courtney i Neill zostali schwytani, ale zauważą tajemnicze zniknięcie lorda Hugh i Cumminsa, a wtedy na pewno zaczną się domagać wyjaśnień.

– Zwłaszcza jeśli zmówili się wcześniej, co robić w razie zainteresowania władz – zgodził się Dearne.

– Podejrzewam, że w ogóle nie mamy czasu – zauważyła cierpko lady Clarice Warnefleet – zwłaszcza w sytuacji, gdy całe towarzystwo obiega właśnie wieść o cudownym naszyjniku z błękitnych diamentów na balu w Wolverstone House. Nawet jeśli ostatniej dwójki na nim nie było, na pewno usłyszeli nowiny. Przede wszystkim będą chcieli się ze sobą skontaktować. A kiedy nie dostaną odpowiedzi od lorda Hugh i Cumminsa...

– Musimy jak najszybciej ich zidentyfikować – przerwał zdecydowanie Wolverstone. – Jeśli ich nie dopadniemy, nasze szanse powodzenia gwałtownie się zmniejszą. – Popatrzył na Isobel siedzącą obok Minervy. – Moja droga, czy będziesz skłonna jeszcze raz posłużyć za przynętę?

– Oczywiście. Rozumiem, że mówimy o balu w St. Ives House?

Royd zacisnął zęby, żeby powstrzymać słowa protestu, które odruchowo cisnęły mu się na usta. Operacja zeszłego

wieczoru poszła gładko, lecz mimo to dręczyły go złe przeczucia, a dawno już się nauczył, że lepiej ich nie ignorować. Trudno byłoby mu wyjaśnić, dlaczego powtórzenie tej samej akcji miałoby wiązać się z jakimkolwiek niebezpieczeństwem dla Isobel, zwłaszcza że miał ją otaczać jeszcze większy zastęp obrońców, ale mimo to nie mógł się wyzbyć wrażenia, że kuszą los.

Jednak Isobel i wszyscy inni byli zdecydowani, aby ująć pozostałych dwóch sponsorów, dlatego Royd nie oponował i sprawa została przesądzona. Isobel znowu ustroi się w błękitne diamenty i pojawi na największej imprezie sezonu, żeby spróbować znaleźć ostatnich winowajców. A jeśli im się nie powiedzie... No cóż, wtedy ich sytuacja nie będzie gorsza niż obecnie.

***

Wróciwszy z pozostałymi trzema parami na Stanhope Street, Royd i Isobel odkryli, że Duncan pojechał na spacer z babką i prababką. Fergus jednak pozostał w domu i nalegał, żeby poinformowano go o rozwoju sytuacji, co też zrobili przy herbacie i ciastach.

– Twoja druga suknia pewnie już została dostarczona – rzekła Edwina. – Chodźmy sprawdzić, czy będzie się prezentować z diamentami tak dobrze, jak nam się wydawało.

Isobel przytaknęła i spojrzeniem zaprosiła Aileen oraz Kate, żeby do nich dołączyły.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Declan westchnął:

– Takie spokojne chwile są ostatnio na wagę złota, więc nacieszę się nimi w bibliotece.

– Pójdę z tobą – oznajmił Robert.

Caleb popatrzył na Royda.

– Słyszałeś o tym pikniku, który nasze panie organizują w poniedziałek? Polecono mi udać się do naszego biura z oficjalnym zaproszeniem dla wszystkich załóg. – Wyjął złożoną kartkę. – Jeśli nie zechcesz nic dodać, zrobię to teraz.

Royd wziął papier i przeleciał po nim wzrokiem, Fergus zaś czytał mu przez ramię.

– Brzmi to bardziej jak rozkaz niż zaproszenie – stwierdził w końcu Royd, oddając wiadomość – lecz ja ze swojej strony nie mam uwag.

Caleb wyszczerzył się, zasalutował i wyszedł.

Fergus postukał najstarszego syna w ramię.

– Przejdź się ze mną po ogrodzie – powiedział. – Mam ochotę na spacer.

Wyszli na zewnątrz. Ku zdziwieniu Royda Fergus milczał i tylko się przechadzał, podziwiając roślinność.

W końcu młodzieniec sam zaczął rozmowę, pytając:

– Jak sobie radziłeś ze świadomością, że mama naraża się na niebezpieczeństwo? Bo nie wątpię, że przez te lata, kiedy z tobą pływała, często jej się to zdarzyło.

Fergus wybuchnął śmiechem.

– O tak. I to nawet dość często! Jak sobie z tym radziłem? – Zwrócił przeszywające spojrzenie na syna. – Zapewne tak samo jak ty. Nie jest to łatwe, ale trzeba po prostu nad sobą

panować i być gotowym, na wypadek gdyby twoje obawy okazały się uzasadnione. To cena, jaką płacimy za ich obecność w naszym życiu.

Royd skrzywił się i szedł dalej bez słowa.

– Właściwie – dodał po chwili Fergus – sądziłem, że z nas wszystkich ty będziesz miał najłatwiej. W końcu znasz Isobel od dawna, a ona zawsze była nieustraszona.

– Ale kiedyś było kiedyś – burknął Royd – a teraz jest teraz.

– Owszem, ale Isobel nie zmieniła się ani pod względem odwagi, ani intelektu.

– Co to, to nie – zgodził się Royd i po chwili westchnął, wbijając wzrok w ścieżkę. – Wiem, że nie chodzi o nią, tylko o mnie... To mój problem i sam muszę sobie z nim poradzić.

– Jeśli zrozumiałeś choć tyle – zachichotał Fergus – to i tak jesteś górą. O ile się nie mylę, Edwina wciąż próbuje wbić to Declanowi do głowy, i trochę czasu minie, zanim to do niego dotrze. A Robert, jeśli dobrze pojąłem, co się wydarzyło podczas jego misji, nie miał w tej kwestii wielkiego wyboru, lecz i tak będzie próbował się opierać, choćby bezskutecznie. Aileen da mu popalić. Co do Caleba... Jemu chyba najbardziej się poszczęściło pod tym względem. Kate mniej się upiera, żeby rzucać się w niebezpieczeństwo, ale jednocześnie zamierza często z nim wypływać, więc i jego czekają pewne próby. Lecz przecież dopiero co udowodnił, że wszystko potrafi przeżyć i jeszcze świetnie na tym wyjść.

– Hm. Skoro już o tym wspomnieliśmy, chciałbym z tobą omówić pewne zmiany w podziale naszych zadań. – Royd wyjaśnił, co ma na myśli.

Upewniwszy się co do kilku kwestii, Fergus dał mu swoje błogosławieństwo, po czym skinął ręką w kierunku domu.

– Skoro Caleb akurat wyszedł, skorzystajmy z okazji i naradźmy się z Declanem i Robertem. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko temu, ale mając ich wyraźną zgodę, będziemy mogli ogłosić to podczas planowanego pikniku.

Wrócili do biblioteki i kolejne kilka godzin spędzili z pozostałą dwójką na omawianiu kwestii związanych z kompanią transportową. Po powrocie Caleba przekazali mu wieści.

– Trzeba było zobaczyć jego reakcję – zwrócił się Royd do Isobel, gdy po spokojnym wieczorze wracali do sypialni, którą teraz dzielili. – Nogi dosłownie się pod nim ugięły!

– Caleb wciąż uważa siebie tylko za najmłodszego brata: dzieciaka, w którym nikt nie dostrzega dorosłego.

– Najbardziej chyba zaskoczyła go zgoda Declana i Roberta.

– Ta misja otworzyła im oczy – oznajmiła z uśmiechem Isobel. – Przedtem chyba tylko twoi rodzice i ty wiedzieliście, na co stać Caleba. Do czasu tej ostatniej przygody nawet on sam nie zdawał sobie sprawy ze swoich możliwości.

Przystanęli pod pokojem Duncana i zajrzeli do środka. W słabej poświacie księżyca wpadającej przez okna dostrzegli chłopca zwiniętego na łóżku.

– Twoja matka i Iona zabrały go do parku, żeby karmić kaczki – rzekła z uśmiechem Isobel, zamykając drzwi. – Nieustannie trajkotał i zasypywał je pytaniami. Musi być wyczerpany.

– Sporo się nauczył, od kiedy opuściliśmy Aberdeen – stwierdził Royd, wchodząc za nią do ich sypialni.

Isobel podeszła do toaletki i zaczęła wysuwać szpilki z włosów.

Royd zdjął frak i kamizelkę, po czym wziął się do rozwiązywania krawatki.

– Pomóż mi z tymi tasiemkami.

Isobel stała przed toaletką, odwrócona do niego plecami, z rękami na biodrach. Kiedy nie odpowiedział, obejrzała się przez ramię.

Wiedział, że nigdy nie wyzwoli się spod czaru tego spojrzenia – na poły zmysłowego i uwodzicielskiego, na poły niewinnego. Rzucił krawatkę na resztę ubrań i podszedł bliżej. Isobel znowu odwróciła się do lustra, a on zaczął rozplątywać tasiemki jej sukni.

– Co się dzieje? – spytała, widząc, że coś go dręczy.

Nie naciskała jednak na odpowiedź. Wiedziała, że szybciej ją dostanie, jeśli będzie cierpliwie czekać.

Royd poluzował ostatnią tasiemkę, odsłaniając jej plecy. Wsunął dłonie pod tkaninę, przesunął palcami po jedwabistej skórze i przyciągnął Isobel do siebie.

Popatrzył w jej oczy w lustrze.

Pragnął odpowiedzieć, lecz niełatwo mu było znaleźć słowa.

Przymknął powieki i wciągnął powietrze.

– Czuję, jakbym po ośmiu latach pustki znowu ledwo posmakował raju, a już muszę ryzykować, że stracę i ciebie, i wszystko, co nas łączy, całą naszą nadzieję na przyszłość. – Oparł brodę na jej ramieniu. – Wiem, że tak właśnie trzeba, że musisz to zrobić, a mimo to... – Pokręcił lekko głową.

Isobel zsunęła suknię i odwróciła się w jego ramionach.

– A jak ci się wydaje, co ja czułam, wiedząc, że masz poprowadzić atak na obóz? Że jako pierwszy wkroczysz na teren wroga? I że nie mogę być blisko ciebie, żeby ci pomóc, gdyby coś się zdarzyło, nawet tego nie zobaczę... Czy to nie to samo? – spytała, odchylając głowę.

– Może i tak, ale ty jesteś kobietą. Lepiej sobie radzisz z takimi rzeczami.

Isobel wiedziała, że Royd specjalnie tak powiedział, żeby ją sprowokować. Kiedy spróbował ją do siebie przyciągnąć, położyła mu ręce na piersi i się odsunęła.

– Może to prawda, ale nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że nie musisz ukrywać przede mną takich uczuć: rozumiem je, bo czuję to samo. Ale takie sytuacje, podejmowanie ryzyka, to właśnie czyni nas tym, kim jesteśmy. Nas oboje. To jedna z rzeczy, które nas łączą.

Royd słuchał z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie powinniśmy, wręcz nie możemy odwracać się plecami, kiedy ktoś nas potrzebuje – ciągnęła. – Oboje tacy jesteśmy i to się nigdy nie zmieni. Ale teraz, kiedy to wiemy... może zdołamy lepiej sobie radzić z takimi

sytuacjami. W każdym razie im więcej zdobędziemy doświadczenia, tym mniej będziemy się tym przejmować.

– Mówisz więc, że po prostu musimy się do tego przyzwyczaić?

Kiedy pokiwała głową, westchnął.

– A nie mówiłem? Lepiej sobie z tym radzisz ode mnie.

Isobel roześmiała się i przyciągnęła jego twarz, żeby pocałować go w usta.

– Ale powiedz mi szczerze: czy zgodziłaś się tylko dlatego, że inni cię prosili, czy naprawdę chcesz wziąć udział w tej akcji?

– Chcę – odparła. – Przez wzgląd na tych, których uratowaliśmy i których uratować nie zdołaliśmy, na tych wszystkich, którzy nam pomogli, na Kate i – owszem – przez wzgląd na ciebie i na mnie. Jutro mamy ostatnią szansę. Musimy się przekonać, co z tego wyniknie.

Kiedy Royd westchnął i pokiwał głową, Isobel spytała z ciekawością:

– A co byś zrobił, gdybym powiedziała, że tak naprawdę tego nie chcę?

Royd wbił w nią zdziwione spojrzenie.

– Pytam tylko z ciekawości – dodała. – Stanąłbyś za mną? Wsparłbyś mnie, gdybym odmówiła jak tchórz? Nawet gdyby to znaczyło, że nie złapiemy sponsorów?

– Gdybyś odmówiła, zabrałbym cię stąd, zanim byś się obejrzała. Złapanie sponsorów to ważna sprawa, ale ty i twoje bezpieczeństwo liczą się dla mnie jeszcze bardziej. Nie ma dla mnie nic ważniejszego od ciebie.

Serce Isobel zabiło tak mocno, że bała się, czy nie wyskoczy jej z piersi.

Nie miała już żadnych wątpliwości co do jego miłości.

Uśmiechnęła się promiennie; w tym uśmiechu zawierało się całe jej uczucie.

– A co? – spytał Royd, nadal marszcząc brwi. – Myślałaś może, że...

Pocałowała go. Pocałowała go z całej siły, mocno trzymając za głowę.

Dość już słów. Przyszła pora na czyny.

Dzisiejszej nocy to ona podyktuje warunki, przejmie ster i pokaże Roydowi, co do niego czuje. Dowiedzie mu, jak bardzo kocha i jego, i wszystko, co się z nim wiąże, nawet tę jego nadmierną opiekuńczość.

Ubrania poleciały na podłogę, dłonie chwytały i pieściły, usta spotykały się, gorące i wilgotne.

Wreszcie dotarli do łóżka. Isobel wygrała potyczkę: przewróciła Royda na plecy i usiadła na nim okrakiem. Dopiero później dotarło do niej, że cały czas o to właśnie mu chodziło – teraz mógł ją widzieć i pieścić każdy skrawek jej skóry. Nie chciała się poddawać, lecz Royd za dobrze ją znał. Potrafił doprowadzić ją do stanu, w którym mogła tylko wzdychać i drżeć z pożądania – całkowicie straciła panowanie nad sobą, aż w końcu nabrzmiało w niej straszliwe pragnienie.

Mogła je zaspokoić tylko w jeden sposób.

Uniosła się i jednym gładkim ruchem wsunęła na Royda. Jej świat skurczył się tak, że nie zostało w nim miejsca na

nic poza nią i nim, ich jednością i nagością.

Spletli palce i Isobel przymknęła oczy, unosząc się powoli i opuszczając. Zadrżała z pożądania. Ścisnęła mięśnie ud i poczuła, jak jego rosłe ciało naprężа się w odpowiedzi.

Uśmiechnęła się i zaczęła prowadzić ich oboje dalej, nie pozwalając, aby Royd pozostał w tyle. Żądała, by dołączył do niej.

Kiedy wreszcie się poddał i ruszył razem z nią, zanurzyli się w doznania, w powtarzalny rytm jej wygiętego ciała, powoli budując narastające napięcie. Poruszali się szybko i płynnie, oddychając płytko. Ich skóra płonęła, pokryta potem, ich ciała mknęły w rozpaczliwym wyścigu na szczyt, ku zaspokojeniu.

Kiedy po wszystkim z bijącymi sercami ułożyli się obok siebie, Isobel powiedziała sennie:

– Nie możesz mnie stracić, bo nigdy cię nie puszczę.

Royd objął ją mocniej i pocałował w czoło.

Odpływając w sen, usłyszała jego słowa:

– Jesteś moja, a ja jestem twój. I nic na tym świecie nigdy tego nie zmieni.

Siedemnaście

Stwierdzenie, że na balu u księstwa St. Ives panował straszliwy ścisk, byłoby ogromnym niedopowiedzeniem.

Godzinę przed północą Isobel stała z Declanem pod ścianą ogromnej sali balowej i obserwowała ponad głowami innych gości dramat rozgrywający się na tyłach pomieszczenia.

Dołączyła do nich Edwina.

– Nic nie widzę... Mówcie, co się dzieje!

– Przed chwilą tańczyłam z Harrym Cynsterem – wyjaśniła Isobel. – Schodziliśmy właśnie z parkietu, kiedy jakiś tęgi jegomość (Harry powiedział mi potem, że to markiz Risdale) podszedł jakby nigdy nic i poprosił... nie, to zbyt łagodne słowo... zażądał wręcz, żebym powiedziała, skąd mam naszyjnik.

– No i? – Edwina złapała Declana za ramię i wspięła się na palce, wyciągając jednocześnie szyję, lecz bezskutecznie.

– Byłam tak zdumiona, że tylko wpatrywałam się w niego. Zanim odzyskałam rezon, zaczął się wściekać, że diamenty należą do niego, że wie, skąd pochodzą, i musiała zajść jakaś pomyłka, a jeśli natychmiast mu ich nie oddam, każe mnie zamknąć... – Isobel pokręciła głową. – Gadał tak bez końca. To było wręcz idiotyczne. W ogóle się nie krył. Ledwo mogliśmy z Harrym w to uwierzyć. Wreszcie Harry zapytał go, jakim cudem naszyjnik może należeć do niego,

i markiz zdał sobie sprawę, że się zagalopował. Odwrócił się, chcąc odejść, ale był tam Dearne i dwóch innych. Słyszeli każde słowo. Risdale próbował się między nimi przedrzeć, ale go zatrzymali, a teraz jest tam też Devil Cynster i usiłują wyprowadzić go bez zamieszania.

– Właśnie podszedł do nich Wolverstone z Minervą – powiedział Declan. – Wygląda na to, że Minerva nieźle sztorcuje Risdale'a, żeby się przyzwoicie zachowywał.

– W to nie wątpię... – rzekła Edwina i nagle się skrzywiła. – Au!

Isobel i Declan popatrzyli na nią z niepokojem.

Edwina przycisnęła dłoń do brzucha, starając się uśmiechnąć.

– Co się dzieje? – Declan gotów był wpaść w panikę.

– To tylko mały skurcz... – Jej mąż nadal nie wydawał się przekonany, więc Edwina dodała: – Skoro już musisz wiedzieć, to twój nieszczęsny potomek właśnie mnie kopnął, i to mocno.

– Czy to normalne? – Declan wcale nie wyglądał na uspokojonego.

– Jak najbardziej – zapewniła go Isobel. – Ale lepiej zaprowadź Edwinę do okna. Może będzie tam nieco ciszej i dziecko się uspokoi.

– Nie możemy zostawić cię samej – zaprotestowała Edwina. – Przecież miałaś cały czas przebywać w towarzystwie co najmniej dwóch osób.

Isobel rozejrzała się i zauważyła Letitię, żonę Dearne'a, która rozmawiała z lady Clarice.

– Dołączę do markizy i lady Clarice. Wkrótce znowu zaczną się tańce, a wtedy zajmą się mną moi partnerzy. Wygląda na to, że dopisuje nam szczęście. Kto wie? Może uda nam się złapać także ostatniego sponsora.

Edwina spojrzała niepewnie na Isobel.

– Rzeczywiście wolałabym stanąć pod oknem. Tam będzie chłodniej... Na pewno sobie poradzisz?

– Jak najbardziej. – Isobel machnęła swobodnie dłonią. – Przecież to zaledwie kilka kroków stąd.

Uśmiechnęła się i weszła w tłum.

Jej suknia na ten wieczór została uszyta ze wspaniałego niebieskozielonego jedwabiu. Na jego tle naszyjnik robił jeszcze większe wrażenie niż poprzednio.

Isobel uśmiechała się i kłaniała, przechodząc między gośćmi w eleganckich sukniach i frakach. Była już kilka kroków od celu, kiedy drogę zastąpił jej wytwornie ubrany młodzieniec.

– Przepraszam, czy panna Carmichael?

Isobel przystanęła. Rozmówca wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Zgadza się, to ja.

– Kapitalnie! Obiecałem kamerdynerowi, że panią znajdę, bo on jest potrzebny w dziesięciu miejscach jednocześnie. W holu czeka posłaniec z wiadomością dla pani. Wydaje się dość zdenerwowany... Wspominał coś o poszukiwaniach jakiegoś chłopca.

Chłopca? O nie...

Isobel zapomniała o wszystkim innym. Czyżby Duncan jakimś cudem wymknął się spod opieki dziadków? Iona była z nimi na balu. Może Duncan wybiera się tutaj? A może do portu? A może...?

Ogarnęła ją tak wielka panika, że prawie nie mogła oddychać.

– Powiedział pan, że w holu? – spytała, odwracając się ku drzwiom.

– Tak, tuż przy schodach. Proszę poczekać, przeprowadzę panią przez tłum. – Młodzieniec nie próbował jej ująć pod ramię, lecz idąc obok, torował przejście przez ciżbę.

Wreszcie dotarli do drzwi. Na górnym podeście schodów nadal panował tłok, lecz towarzysz Isobel wskazał ręką leżący niżej hol wejściowy. Dziewczyna ze słabym uśmiechem wyminęła innych gości i ruszyła do schodów, z trudem powstrzymując się, żeby nie ruszyć biegiem.

W holu pełno było wchodzących i wychodzących gości, którzy odbierali i oddawali służbie płaszcze, opończe, kapelusze i laseczki. Isobel przystanęła na półpiętrze i rozejrzała się, szukając któregoś z lokajów Edwiny.

Młody dandys przystanął obok niej.

– Był dokładnie w tym miejscu... O, tam jest! – Pokazał otwarte drzwi. – Czeka na zewnątrz.

Isobel zebrała spódnicę i pospieszyła na dół, a potem wybiegła na ganek.

– Tam stoi. – Młodzieniec wskazał ręką w prawo.

Jak zwykle podczas dużych balów w Mayfair po obu stronach wejścia zebrał się tłum gapiów: pokojówek,

chłopców na posyłki, lokajów, krawcowych i modystek, którzy pragnęli podziwiać szaty, klejnoty i fryzury zaproszonych gości. Isobel dostrzegła kilka osób, które mogły należeć do służby ze Stanhope Street, lecz posłusznie skręciła w prawo.

Dandys wziął ją pod ramię i przysunął się bliżej, wprowadzając ją w tłum, który spoglądał z ciekawością, lecz ustępował im z drogi.

– Jeszcze tylko odrobinę dalej...

Nagle Isobel usłyszała dziwne napięcie w jego głosie. Tknęło ją złe przeczucie. Przystanęła, lecz tamten pociągnął ją dalej.

Był silniejszy, niż się spodziewała. Dopiero po kilku krokach udało jej się zaprzeć i wyszarpnąć rękę. Natarła na młodzieńca z narastającą wściekłością.

Nagle jej głowę zakryło czarne płótno.

W tej samej chwili ktoś chwycił ją za ręce i związał je, prowadząc ją jednocześnie z dala od rezydencji St. Ives.

Czarna tkanina nie dawała się przeniknąć wzrokiem. Isobel wyczuła obok siebie dwóch rosłych mężczyzn, a potem ktoś narzucił jej na ramiona ciężki płaszcz.

– Jeśli cenisz życie swojego syna, będziesz siedzieć cicho – powiedział jakiś szorstki głos.

Oszołomiona Isobel zdała sobie sprawę, co się stało. Kimkolwiek byli porywacze, zdołali wywabić ją z domu. Czy ktoś z jej opiekunów widział, jak wychodzi?

Mężczyźni prowadzili ją dalej, lecz cały czas trzymali się chodnika. Do diaska, przecież znajdowali się na Grosvenor

Square, w samym sercu modnego Londynu. Dlaczego nikt nie spieszy jej na ratunek?!

Wszyscy zajęci byli podziwianiem balowych gości.

Mężczyźni przystanęli, trzymając ją za ramiona. Isobel usłyszała znajomy odgłos otwieranej zapadki i nagle podniesiono ją i wsadzono do powozu. Stopy zaplątały jej się w suknię i płaszcz – opadła niezgrabnie na siedzenie.

Jej kolana dotknęły nóg siedzącego naprzeciwko mężczyzny, który natychmiast uprzejmie się odsunął.

Drzwi się zatrzasnęły. Isobel poprawiła się na siedzeniu i usiadła prosto.

– Dobry wieczór, panno Carmichael. Przepraszam za te niedogodności, ale jeśli ceni pani swoje życie i pragnie znowu zobaczyć syna, radziłbym siedzieć spokojnie i odpowiadać na moje pytania. – Głos był nie tylko chłodny, lecz wręcz lodowaty, wyprany z wszelkich emocji. – Chciałem po prostu porozmawiać z panią z dala od tego piekielnego ścisku i uważnych oczu pani przyjaciół. – Tu dżentelmen (bo sądząc po doborze słów i dobrej dykcji, nie mógł pochodzić z gminu) przerwał, po czym rzekł: – Pani wybaczy na chwilę.

Isobel czekała, lecz tamten nie wyszedł z powozu. Otworzył tylko okno i przemówił do kogoś na chodniku. Zdała sobie sprawę, że to ten dandys. Zastanawiała się, czy nie unieść kaptura, żeby móc coś zobaczyć, lecz wysunięcie rąk spomiędzy fałd płaszcza zajęłoby za dużo czasu i mężczyzna na pewno by to zauważył. Słuchała więc tylko

uważnie, lecz nie padły żadne nazwiska. Było jednak jasne, że młodzieniec został opłacony, żeby wywabić ją z domu.

Poczuła rozgoryczenie. Miała być przynętą, a sama dała się złapać.

Ukradkiem sprawdziła krępujące ją więzy, lecz były mocno zaciśnięte. Skupiła się więc na tym, co mogła wydedukować na temat swojego położenia. Za porwanie ewidentnie odpowiadał siedzący z nią mężczyzna – to na pewno ostatni ze sponsorów.

Nieznajomy odesłał dandysa. Szyba zaskrzypiała, kiedy zamykał okno.

– Proszę się nie martwić, panno Carmichael – powiedział do niej. – Nigdzie się nie wybieramy. Jak już mówiłem, chcę tylko zadać pani kilka pytań... Ach, no i odzyskać ten śliczny naszyjnik, który, tak się akurat składa, należy do mnie, przynajmniej częściowo.

Poczuła, jak mężczyzna przesuwa się i nachyla ku niej. Zacisnęła zęby, kiedy zimne palce musnęły jej skórę, szukając zapięcia naszyjnika.

Nieznajomy znalazł zamek, rozpiął go i nagle ciężar wspaniałych klejnotów zniknął.

Tamten odsunął się – pewnie podziwiał kamienie.

Nadal stali przy Grosvenor Square. Isobel musiała przyznać, że jej porywaczowi nie brakowało zimnej krwi.

Lecz do tej pory ktoś na pewno zdążył zauważyć jej nieobecność. Zaczną jej szukać.

Royd będzie wściekły i... może przestraszony, ale na pewno nie ulegnie panice. Był na to zbyt doświadczony.

Uratuje ją. Musiała tylko kupić sobie czas.

– Zachwycający. – Mężczyzna poruszył się na siedzeniu. Isobel wyobraziła sobie, jak chowa naszyjnik do kieszeni. – A teraz wróćmy do naszej rozmowy. Na pewno kusi panią, żeby zdjąć kaptur, lecz szczerze radzę tego zaniechać. Inaczej będę musiał panią zabić. Gdyby zaś wątpiła pani w prawdziwość tej groźby...

Isobel usłyszała charakterystyczny szczęk odbezpieczanego pistoletu, który w zamkniętym powozie wydawał się głośniejszy niż zwykle. Wstrzymała oddech.

Mężczyzna nachylił się ku niej. Poczuła, jak przykłada koniec lufy do jej piersi.

– Tu właśnie celuję, a z tej odległości raczej nie chybię – powiedział, jakby to była towarzyska pogawędka.

Isobel zdołała wciągnąć powietrze.

– A zatem, panno Carmichael, proszę powiedzieć, skąd ma pani ten naszyjnik. Tylko niech pani nie próbuje mydlić mi oczu jakimiś bzdurami, że pani nie wie. Jest pani wnuczką Iony Carmody i mówiono mi, że wdała się pani w babkę. Na pewno zna pani wszystkie szczegóły, więc proszę się nimi podzielić, jeśli łaska... Chcę usłyszeć wszystko, co pani wie na temat tych prześlicznych błękitnych diamentów.

Isobel zastanawiała się, jak przedłużyć rozmowę. Serce waliło jej jak młotem.

– Jeśli chce pan wiedzieć absolutnie wszystko, będzie to bardzo długa opowieść. Mogłabym mówić godzinami, lecz chyba oboje wolelibyśmy tego uniknąć. Może lepiej niech

pan zapyta o to, co dokładnie pragnie wiedzieć, a wtedy szybciej skończymy i będzie pan mógł mnie wypuścić – oznajmiła.

Łatwiej manipulować mężczyznami, kiedy wydaje im się, że to oni kontrolują sytuację.

Najpierw odpowiedziała jej cisza, a potem rozległ się śmiech.

– Słyszałem, że nie jest pani typową elegancką panienką – rzekł mężczyzna. – No dobrze. Oto moje pierwsze pytanie. Co pani wie na temat niejakiego lorda Petera Rossa-Courtneya?

Isobel odetchnęła i przygotowała się na odpowiedź.

***

W sali balowej Royd stał pod ścianą razem z Wolverstone'em i patrzył, jak Trentham, Carstairs i Hendon wyprowadzają Risdale'a. Markiz wreszcie zamilkł, lecz wpatrywał się w nich morderczym wzrokiem. Przy tylnym wyjściu czekał już powóz z eskortą, żeby zawieźć go do Essex.

Royd rozejrzał się po sali, szukając ciemnej głowy Isobel...

– Nie widzę Isobel. Chyba jej tu nie ma – zwrócił się do Wolverstone'a.

Ten zmarszczył brwi. On również się za nią rozglądał.

– Nie wyszłaby bez ważnego powodu – dodał Royd.

– A nawet wtedy ktoś powinien to zobaczyć i nas zawiadomić.

Po kilku sekundach wraz z resztą grupy przeczesywali już tłum. Na balu panował teraz największy ścisk. Orkiestra grała i na parkiecie pełno było tańczących par. Royd przyglądał się im, lecz Isobel nie było wśród nich. Miała teraz tańczyć z Jackiem Warnefleetem, lecz i on nie mógł jej znaleźć.

Royd przeszedł aż na drugi koniec sali, lecz już wiedział, że tam jej nie ma. W jego głowie dzwony biły na alarm.

Pod galerią dla muzyków spotkał się z Wolverstone'em i Devilem Cynsterem.

Wolverstone pokręcił ponuro głową.

Cynster zaklął.

Nagle obrócił się i wszedł na galerię, przeskakując po trzy stopnie naraz. Muzyka urwała się niespodziewanie.

Tancerze stanęli i podnieśli wzrok. Książę St. Ives wychylił się przez barierkę i krzyknął:

– Proszę o ciszę!

Wszystkie rozmowy ucichły i goście odwrócili się do galerii, szeleszcząc jedwabiami.

W pełnej zdumienia ciszy Devil oświadczył:

– To sprawa najwyższej wagi. Szukamy pewnej damy, tej z naszyjnikiem. Wysokiej, czarnowłosej, uderzającej urody, w niebieskozielonej sukni. Większość państwa na pewno ją zauważyła. Proszę się rozejrzeć. Czy ktoś ją widzi?

Wszyscy wykonali polecenie, lecz nikt się nie odezwał.

Nagle jakaś starsza dama na końcu sali zamachała pulchną upierścienioną ręką i zawołała:

– Wyszła kilka minut temu! Był z nią ten młody Strickland.

Royd ruszył do drzwi z Wolverstone’em depczącym mu po piętach. Tłum rozstąpił się i reszta ich towarzystwa podążyła za nimi.

– Strickland! – zawołał z góry Devil. – Proszę się znowu rozejrzeć! Czy ktoś go widzi?!

Tym razem nikt nie odpowiedział.

Royd zaklął półgłosem.

– Wiesz, jak wygląda ten Strickland? – spytał Wolverstone’a.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Ja wiem – powiedział idący za nimi Dearne.

– Idź z Roydem – polecił mu Wolverstone. – Rozdzielimy się. Wy zejdźcie na dół, a ja zorganizuję poszukiwania na piętrze i do was dołączę.

Royd i Dearne w towarzystwie kilku innych pospiesznie zeszli po schodach, podczas gdy Wolverstone i Honoria zaczęli rozsyłać ludzi po korytarzach.

– Widzisz tego Stricklanda? – spytał Royd, kiedy doszli do podestu, z którego rozciągał się doskonały widok na cały hol.

Markiz rozejrzał się uważnie, po czym wskazał chudego wyrostka opierającego się o ścianę przy schodach.

– To on.

Młodzieniec miał spuszczoną głowę. Liczył banknoty.

Royd przeskoczył kilka stopni niemal jednym susem i po dwóch kolejnych krokach stał już przed dandysem. Chwycił

go za krawat, uniósł nad ziemię i przycisnął do ściany.

– Gdzie ona jest? – warknął.

Oszołomiony Strickland przełknął ślinę, po czym zaczął bełkotać:

– W powozie na dworze. – Zobaczył mężczyzn, którzy stanęli za Roydem, i wytrzeszczył oczy. – To było tylko dla żartu! On mówił, że chce z nią zwyczajnie porozmawiać! Miałem ją tylko wyprowadzić. To inni, jego ludzie, zabrali ją i wsadzili do jego powozu! Ale on zaklinał się, że ją potem wypuści!

Ostatnie słowo brzmiało niemal jak pisk. Royd odepchnął młodzika na bok i pomknął do drzwi.

Usłyszał jeszcze, jak Dearne rozkazuje kilku innym trzymać chłopaka.

Nie obejrzał się nawet, żeby sprawdzić, kto biegnie razem z nim. Przepchnął się przez tłum i wyszedł na ganek. Strickland mówił o powozie.

Tylko że przed rezydencją stało mnóstwo powozów. Ulica zapchana była pojazdami, z których jedne dowoziły gości, a inne ich odbierały.

– To nie te – powiedział Royd. – Jeśli chce porozmawiać...

Jego uwagę przykuł mały czarny powozik stojący przy chodniku w pewnej odległości, poza zasięgiem świateł latarni.

Royd bez namysłu ruszył w jego stronę, przepychając się przez tłum gapiów.

***

– Więc jak pan widzi – powiedziała Isobel – w ogóle nie miałam okazji rozmawiać osobiście ani z Rossem-Courtneyem, ani z Neillem. Od kiedy wyszliśmy z dżungli, nawet ich nie widziałam.

– Lecz jest pani pewna, że nadal przebywają w zamknięciu? – naciskał nieznajomy mężczyzna.

– Doprawdy nie wiem, ale zakładam, że tak. Nie dotarło do mnie nic, co by temu przeczyło.

– I nie wie pani, gdzie ich trzymają?

– Nie.

Usłyszała tupot, więc dodała pospiesznie:

– Jednak wiem, że nie przetrzymuje ich policja i nie zamknięto ich w typowym więzieniu...

Ktoś szarpnął drzwi.

– On ma broń! – krzyknęła Isobel.

– Frobisher! – warknął mężczyzna.

Powóz zakołysał się, kiedy Royd wskoczył do środka. Narażał się na śmierć!

Isobel niewiele mogła zdziałać, lecz miała przecież swobodne nogi. Podniosła obutą w balowy pantofelek stopę i z całej siły kopnęła w kierunku, gdzie siedział jej porywacz.

Poczuła pod butem miękkie ciało i pistolet wystrzelił.

W ciasnym powozie wystrzał był ogłuszający.

Powóz się zakołysał. Isobel usłyszała przekleństwa i sapnięcia jak podczas walki.

Najwyraźniej Roydowi nic się nie stało.

Nagle rozległ się odgłos uderzenia i wreszcie powóz znieruchomiał.

Royd ujął ją za ręce.

– Nie ruszaj się, zdejmę ci kaptur.

Nie tak dawno temu po raz pierwszy w życiu zemdlała. Teraz z kolei myślała, że dostanie zawału. O mały włos, a by go straciła! Co za głupiec, żeby rzucać się na uzbrojonego przeciwnika! Co prawda zrobił to, żeby ją ocalić, ale jednak...

Kaptur się uniósł i Isobel podniosła wzrok na swojego wybawiciela. W mroku z trudem mogła dostrzec jego twarz. Royd wyglądał ponuro, ale chyba nie został ranny.

Spojrzał na nią badawczo, po czym zaczął rozwiązywać krępujące ją więzy.

– Nic ci nie jest? – warknął.

– Nic a nic. – Serce nadal waliło jej jak młotem. – A tobie?

– Wszystko w porządku.

Isobel odetchnęła raz i drugi. Zawroty głowy ustąpiły. Dostrzegła z tyłu za Roydem człowieka, który ją porwał. Leżał niezgrabnie na siedzeniu. Niczym się nie wyróżniał, wyglądał jak przeciętny dżentelmen.

Nagle poruszył się i jęknął.

W otwartych drzwiach powozu stanęli Wolverstone i Dearne, a za nimi inni.

– Groził mi – powiedziała Isobel – ale poza tym wypytywał tylko o Rossa-Courtneya i Neilla. I zabrał naszyjnik. Schował go do kieszeni.

Royd odrzucił sznur i przykucnął niezgrabnie, żeby rozmasować jej nadgarstki. Czuł pod palcami jej przyspieszony puls.

– Już w porządku.

– On wiedział o Duncanie... Wiedział, że mam syna. – Jej palce zacisnęły się na ręce Royda. – O Boże, chyba nie sądzisz, że...

– Nie. – A więc dlatego wyszła z sali balowej. Royd miał ochotę jeszcze raz zdzielić przeciwnika. – Na pewno nikt nie złapał Duncana.

Widział jednak po oczach Isobel, że nie uspokoi się, dopóki nie zdobędzie pewności. Podniósł się i pomógł jej wstać.

– Poślemy służącego, żeby się upewnił.

– Tak. Natychmiast!

Royd wyszedł z powozu i odwrócił się, żeby pomóc jej wysiąść. Isobel oparła się o jego lewe ramię i Royd syknął.

Spojrzała na swoją dłoń, a potem zacisnęła usta i dźgnęła go palcem w pierś.

– Do diabła, Royd, więc jednak jesteś ranny! Zostałeś postrzelony!

– To tylko draśnięcie. Zaraz przestanie krwawić.

– Skąd wiesz? Przecież w tym świetle prawie nic nie widać!

Royd zauważył jednego ze sług Wolverstone’a i skinął na niego ręką. Polecił mu biec na Stanhope Street i dowiedzieć się, czy jest tam niejaki Duncan Frobisher.

Służący popatrzył na swojego pana, oczekując potwierdzenia polecenia. Wolverstone spojrzał na Isobel i skinął głową.

– Byle szybciej.

Isobel nadal zajęta była raną Royda.

– Mówiłam, że on ma pistolet. Na pewno cię nie boli? Naprawdę nie przyszło ci do głowy nic lepszego, niż pakować się do środka i...

Royd przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Po chwili krótkiej jak uderzenie serca Isobel chwyciła go za głowę i oddała pocałunek.

Kiedy się od siebie odsunęli, Royd popatrzył jej w oczy i zobaczył, że doszła już do siebie. Znowu była dawną energiczną Isobel.

Trzymając się za ręce, odwrócili się ku nieprzytomnemu mężczyźnie wyciąganemu z powozu.

– Kto to? – spytał Royd.

– Clunes-Forsythe – rzekł Wolverstone. – Niezwykle zamożny osobnik o znakomitym rodowodzie. Ma ogromne wpływy, ale trzyma się na uboczu. – Kilku ludzi pod kierunkiem Dearne’a związało przytomniejącego więźnia i pociągnęło go przez chodnik na oczach tłumu, który wreszcie zauważył, że coś się dzieje.

Wolverstone wraz z Roydem i Isobel ruszyli w ślad za nimi.

– To może być przełom, na który czekaliśmy – powiedział książę i spojrzał na ramię Royda. – Trzymasz się?

– To tylko draśnięcie. Drobiazg. Byłoby o wiele gorzej, gdyby Isobel nie kopnęła go w czułe miejsce w odpowiednim momencie. Kula przeszła bokiem.

Ścisnął Isobel za rękę i uśmiechnął się szeroko.

– Doskonały z nas zespół – dodał.

Wolverstone parsknął śmiechem, jednak Isobel nie dała się ułagodzić.

– Porozmawiamy o tym później – mruknęła, patrząc przed siebie.

Po chwili Wolverstone zapytał:

– Rozumiem, że wywabili cię z sali balowej groźbą wobec twojego syna?

– Zgadza się. Gdy tylko pomyślałam, że Duncan może być w niebezpieczeństwie, wszystko inne poszło w niepamięć.

– Zupełnie zrozumiałe.

Kiedy dotarli do schodów rezydencji St. Ives, rozległy się pospieszne kroki i ktoś zawołał:

– Wasza Książęca Mość!

Wolverstone odwrócił się. To był służący, którego posłali na Stanhope Street. Mężczyzna był zziajany, ale się uśmiechał.

– Chłopcu nic nie grozi – wysapał. – Śpi mocno w swoim łóżku.

– Dzięki Bogu! – Isobel poczuła, jak kamień spadł jej z serca. – Dziękuję.

– Nie ma za co, panienko – odpowiedział sługa z ukłonem.

Weszli do pałacu, gdzie dołączył do nich Devil Cynster.

– Dearne mówił, że chcesz się od razu zabrać za Clunesa-Forsythe’a. Honoria zaproponowała salon na parterze. Jest tam dość miejsca dla nas wszystkich.

Wolverstone skinął głową, po czym spojrzał na Isobel.

– Mam przeczucie, że dzięki twojemu instynktowi macierzyńskiemu zdobyliśmy właśnie przewagę, która była nam potrzebna. Clunes-Forsythe uprowadził cię, ukradł naszyjnik i postrzelił Royda. Wszystko to są poważne przestępstwa, które łatwo możemy udowodnić i na które mamy świadków o nieposzlakowanej reputacji.

– Do tego – wtrącił Devil – Strickland zupełnie się rozsypał. Zezna dokładnie, co polecił mu zrobić Clunes-Forsythe. To idiota, ale z dobrej rodziny. Jego krewni dopilnują, żeby nie zaczął kręcić.

– Wyśmienicie. Przekonajmy się więc, czy uda nam się doprowadzić tę długą misję do zadowalającego końca.

***

– Postarajmy się uprościć sprawę.

Wolverstone stał przed ogromnym kominkiem w dolnym salonie St. Ives.

Clunes-Forsythe, wciąż ze związanymi rękami, został posadzony na krześle na końcu kosztownego dywanu. Z obu stron otaczali ich ludzie, którzy przyczynili się do jego pochwycenia. Panie zasiadły na wolnych miejscach, panowie zaś stali pod ścianami.

Na twarzy Clunesa-Forsythe’a nie widać było żadnej reakcji na słowa Wolverstone’a, jednak słuchał uważnie.

– Oto, jak wygląda sytuacja. – Książę wyjął z kieszeni naszyjnik z błękitnych diamentów. Podszedł i podał go Isobel. Clunes-Forsythe nie odrywał wzroku od lśniących klejnotów. – Te diamenty pochodzą z nielegalnej kopalni położonej w Afryce Zachodniej, w pobliżu Freetown. Obszar ten należy do brytyjskiej kolonii. Kopalnię można było otworzyć zgodnie z prawem, lecz jej pomysłodawcy woleli zwiększyć swoje dochody, utrzymując całą sprawę w sekrecie, a przede wszystkim wykorzystując do pracy siłę niewolniczą: mężczyzn, kobiety i dzieci pochodzenia brytyjskiego, uprowadzonych z miasta Freetown. Dzięki wysiłkom wielu osób przeprowadzono operację mającą na celu uwolnienie porwanych, zamknięcie kopalni, schwytanie odpowiedzialnych za nią osób i zdobycie dowodów, żeby je skazać. – Wolverstone przerwał i skłonił głowę w kierunku związanego mężczyzny. – A dzięki pańskiej dzisiejszej interwencji znamy teraz tożsamość wszystkich sześciu sponsorów... i wszystkich mamy w swoich rękach.

Clunes-Forsythe zamrugał.

Uśmiech Wolverstone’a stał się nieco bardziej pogardliwy i książę ciągnął tonem pogawędki:

– To prawda. Złapaliśmy już Rossa-Courtneya, Neilla, Deveny’ego, Cumminsa i Risdale’a. Wszyscy sądziliście, że nic wam nie grozi, bo nawet w wypadku odkrycia przedsięwzięcia wasza pozycja społeczna zagwarantuje wam nietykalność. Pięć czy nawet trzy lata temu mogła to być prawda, lecz dzięki części obecnych tu osób w zeszłym

roku udało się obalić Czarną Kobrę. Ta sprawa oraz publiczne poruszenie, jakie wzbudziła niechęć sądów do pociągania członków arystokracji do odpowiedzialności, zmusiła rząd do zajęcia bardziej konkretnego stanowiska. Postanowiono, że winni przedsięwzięć w rodzaju tej kopalni będą traktowani dokładnie tak samo, jak każdy przeciętny człowiek, i poniosą pełne konsekwencje swoich czynów. Publicznie.

Clunes-Forsythe zamienił się w słuch.

– W tej chwili mamy w naszych rękach wszystkich sponsorów. Wkrótce dołączy pan do pozostałych pięciu, których trzymamy w odosobnieniu, bez możliwości zawiadomienia przyjaciół. Żaden z was nie wyjdzie już na wolność. Pojawicie się publicznie dopiero na swoim procesie. Co do dowodów, schwytaliśmy już także trzech lokalnych koordynatorów przedsięwzięcia, którzy zgodzili się zeznawać. Dzięki naocznym świadectwom naszych agentów, którzy spacyfikowali kopalnię, oraz kilku przetrzymywanych tam oficerów mamy potwierdzenie nielegalnych działań, jakie prowadzono w kopalni. Do tego Ross-Courtney i Neill pokazali się tam osobiście, a ich zachowanie ponad wszelką wątpliwość dowodzi udziału w tym przedsięwzięciu. Teraz, kiedy znamy tożsamość wszystkich zaangażowanych, będziemy mogli udowodnić, skąd pochodziły pieniądze. Wiemy też o diamentowym kupcu i spodziewamy się wkrótce go odnaleźć. On zaprowadzi nas do bankiera zawiadującego operacją i w ten sposób zamkniemy krąg, dowodząc, że sześciu sponsorów

czerpało zyski ze sprzedaży diamentów z kopalni. Podsumowując, sąd nie będzie miał żadnych wątpliwości.

– Po co pan mi to wszystko mówi? – spytał Clunes-Forsythe.

Wolverstone odparł spokojnie:

– Ponieważ upoważniono mnie do obiecania złagodzenia kary jednemu ze sponsorów, jeśli ułatwi nam zbieranie dowodów, aby proces mógł przebiec szybko i sprawnie. Naturalnie rząd nie chce, żeby sprawa się przedłużała. Ale dotyczy to tylko jednej osoby z całej szóstki. To wystarczy, abyśmy uzyskali te kilka brakujących informacji. Dla jasności, karą za przestępstwa, jakie popełniliście, jest śmierć przez powieszenie. Łaskawość Korony ograniczy się do zmiany wyroku na dożywotnie zesłanie. Tak więc wygląda obecnie nasza oferta. Jednakże... – tu Wolverstone zawiesił dramatycznie głos – kiedy zdobędziemy wszystkie dowody, a spodziewamy się, że nastąpi to w ciągu kilku najbliższych dni, wasza współpraca nie będzie nam już potrzebna i propozycja zostanie wycofana.

Clunes-Forsythe słuchał uważnie. Po chwili spytał:

– Czy złożył pan tę propozycję również pozostałym pięciu?

– Czterem. Risdale’a złapaliśmy dopiero tego wieczoru. Jeszcze z nim nie rozmawialiśmy.

– I żaden z nich nie skorzystał z oferty?

– Nie. – Wolverstone uśmiechnął się. – Ale też żaden nie zna wszystkich faktów, którymi właśnie się z panem podzieliłem.

– Dlaczego więc wyjawiono je mnie? – spytał tamten nieufnie.

– Ponieważ w tej chwili to pan z całej szóstki ma najwięcej do zyskania. Niech pan się zastanowi. Jeśli jakimś trafem Ross-Courtney zdoła przesłać komuś wiadomość i król zainterweniuje, zanim zbierzemy resztę dowodów, wtedy niewykluczone, że i pozostali sponsorzy wyjdą na wolność. Lecz nie pan. Panu niezależnie od okoliczności grozi szubienica, ponieważ popełnił pan dziś trzy przestępstwa. Po pierwsze porwał pan damę z balu w książęcym domu. Po drugie zrabował pan jej naszyjnik wart królewskiego okupu.

– A może zrobił to Frobisher? – spytał Clunes-Forsythe, kierując spojrzenie na Royda.

– Byłem tuż za nim i mogę zaświadczyć, że to nie on – odezwał się spod ściany Dearne.

– Widzi pan? – spytał Wolverstone. – Trzecim przestępstwem była zaś próba zastrzelenia Frobishera z bliskiej odległości. Zrobił pan to na oczach moich, Dearne’a, Lostwithiela i kilku innych. Nie ma pan żadnych szans, żeby wywinąć się od tych zarzutów.

Clunes-Forsythe rozejrzał się po pokoju.

Wszyscy milczeli, tkwiąc na swoich miejscach jak zastygli, nawet Iona, która nalegała na udział w zebraniu i siedziała obok Isobel. Czekali, jak rozwinie się sytuacja.

Wreszcie Clunes-Forsythe wyprostował się i nabrał powietrza.

– Jeśli... jeśli zgodzę się pomóc w śledztwie, to czy złagodzenie wyroku będzie się również odnosić do zarzutów w związku z wydarzeniami tej nocy?

Przyjmie ofertę, pomyślała Isobel, z trudem panując nad triumfalnym uśmiechem.

– To będzie zależeć od poszkodowanych osób – rzekł Wolverstone i popatrzył na stojącego po swojej prawej stronie Royda. – Frobisher?

Royd skinął krótko głową.

– Panno Carmichael?

Isobel również potwierdziła.

– St. Ives?

Obejrzeli się na Devila Cynstera, który opierał się o kominek.

– Nie cieszy mnie ta perspektywa. Lecz jeśli to oznacza, że ten człowiek nigdy już nie postawi nogi w Anglii i do końca życia będzie harował w kolonii karnej gdzieś na końcu świata – Cynster wzruszył ramionami – to chyba jakoś to przeżyję.

– Ma pan swoją odpowiedź – zwrócił się Wolverstone do Clunesa-Forsythe’a.

– W takim razie... – mężczyzna odetchnął głęboko – możecie uznać dochodzenie za zakończone. – Uśmiechnął się cierpko z zaciśniętymi wargami. – Nigdy nikomu nie ufam, a już najmniej osobnikom pokroju Rossa-Courtneya. Mam dowody na wszystko. Ross-Courtney nawet się nie domyśla, ile wiem. – Uniósł związane nadgarstki i sięgnął do kieszeni fraka. Sprawiło mu to trudność, lecz nikt nie

podszedł, żeby mu pomóc. Wreszcie udało mu się wyciągnąć łańcuszek z kluczem. – Poślijcie kogoś do mojego domu. Ten klucz otwiera sejf w gabinecie, za portretem mojej babki na lewo od biurka. Wewnątrz znajdziecie księgi rachunkowe ze wszystkimi potrzebnymi informacjami.

Wolverstone wziął od niego klucz.

– Mam jedno pytanie – wtrącił Caleb. – Z czystej ciekawości. Wybrał pan dalekie zesłanie. Wielu uznałoby to za los gorszy od śmierci, zwłaszcza dla kogoś w pana wieku. Skąd ta decyzja?

– Zapewne kierują mną te same pobudki co ludźmi, których skazałem na niewolniczy los. Póki życia, póty nadziei – odparł po chwili zastanowienia Clunes-Forsythe.

– I jeszcze żeby formalnościom stało się zadość... – rzekł Wolverstone. – Utrzymujemy, że wraz z Risdale’em, Neillem, lordem Hugh Devenym i sir Reginaldem Cumminsem został pan wciągnięty przez lorda Petera Rossa-Courtneya w przedsięwzięcie polegające na finansowaniu nielegalnej kopalni w Afryce Zachodniej, gdzie wykorzystywano siłę niewolniczą. Kopalnią zawiadywał Arnold Satterly, krewny Rossa-Courtneya i prawa ręka gubernatora kolonii, a także attaché morski o nazwisku Muldoon oraz William Winton, pomocnik intendenta w forcie Thornton. Czy potwierdza pan te informacje?

– Zgadzają się w każdym szczególe.

Isobel uśmiechnęła się i popatrzyła na Royda.

– Sprawa zamknięta – powiedzieli bezgłośnie w tym samym momencie.

A potem się roześmiali.

***

Wolverstone wysłał Clunesa-Forsythe’a do Essex, po czym wrócił do salonu, gdzie panowała atmosfera triumfalnej radości, żeby pogratulować wszystkim zaangażowanym w sprawę. Minerva kazała podać szampana. Wzniesiono kolejne toasty – za zebranych, za wyzwolonych więźniów, za Royda oraz Isobel i w ogóle za wszystkich braci Frobisherów oraz ich damy.

Isobel uśmiechała się z zadowoleniem, lecz martwiła ją plama krwi na ramieniu Royda, dlatego chętnie się zgodziła, gdy zaproponował, żeby opuścili przyjęcie pod pretekstem opatrzenia rany. Pozostali wrócili do sali balowej, gdzie całe towarzystwo czekało niecierpliwie na informacje o tym, co zaszło. Oni tymczasem wymknęli się po cichu bocznym wyjściem, żeby uniknąć ciekawskich pytań, i ruszyli energicznym krokiem.

Noc była chłodna, niebo zachmurzone, a z dala od rezydencji St. Ives na ulicach kręciło się niewielu przechodniów. Szli szybko i już wkrótce Humphrey wpuścił ich do domu Declana i Edwiny, gdzie panowała cisza i spokój.

Isobel pokazała ramię Royda i poprosiła o gorącą wodę do sypialni.

– Oczywiście, proszę pani.

Isobel odwróciła się i weszła na schody. Humphrey konsekwentnie zwracał się do niej per „proszę pani” zamiast „panienko”, lecz nie zadała sobie trudu, żeby go poprawić, wychodząc z założenia, że w sumie kamerdyner się nie myli.

Royd szedł za nią. Emocje, które do tej pory powściągał, zaczynały dochodzić wreszcie do głosu. Zranione ramię piekło, lecz w momencie wystrzału poczuł ulgę, bo był pewien, że Isobel nic już nie grozi. Miał nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiał patrzeć na nią związaną i trzymaną na muszce czyjegoś pistoletu.

Isobel przystanęła pod sypialnią Duncana i weszła na palcach do środka. Royd poszedł za nią.

Zatrzymał się w drzwiach i w świetle nocnej lampki patrzył, jak Isobel łagodnie okrywa ramię chłopca kołdrą, odgarnia mu włosy i całuje w czoło. We śnie buzia Duncana była bardziej podobna do matki niż do ojca.

Na twarzy Isobel malowała się bezwarunkowa miłość, która przemieniła ją nagle z Amazonki w madonnę.

Royd poczuł wzruszenie.

Kiedy Isobel odsunęła się od łóżka chłopca, wziął ją za rękę i zaprowadził do ich sypialni. Gdy tylko się obrócił, żeby ją do siebie przyciągnąć, Isobel sama rzuciła mu się w ramiona.

Po pierwszym zetknięciu warg opuściła ich powściągliwość. Żadne z nich nie było w stanie zapanować nad swoim pożądaniem.

Royd poluzował tasiemki sukni, żeby ściągnąć stan, po czym zaczął całować piersi Isobel. Ta odchyliła głowę i jęknęła, a potem jej dłonie zsunęły się do jego pasa. Rozpięła guziki spodni i wsunęła rękę do środka.

Royd podniósł głowę, obrócił się i przyparł Isobel do drzwi, a potem pocałował żarliwie w usta.

Jego Amazonka.

Zrzuciła pantofle, a on zadarł jej jedwabną suknię, wsunął ręce pod spód i ją podniósł.

– Twoje ramię... – wydyszała, oplatając go długimi nogami.

– Potem.

Wsunął się w jej ciepłe, śliskie wnętrze, cofnął się i wszedł jeszcze głębiej.

Zaczęli poruszać się w znajomym rytmie, czując w sobie radość, zachwyt i rozkosz, które mogli osiągnąć wyłącznie razem.

Złączyli się nie tylko ciałem, ale i duszą.

Poza oszałamiającą, obezwładniającą ekstazą czekała miłość, która koiła ich pełne tęsknoty serca.

***

Długo potem, już po powrocie pozostałych, kiedy w domu zapanowała cisza, Isobel obmyła ranę Royda i opatrzyła ją, wcierając odrobinę maści przyniesionej przez Humphreya.

Kiedy skończyła, położył się z powrotem na poduszkach.

– Chodź do łóżka.

Patrzył, jak dziewczyna zdejmuje naszyjnik i wygniecioną suknię, podwiązki oraz pończochy, a w końcu koszulę.

Podeszła nago do łoża i wdrapała się na nie z kocią gracją, po czym usiadła okrakiem na Roydzie.

Spojrzała na ranę i przesunęła palcami po innych, starszych bliznach, jakby widząc je po raz pierwszy.

– Czy to prawda, co powiedziałeś? – spytała. – Że gdybym nie kopnęła tego drania, trafiłby cię w brzuch?

– Zgadza się. W takiej sytuacji nie mógłby chybić, a ja nie miałem czasu odsunąć jego ręki.

Popatrzył w jej ciemne oczy, lecz nie mógł nic z nich odczytać.

– Gdyby nie chodziło o ciebie... – zaczęła – chyba nie przyszłoby mi do głowy, żeby go kopnąć. Tak bardzo się o ciebie... Miałam powiedzieć „bałam”, ale to słowo nie jest w stanie opisać moich uczuć.

– Czyli czułaś to samo co ja, kiedy otworzyłem powóz i ujrzałem tego łotra z wycelowanym w ciebie pistoletem. W tamtym momencie nie liczyło się nic poza twoim bezpieczeństwem.

– Tak, właśnie to chciałam powiedzieć. Bez ciebie się nie liczę. I moje życie się nie liczy, jeśli nie mogę go z tobą dzielić.

– Zawsze myślałem o tobie właśnie w ten sposób – wyznał Royd po chwili ciszy.

– Ja chyba też zawsze myślałam tak o tobie, ale do tej pory nie miałam okazji się o tym przekonać. To był moment,

w którym zdałam sobie sprawę, że choć jesteśmy dwojgiem ludzi, w rzeczywistości stanowimy jedność.

– Czy już wspominałem, że zastanawiam się nad zmianami w naszej rodzinnej kompanii? – spytał nagle Royd, domyślając się, dokąd zmierzają myśli Isobel. – Wczoraj rozmawiałem z ojcem, który się ze mną zgadza. Po powrocie ustąpię ze stanowiska głównego kapitana. Caleb mnie zastąpi.

– A co ty będziesz teraz robił?

– Zamierzam poświęcić cały swój czas budowaniu i udoskonalaniu naszych statków. Z tobą.

Isobel postukała palcem w jego pierś.

– I nie będzie ci się nudzić?

Royd pokręcił głową.

– Teraz, kiedy znowu jesteś w moim życiu i przypomniałem sobie, jak cenne jest to, co nas łączy, i kiedy mam Duncana, nie potrzebuję już wyruszać na wyprawy, żeby nadać sens swojemu istnieniu. Będę miał ciebie, Duncana, nasze statki... I całą resztę.

– Jaką znowu resztę?

– Nasz dom i naszą rodzinę. Duncan ma prawie osiem lat... Nie wydaje ci się, że przydałoby mu się jakieś rodzeństwo?

– Chcesz po prostu mieć więcej synów, których będziesz mógł uczyć żeglugi.

– Nieprawda – zaprotestował Royd z szerokim uśmiechem. – Dziewczynka lub dwie, a nawet trzy, uczynią moje życie równie ciekawym!

Isobel roześmiała się, ale potem znowu spoważniała.

– To, co naprawdę mnie przeraża – powiedziała – to jak daleko bym się posunęła, żeby cię ocalić. Miłość to siła, ale i słabość, prawda?

– Owszem, ale równoważy ją... rozwaga tego, kogo kochasz, i jego determinacja, żeby nie narażać się na głupie, niepotrzebne ryzyko.

Royd ujął palce Isobel i złożył na nich pocałunek.

Isobel skinęła głową.

– Więc tak się umawiamy? – spytała. – Koniec z podejmowaniem ryzyka?

– Tego nie mogę ci obiecać. Ty zresztą też nie. Ale jeśli się okaże, że trzeba podjąć jakieś ryzyko, to zrobimy to razem. I zwyciężymy. Tak jak dziś.

Isobel uśmiechnęła się i ułożyła obok niego, oplatając go nogami i kładąc mu głowę na piersi.

– Bo zgrany z nas zespół – powiedziała z uśmiechem.

– Właśnie. – Royd objął ją i pocałował w czoło. – Łączą nas nierozerwalne łańcuchy.

– Razem, aż po kres naszych dni – szepnęła.

Epilog

Trzy dni później panie Frobisher urządziły piknik na terenie Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego w Greenwich. Obecne były na nim załogi wszystkich jednostek Frobisherów znajdujących się w Londynie, czyli „Kormorana” i „Trójzęba”, a także „Korsarza” i „Księcia”, który przypłynął dwa dni wcześniej. Marynarze tworzyli wesoły i hałaśliwy tłum, pili za niedawne przygody oraz zaczynali już upiększać opowieści o swoim udziale w wyprawie.

Royd wygłosił kilka oświadczeń. Pierwsze związane było z misją.

– Z uwagi na poruszenie Jego Królewskiej Mości faktem, iż jego zaufany przyjaciel, lord Peter Ross-Courtney, był uwikłany w tak ohydną zbrodnię, proces odbył się wczoraj za zamkniętymi drzwiami – zaczął. – Dzięki licznym dowodom znalezionym w sejfie Clunesa-Forsythe’a, a także zeznaniom jego, Satterly’ego, Muldoona i Wintona, sędziowie szybko podjęli jednogłośną decyzję. Wyrok zostanie ogłoszony publicznie za kilka dni. Jednak już wiemy, że czterech zeznających czeka dożywocie na zesłaniu, a pozostali sponsorzy zawisną na stryczku.

Ze wszystkich stron rozległy się radosne okrzyki. Royd odczekał, aż ucichną, po czym mówił dalej:

– Wyroki śmierci także zostaną wykonane publicznie. Gazety będą miały używanie i ten jeden raz można spokojnie powiedzieć, że wszystkim wyjdzie to na dobre. – Popatrzył po uważnie słuchających ludziach, po czym dodał z nieco cierpkim uśmiechem: – Dzięki wysiłkom wszystkich tu obecnych cały rząd odetchnął dziś z ulgą.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Diamentowy kupiec oraz bankier zostali zidentyfikowani i udało się odzyskać liczne środki finansowe. Dzięki interwencji kilku członków arystokracji Korona zgodziła się przekazać je na rzecz funduszu odszkodowawczego założonego przez ofiary z Freetown.

Kolejny aplauz.

– Toast! – krzyknęła Kate, wznosząc wysoko kieliszek. – Za Daisy, za Simona, za Wattie'ego Watsona i wszystkich przyjaciół pozostawionych we Freetown!

Wszyscy unieśli kielichy oraz kufle i krzyknęli głośno, strasząc kilku przechodniów.

Royd czekał cierpliwie, aż znowu ucichną.

– Kolejna wiadomość dotyczy zmian w kierownictwie naszej kompanii. Od dzisiaj nie jestem już kapitanem floty. Funkcję tę przejmie Caleb.

Wielu zebranych oniemiało.

– Ale przecież nie zrezygnuje pan z żeglugi, kapitanie? – spytał z tłumu Williams.

Royd wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie. „Korsarz” nadal pozostanie pod moim dowództwem i będzie wypływać w rejsy, choć rzadziej niż dotąd. Zamiast

tego wraz ze swoją załogą zamierzam poświęcić więcej czasu na współpracę ze stocznią Carmichaelów. Razem będziemy budować i testować kolejne pokolenie statków dla floty Frobisherów.

Ta wiadomość bardzo wszystkich ucieszyła, a szczególnie Duncana, który siedział na trawie przed Roydem, obejmując kolana, i patrzył na ojca jak zahipnotyzowany.

– Kolejna zmiana – ciągnął Royd – dotyczy misji rządowych, za które odpowiadałem do tej pory wspólnie z Robertem i Declanem. Teraz przejmie je Caleb oraz, pod jego kierunkiem, Lachlan i Kit, choć ci dwoje nie zostali jeszcze o tym poinformowani.

Dzięki temu on sam, Robert i Declan będą mogli spędzać więcej czasu na lądzie, a kiedy wypłyną – niemal na pewno w towarzystwie żon – będą to misje niezagrażające ich bezpieczeństwu. Robert i Declan sami podjęli taką decyzję, a Royd ją poparł. Żaden z nich nie mógł już sobie pozwolić na to, by wciąż pływać na krańcach świata.

Isobel podeszła do Royda i wzięła go pod ramię. Ten popatrzył na nią i wzniósł kufel.

– Za nieobecnych przyjaciół. Za Frobisherów.

Był to tradycyjny rodzinny toast i członkowie załóg dobrze go znali. Wszyscy powtórzyli za Roydem te słowa.

– Oby niebo pozostało czyste, wiatr wypełniał żagle, a fale pchały nasze statki naprzód. Po horyzont i dalej!

Okrzyk wzbił się wysoko pod niebo i wszyscy spełnili toast.

Royd usłyszał, jak Isobel powtarza półgłosem te słowa. Popatrzył w jej brązowe oczy i ujrzał w nich nieskrywaną miłość.

– Chodź z nami na spacer – powiedziała. – Duncan chce pooglądać statki na rzece.

– W takim razie ruszajmy – rzekł Royd, oddając komuś pusty kufel.

Duncan krzyknął z radości i pobiegł przodem.

– Tylko nie odbiegaj za daleko! – zawołała za nim Isobel.

Pozostałe trzy pary ruszyły z nimi. Declan prowadził wciąż pełną energii – mimo zaawansowanej ciąży – Edwinę. Aileen szła pod ramię z Robertem, a za nimi Caleb i Kate. Idąca na końcu w towarzystwie Fergusa i Elaine Iona zdążyła jeszcze upomnieć Kate kwaśno, że powrót do pracy we Freetown jest absolutnie wykluczony.

– Wolę już raczej kolejny mariaż Carmodych z Frobisherami!

– Wnoszę z tego – mruknął Royd – że Iona zaakceptowała w końcu mnie i Caleba jako waszych adoratorów?

Isobel odchyliła głowę, jakby się namyślając, po czym stwierdziła:

– Akceptacja to może za wiele powiedziane. Rezygnacja byłaby bardziej odpowiednim słowem.

Royd zachichotał, kręcąc głową.

Szli, patrząc na podskakującego przed nimi Duncana. W pewnej chwili Royd zorientował się, że Isobel mu się przygląda. Popatrzył na nią pytająco.

– Zastanawiałam się nad tym, co powiedziałeś... Jak sądzisz, czy często będziesz teraz wypływał w interesach?

– W najbliższej przyszłości raczej nie. Nie chodzi tylko o nową flotę. Chciałbym też spędzać więcej czasu z Duncanem. – Przesunął wzrok na wciąż płaski brzuch Isobel. – I z tym drugim. Poprzednim razem wszystko przegapiłem. Teraz zamierzam przez cały czas być przy tobie.

– Ach, więc zauważyłeś.

– Prowadzę przedsiębiorstwo. Potrafię liczyć.

– Zamierzałam ci powiedzieć, kiedy znowu znajdziemy się na morzu, z dala od reszty rodziny.

– Nie musimy im jeszcze o tym mówić. – Royd zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Duncan, pierworodni Roberta i Declana, a teraz nasze drugie dziecko. Nie ociągamy się z tworzeniem nowego pokolenia Frobisherów, które przejmie flotę.

– Lepiej zabierzmy się też do tych nowych projektów statków.

– Gdy tylko wrócimy do Aberdeen.

Royd obejrzał się, po czym chwycił Isobel za rękę i zaciągnął ją za pień wielkiego drzewa. Przycisnął ją do niego i pocałował mocno. Oddała pocałunek, wiedząc, że dzięki tej wyprawie znaleźli wreszcie drogę powrotną do siebie nawzajem.

***

Pięć dni później dopłynęli do Aberdeen. Słońce przebijało zza gęstych chmur i silny wiatr dął w żagle.

Jako pierwszy szedł „Korsarz”, a za nim reszta niewielkiej floty. Fergus i Elaine płynęli na „Kormoranie”, Iona zaś na „Księciu”.

Wspięli się na falę i Isobel ujrzała z pokładu rufowego dachy Aberdeen.

– Dom! – krzyknęła z radością, pokazując palcem.

Duncan podskakiwał i wiwatował.

Dom. Isobel czuła, że to słowo nabrało nowego znaczenia dla niej, dla Royda i dla ich syna.

Przed nimi pojawiło się ujście Dee i Royd zakręcił kołem, zarządzając jednocześnie zmiany w ożaglowaniu. Isobel obejrzała się i zobaczyła sunący majestatycznie korowód wydętych żagli lśniących bielą w słońcu. Był to wspaniały widok.

Odbyli długą podróż. Zmierzyli się z łotrami i narażali się na niebezpieczeństwa, a teraz wracali triumfalnie z wiatrem wiejącym w plecy.

Wreszcie zauważono ich na nabrzeżu. Coraz więcej ludzi przybiegało do portu. Nieczęsto widziało się tu coś tak imponującego, a w dodatku chodziło o pobratymców, których należało odpowiednio powitać.

Duncan podbiegł do burty i zaczął machać.

– Byliśmy w Afryce! – wrzasnął. – W Afryce, i w Londynie też!

Royd wybuchł śmiechem.

– Przynajmniej wymienił je we właściwej kolejności.

Isobel uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jak się czujesz? – spytał Royd, całując ją przelotnie w usta.

– Zdumiewająco dobrze. – Podczas ciąży z Duncanem nigdzie nie pływała i teraz spodziewała się, że będzie odczuwać nudności. – Od razu widać, że noszę w sobie prawdziwe dziecko Frobisherów, urodzone do żeglugi.

Royd wyszczerzył się i wrócił do zadania, jakim było przeprowadzanie statku po rzece do portu.

Wreszcie zrzucili wszystkie żagle i burta obiła się łagodnie o keję Frobisherów. Marynarze zeskoczyli na ląd, żeby przywiązać cumy.

Royd przekazał dowodzenie Liamowi i odwrócił się do Isobel.

– Gotowa? – Wyciągnął do niej rękę.

Nie miał na myśli tylko zejścia na ląd.

Isobel z uśmiechem podała mu dłoń.

– Na naszą przyszłość?

– Na ślub i wszystkie lata po nim.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Gotowa.

Royd przyciągnął ją do siebie, żeby złożyć na jej ustach szybki, namiętny pocałunek, a potem na oczach uśmiechniętej załogi zeszli na ląd.

***

O kolejności ślubów zadecydowały względy praktyczne. Jako pierwsi stanęli przed ołtarzem Aileen z Robertem.

Ceremonia odbyła się pod koniec października w kościele Świętej Marii, w cieniu zamku Scarborough.

Rodzice Aileen byli zachwyceni tym małżeństwem i z niecierpliwością czekali na wnuki – już stracili nadzieję, że kiedykolwiek będą je mieli – a dodatkową radość sprawił im fakt, że wszyscy trzej synowie zdołali wziąć urlop i zdążyć na wesele.

Świadkami pana młodego byli jego bracia. Aileen, nie mając sióstr, poprosiła, aby druhnami były jej przyszłe szwagierki.

Kit i Lachlan, którzy na co dzień mieszkali w Bristolu, weszli do kościoła tuż przed panną młodą. Obecni byli też oficerowie i większość załogi Roberta. Marynarze pragnęli zobaczyć ślub swojego kapitana z damą, która zaskarbiła sobie ich szacunek i sympatię.

Gości nie było wielu, lecz weselne śniadanie i tak było huczne, a toasty, opowieści i śmiech rozbrzmiewały aż do późnego popołudnia.

Nikogo nie zdziwiło, że bukiet panny młodej złapała Kate. Edwina powiedziała tylko, że następna para powinna pospieszyć się ze ślubem – nie chciała przegapić żadnego wesela, a przecież za kilka tygodni nie będzie już mogła podróżować. Oczywiście nikt nie zamierzał dyskutować z książęcą córką w zaawansowanej ciąży, dlatego na początku listopada Caleb i Kate pobrali się w parafialnym kościółku w Dunnottar, stojącym pod lasem w pobliżu Stonehaven.

Iona nalegała na Aberdeen, lecz Kate nie ustąpiła, bo na cmentarzyku w Dunnottar pochowani byli jej rodzice, a ona sama zawsze należała do tej parafii.

Kate absolutnie nie zgodziła się też na sugestię Iony, żeby zamiast ślubu młodzi zadowolili się na razie zaręczynami. Staruszka wycofała się bez słowa, gdy tylko w tej sprawie zainterweniowała Isobel – żywy dowód na destrukcyjny wpływ tradycji zaręczyn na związek z którymś z braci Frobisherów.

Tak więc przed ołtarzem stanęło tych samych czterech młodzieńców i te same cztery damy, zamieniając się tylko rolami młodych i świadków.

Kate i Caleb wygłosili przysięgę mocnymi, dźwięcznymi głosami, i w tym samym momencie słońce przedarło się przez chmury i zaświeciło przez witrażowe okno, spowijając nowożeńców złocistym blaskiem.

Co prawda nadszedł już listopad, lecz pogoda była jak wymarzona. Kościółek zapełniali przyjaciele młodej pary. Ku zdziwieniu Kate zjawiło się też wielu miejscowych, którzy znali jej rodziców i pragnęli jej powinszować, a także o wiele liczniejsze grono krewnych, niż się spodziewała.

Była też załoga Caleba, a rankiem w dniu ślubu do Aberdeen zawinął Phillipe Lascelle, którego przybycie sprawiło narzeczonym cudowną niespodziankę. Razem z nim pojawili się w kościele Ducasse i kilku innych francuskich marynarzy, których Caleb znał od dawna, a Kate poznała w dżungli. Największym zaskoczeniem była jednak obecność Hillsythe’a – przybył z resztą, choć

wkrótce czekała go podróż powrotna do Freetown, gdzie miał zreorganizować kancelarię gubernatora.

W takim towarzystwie weselne śniadanie, które przygotowano pod nadzorem Iony w pobliskiej gospodzie, musiało przebiec głośno i radośnie. Kiedy Kate zeszła na dół, przebrana do krótkiej podróży poślubnej do Kopenhagi, rozejrzała się uważnie po twarzach wszystkich panien, wycelowała i przy wtórze gromkiego śmiechu zebranych cisnęła bukiet prosto w ręce Isobel...

***

I wreszcie, w pochmurny dzień pod koniec listopada, w katedrze pod wezwaniem Świętego Makarego w starej części Aberdeen na ślubnym kobiercu stanęli Isobel Carmody Carmichael i Royd Frobisher.

Pannę młodą poprowadził do ołtarza dumny ojciec.

Jak zwykle nie podążając za modą, Isobel postanowiła pójść do ślubu w jedwabnej sukni w odcieniach błękitu, które przywodziły na myśl barwy morza. Czarne włosy panny młodej okrywał delikatny koronkowy welon, a na szyi wisiał naszyjnik z iskrzących się niebieskich diamentów. Royd kupił go anonimowo na publicznej aukcji przeprowadzonej przez Rundella, Bridge'a i Rundella, z której dochód przeznaczono na fundusz odszkodowawczy dla ludzi z Freetown. Wspaniały naszyjnik był ślubnym darem dla Isobel. W końcu znaczył dla nich o wiele więcej, niż kiedykolwiek mógłby znaczyć dla kogoś innego.

Edwina, Aileen i Kate jako druhny Isobel odziane były w jasne suknie w barwach morskiej zieleni i błękitu. Gdy stanęły wraz z panną młodą przed ołtarzem, kolory te przypominały obecnym, jak ważną rolę odgrywa morze w życiu młodej pary i jej rodzin.

Ceremonia była należycie długa, bo też i długo trzeba było na nią czekać. Kiedy narzeczeni składali przysięgę, wszędzie pojawiły się koronkowe chusteczki i w niejednym oku zabłysła łza.

Wreszcie wystąpił Duncan, który trzymał obrączkę na czerwonej aksamitnej poduszce, i Royd wsunął ją na palec Isobel. Kapłan ogłosił parę mężem i żoną, a wtedy Royd porwał Isobel w ramiona i pocałowali się przed Bogiem, krewnymi i wielkim tłumem osób, które przybyły, żeby zobaczyć ślub łączący dwa najznaczniejsze rody w Aberdeen.

Isobel i Royd przeszli do zakrystii, żeby podpisać się w księdze parafialnej, po czym po otrzymaniu błogosławieństwa wyszli na zewnątrz. Kiedy stanęli na schodach świątyni, powitał ich rzadki o tej porze roku przebłysk słońca.

Royd popatrzył przed siebie i wybuchnął śmiechem.

– Wielki Boże! – krzyknęła Isobel.

Przed nimi ciągnął się długi szpaler mężczyzn ze wzniesionymi szpadami. Widać było mundury wojska i marynarki, a także uniformy kompanii handlowych, pomiędzy nimi zaś twarze licznych młodych kuzynów z obu rodzin.

– Ruszamy? – spytał Royd.

– Tak... ale pobiegnijmy! – rzekła Isobel ze śmiechem.

Zakasała suknię i pobiegli przez szpaler, na którego końcu czekał ich deszcz ryżu i kwiatów.

Kościół znajdował się o kilka kroków od Carmody Place i wszystkich obecnych zaproszono na weselne śniadanie, które na długo miało się zapisać w pamięci mieszkańców miasta. Nowożeńcy przechadzali się wśród gości, przyjmując gratulacje i dziękując za przybycie zwłaszcza tym, którzy przyjechali z daleka.

Wreszcie towarzystwo zasiadło w wielkiej sali do uczty i rozpoczęły się toasty. Posypało się wiele opowieści i żartów, lecz ostatnie słowo miała Iona, która wstała, poprosiła wszystkich o wzniesienie kielichów, po czym oświadczyła krótko:

– Rychło w czas.

Potem rozległa się muzyka i Isobel z Roydem zawirowali na parkiecie do wtóru oklasków. Kiedy reszta gości dołączyła do nich, Isobel oparła głowę na ramieniu Royda i powtórzyła cicho:

– Rychło w czas.

Wreszcie poszła się przebrać, a po powrocie zgodnie z tradycją odwróciła się plecami do tłumu i zamaszystym ruchem cisnęła ślubną wiązankę za siebie.

Bukiet przeleciał nad głowami młodych dam, odbił się od jednej i drugiej wyciągniętej dłoni, aż wreszcie trafił do rąk Kit Frobisher. Ta złapała go odruchowo i nagle śmiech

zamarł jej na ustach, a na twarzy odmalowało się przerażenie. Popatrzyła na kwiaty jak na jadowitą żmiję.

– O nie – zaprotestowała, kręcąc głową. – O nie, nie, nie.

Rozejrzała się wokół i spróbowała wcisnąć bukiet w dłonie stojącej najbliżej panny.

– Masz.

Tamta podniosła tylko ręce ze śmiechem, odmawiając przyjęcia.

Kit próbowała jeszcze kilka razy, lecz tak samo nieskutecznie.

– To na nic – powiedziała Isobel, podchodząc do niej. – Co się stało, to się nie odstanie, a muszę cię ostrzec, że ta wróżba zawsze się sprawdzała w naszej rodzinie.

– W twojej rodzinie! Nie u Frobisherów!

– Ale przecież ród Carmodych jest teraz nierozerwalnie związany z Frobisherami. – Isobel nachyliła się i obniżyła głos. – Na twoim miejscu miałabym się na baczności. Ktoś zmierza w twoją stronę.

– Ktokolwiek to jest, niech lepiej się trzyma z daleka, bo inaczej za siebie nie ręczę – wycedziła Kit.

Royd, wiedząc, że goście na pewno będą chcieli sobie rubasznie pożartować, ułożył po kryjomu pewien plan, o którym wiedział tylko ich syn. Poprowadził Isobel przez ukryte drzwi, które pokazał mu Duncan, a potem labiryntem korytarzy na tył rezydencji, gdzie chłopiec czekał już w zwykłym powoziku. Poza nim był tu tylko Jeb, stary stajenny, który przytrzymywał konia.

– Winszuję państwu – powiedział z uśmiechem, uchylając kapelusza, kiedy Royd pomagał Isobel wsiąść do środka.

– Dokąd jedziemy? – spytała, gdy ruszyli.

– Do domu – odparł Royd.

Kiedy dojechali do starej kamiennej rezydencji Banchory-Devenick, Duncan wyskoczył z powozu i pobiegł do drzwi. Isobel poczekała, żeby Royd pomógł jej wysiąść.

Bywała tu wcześniej, ale tylko w charakterze gościa. Teraz to coś zupełnie innego. Przede wszystkim w domu panowała dziwna cisza.

– Gdzie są wszyscy?

– Ojciec uznał, że to dobra pora na wizytę w naszym biurze w Bristolu. On i matka wypływają wieczorem razem z Kit. Aileen na pewno ci wspominała, że płyną z Robertem w zaległą podróż poślubną do Nowego Jorku, a Declan naturalnie chciałby jak najszybciej wrócić z Edwiną do Londynu, tak więc „Trójząb” i „Kormoran” też podniosą dziś kotwice. Co do Caleba i Kate, to może nie uwierzysz, ale postanowili na razie zamieszkać w Carmody Place, żeby Iona nie czuła się samotna po twoim wyjeździe, poza tym Caleb będzie miał stamtąd bliżej do portu i biura. Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, gdzie powinniśmy zamieszkać. Jeśli wolałabyś dom bliżej miasta...

– Nie. – Isobel pokręciła głową. – To jest nasze miejsce. – Poczuła to, gdy tylko przestąpiła próg. Miała wrażenie, jakby dom witał ją z otwartymi ramionami. – Ale nigdy nie widziałam nic poza salonem. Oprowadź mnie.

Obeszli całą rezydencję. Była większa, niż Isobel sądziła – mocna budowla z miejscowego szarego kamienia, do której kolejne pokolenia wprowadzały własne zmiany.

Royd zatrzymał się w dużym pokoju na pierwszym piętrze, skąd rozciągał się widok na rozległy trawnik zakończony lasem.

– Pomyślałem, że to skrzydło najlepiej się dla nas nadaje. Jest tu najbardziej zacisznie i będzie wystarczająco dużo pokojów na sypialnię Duncana oraz pokój dziecinny, gabinety dla nas obojga i prywatny salonik, gdybyśmy chcieli odrobiny spokoju od krzątaniny, jaka panuje czasem w domu.

– Idealnie. – Isobel stanęła pod oknem.

Cieszyła się, że będą mieli swój kąt, a jednocześnie stanowić będą część większej rodziny, do czego przywykła. Ale...

– Czy sądzisz, że to nam wystarczy? Nasze projekty i prace konstruktorskie, i tylko z rzadka jakaś wyprawa?

Na dworze Duncan biegał w kółko po trawniku, ścigając szczeniaka, którego Isobel jeszcze nie widziała.

Royd popatrzył na nią z uśmiechem łagodniejszym niż zwykle.

– Jednego zdążyłem się nauczyć: życie jest po to, żeby je przeżyć z rodziną. Nic nigdy mnie stąd nie odciągnie, bo nic nigdy nie będzie się dla mnie bardziej liczyć.

Isobel widziała w jego oczach, że mówi całkowicie szczerze. Uśmiechnęła się lekko.

– Iona zawsze powtarza coś, co do tej pory mnie nie dotyczyło. Mówi mianowicie, że tam dom twój, gdzie serce twoje. – Podniosła dłoń i położyła ją na piersi Royda. – A moje serce przez te wszystkie lata zawsze było tutaj.

Royd nakrył jej palce swoją ręką.

– Pani Frobisher, pozwolę sobie jeszcze raz powtórzyć, że naprawdę stanowimy zgrany zespół.

Tytuł oryginału:
Lord of the Privateers
Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2016
Opracowanie graficzne okładki:
Madgrafik
Redaktor prowadzący:
Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne:
Sylwia Sandowska-Dobija
Korekta:
Anita Rejch

© 2016 by Savdek Management Proprietary Limited
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiejkolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-3149-7

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.